

Carolyn Jess-Cooke

**ZAWSZE
PRZY MNIE
STÓJ**

The Guardian Angel's Journal

tłumaczenie

Małgorzata Kafel



Dla moich skarbów

„Anioły to duchy, ale są aniołami nie tylko dlatego, że są duchami. Stają się aniołami, kiedy zostają posłani”.

Święty Augustyn, *Enarratio in Psalmos*

NIEBIAŃSKIE PIÓRO

Kiedy umarłam, zostałam Aniołem Stróżem.

Gdy tylko przybyłam w zaświaty, Nandita powiedziała mi o tym bez żadnych wstępów, bez luźnej pogawędki przełamującej pierwsze lody. Znaście te rozmowy z dentystą, który przed wyrwaniem zęba pyta o wasze plany bożonarodzeniowe? No więc możecie mi wierzyć, nic takiego tu nie miało miejsca. Powiedziała prosto z mostu:

- Margot nie żyje, dziecko. Margot nie żyje.

- Nie ma mowy - odpowiedziałam. - Nie jestem martwa.

Powtórzyła, że Margot nie żyje. Wciąż to powtarzała. Wzięła mnie za rękę, kiwając głową z szacunkiem, jakby mi się kłaniała.

- Wiem, jakie to trudne - dodała. - Ja osierociłam w Pakistanie pięcioro dzieci. Zostały całkiem same, bez matki i ojca. Ale wszystko będzie dobrze.

Musiałam się stamtąd wydostać. Kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam dolinę porośniętą drzewami cyprysowymi. Stałyśmy nad brzegiem małego jeziora. Od wody dzielił nas gąszcz pałki wodnej o aksamitnych głowach przypominających miniaturowy las mikrofonów przyczajonych, żeby nagłośnić moją odpowiedź. Nie doczekają się. W oddali wśród pól dojrzałam szary zarys drogi. Ruszyłam w tamtą stronę.

- Zaczekaj - powiedziała Nandita. - Chciałabym, żebyś kogoś poznała.

- Kogo? - spytałam. - Boga? To jest szczyt absurdu, a my właśnie zatykamy na nim flagę.

- Chciałabym, żebyś poznała Ruth - odpowiedziała Nandita, biorąc mnie za rękę i prowadząc w kierunku jeziora.

- G d z i e o n a j e s t? - Nachyliłam się nad wodą, patrząc na drzewa w oddali.

- Tutaj - odparła, wskazując na moje odbicie w tafli jeziora.

A potem mnie popchnęła.

Niektórzy Aniołowie Stróże są wysyłani na ziemię po to, aby strzegli swojego rodzeństwa, swoich dzieci i osób, które były im bliskie za życia. Ja wróciłam do Margot. Do samej siebie. Jestem swoim Aniołem Stróżem, klasztornym skrybą spisującym biografię żalu, płaczącym się we wspomnieniach, porwanym przez tornado przeszłości, której nie mogę zmienić.

„Nie mogę zmienić” to niewłaściwe określenie. Aniołowie Stróże, jak wszyscy dobrze wiemy, tysiące razy zapobiegają naszej śmierci. Obowiązkiem Anioła Stróża jest chronić człowieka przed nieodpowiedzialnymi słowami, złymi uczynkami oraz ich następstwami. To my, aniołowie, dbamy o to, żeby nie było przypadków. Ale zmiany to nasza specjalność. Dokonujemy ich w każdej sekundzie, każdej minucie, każdego dnia.

Gdy codziennie spoglądam zza kulis na to, czego dane mi było doświadczyć za życia, i na ludzi, których kochałam, chciałabym złapać za jakieś niebiańskie pióro i opisać to wszystko od nowa. Ułożyć dla siebie scenariusz. Chciałabym napisać do tej kobiety, którą kiedyś byłam, i powiedzieć jej wszystko, co wiem. Chcę poprosić:

Margot.

Powiedz mi, jak umarłaś.

Rozdział 1

NARODZINY RUTH

Nie pamiętam, jak wpadałam do wody. Nie pamiętam, żebym z niej wyszła na drugim brzegu jeziora. To, czego doświadczyłam, było jak chrzest u progu nowego życia w duchowym świecie, a zarazem jak objawienie. Nie potrafię wyjaśnić, jak to się stało, ale kiedy znalazłam się w słabo oświetlonym korytarzu, ociekając wodą, która kapiała na popękane kafelki, świadomość, kim jestem i dlaczego się tu znalazłam, dotarła do mnie jak promienie słońca przenikające przez gałęzie drzewa. Ruth. Mam na imię Ruth. Margot nie żyje.

Wróciłam na ziemię. Do Belfastu w Irlandii Północnej. Kiedyś tu dorastałam, a teraz rozpoznałam to miejsce po charakterystycznym świdrującym dźwięku orkiestr oranzystów odbywających nocą swoje próby. Domyśliłam się, że jest lipiec, lecz nie wiedziałam, który to rok.

Za plecami usłyszałam kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam Nanditę, której nieskazitelnie biała suknia fosforyzowała w ciemnościach, odbijając światło pobliskiej lampy ulicznej. Nachyliła się w moją stronę, a na jej śniadej twarzy odmalowała się troska.

- Są cztery zasady - powiedziała, pokazując cztery ozdobione pierścieniami palce. - Po pierwsze, zawsze jesteś przy niej. Jesteś świadkiem wszystkiego, co ona robi, wszystkiego, co czuje i czego doświadcza.

- Raczej wszystkiego, czego ja doświadczyłam - poprawiłam Nanditę.

Machnęła ręką w powietrzu, jakby moje słowa były komiksowym dymkiem, który chciała odegnąć.

- To niezupełnie jest tak, jakbyś oglądała film. Życie, jakie zachowałeś w pamięci, stanowi tylko niewielki fragment układanki. Teraz będziesz widziała cały obraz. Niektóre jego elementy sama dopasujesz. Ale musisz bardzo uważać. Teraz pozwól, że omówię pozostałe zasady.

Skinęłam głową, patrząc na nią przepaszająco. Nandita wzięła głęboki wdech.

- Druga zasada mówi, że masz ją ochraniać. Jest wiele sił, które będą próbowały wpływać na dokonywane przez nią wybory. Koniecznie ją przed nimi chroń.

- Chwileczkę - powiedziałam, podnosząc rękę. - Co właściwie masz na myśli, mówiąc „wpływać”? Przecież podjęłam już wszystkie możliwe decyzje. Dlatego wylądowałam tutaj.

- Nie słuchasz, co mówię?

- Słucham, ale...

- Nic nie jest przesądzone, nawet jeśli cofasz się w czasie. Teraz nie możesz tego zrozumieć, lecz...

Zawahała się, jakby nie była pewna, czy jestem wystarczająco inteligentna, żeby zrozumieć to, co ma mi do powiedzenia. Albo wystarczająco twarda, żeby sobie z tą wiedzą poradzić.

- Mów dalej - poprosiłam.

- Nawet to, że teraz rozmawiamy, ty i ja, też już się stało. Jednak nie cofasz się w przeszłość, nie w taką przeszłość, jaką zapamiętałaś. Czas już nie istnieje. Tylko że ty znajdujesz się tutaj, a twoje wyobrażenie o przyszłości nadal jest mgliste. Doświadczysz bardzo wielu nowych rzeczy i będziesz musiała zmierzyć się z ich konsekwencjami.

Rozboliła mnie głowa.

- Nieważne - powiedziałam. - Jaka jest trzecia zasada?

Nan wskazała na sączący się z moich pleców płyn. Na moje, można powiedzieć, skrzydła.

- Trzecia zasada mówi: prowadź rejestr albo, jeśli wolisz, dziennik.

- Chcesz, żebym notowała wszystko, co się wydarzy?

- Nie, to o wiele prostsze. Jeśli będziesz przestrzegała dwóch pierwszych zasad, nie będziesz musiała nic robić. Twoje skrzydła zrobią to za ciebie.

Bałam się zapytać o czwartą zasadę.

- I wreszcie - powiedziała, a uśmiech powrócił na jej twarz. - Kochaj Margot. Kochaj Margot.

Ucałowała koniuszki swoich palców i przycisnęła je do mojego czoła, a potem zamknęła oczy i zaczęła się modlić w dziwnym języku. Domyśliłam się, że to był hindi. Zakłopotana, przestąpiłam z nogi na nogę i pochyliłam głowę. Wreszcie skończyła. Kiedy otworzyła oczy, czerń jej źrenic zastąpiło białe światło.

- Jeszcze cię odwiedzę - obiecała. - Pamiętaj, teraz jesteś Aniołem Stróżem. Nie musisz się bać.

Blask, którym jaśniały oczy Nandity, zaśnił na jej twarzy, ustach, szyi i ramionach, aż wreszcie cała jej postać zniknęła w eksplozji światła.

Rozejrzałam się. Z końca korytarza, z jego prawej strony dobiegł niski jęk. Mieszkania czynszowe. Ściany z nieotynkowanej cegły, tu i ówdzie graffiti. Pokryte lepką warstwą Guinnessa przyciski domofonu umieszczone obok otwartych na oścież wąskich drzwi wejściowych. U podnóża schodów skulony pijak.

Stałam chwilę, obserwując otoczenie. W pierwszym odruchu chciałam wyjść z budynku i uciec stąd jak najdalej. Ale potem poczułam potrzebę pójścia na koniec korytarza, tam, skąd dochodził jęk. Mówiąc „potrzebę”, nie mam na myśli ciekawości ani podejrzliwości, lecz uczucie pośrednie pomiędzy przeczuciem, które matce małego dziecka zbyt długo bawiącego się cicho każe wkroczyć, aby w ostatniej chwili powstrzymać brzdąca przed wysuszeniem kota w suszarce bębnowej, a tym głęboko zakorzenionym naturalnym instynktem, który podpowiada nam, że nie zamknęliśmy drzwi do domu, że zwolnią nas z pracy albo że jesteśmy w ciąży.

Znacie to uczucie?

Tak więc ruszyłam korytarzem, minęłam pijaka i pokonałam trzy stopnie prowadzące na półpiętro. Znowu korytarz i pięcioro drzwi, dwoje po bokach, jedno na końcu. Wszystkie pomalowane na czarno. I znów ten dźwięk - głęboki zwierzęcy pomruk - który teraz dochodził z bliska. Zrobiłam jeszcze jeden krok. Usłyszałam wołanie. Jakieś imię. Płaczliwy głos kobiety. Podeszłam do drzwi i przystanęłam.

Chwilę później znalazłam się w środku. Pokój dzienny. Zgaszone światło, ciemność. Udało mi się rozpoznać sofę i mały sześcian starego telewizora. Okno było otwarte, firanka łopotała, zahaczając to o parapet, to o stół w pokoju, niezdecydowana, czy chce zostać w środku, czy wyfrunąć na zewnątrz. Długi, przejmujący krzyk. Jak to możliwe, że nikt tego nie słyszy, pomyślałam. Dlaczego sąsiedzi nie dobijają się do drzwi? Wtedy zrozumiałam: to Belfast latem. Wszyscy są na ulicznych paradach i kołyszą się w rytm melodii The Sash.

Na zewnątrz rozpoczęły się zamieszki. Z różnych stron dobiegało wycie policyjnych syren. Brzęk tłuczonych butelek. Wrzaski, odgłosy kroków na chodniku. Szłam przez ciemny pokój, kierując się krzykiem kobiety.

Sypialnię oświetlało migotliwe światło lampki stojącej na nocnym stoliku. Zauważyłam nad nim odłóżającą liliową tapetę, na przeciwnej ścianie ślady pleśni i plamy wilgoci przypominające strzepniętą sadzę. Rozkopane łóżko. Obok łóżka, dysząc, klęczała młoda jasnowłosa kobieta w długim niebieskim T-shircie. Była sama, wyglądała tak, jak gdyby się modliła. Jej ręce były chude jak patyki i całe posiniaczone, jakby brała udział w bójce. Nagle przysiadła na kolanach z zamkniętymi oczami, twarzą zwróconą do sufitu i

zaciśniętymi zębami. Dostrzegłam, że jest w zaawansowanej ciąży. Wokół jej nóg zebrała się kałuża czerwonej wody.

To jakiś żart, pomyślałam. Co ja mam teraz zrobić - odebrać poród? Wezwać pomoc? Nie żyję. Mogę się co najwyżej przyglądać, jak ta biedna dziewczyna wali pięściami w materac.

Skurcz ustąpił. Kobieta osunęła się do przodu. Powieki jej opadały, a oczy uciekały gdzieś ku górze. Oparła czoło o łóżko. Uklękłam obok niej i nieśmiało położyłam rękę na jej ramieniu. Żadnej reakcji. Znowu zaczęła dyszeć, następny skurcz był tak silny, że aż wygięła się do tyłu i krzyczała przez dobrą minutę. Z nadejściem ulgi krzyk osłabł i powrócił ciężki oddech.

Przesuwając rękę po jej przedramieniu, wyczułam kilka małych dziurek. Przyjrzałam im się bliżej. Dziesięć czerwonych kółek wokół łokcia, mniejszych od jednopensówki. Ślady igieł. Następny skurcz. Uniosła się na kolanach i znowu zaczęła ciężko dyszeć. Brzeg koszulki podwinął się jej na biodrach, odsłaniając kolejne ślady igieł na jej białych udach. Szybko rozejrzałam się po pokoju. Na komodzie zauważyłam łyżeczki do herbaty i spodki. Spod łóżka wystawały dwie strzykawki. Mieszkała tu miłośniczka herbaty chora na cukrzycę albo ćpunka.

Kałuża wody wokół jej kolan rosła. Powieki jej drżały, a jęk, zamiast przybierać na sile, cichł. Zorientowałam się, że kobieta traci przytomność. Jej głowa osunęła się na bok, a małe wilgotne usta rozchyliły się.

- Hej - powiedziałam głośno.

Żadnej odpowiedzi.

- Hej!

Nic.

Wstałam i zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju. Od czasu do czasu gwałtowny wstrząs targał ciałem kobiety do przodu albo na boki. Siedziała na podwiniętych nogach, z bladą twarzą zwróconą w moim kierunku, ze szczupłymi ramionami zwieszonymi wzdłuż tułowia, trąc nadgarstkami brudny, zapchlony dywan. Miałam kiedyś kolegę, który dorobił się majątku na cuceniu ćpunów. Godzinami przesiadywał na naszej kanapie i opowiadał o tym, jak ratował od śmierci znane osobistości, jak uzbrojony w strzykawkę z adrenaliną, sięgał do samego piekła i wyszarpywał je ze szponów szatana. Oczywiście nie potrafiłam sobie przypomnieć wszystkich szczegółów. Zresztą wątpię, czy mój kolega kiedykolwiek ratował ćpunka w trakcie porodu. A już z całą pewnością sam nie był wtedy martwy.

Nagle dziewczyna osunęła się na podłogę. Leżała na boku, z rękami złączonymi tak, jakby były skute kajdankami. Widziałam, jak leje się z niej krew. Szybko się schyliłam i rozsunęłam jej kolana. Między nogami zobaczyłam charakterystyczną ciemną czuprynkę. Wtedy pierwszy raz poczułam spływające z moich pleców zimne strumienie wody, jakbym zyskała czucie w dwóch dodatkowych kończynach, wrażliwych na wszystko, co się dzieje w pokoju - zapach potu, popiołu, krwi, namacalny wręcz smutek, coraz wolniejsze bicie serca dziewczyny i bardzo szybkie tętno dziecka...

Pociągnęłam ją mocno za nogi i ustawiłam stopy na podłodze. Ściągnęłam z łóżka poduszkę, a potem zdarłam najczystsze prześcieradło i rozścieliłam je pod udami kobiety. Przykucnęłam pomiędzy jej nogami i przysunęłam dłonie do pośladków, starając się zbyt wiele nie myśleć. W innych okolicznościach uciekłabym od czegoś takiego jak najdalej. Oddychałam szybko i kręciło mi się w głowie, a jednak byłam szalenie skupiona, dziwnie zdeterminowana, żeby uratować to maleńkie życie. Widziałam już brwi dziecka i nasadę noska. Wyciągnęłam rękę i nacisnęłam brzuch dziewczyny. Poduszka pod jej pośladkami nasiąkła jeszcze większą ilością wody. A potem całe dziecko wyslizgnęło się z niej jak ryba, tak szybko, że ledwo zdążyłam je złapać - ciemna wilgotna główka, pomarszczona twarzyczka, malutkie sine ciało pokryte gęstą białą mazią płodową. Dziewczynka. Zawinęłam ją w prześcieradło i przytrzymałam ręką grubą niebieską pępowinę, wiedząc, że za kilka minut będę musiała za nią pociągnąć, żeby wydostać łożysko.

Dziecko kwiliło w moich ramionach, szukając czegoś maleńkimi, otwartymi, ściągniętymi w dziobek ustami. Przed przystawieniem go do piersi matki musiałam załatwić jeszcze jedną sprawę: zatrzymać jej pożałowania godną duszę w wyniszczonym ciele.

Pępowina w mojej ręce stawała się coraz mniej sprężysta. Szarpnęłam ją szybko, czując ciężar zaczepionego na jej końcu sporego worka. Miałam wrażenie, że łowię ryby. Jeszcze jedno szarpnięcie, lekki skurcz. Powoli i zdecydowanie wyciągałam pępowinę, aż zaczęła robić się coraz grubsza, a na poduszce wylądowała gęsta krwawa masa. Minęło dwadzieścia lat, odkąd miałam z tym do czynienia. Co wtedy robiła położna? Trzeba przeciąć pępowinę blisko pępka. Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś ostrego. Na komodzie zauważyłam nóż sprężynowy. Może być. Zaraz. Jeszcze coś. Położna badała łożysko. Pamiętam, jak pokazała nam, że jest całe i żadna jego część nie została w środku, na co Toby nachylił się nad pobliską umywalką i zwrócił lunch.

Łožysko tej kobiety nie przypominało intensywnie czerwonej, podobnej do mózgu substancji, którą zapamiętałam. Było małe i płaskie, jak rozjechane zwierzątko na szosie. Z

łona dziewczyny wciąż sączyło się sporo krwi. Jej oddech był płytki, a puls słaby. Trzeba będzie sprowadzić pomoc.

Wstałam i położyłam dziecko na łóżku, ale kiedy spojrzałam na tę małą kruszynę, zobaczyłam, że jest sina. Właściwie fioletowa. Maleńkie usteczka zaprzestały poszukiwań sutka, śliczna buzia lalki zasypiała. Poczułam, jak strumienie na moich plecach zaczynają płakać. Każda ich kropla wypływała gdzieś z głębi mnie. Mówiły mi, że dziecko umiera.

Podniosłam dziewczynkę, otulając jej małe ciało w długie fałdy mej białej sukni, takiej samej, jaką nosiła Nan, jakby w niebie mieli tylko jednego krawca. Dziewczynka była żałośnie chuda. Ważyła nieco ponad dwa kilogramy. Małe rączki, zaciśnięte w piąstki przy klatce piersiowej, zaczęły się rozluźniać, jak płatki otwierającego się kwiatu. Nachyliłam się i przytknęłam usta do jej ust, wydychając mocno powietrze. Raz. Dwa. Mały brzusek napęczniał jak nadmuchiwany materacyk. Przycisnęłam ucho do klatki piersiowej dziecka i leciutko je poklepałam. Nic.

Spróbowałam jeszcze raz. Raz. Dwa. Trzy razy. A potem pojawiło się przeczucie. Instykt. Wskazówka. *Położ rękę na jej sercu.*

Podniosłam dziecko i położyłam je sobie na przedramieniu, rozkładając dłoń na jego klatce piersiowej. I w cudowny sposób poczułam, jak małe serduszko powoli zaczyna bić, tak jakby znajdowało się w mojej piersi. Zacinając się i chwilami słabnąc, tłukło się jak charczący silnik, jak łódź, która rozbija uderzające w nią fale. Z mojej dłoni zaczęło promieniować słabe światło. Nie dowierzałam własnym oczom. W ciemnej pomarańczowej mgielce tego obskurnego pokoju pomiędzy moją rękę a pierś dziecka wcisnęło się białe światełko.

Serce dziewczynki wierciło się, jakby właśnie miało się obudzić. Zaciśnęłam powieki i pomyślałam o wszystkich dobrych i złych uczynkach w swoim życiu. Wzbudziłam w sobie żal za grzechy. To był rodzaj modlitwy mającej zakwalifikować mnie do roli Anioła Stróża, którego to dziecko teraz potrzebowało, uczynić mnie godną zadania polegającego na przywróceniu go do życia wszelkimi siłami, jakie były mi dostępne.

Światełko świeciło coraz mocniej, aż wydawało się, że wypełnia cały pokój. Małe serduszko przypominało cielątko, które biegnie przez pastwisko, potykając się o własne drżące nogi. A potem poczułam jego bicie w swojej piersi. Łomotało z wielką siłą, tak głośno, że musiałam się roześmiać. Kiedy spojrzałam na dziecko, zobaczyłam, że maleńka klatka piersiowa podnosi się i opada, wargi zaś z powrotem nabierają różowego koloru, marszcząc się przy każdym oddechu.

Światelko przygasało. Owinęłam dziewczynkę w prześcieradło i położyłam na łóżku. Matka leżała w kałuży krwi, która zabarwiła na różowo jej jasne włosy i pomazała białe policzki. Jeszcze raz spróbowałam sztuczki z ręką. Szukałam odgłosu bicia serca pomiędzy jej rozkołysanymi piersiami. Nic. Zamknęłam oczy i spróbowałam zaświecić światelko siłą woli. Nic. Jej pierś była zimna. Dziewczynka zaczęła popłakiwać. Jest głodna, pomyślałam. Podniosłam koszulkę matki i przez chwilę przytrzymałam dziecko przy jej piersi, a ono piło i piło, wciąż z zamkniętymi oczami, przechyliwszy głowę w kierunku brodawki.

Po kilku minutach z powrotem położyłam niemowlę na łóżku. Szybko przytknęłam dłoń do piersi matki. Nic. No, dalej! Wrzasnęłam. Przyłożyłam usta do jej ust i zaczęłam wdmuchiwać powietrze, ale mój oddech napompował tylko jej policzki i, niewykorzystany, wysliznął się z pustych ust.

- Zostaw ją - usłyszałam.

Odwrociłam się. Przy oknie stała jeszcze jedna kobieta. Też w bieli. To chyba jakaś miejscowa moda.

- Zostaw ją - powtórzyła, tym razem łagodniej.

Była aniołem. Z wyglądu przypominała martwą narkomankę leżącą na podłodze. Te same gęste blond włosy, te same pełne usta. Może to jakaś krewna, pomyślałam. Przyszła zabrać ją do domu.

Bez wysiłku podniosła zmarłą z podłogi i z jej bezwładnym ciałem na rękach ruszyła w kierunku drzwi. Jednak kiedy znowu spojrzałam na podłogę, kobieta wciąż tam leżała. Anioł popatrzył z uśmiechem na mnie, potem na niemowlę.

- Ma na imię Margot - powiedział. - Opiekuj się nią.

- Ale... - wyjąkałam tylko, choć w mojej głowie kłębiły się setki pytań.

Kiedy podniosłam wzrok, anioła już nie było.

Rozdział 2

PLAN

Pierwszą rzeczą, do której musiałam się przyzwyczaić, było to, że nie mam skrzydeł. A przynajmniej skrzydeł porośniętych piórami.

Jak się okazuje, dopiero około czwartego wieku artyści zaczęli malować anioły ze skrzydłami, a właściwie z długimi, opływowymi formami opadającymi z ich ramion w kierunku stóp.

To nie są pióra, tylko woda.

Powstające na przestrzeni wieków liczne wizerunki aniołów złożyły się na wyobrażenie o nich jako istotach podobnych do ptaków, potrafiących latać pomiędzy światem Boga i śmiertelników. Jeśli jednak chodzi o anielskie skrzydła, relacje świadków czasami się różniły. W szesnastym wieku pewien Meksykanin napisał w swoim dzienniku o *dos rios*, czyli dwóch rzekach. Gdy umarł, rodzina cichcem spaliła jego wspomnienia. Inny człowiek - tym razem było to w Serbii - opowiadał o swoim anielskim gościu, z którego ramion spływały kaskadami dwa wodospady. W Nigerii pewna dziewczynka malowała obrazki przedstawiające pięknego niebiańskiego posłańca, który w miejscu skrzydeł miał potoki wody zasilającej wieczną rzekę przed tronem Boga. Rodzice byli bardzo dumni z bujnej wyobraźni dziecka.

Dziewczynka знаła się na rzeczy. Nie wiedziała jednak, że strumienie wypływające z szóstego kręgu anielskiego kręgosłupa w kierunku kości krzyżowej tworzą połączenie lub, jeśli wolicie, rodzaj pępowiny, którą duch jest związany ze swoją Istotą Chronioną. W tych „wodnych skrzydłach” zachodzi transkrypcja wszystkich myśli i działań, tak jakby anioł je notował. To lepsze niż monitoring albo kamera internetowa. Zamiast zwykłych słów czy obrazów - nasycony przeżyciami płyn, który niesie z sobą zapis dowolnie wybranej chwili. Na przykład uczucie pierwszego zakochania, które przez sieć zapachów, wspomnień i reakcji chemicznych kojarzy się z porzuceniem dzieciństwa. I tak dalej. W anielskich skrzydłach kryje się rodzaj dziennika. Są jak szósty zmysł, który dostarcza wskazówek i wiedzy o wszystkim, co żyje. Tym, którzy są gotowi słuchać.

Drugą rzeczą, do której musiałam przywyknąć, była myśl o ponownym przeżyciu swojego życia jako jego cichy świadek.

Będę szczerą. Żyłam pełnią życia, ale nie było to dobre życie. Możecie więc sobie wyobrazić, jak się poczułam na myśl o tym, że miałabym przejść przez nie ponownie.

Uznałam, że to rodzaj kary albo zawoalowana forma czyśca. Kto lubi oglądać siebie na ekranie? Kto się nie wzdryga na dźwięk własnego głosu w powitaniu poczty głosowej? Wyobraźcie sobie podobne uczucie o natężeniu podniesionym do potęgi entej, a otrzymacie rezultat zbliżony do tego, czego ja doświadczam.

Lustro, film wideo, odlew gipsowy - oglądanie ich jest niczym w porównaniu ze stanem twarzą w twarz z sobą z krwi i kości, szczególnie jeśli jest się na najlepszej drodze do spaprzenia sobie całego życia.

Cały czas widziałam inne anioły. Rzadko się porozumiewaliśmy, nie byliśmy kumplami ani przyjaciółmi, nie mieliśmy poczucia, że jedziemy na tym samym wózku. Na ogół uważałam ich za ponure, powściągliwe istoty, a może raczej nudnych sztywniaków. Wszyscy obserwowali swoje Istoty Chronione w takim skupieniu, jakby właśnie chwiejnym krokiem spacerowały po krawędzi dachu Empire State Building. Znowu poczułam się tak jak kiedyś, za szkolnych czasów - jakbym była jedyną dziewczyną w spódnicy, podczas gdy reszta koleżanek ma na sobie spodnie. Albo nastolatką, która ufarbowała sobie włosy na różowo dwadzieścia lat wcześniej, niż uznano to za odlotowe. Można mnie było przyrównać do Syzyfa - wróciłam do punktu, w którym tkwiłam od zawsze, zastanawiając się, gdzie jestem, d l a c z e g o tam jestem i jak mogę się stamtąd wydostać.

Kiedy niemowlę znowu zaczęło oddychać, kiedy Margot znowu zaczęła oddychać, wybiegłam z mieszkania i kopniakiem zbudziłam pijaka zwiniętego w kłębek u podnóża schodów. Gdy się ocknął, okazało się, że jest o wiele młodszy, niż wcześniej sądziłam. Nazywał się Michael Allen Dwyer, niedawno skończył dwadzieścia jeden lat. Student chemii na Uniwersytecie Queens (j e s z c z e student - jego oceny ledwo pozwalały mu zaliczyć semestr). Mówili na niego Mick. Te wszystkie informacje dotarły do mnie w chwili, gdy moja stopa dotknęła jego ramienia. Nie wiem, dlaczego to się nie udało w wypadku dziewczyny, która kilka minut wcześniej umarła. Może gdybym cokolwiek o niej wiedziała, zdołałabym uratować jej życie.

Zmusiłam Micka, żeby wstał, a potem powiedziałam mu do ucha, że w mieszkaniu numer cztery umarła dziewczyna i że jest tam również niemowlę. Powoli odwrócił się w stronę półpiętra, pokręcił głową i przeczesał rękami włosy, jakby chciał strząsnąć z siebie mój szept. Spróbowałam jeszcze raz. *Mieszkanie numer cztery, kretynie. Dziewczyna nie żyje. Niemowlę. Potrzebuje pomocy. Natychmiast.* Zastygł w bezruchu, a ja wstrzymałam oddech. Słyszysz mnie? Mówiłam dalej. *Tak, tak, o to mi właśnie chodzi, idź.* Powietrze wokół niego

zmieniło się, tak jakby moje słowa oczyściły wąską przestrzeń pomiędzy nim a polem grawitacyjnym, przenikając do komórek jego krwi, budząc jego instynkt.

Postawił stopę na pierwszym stopniu, usiłując przypomnieć sobie, dokąd idzie. Kiedy zrobił ostatnie dwa kroki, zobaczyłam neurony i komórki glejowe w jego głowie. Przypominały małe błyskawice, może trochę spowolnione przez alkohol, jednak mimo to z ich połączeń synaptycznych dobiegał wyraźny trzask.

Potem wystarczyło już tylko pozwolić, by jego ciekawość wzięła górę. Czarne drzwi były otwarte na oścież (moja zasługa). Niemowlę (To przecież niemożliwe? Ono nie może być mną...) płakało teraz żalonym, wibrującym głosem, jak kociątko przed utopieniem w beczce wody. Ten dźwięk przykuł uwagę Micka i otrzeźwił go jak wymierzony mu policzek.

Patrzyłam, jak próbuje ocucić matkę. Staralam się go powstrzymać, jednak on z uporem maniaka tracił czas, rozcierając jej dłonie i krzycząc jej w twarz. Minęło dobre pół godziny, zanim przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić po pogotowie. Wtedy zrozumiałam. Byli kochankami. To jego dziecko. To mój ojciec.

W tym miejscu niezbędne jest pewne wyjaśnienie. Nie znałam swoich rodziców. Powiedziano mi, że zginęli w wypadku samochodowym, kiedy byłam bardzo mała, i że wszyscy ci, którzy zajmowali się mną przez kilkanaście lat, może i byli ludźmi z marginesu, niemniej jednak to właśnie dzięki nim udało mi się przeżyć. Choć nie było to łatwe.

Nie wiedziałam, co teraz się stanie ani jak mogłabym wpłynąć na swój los. Jeśli mój ojciec żyje i ma się dobrze, to dlaczego tak marnie skończyłam?

Usiadłam na łóżku obok niemowlęcia, obserwując młodego mężczyznę szlochającego nad ciałem zmarłej dziewczyny.

Spróbuję jeszcze raz. Usiadłam na łóżku obok samej siebie, obserwując ojca szlochającego nad ciałem mojej zmarłej matki.

Od czasu do czasu wstawał, walił pięścią w jakiś kruchy przedmiot, kopał strzykawki i wreszcie w napadzie szału wyrzucił zawartość szuflad komody.

Później dowiedziałam się, że kilka godzin wcześniej się pokłócili. On wybiegł z mieszkania i spadł ze schodów zaraz po tym, jak ona powiedziała, że to koniec. Ale mówiła to już wcześniej.

Wreszcie ktoś wezwał policję. Jakiś starszy policjant chwycił Micka za ramię i wyprowadził na zewnątrz. Był to komisarz Hinds, któremu żona Francuzka tego samego ranka wręczyła pozew rozwodowy. Przyczyniły się do tego pieniądze postawione na konia, który zawadził o przeszkodę przy ostatnim skoku, oraz ciągle pusty pokój dziecinny. Pomimo

kiepskiego nastroju, w jakim się znajdował, komisarzowi było żal Micka. Na korytarzu wywiązała się dyskusja, czy powinni go skuć, czy też nie.

To oczywiste, że dziewczyna brała narkotyki, argumentował Hinds w rozmowie z partnerem. Nie ma wątpliwości, że zmarła przy porodzie. Partner - kobieta - nalegał, aby trzymać się przepisów. To oznaczało dobrą godzinę przesłuchania. Żadnych luk w papierkowej robocie, dzięki czemu nie narażają się na postępowanie dyscyplinarne.

Papierkowa robota. To z powodu papierkowej roboty rozdzielono mnie z ojcem. To z powodu papierkowej roboty moje życie rozpoczęło się tak, a nie inaczej.

Komisarz Hinds zamknął oczy i przycisnął palcami łuki brwiowe. Podeszłam bliżej, żeby wyrzeszczyć mu, kim jestem, że Mick jest moim ojcem i że musi zabrać swoje dziecko do szpitala. Lecz cała moja tyrada była bezcelowa. Teraz rozumiałam różnicę między Mickiem i komisarzem Hindsem, znałam powód, dla którego udało mi się dotrzeć do jednego, a nie udało do drugiego: w chwili gdy przemówiłam do Micka, w otaczającej go powłoce emocji, *ego* i wspomnień dało się zauważyć szczelinę, przez którą moje słowa mogły się przedostać, podobnie jak pęknięcia w ścianie pozwalają sączyć się do wnętrza budynku kroplom deszczu niesionym przez wiatr, a wilgoci przenikać przez kamień. Ale komisarz Hinds okazał się, że tak powiem, twardym orzechem do zgryzienia. Spotykałam się z podobnymi trudnościami raz za razem. Niektórzy ludzie mnie słyszeli, inni nie. Zwykle było to kwestią szczęścia.

Margot wydała głośny pisk. Komisarz Hinds otrząsnął się z zamyślenia i - zgodnie ze swoją rangą - zaczął wydawać polecenia.

- Dobra - warknął do kilku policjantów zebranych w korytarzu. - Ty - wskazał na pierwszego funkcjonariusza po prawej. - Zabierz chłopaka na komisariat, niech go przesłuchają. - Ty - wskazał na drugiego po prawej. - Wezwij karetkę, migiem.

Policjantka spojrzała na niego wyczekująco. Westchnął.

- Dzwon po koronera.

Sfrustrowana, zwymyślałam komisarza Hindsa i jego zespół, błagając ich jednocześnie, żeby nie aresztowali Micka. A potem krzyczałam z rozpacz, że nikt mnie nie słyszy, że nie żyję. Wreszcie pozostało mi jedynie patrzeć, jak zakładają Mickowi kajdanki i na zawsze rozdzielają go z Margot. Tuż obok wyświetlił się obraz późniejszych wydarzeń, jakby w tkaninie teraźniejszości powstało niewielkie rozdarcie, przez które obserwowałam, jak zwalniam go następnego ranka, jak jego ojciec odbiera go z aresztu, jak mijają dni, tygodnie i miesiące, a Mick coraz skuteczniej wypiera ze świadomości myśl o córce, aż w

końcu Margot jest już tylko porzuconym niemowlęciem bez imienia, karmionym przez rurkę w szpitalu w Ulsterze w plastikowym łóżeczku z tabliczką „Dziecko N. N.”.

Ale właśnie w tamtej chwili postanowiłam wprowadzić w życie swój plan. Jeśli Nan miała rację i rzeczywiście nic nie było przesądzone, byłam zdecydowana, że stanę na głowie, aby zapobiec tym wszystkim życiowym nieszczęściom, które mnie spotkały. Takim, jak chociażby braki w wykształceniu, fatalne wybory miłosne czy bagno biedy, w którym grzęzłam do czterdziestki. I dożywocie za morderstwo, które mój syn odsiadywał w chwili mojej śmierci. O, tak, to wszystko się zmieni.

Rozdział 3

NIEZIEMSKIE OKULARY

Jak się okazało, na oddziale dziecięcym szpitala w Ulsterze spędziłam około sześciu miesięcy, poznałam to po tym, że kiedy Margot została wypisana, umiała już samodzielnie siedzieć. Zaglądałam do sali noworodków, przyglądając się lekarzom, którzy badali maleńką, chorą na żółtaczkę Margot, otoczoną rurkami w inkubatorze.

Doktor Edwards, pediatra kardiolog prowadzący Margot, wielokrotnie twierdził, że dziewczynka nie przeżyje nocy. Wielokrotnie sięgałam ręką do inkubatora i kładłam dłoń na jej sercu, sprowadzając ją z powrotem na ziemię.

Teraz mogę się przyznać: owszem, przeszło mi przez głowę, że może powinnam po prostu pozwolić jej umrzeć. Wiedząc to, co ja wiedziałam na temat dzieciństwa Margot, niełatwo było z optymizmem spojrzeć w przyszłość. Ale potem pomyślałam o dobrych czasach. Poranna kawa z Tobym na naszym skrzypiącym balkonie w Nowym Jorku. Pisywanie kiepskich wierszy na Bondi Beach w Sydney. Wreszcie założenie własnej firmy czy współpraca z K. P. Lanesem. I pomyślałam: Dobra, brzdącu, do dzieła. Przeżyjemy.

Nadszedł dla mnie czas odkryć.

Odkrycie pierwsze: obserwowanie, ochranianie Margot, rejestrowanie jej życia i darzenie jej miłością oznaczało, że prawie jej nie odstępowałam. Raz czy dwa przyszło mi do głowy, że trochę sobie pozwiedzam: poznam ciekawe miejsca, zafunduję sobie urlop w jakimś ciepłym zakątku. Okazało się jednak, że nie potrafiłam opuścić szpitala. Moja więź z Margot nie wynikała wyłącznie z tego, że ona była mną. To był rodzaj poczucia obowiązku, jakiego nie doświadczyłam przez całe swoje ziemskie życie - nawet jako żona i matka.

Odkrycie drugie: postrzegałam wszystko inaczej. Najpierw miałam wrażenie, że ślepnę. Ale potem wszystko wróciło do normy: czajnik znowu był czajnikiem, fortepian był drewniany, miał białe i czarne klawisze - i tak dalej. Stopniowo jednak czułam się tak, jakbym patrzyła na świat przez jakieś nieziemskie okulary. Doktor Edwards raz stawał się sobowtórem Cary'ego Granta, a raz zamieniał się w kolorowego manekina otoczonego smugami psychodelicznego światła, które wydostawało się z jego serca i jak hula-hoop biegło w górę, naokoło głowy, ramion, talii albo opadało w dół aż do stóp. Wyglądało to trochę jak obraz w podczerwieni, tylko że było o wiele dziwniejsze. Nie była to jedyna zmiana w moim

postrzeganiu: czasem moim oczom ukazywał się obraz przyszłych lub minionych wydarzeń, jakby rozgrywały się one w jakichś równoległych do teraźniejszości ramach czasowych (do tego jeszcze wrócę), a czasem mój wzrok prześwietlał wszystko jak promienie rentgena, tak że przez ścianę mogłam zajrzeć do sąsiedniego pokoju. Widziałam przedmioty jak przez ogromne szkło powiększające. Pewnego razu zobaczyłam płuca doktora Edwardsa - pełne czarnych grudek substancji smolistych, będących skutkiem jego zamięłowania do cygar - ale najdziwniej poczułam się, kiedy ujrzałam dziecko siostry Harrison poczęte tego samego ranka: wyglądało jak tocząca się w jej jajowodzie zgnieciona piłeczka pingpongowa, która wpadła do aksamitnej komnaty jej łona niczym kamień do stawu. Byłam tym tak zafascynowana, że poszłam za siostrą Harrison aż na szpitalny parking. Wróciłam dopiero wtedy, gdy w ponurej sali szpitalnej rozległ się niemowlęcy krzyk.

Odkrycie trzecie i najważniejsze: zupełnie nie mam poczucia czasu ani zegara biologicznego, dzięki któremu wiedziałabym, czy jest dzień czy noc. Nie potrafię powiedzieć, kiedy przypada Boże Narodzenie. Można opisać to tak: widzę czas, lecz nie stanowi on dla mnie ciągu linearnie biegnących, uporządkowanych sekwencji, których rytm wyznacza zegar. Spójrzcie na to w ten sposób - kiedy patrzycie na deszcz, widzicie małe srebrne kropelki wody, prawda? Czasem ulewa przybiera postać grubego wodnego płaszcza spływającego po okiennej szybie. Kiedy ja patrzę na deszcz, widzę biliony atomów wodoru zgrzytające o swoich tlenowych sąsiadów. Przypominają wirujące na kuchennym blacie małe białe talerzyki wśród szarych guzików. Podobnie jest z czasem. Stał się dla mnie dziełem sztuki utworzonym z atomów, dziur wydrążonych przez korniki albo z cząsteczek światła. Wślizguję się w czas, tak jak zakłada się koszulę albo wciska guzik w windzie, żeby znaleźć się na dwudziestym piątym piętrze. Wokół siebie, jak w otwartych oknach, widzę jednocześnie przeszłość i przyszłość. To tak jakby widzieć coś, co właśnie się dzieje za rogiem ulicy.

Nie istnieję w czasie. Goszczę w nim.

Nietrudno sobie wyobrazić, że to może stanowić istotną przeszkodę dla mojego planu. Skoro nie tkwię w strumieniu czasu, jak mogę zmienić życie Margot?

Podczas pobytu Margot w szpitalu wciąż zastanawiałam się, jak wpłynę na jej przyszłość. Mogłam szeptać jej do ucha odpowiedzi na pytania, kiedy będzie zdawać egzaminy, mogłam wrzeszczeć, żeby trzymała się z daleka od węglowodanów złożonych i cukru, albo wzbudzić w niej głęboką wewnętrzną potrzebę trenowania lekkoatletyki. Koniecznie musiałam też zrobić z niej finansowego geniusza. Ten ostatni cel był najważniejszy. Dlaczego? Wiercie mi, bieda to nie tylko głód. Bieda oznacza, że wszystkie życiowe szanse umykają wam sprzed nosa.

Powiedziałam sobie: Może t o jest powód, dla którego powróciłam jako swój Anioł Stróż - nie tylko po to, żeby, jak to ujęła Nan, zobaczyć układankę w całości, ale żeby móc niepostrzeżenie przesuwać jej fragmenty, tak aby wyłonił się nowy obraz, w którego ramy powróci wolność w y b o r u. Z mojego punktu widzenia pieniądze odgrywały kluczową rolę w osiągnięciu tego celu.

Rozdział 4

ZRZĄDZENIE LOSU

Rodzice zastępczy, którzy odebrali Margot ze szpitala, byli bardzo przyzwoitymi ludźmi. Przyzwoitymi w ten biało-koszulowy i jedwabno-sukienkowy sposób. W każdy inny również.

Natychmiast dowiedziałam się, że przez czternaście lat bezskutecznie starali się o dziecko. Mężczyzna, adwokat o imieniu Ben, włókł się korytarzem z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie. Życie nauczyło go, że najlepiej spodziewać się najgorszego, by potem ewentualnie dać się mile zaskoczyć. Do mnie to przemawiało. Jego żona - bardzo niska, bardzo gruba kobieta o imieniu Una - dreptała u jego boku szybkimi małymi kroczkami. Trzymała go pod ramię, a wolną ręką pocierała zawieszony na szyi złoty krzyżyk. Oboje wyglądali tak, jakby się bardzo martwili. Najwyraźniej doktor Edwards nie przedstawił im stanu zdrowia Margot w zbyt różowych barwach.

Kiedy przyszli, siedziałam w dzieciennym łóżeczku z nogami zwieszonymi między zielonymi zimnymi metalowymi szczebelkami. Margot śmiała się z min, które robiłam. Już wtedy chichotała w ten swój nieprzyzwoity sposób, odrzucając do tyłu głowę. Jej cienkie niesforne blond włosy miały dokładnie ten odcień, który całe życie próbowałam uzyskać za pomocą farb do włosów.

Okrągłe niebieskie oczy miały ostatecznie nabrać szarej barwy. W jej różowych dziąsłkach właśnie wyrznęły się dwa małe ząbki. Od czasu do czasu zauważałam w jej twarzy podobieństwo do rodziców: silną szczękę Micka i pełne usta matki.

Una, przyszła przybrana matka, klepnęła się dłonią w pierś i westchnęła.

- Jaka piękna! - odwróciła się do doktora Edwardsa, który stał za nimi z założonymi rękami, z powagą przedsiębiorcy pogrzebowego. - Wygląda tak zdrowo!

Una i Ben wymienili spojrzenia. Ramiona Bena, dotąd uniesione w napięciu na wysokość uszu, gwałtownie opadły. Oboje zaczęli się śmiać. Uwielbiam patrzeć na coś, co stanowi fundament czyjegoś szczęśliwego małżeństwa. To zachwycające. Dla Uny i Bena był nim śmiech.

- Chcieliby państwo wziąć ją na ręce? - doktor Edwards podniósł Margot z moich kolan.

Przestała szczyrzyć zębki w uśmiechu i zaczęła marudzić, więc przysunęłam palec do ust i zrobiłam kolejną minę. Zachichotała.

Una trąkotała w zachwycie nad Margot. Wreszcie dziewczynka spojrzała na nią i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Dalsze zachwyty. Ben ujął niepewnie małą pulchną rączkę i zaczął naśladować gdakanie. Roześmiałam się, a Margot razem ze mną.

Doktor Edwards potarł ręką twarz. Oglądał takie sceny zbyt często. Głęboka niechęć do brania na siebie odpowiedzialności sprawiała, że wołał wylać na ludzi kubel zimnej wody, niż narazić się w przyszłości na jakiegokolwiek zarzuty z ich strony.

Dlatego powiedział:

- Nie dożyje trzecich urodzin.

Una była zdruzgotana.

- Dlaczego?

- Jej serce nie rozwija się prawidłowo. Nie potrafi dostarczyć krwi do wszystkich organów. To spowoduje częściowe niedotlenienie mózgu. A wtedy Margot umrze - westchnął. - Nie zniósłbym, gdyby państwo mieli pretensje o to, że tego nie powiedziałem.

Ben spuścił wzrok i pokręcił głową. Potwierdzały się jego najgorsze obawy. „Ben i Una byli przekłęci od dnia, w którym wzięli ślub”, myślał. Tak wiele razy patrzył na łzy swojej żony. Tyle razy jemu samemu chciało się płakać. Z każdym rozczarowaniem był o krok bliżej prawdy: życie człowieka przepełnione jest okrucieństwem, a kończy się trumną i robalami.

Za to Unę cechowała wrodzona skłonność do optymizmu.

- Ale... skąd ta pewność? - wyrzuciła z siebie. - Czy nie ma żadnej szansy, że jej serce się wzmocni? Czytałam o dzieciach, które rozwijały się doskonale pomimo przeróżnych chorób, kiedy już znalazły szczęśliwy dom...

Wstałam. Odwaga pobudza mnie do działania. Zawsze tak było. Tę cechę najbardziej też lubiłam u Toby'ego.

- Nie, nie, nie, nie - powiedział trochę chłodno doktor Edwards. - Zapewniam państwa, że w tym wypadku nie może być mowy o pomyłce. Częstoskurcz komorowy to bardzo poważne schorzenie i, jak już mówiłem, w zasadzie nieuleczalne...

- Ma, ma, ma - powiedziała Margot.

Una westchnęła i pisnęła z zachwyty.

- Słyszałeś? Powiedziała do mnie „mama”!

Doktor Edwards nie zdążył jeszcze zamknąć ust.

- Powiedz jeszcze „mama” - szepnęłam do Margot.

- Ma, ma, ma - powtórzyła i zachichotała.

Cóż mogę dodać? Byłam uroczym dzieckiem.

Una śmiała się, unosząc w górę trzymaną w ramionach Margot, a potem odwróciła się do doktora Edwardsa plecami.

Ja oczywiście widziałam już serce Margot. Było mniej więcej wielkości śliwki i od czasu do czasu się zacinało. Zdawałam sobie sprawę, że coś z nim jest nie w porządku. Ale z drugiej strony nie mogłam sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek miała kłopoty z sercem, w odróżnieniu od licznych kłopotów sercowych spowodowanych szeregiem nieodwzajemnionych miłości, których doświadczałam jako nastolatka. Najwyraźniej schorzenie nie było aż tak poważne, jak starał się je przedstawić doktor Edwards.

- Będzie żyła - wyszeptałam do ucha Uny.

Zamarła na chwilę zszokowana, jak gdyby gdzieś na zakręcie wszechświata życzenie z głębi jej duszy właśnie się urzeczywistniło. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

Wtedy zobaczyłam Anioła Stróża Uny. Za jej plecami pojawił się wysoki czarnoskóry mężczyzna i otoczył ją ramionami, przyciskając policzek do jej policzka. Zamknęła oczy, a wokół niej na chwilę zalśniło jasne światło. To było piękne. Promień nadziei. Widziałam go pierwszy raz, odkąd znalazłyśmy się w szpitalu. Anioł zerknął na mnie i puścił oko. I zniknął.

Potem były już tylko formularze. Proszę podpisać tutaj, proszę podpisać tam. Doktor Edwards wypisał plik recept i ustalił dla Margot kilka terminów badań. Zobaczyłam, jak z Bena uchodzi energia - ostatniej nocy nie zmrużył oka. Una kiwała wprawdzie głową, przytakiwała i wydawała różne „uhm”, lecz nie słyszała nic z tego, co do niej mówiono, dlatego sama wołałam słuchać. Kiedy doszliśmy do terminów, dałam Unie kuksańca:

- Lepiej to sobie zapisz, kochanie.

*

Margot zawdzięcza swoje imię siostrze Harrison, która niechętnie wydusiła je z siebie po długiej dyskusji doktora Edwardsa z zespołem pielęgniarek. Wszyscy siedzieli w pokoju socjalnym, a siostra Murphy zaproponowała dla mnie imię „Grainne”, które nigdy mi się nie podobało. To, *mais oui*, ja we własnej osobie podsunęłam „Margot” siostrze Harrison. Przyparta do muru, wyjaśniła, że to na cześć baletnicy Margot Fonteyn. W trakcie zebrania dowiedziałam się, że moja biologiczna matka nosiła nazwisko Delacroix, a na imię miała Zola.

Ben i Una mieszkali w jednej z najbogatszych dzielnic Belfastu, nieopodal uczelni. Ben dużo pracował w domu. Poddasze tego trzypiętrowego wiktoriańskiego budynku

zajmował gabinet znajdujący się bezpośrednio nad pokojem dziecięcym, pełnym zabawek we wszystkich wzorach i kolorach.

A jednak odkąd zamieszkałam u Bena i Uny, nie mogłam uwolnić się od złych przeczuć. Coś wisiało w powietrzu. Nie zapamiętałam swoich przybranych rodziców i nie zdawałam sobie sprawy, że to właśnie ci ludzie odegrali kiedyś tak ważną rolę w moim życiu. Ozdobne, ręcznie rzeźbione mahoniowe łóżeczko w pokoju dziecięcym rzadko było używane. W ciągu dnia Una nosiła Margot na biodrze, a nocą tuliła ją do piersi - dziewczynka sypiała jak wsunięta między Unę i Bena ciepła grzanka.

Sporo rozmawiali o adopcji, do której z całego serca ich zachęcałam. Zawsze kiedy Bena ogarniał strach („A co, jeśli ona u m r z e?”), laskotałam Margot, aż śmiała się do rozpuku, albo brałam ją za rączki, gdy próbowała zrobić pierwszy krok. Una była w niej zakochana. Ja też pokochałam tę cudowną, pełną macierzyńskiego ciepła kobietę. Reprezentowała ten rodzaj matek, którego za życia nigdy nie rozumiałam: z radością wstawała codziennie przed świtem, godzinami potrafiła wpatrywać się z uśmiechem w Margot śpiącą w jej ramionach. Złote światło wokół niej świeciło czasem tak jasno, że, musiałam odwracać wzrok.

Ale potem pojawiło się inne światło. Niepostrzeżenie, jak wąż zakradający się tylnymi drzwiami, pewnego popołudnia otoczyło swoją matową, spizową barwą Unę i Bena, którzy świętowali przy stole w jadalni pierwsze urodziny Margot. Siedzieli wokół różowo polukrowanej babeczki z jedną świeczką i nowych zabawek zapakowanych jeszcze w ozdobny papier. Światło, które właściwie bardziej przypominało cień, sprawiało wrażenie inteligentnego, jakby było żywe. Wyczuło moją obecność i odskoczyło, kiedy zasłoniłam sobą Margot, a potem powoli podpełzło do Uny i Bena. Na chwilę pojawił się Anioł Stróż Uny. Jednak zamiast zatrzymać światło, odsunął się. Tymczasem ono owinęło się jak bluszcz wokół nogi Bena, a potem zgasło i rozsypało się w ciemny pył.

Chodziłam wściekła po pokoju. Czułam, że zadanie, które mi powierzono, mnie przerasta. Jak mogę kogokolwiek ochraniać, skoro nikt mi nie powiedział, że na świecie istnieją takie rzeczy?

Ben i Una, niczego nieświadomi, kontynuowali urodzinowe przyjęcie. Zeszli z Margot do ogrodu na tyłach domu, gdzie Ben uwiecznił polaroidem jej pierwsze kroki.

Zaczęłam myśleć, że może jednak Ben ma rację. Że jeśli coś tak dobrze idzie, musi to być cisza przed burzą.

Krażyłam po pokoju całe popołudnie, aż w końcu się rozplakałam. Nazbyt dobrze pamiętałam dzieciństwo Margot, jednak poznanie możliwej alternatywy dla tamtego pasma

przemocy było po stokroć bardziej przytłaczające niż sama perspektywa przeżycia go ponownie. Postanowiłam, że muszę coś zrobić. Gdyby Ben i Una zaadoptowali Margot, wychowywałyby się w domu pełnym miłości. Wyrosłaby na osobę znacznie lepiej przystosowaną do życia i zapewne mniej skłoną do autodestrukcji. Chrzanić bogactwa. W tamtej chwili oddałabym swoją nieśmiertelną duszę za to, aby Margot mogła dorastać w przekonaniu, że zasługuje na miłość.

Jakiś czas później pojawiła się Nandita. Powiedziała jej o wszystkim - o narodzinach Margot, pobycie w szpitalu, o wężu ciemnego światła. Pokiwała głową i w zamyśleniu złożyła dłonie.

- Światło, które widziałas, to zrządzenie losu - wyjaśniła. - Sądząc po jego kolorze, pojawiło się, ponieważ ktoś komuś źle życzy.

Poprosiłam, żeby mówiła dalej.

- Każde zrządzenie losu jest wynikiem dokonanego przez człowieka wyboru. W tym wypadku wygląda na to, że ten wybór był zły.

Irytowało mnie, że dotąd nie widziałam Anioła Stróża Bena. Nandita i na to miała odpowiedź.

- Poczekaj - uspokajała mnie. - Wkrótce zobaczysz w s z y s t k o.

- Co mam zrobić z tym z r z ą d z e n i e m l o s u? - zapytałam z niechęcią. Wydawało mi się to strasznie pretensjonalne.

- Nic - odparła Nan. - Twoja rola polega na tym, żeby...

- ...chronić Margot. Tak, wiem. Próbuję. Ale jak mam sobie z tym poradzić, nie wiedząc, co oznacza to światło?

Dowiedziałam się, czym jest zrządzenie losu na krótko przed tym, jak to się stało.

Ben jak zwykle pracował w domu, podczas gdy Margot spała. Dochodzący z kuchni na parterze zapach pieczonego chleba zwabił go na dół, co umożliwiło mi spokojne przejrzanie dokumentów procesowych, nad którymi pracował. Zawierały oskarżenie o morderstwo i terroryzm. Nazwisko terrorysty otaczał niewielki krąg cienia.

Nie jestem głupia. Zrozumiałam w jednej chwili.

Nie zamierzałam stać z założonymi rękami, przyglądając się temu, co się wydarzy - nawet jeśli było to wynikiem ludzkiego wyboru. Kiedy cień zakradł się znowu, tym razem oplatając ukradkiem Bena i Unę, którzy obejmowali się w kuchni, gwałtownie tupnęłam nogą. To coś świetnie wiedziało, że tam jestem, ale tym razem się nie cofnęło. Teraz było silniejsze, przybrało kolor nieba przed deszczem, a w dotyku przypominało ogrodowego węża. I

cokolwiek robiłam, nie potrafiłam sprawić, żeby zniknęło. Nie pomagał mój krzyk. Ani to, że całym ciałem rzucałam się na cień, pragnąc, by zniknął.

Dopiero po kilku miesiącach Una dała się namówić na wyjście z domu bez Margot. Ben przekonał żonę, że powinni jakoś uczcić zgodę na adopcję, którą wkrótce spodziewali się otrzymać. Lily, dobroduszna starsza pani z naprzeciwka, na kilka godzin zabrała Margot do siebie, aby Una i Ben mogli wyjść na romantyczną kolację we dwoje.

Zobaczyłam, jak cień rozwija się za ich samochodem. Nie interesował się Margot, która, szczęśliwa, dreptała chwiejnym krokiem po kuchni Lily z drewnianą łyżką w jednej ręce i rozebraną lalką Barbie w drugiej, promieniejąc bladozłotym światłem Uny.

Kiedy w samochodzie wybuchła bomba, zobaczyłam, że to światło nieco przygasło, ale siłą woli zmusiłam je, by nadal świeciło. Jeśli to było wszystko, co nam zostało z miłości Uny, zadowolę się tym. Będę musiała.

Rozdział 5

UCHYLONE DRZWI

Muszę przyznać, że opieka nad Margot sprawiała mi o wiele więcej radości niż kiedyś wychowywanie mojego syna Theo. To nie jego wina. Po prostu pojawił się w takim momencie mojego życia, kiedy bardziej byłam oczarowana samą ideą macierzyństwa niż związaną z nim rzeczywistością. W moim wypadku skończyło się to dezorientacją, myślami samobójczymi i bezsennością na długo przed tym, zanim termin „depresja poporodowa” zaczął być stosowany i doczekał się społecznej akceptacji.

Po kilku dniach u Lily, której sąsiedzi, dowiedziawszy się o bombie, przynosili Margot podarunki, aby okazać jej swoje współczucie z powodu straty niedoszłych rodziców, zobaczyłam pracownicę opieki społecznej, która zjawiała się, żeby zabrać dziewczynkę do nowej rodziny zastępczej. Młoda kobieta o nazwisku Marion Trimble ze świeżo zdobytymi kwalifikacjami pracownika socjalnego cierpiała niestety na pełnoobjawową naiwność. Wychowanie pod kloszem przez kochających rodziców też może przynieść fatalne skutki. Łatwowierna Marion Trimble oddała Margot rodzicom zastępczym, których ciepłe uśmiechy były równie fałszywe jak ich intencje.

Padraig i Sally Teague mieszkali w pobliżu Cavehill w Belfaście, niedaleko zoo. Na tyłach ich małego domu stał wysmarowany graffiti opuszczony budynek, którego okna były zabite deskami, a ogród zasypany szkłem i śmieciami. Wysokie, od dawna nieprzycinane żywopłoty zasłaniały to miejsce od głównej ulicy. Nikt by nie przypuszczał, że może to być coś więcej niż tylko opuszczona ruderka. Nic bardziej mylnego.

Państwo Teague postanowili zostać rodzicami zastępczymi pewnego słonecznego ranka, kiedy Padraig dowiedział się z ogłoszenia w gazecie, że wzięcie dziecka wiąże się z przyzwoitym dochodem w wysokości dwudziestu pięciu funtów tygodniowo. Nie zapominajmy, że były to lata sześćdziesiąte i za niecały tysiąc funtów można było kupić dom. Po krótkich kalkulacjach Padraig stwierdził, że zgłaszając się jako rodzice zastępczy, zyskaliby spory zastrzyk gotówki dla swojego rozrastającego się biznesu związanego z nielegalną imigracją. Przewoźnicy żądali dwadzieścia pięć funtów za transport ciężarówką mężczyzn i kobiet z Europy Wschodniej, a znalezienie im wszystkim pracy niejednokrotnie wymagało wiele czasu. Kiedy imigranci mieli już pracę, Padraig i Sally przejmowali

dziewięćdziesiąt procent ich zarobków w zamian za „zakwaterowanie” w zrujnowanym budynku. W swej gorliwości służenia pomocą przybyszom, zanim ci nie staną na nogi, Pdraig i Sally upychali tych biedaków po dwadzieścioro w jednym pokoju. Imigranci mieszkali tak całymi miesiącami, stopniowo zajmując również obskurny dom Pdraiga i Sally.

W rezultacie Margot musiała dzielić pokój z trzema Polakami, elektrykami, którzy koczowali na podłodze o różnych porach dnia i nocy. Ciągłe palili papierosy, czasem pili wódkę. Żywili się zupami z torebek. Sally na ogół zapominała o Margot i zostawiała ją tam przez cały dzień - w niezmienniej pieluszcze i ubrankach, z ciągle pustym brzuszkiem.

Próbowałam coś robić, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Sally ani razu nie wyczuła mojej obecności, nigdy nie usłyszała, czego domagałam się w imieniu Margot, nie czuła policzków, które wymierzałam w jej bezmyślną twarz. Powodem było to - zresztą jeszcze do tego wróć - że, podobnie jak dom Sally wypełniali po krokwie nielegalni imigranci, tak ciało Sally zasiedlały wędrowne demony. To, co zostało z jej sumienia, zagłuszała codzienna dawka marihuany.

Szczęśliwie, jeden z przemieszkujących w dziecinnym pokoju Polaków od razu polubił Margot. Był to mężczyzna o imieniu Dobromir, który zostawił w Szczecinie swoją roczną córeczkę, aby szukać pracy za granicą. Pomogłam Dobromirowi znaleźć pracę w składzie materiałów budowlanych niedaleko portu, przekonałam go, żeby okłamał Pdraiga i Sally co do wysokości otrzymywanej pensji i, wreszcie, żeby kupił dla małej Margot mleko i jedzenie. Dziewczynka miała zmiany na skórze od mokrych pieluszek i złego odżywiania. Czasami wyjmowałam ją w nocy z łóżeczka i razem chodziliśmy po domu. Napędzałyśmy strachu Pdraigowi i Sally, natykającym się o trzeciej nad ranem na spacerującego szkraba, który chichotał nie wiadomo do kogo. Nieraz kusilo mnie, żeby obudzić ich przed świtem i podnieść Margot, by zobaczyli, jak unosi się nad łóżeczkiem. Doszłam jednak do wniosku, że lepiej nie ryzykować.

Pewnego dnia Dobromir zniknął. Nowi mieszkańcy dziecinnego pokoju szeptali coś o odkryciu paska wypłaty, ciele w bagażniku, wrzuconej do morza obciążonej walizce. Nowym mieszkańcom nie podobał się nocny płacz Margot, która tęskniła za Dobromirem. Właśnie zaczęła mnie ignorować i szukać ludzkiej czułości. Nowi współlokatorzy próbowali wyrzucić ją przez okno. Najpierw je zatrzasnęłam i zablokowałam. Kiedy stłukli szybę, zasłoniłam sobą okno, a potem sprawiłam, że wypuścili z rąk Margot. Ale nie zdołałam powstrzymać ich przed biciem jej, aż piękne niebieskie oczy Margot prawie zniknęły pod purpurową opuchlizną. Nie zdołałam zapobiec rzucaniu nią o ścianę, aż na jej głowce pojawiały się rany.

Powstrzymałam ich jednak przed zabiciem dziecka, osłabiając siłę uderzeń. Gorączkowo szukałam pomocy, lecz nigdy nie udało mi się do nikogo dotrzeć. Nikt mnie nie słyszał.

Trzecie urodziny Margot nadeszły i minęły. Jej włosy wciąż przypominały pierzastą chmurkę otaczającą buzię aniołka o brzoskwiniowych policzkach. Ale widać już było stopniowo ogarniającą ją twardość i pustkę. Złote światło, które otaczało ją przez wiele miesięcy po śmierci Uny, przygasło. Teraz ledwo się tliło wokół serduszka Margot.

W końcu zrozumiałam, że sama nie będę w stanie jej ochronić i muszę znaleźć pomoc.

Był wczesny ranek, kiedy mieszkańcy dziecinnego pokoju wrócili z nocnej zmiany odurzeni marihuaną. Postanowili się zabawić i zmusić Margot do zapalenia trawki. Wyrzałam przez okno. Mój wzrok przyciągnęło jasne błękitne światło poruszające się szybko ulicą. Kiedy przyjrzałam się dokładniej, rozpoznałam doktora Edwardsa w mokrym od potu podkoszulku do joggingu, granatowych szortach i sportowych butach. Biegł tak szybko, że zanim zdecydowałam się go dopaść, pokonał prawie trzydzieści metrów. Po raz pierwszy zdarzyło mi się zamknąć oczy i błagać Boga, aby pozwolił mi dotrzeć do czyjegoś umysłu. Nan powiedziała, że nic nie jest przesądzone, i podejrzewałam, że to, całkiem dosłownie, ostatnia szansa Margot. Jeśli teraz nie zadziałam, moje śmiertelne życie skończy się wcześniej, niż potrafię sięgnąć pamięcią. A drugiej szansy nie będzie.

Dokończyłam modlitwę i już biegłam obok doktora Edwardsa. Z naszych wcześniejszych spotkań wiedziałam, że będę musiała uporać się z jego zamiłowaniem do logiki. To człowiek, który za nic w świecie nie pozwoliłby sobie na kierowanie się przecuciem. Musiałam przedstawić mu historię Margot w sposób, który zainspiruje go do działania.

Biegając, myślałam gorączkowo, co zrobić, żeby doktor Edwards podszedł do drzwi domu, w którym mieszkała Margot, i zażądał, aby go wpuszczono. Niespodziewanie znalazłam się naprzeciwko niego. Stałam nieruchomo, podczas gdy on biegł w moim kierunku. Patrząc prosto na mnie.

- Czym mogę służyć? - zapytał i przystanął, dysząc ciężko.

Obejrzałam się za siebie. C z y o n m n i e w i d z i? W obawie, że stracę z nim kontakt, czym prędzej popatrzyłam mu w oczy i w jednej chwili upewniłam się, że mówi do mnie. Widziałam wypełniające go myśli i emocje, ale zamiast pęknięć, pojawiających się zwykle w sytuacjach, gdy ludzie pozwalali mi przeniknąć do swojej świadomości, zobaczyłam cienką strunę, która łącząc się w niespotykany sposób z moją aurą, sprowadzała nas do jednego wymiaru.

Szybko opanowałam zdumienie. Liczył się czas.

- W tamtym budynku jest dziecko - powiedziałam szybko, wskazując na dom Sally i Padraiga. - Raz już je pan uratował. Ono znowu potrzebuje pana pomocy.

Powoli odwrócił się i spojrzał na dom, który mu pokazałam. Zrobił krok w tamtą stronę, a potem drugi. Zauważyłam wyjeżdżający zza rogu radiowóz i rzuciłam się w jego kierunku. Doktor Edwards nie był superbohaterem, potrzebował wsparcia. Pobiełam do radiowozu, a kiedy kierowca przyspieszał, pochyliłam się nad maską i pociągnęłam za jakiś przewód. Udało się. Silnik zacharczał i zgasł. Obaj jadący samochodem policjanci zaraz z niego wysiedli.

Doktor Edwards był przerażony, kiedy zdał sobie sprawę, że osoba, która przed chwilą powierzyła mu informację o umierającym dziecku, rozplynęła się w powietrzu. Powoli jednak poszedł do wskazanego mu domu i zapukał do drzwi. Nikt mu nie otworzył. Rozejrzał się po ulicy, rozciągnął ścięgna stawów skokowych, a potem zapukał jeszcze raz. Skłoniłam jednego z policjantów, który próbował naprawić silnik radiowozu, aby zwrócił uwagę na doktora Edwardsa. Policjant - sierżant Mills - słyszał już kiedyś plotki o jakichś kłopotach związanych z tym domem, nic więc dziwnego, że skąpo odziany mężczyzna dobijający się bladym świtem do drzwi budynku wzbudził jego podejrzenia.

Kiedy sierżanci Mills i Bancroft zmierzali w kierunku domu Sally i Padraiga, drzwi uchyliły się. Na jakieś trzy centymetry.

Doktor Edwards cofnął się pod wpływem kwaśnego oddechu Padraiga wydobywającego się ze szpary.

- O, dzień dobry - przywitał się.

Podrapał się po głowie niepewny, co powiedzieć.

Padraig odchrząknął, gapiąc się na intruza. Doktor Edwards postanowił działać.

- Poinformowano mnie, że jest tutaj chore dziecko - powiedział. - Jestem doktor Edwards. - Wygrzebał z kieszeni swój szpitalny identyfikator.

Ani doktor, ani ja nie mieliśmy pojęcia, jak on się tam znalazł.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej.

- Chore dziecko? - powtórzył Padraig.

Padraig wiedział o dziecku. Że było chore, wydawało się bardziej niż prawdopodobne. Nie palił się, żeby wpuszczać do domu lekarza. Ale odmawiając, narażał się na kłopoty. Otworzył szerzej drzwi.

- Na górze. Trzecie drzwi na lewo. Tylko szybko.

Doktor Edwards pokiwał głową i wbiegł po schodach na górę. Natychmiast poczuł wdzierający się w nozdrza słodko-kwaśny smród potu i marihuany. Zza mijanych drzwi

dobiegły go szepty, wśród strzępów słów rozróżnił dwa lub trzy obce akcenty. Nie zatrzymywał się, dopóki nie dotarł do dzieciennego pokoju. Usłyszał szuranie ciężkich butów. I płacz dziecka.

Tymczasem przed domem byli już policjanci. Padraig zostawił otwarte na oścież drzwi, więc sierżant Mills zaproponował, żeby wejść do środka. Sierżant Bancroft miał na to nieco mniejszą ochotę niż kolega. Myśl o śniadaniu wydawała mu się o wiele bardziej pociągająca. Przekonywał Millsa, że muszą zgłosić awarię silnika, i zaczął zbierać się do odejścia.

Doktor Edwards otworzył drzwi dzieciennego pokoju. Weszłam za nim. To, co zobaczył, sprawiło, że głośno zaklął. Wśród kłębow dymu dojrzał małe umazane krwią dziecko przywiązane do krzesła, a tuż obok dwóch mężczyzn z fajką do palenia marihuany.

Głowa dziewczynki opadała bezwładnie na jej ramiona, tocząc się jak jajko po talerzyku.

Doktor Edwards, mężczyzna lubiący golfa i leniwe niedzielne popołudnia, błyskawicznie rzucił się w kierunku dziewczynki, rozpaczliwie próbując ją uwolnić. Jego wysiłki udaremnił cios uzbrojonej w sygnet ukraińskiej pięści wymierzony prosto w jego skroń.

- Co to było? - zapytał na dole sierżant Mills, wyciągając broń i przywierając plecami do drzwi.

Sierżant Bancroft westchnął. Niechętnie rozpiął kaburę. Był winien sierżantowi Millsowi pięć funtów. Innym razem postawiłby na swoim i poszedł na kornwalijskiego pieroga.

- Policja!

Minęło kilka sekund. Po ostrzeżeniu sierżanta Millsa, dzięki usilnej zachęcie z mojej strony, dał się słyszeć krótki, rozdzierający wrzask Margot. Sierżant Bancroft pierwszy wpadł do środka.

To właśnie on odkrył, że pokoje na dole pełne są mężczyzn i kobiet o zapadniętych oczach, w zapchlonych ubraniach, którzy jadali z tekturowych pudełek i sypiali rzędem na podłodze. Niespodziewanie udało mu się odgrzebać w zakamarkach pamięci umiejętności, dzięki którym zdał kiedyś małą maturę z francuskiego, a teraz zrozumiał, co mówi do niego kobieta siedząca na podłodze obok sofy: że są imigrantami, właściwie zakładnikami przetrzymywanymi przez człowieka, który przed chwilą uciekł przez okno w łazience. I że chcą wrócić do domu.

Sierżant Mills znalazł się na górze w samą porę, by przyjść z odsieczą doktorowi Edwardsowi. Postrzelił w ramię mężczyznę, który wyciągnął z kieszeni nóż, a drugiego przykuł kajdankami do dziecięcego łóżeczka. Doktor Edwards wziął na ręce Margot, tak lekką i słabą, że aż odebrało mu dech, i wyniósł ją na zewnątrz, gdzie na jej buzię padły pierwsze od miesiący promienie słońca.

Kiedy znaleźli się na opustoszałej ulicy, a doktor Edwards badał puls dziewczynki, pochylałam się i dotknęłam ręką jej głowy. Wtedy w moim umyśle mignęło wspomnienie. Trwało to najwyżej sekundę. Zobaczyłam twarz nachylającego się nade mną mężczyzny z czołem umazanym krwią - efekt bójki na górze. Przypomniałam sobie ten moment. Trzęsły mu się ręce, kiedy mierzył puls Margot. Zrozumiałam, że to moja szansa.

- Zabierz ją do domu - wyszeptałam mu do ucha.

Z ulgą zdałam sobie sprawę, że usłyszał każde słowo.

Rozdział 6

GRA

Margot potrzebowała natychmiastowej pomocy, więc policjanci nie sprzeciwiali się doktorowi Edwardsowi, który chciał ją leczyć w domu.

Następne kilka tygodni dziewczynka spędziła w miękkim czystym łóżku z widokiem na wzgórze i bezchmurne niebo. Co nie oznacza, że wyglądała oknem - prawie cały czas spała. Ja usadowiłam się z dobrą książką na szeszlunku przy oknie - doktor Edwards miał imponującą kolekcję dzieł Dickensa, w dodatku pierwsze wydania. Margot leżała pod kroplówką, a jej dieta została wzbogacona o świeże owoce, warzywa i mleko. Stopniowo goiły się siniaki na jej rączkach i nóżkach, znikwały cienie pod oczami. Ale złote światło wokół jej serca nie powracało.

Doktor Edwards (albo Kyle - bo chciał, aby Margot tak do niego mówiła) miał żonę i dwie córki, jedną trzynasto-, drugą osiemnastoletnią. Ich zdjęcia stały na obramowaniu kominka, długich półkach u szczytu kręconych schodów i na wiktoriańskim biurku w gabinecie Kyle'a. Oglądając je, wyczułam w tej rodzinie jakiś rozłam. Starsza dziewczynka Karina pozowała jak top modelka, jedną ręką unosząc do góry włosy, drugą układając na biodrze, wydymała usta i mrużyła oczy. Znacznie bardziej zastanawiające było to, że jej matka Lou na każdym zdjęciu obejmowała Karinę, ale nigdy się nie uśmiechała. Jeśli natomiast na fotografiach pojawiała się młodsza córka Kate, to stała zawsze w pewnej odległości od matki i siostry, z dłońmi splecionymi z przodu i lekko pochyloną głową, tak że proste ciemne włosy do połowy zasłaniały jej twarz. Nawet kiedy znajdowały się blisko siebie, aby zmieścić się w kadrze, zauważyłam, że Kate ustawia się tak, by przypadkiem nie dotykać Lou ani Kariny.

Rozpoznałam ją. Z głębin mojej pamięci wyłoniły się mgliste obrazy: zobaczyłam lampę stołową z delikatnej porcelany, która spada na podłogę i rozbija się w drobny mak. Grę planszową. Ostre światło wpadające przez drzwi szopy i twarz Kate wykrzywioną śmiechem albo krzykiem. Wyjrzałam przez okno wychodzące na długi ogród na tyłach domu. Duża drewniana szopa. To musiało być tam.

Lou, Kate i Karina spędzały ten miesiąc w Dublinie u rodziców Lou. Kiedy Margot spała, Kyle próbował wypełniać sobie czas przypadkowymi pracami domowymi, ale widać

było, że nie może się na nich skupić. Niedokończona budka dla ptaków, niepomalowana futryna... Chodziłam za nim krok w krok, upewniając się, że nie zostawił gdzieś gwoździ, które Margot mogłaby połknąć albo na nie nadepnąć.

Widziałam, co Kyle'owi chodzi po głowie - dosłownie. Wyrzebał ze swojego archiwum kartotekę szpitalną Margot i stopniowo przypominał sobie niemowlę, które leczył kilka lat wcześniej, niemowlę, które nie powinno było żyć tak długo, zwłaszcza w domu pełnym przemocy i narkotyków.

Podczas długich wieczorów spędzanych na kanapie przed telewizorem ze szklaneczką ginu z tonikiem w ręce, w jego głowie panowały mętlik i niepokój. Nawet w wannie bombardowały go pytania. „Jak to możliwe, że ona żyje? Częstoskurcz komorowy jest nieuleczalny... Czy pomyliłem się, mówiąc rodzicom zastępczym, że dziewczynka wkrótce umrze? A skoro o nich mowa, gdzie są ci ludzie? Co Margot robiła w tamtym domu?”

Nie mógł spać. Obserwowałam, jak wstaje z łóżka przed świtem, i przygnębiony, chyłkiem wchodzi do swojego gabinetu, rozkłada na biurku kolejne książki i czasopisma medyczne. Chciałam mu wszystko szczegółowo wytłumaczyć, ponieważ w niewyjaśniony dla mnie sposób poznałam rozwiązanie jego zagadki. To nie był częstoskurcz komorowy. Margot miała zwężenie zastawki aortalnej, którego nie można było wykryć bez echokardiografii przezklatkowej lub ultrasonografii serca. W tamtych czasach z USG serca miało się do czynienia równie często jak z jednorozcem. Podeszłam do biurka Kyle'a i otworzyłam jedno z jego czasopism na stronie z artykułem doktora Piersa Wolmara, profesora Uniwersytetu Cardiff, specjalisty w dziedzinie ultrasonografii. Zaszleściłam cicho kartkami, żeby przyciągnąć uwagę Kyle'a. Wreszcie spojrział na czasopismo, podniósł je i zbliżył do oczu. Ósmy raz tego dnia zgubił okulary.

Czytał uważnie, odkładając od czasu do czasu magazyn, żeby pomyśleć na głos. Zaczął kwestionować własną diagnozę. „A jeśli to wcale nie był częstoskurcz komorowy? I co to za procedura, o której pisze doktor Wolmar? Echokardiografia?” Postęp w technice przyprawiał go o zawrót głowy.

Resztę nocy spędził na pisaniu listu do doktora Wolmara, przedstawiając w zarysie objawy Margot i prosząc go o więcej informacji na temat możliwych sposobów leczenia. Kiedy słońce jak wielki medal zaczęło wschodzić nad Ulsterem, zasnął wreszcie z głową na blacie biurka.

Lou, Kate i Karina wróciły z Dublina. Nie, „wróciły” to złe określenie: obładowane oszłamiającą liczbą wypchanych walizek, wpadły do domu przez kuchenne drzwi jak huragan, wołając Kyle’a.

Margot właśnie się obudziła. Kyle siedział przy jej łóżku, czytając kolejne artykuły doktora Wolmara na temat echokardiografii.

Dziewczynkę obudził stetoskop przystawiony do jej odsłoniętej piersi. Spojrzała szybko na Kyle’a, a potem na mnie. Zapewniłam ją, że wszystko jest w porządku. Położyła głowę z powrotem na poduszce i ziewnęła. Słyszac wrzaski na dole, Kyle pospiesznie odłożył stetoskop.

- Teraz, Margot - powiedział miękko - bądź grzeczną dziewczynką i zostań tu przez chwilę, kiedy ja będę rozmawiał z żoną i córkami. Jeszcze nie wiedzą, że tutaj jesteś.

Margot pokiwała głową i zwinęła się w kłębek. Zaczęłyśmy robić do siebie miny, ale kiedy chwilę później spojrzała na mnie ponownie, już mnie nie zobaczyła. Myślała, że odeszłam.

A ja poszłam za Kyle’em na dół. Karina i Lou przekrzykiwały się nawzajem, opowiadając ze szczegółami o swoich wakacjach. Kate siedziała przy kuchennym stole i przyglądała się swym paznokciom. Kyle podniósł ręce do góry, jakby chciał się poddać. Poprosił, żeby były cicho.

- O co chodzi, tato? - zapytała Karina ze zniecierpliwieniem.

Kyle pokazał na sufit.

- Na górze w gościnnym pokoju jest mała dziewczynka.

Lou i Karina wymieniły zdumione spojrzenia.

- Co takiego, tato?

- Kyle, wyjaśnij nam to natychmiast.

Opuścił ręce.

- Wyjaśnię, ale nie w tej chwili. Jest chora i prawdopodobnie śmiertelnie przerażona hałasem, który robicie. Chciałbym, żebyście po cichu poszły ze mną na górę i się przywitały.

- Ale...

Spojrzał znad okularów na Lou, która w odpowiedzi zacisnęła usta. Uśmiechnęłam się. Przeżyć dwadzieścia lat z tą kobietą - cóż to musiała być za frajda. Nie mogłam się zdecydować, czy Kyle’owi powinien za to przypaść medal czy pokój bez klamek.

Kate bez słowa podążyła za pozostałymi do pokoju Margot. Niepokoiły mnie otaczające dziewczynę kolory. Czasem z jej serca wydobywała się silna różowa poświata o zmieniającym się miarowo natężeniu, lecz potem światło stawało się krwistoczerwone i

łagodnie sączyło się z jej ciała. Nawet jego rytm nie był równomierny: zamiast wysyłać promienie, co jest cechą większości aur - pulsujących płynnie jak bicie serca - światło to przesuwano się letargicznie i ciężko jak lawa. Niekiedy zatrzymywało się na wysokości jej szyi i wyglądało jak płomień. Zdałam sobie sprawę, że Kate jest po prostu zamknięta w sobie, i choć wydaje się spokojna, w rzeczywistości przepełnia ją wewnętrzna złość. Wrzało w niej od tłumionego szału. Nie wiedziałam tylko dlaczego.

I z początku niezbyt mnie to obchodziło. Więcej uwagi poświęcałam jej ubraniu niż jej samej. Już wtedy, gdy pierwszy raz wchodziłam za nią po schodach, zauważyłam, że jej strój zdradza satanistyczne zainteresowania: miała na sobie czarny T-shirt z rozmazanym na plecach czerwonym rogatym demonem, w uszach kolczyki z podobnym motywem, a na prawej łopatkę coś, o czym z pewnością nie wiedzieli jej rodzice - dziesięciocentymetrowy tatuaż przedstawiający odwrócony krzyż.

W połowie schodów przystanąła. Lou, Kyle i Karina poszli dalej, a Kate odwróciła się do mnie. Jej oczy przybrały brudnobrązową barwę, nie było w nich ani odrobiny ciepła.

- Wynoś się - powiedziała kategorycznie.

Czy ona mówi do mnie?, zastanawiałam się. I wtedy właśnie to zobaczyłam, zupełnie jak w wypadku Kyle'a: rodzaj powiązania pomiędzy moim światem a warstwą emocji Kate. Jednak tym razem przybrało ono postać ciemnej macki łączącej mnie nie tylko z Kate, ale również z jakimś innym wymiarem. Którego nie zdążyłam jeszcze poznać.

Wówczas zdałam sobie sprawę, że naprawdę zwraca się do mnie, że mnie w i d z i. Opanowałam się.

- Obawiam się, że będziesz musiała użyć siły, by się mnie pozbyć - odparłam.

- Nie ma sprawy - wzruszyła ramionami. - Ale to może ci się nie spodobać.

Odwróciła się i poszła dalej.

Pokręciłam głową, tłumiąc śmiech, chociaż byłam zaniepokojona. Jej przenikliwość wytrąciła mnie z równowagi. Kto albo co jeszcze mogło mnie widzieć?

Karina troszczyła się o Margot i traktowała ją tak, jakby była żywą lalką. Zanim dziewczynka zdążyła cokolwiek powiedzieć, Karina wzięła ją na ręce i zaniósła do swojego pokoju, gdzie wydobywszy z szuflady kosmetyki do makijażu, zamieniła Margot w małą królową piękności. Lou założyła ręce i stukając stopą o podłogę, krzyczała na Kyle'a. Co on sobie wyobraża, przyprowadzając do domu przybłędę? Na jak długo właściwie? Co, jeśli przyjdą po nią jej rodzice zastępczy, narkomani? I tak dalej, I tak dalej.

Kyle próbował wyjaśniać, że to ta sama mała dziewczynka, którą opiekował się, kiedy przywieziono ją do szpitala w dniu narodzin, osieroconą i ledwie żywą, i że zrzędzeniem losu

znowu ich drogi się zbiegły. Zastanawiał się, czy powiedzieć Lou o mnie, dziwnej kobiecie, spotkanej na ulicy o szóstej rano, która nakłoniła go, aby włamał się do cudzego domu i uratował Margot. Jednak zrezygnował.

- Z a w s z e to robisz, prawda, Kyle? - wrzeszczała Lou. - Zawsze musisz być wybawcą wszystkich ludzi! A co ze mną, co? Co z Kariną i Kate?

- Jak to, co z Kariną i Kate? - wzruszył ramionami.

Wyrzuciła w górę ręce i wyszła z pokoju. Kyle westchnął przeciągle i zaczął wyłamywać palce, a ja - bić mu brawo. Nobla za anielską cierpliwość otrzymuje...

Moje skrzydła zaczęły drżeć. Poszłam do pokoju Kariny i usiadłam na łóżku obok Margot. Była zachwycona wszystkimi różami i błękitami, które Karina rozsmarowała na jej buzi. Zawsze się zastanawiałam, skąd wzięło się u mnie to upodobanie do makijażu, skoro moja przybrana matka nigdy się nie malowała, a starszych sióstr nie miałam. Kate przyglądała się nam, stojąc w drzwiach. Spojrzała na mnie, a potem na Margot.

- Kim ona jest?

Karina westchnęła teatralnie.

- Odejdź, Kate. Margot i ja mamy tu imprezę z kursem wizażu. Nie jesteś zaproszona.

- Ma na imię Margot?

- Margot - powtórzyła Margot i uśmiechnęła się dumnie.

Kate w końcu zdobyła się na połowiczny uśmiech.

- Zdaje się, że czeka cię niezła zabawa, Margot.

Odwróciła się i wyszła.

*

Margot stopniowo się otwierała, jak krab wychodzący ze swojej muszli na ciepłe tropikalne słońce. Szybko stała się dziecięcą kopia Kariny: używała tych samych fraz („to f a n t a s t y c z n e!”), nalegała, aby ubierać ją w podobne ubrania, i tańczyła z Kariną do muzyki Beatlesów jeszcze długo po dobranocce. W dodatku miała wilczy apetyt.

Nie sądziłam, że jako dziecko byłam taka urocza. Taka zabawna i niewinna. Pewnego razu Margot obudził koszmar senny, który obserwowałam zaniepokojona. Było to wspomnienie jej pobytu u Sally i Padraiga. Zanim zdążyła pobudzić wszystkich swoim krzykiem, objęłam ją i zaczęłam kołysać na łóżku. Wokół jej serca zaciskały się kleszcze straszliwego bólu. Zamknęłam oczy, próbując przywołać wszystkie siły, którymi wcześniej uzdrawiałam Margot. Delikatne złote światelko, które przygasło i teraz ledwo się żarzyło, zamigotało jak płomyk świecy w oddali. Siłą woli zdołałam je powiększyć. Urosło do rozmiarów piłki tenisowej i było na tyle duże, że otaczało serduszko dziewczynki. Oddech

Margot się uspokoił, ale przyglądając się jej sercu, wyraźnie widziałam drżące w nim niebezpieczeństwo. Otaczały ją teraz spokój i miłość, za to jej serce pozostawało coraz większym zagrożeniem i należało temu zaradzić. Miałam nadzieję, że Kyle będzie działał szybko.

Następnego ranka Kyle otrzymał list od doktora Wolmara, który pisał, że chętnie przyjedzie, aby pomóc zdiagnozować Margot i poinstruować Kyle'a w sprawie sprzętu potrzebnego do wykonania echokardiografii. Wspomniał również, że wnioskuje z opisu objawów, dziewczynka prawdopodobnie cierpi na zwężenie zastawki aortalnej, które jest całkowicie uleczalne.

Margot była właśnie w jadalni z Kariną, która uczyła ją jive'a. Lou wyszła na zakupy. Usłyszałam wołanie dobiegające z ogrodu:

- Margot, Margot! Chodź się pobawić!

To była Kate. Śmiała się. Kyle podniósł wzrok, wyjrzał przez okno i zerwał się na nogi podekscytowany widokiem uśmiechu na twarzy młodszej córki. Popędził do jadalni.

- Margot! - zawołał. - Chodź pobawić się z Kate!

Karina skrzywiła się.

- Czym, sztyletami? W maltretowanie zwierząt?

Kyle zmarszczył brwi.

- Nie bądź taka, Karino. Chodź, Margot.

Wziął ją za rękę i wyprowadził na zewnątrz. Gdy Margot zobaczyła Kate, zawahała się i obejrzała na Kyle'a, a potem na mnie. Pokiwałam głową. Tak, mała, ja też idę. Nie martw się.

Kate skinęła ręką, zapraszając Margot do ogrodowej szopy.

- Nie chcę - powiedziała Margot.

- Chodź, głuptasie - powiedziała Kate z uśmiechem. - Jest czekolada. I Beatlesi.

- Beatlesi?

- Tak, Beatlesi.

Uszczęśliwiona Margot w podskokach pognęła do szopy.

Kiedy znalazły się w środku, Kate zaryglowała drzwi. Wyjrzała oknem, żeby się upewnić, że reszta rodziny została w domu, a potem zaciągnęła zasłony, by zaciemnić szopę. Nad kilkoma starymi rowerami i rozebraną kosiarką do trawy wzbily się tumany kurzu. Czekałam w rogu. Kate popatrzyła na mnie, a potem znowu na Margot. Co ona kombinuje?

- A teraz, Margot - powiedziała. - Zagramy w grę. Gry są fajne, prawda?

Margot pokiwała głową i zakreśliła spódnicą. Czekala na Beatlesów. Kate rozłożyła na podłodze grę planszową, a ja w jednej chwili zrozumiałam dwie rzeczy:

1. To była gra, która powracała w moich wspomnieniach.
2. To nie była gra planszowa. Była to tablica ouija do seansów spirytystycznych.

Kate usiadła na podłodze i skrzyżowała nogi. Margot zrobiła to samo. Myślałam gorączkowo: iść po Kyle'a czy zostać i zobaczyć, co kombinuje Kate?

Kate położyła opuszki palców na tekturowym trójkącie, który wskazywał na planszy litery alfabetu.

- Dzięki temu poznamy imię twojego Anioła Stróża - powiedziała do Margot.

Margot uśmiechnęła się. Odwróciła się zaraz i popatrzyła na mnie podekscytowana.

- Jak ma na imię anioł, który tu jest? - głos Kate był zimny i ostry.

Do szopy powoli zaczęły się wkradać cienie. Margot rozejrzała się, drżąc.

- Chcę iść do Kariny - powiedziała cicho.

- Nie - odparła Kate. - Gramy w grę, pamiętasz? - wypuściła tekturowy wskaźnik.

Jakieś niewidzialne ręce powoli skierowały wskazówkę na literę R. Potem na U. Potem na T. Wreszcie na H. Dzień dobry. Jakże niemiło mi cię poznać.

- Ruth - powiedziała Kate, a oczy jej błyszczały. - Wynoś się.

Nie ruszyłam się z miejsca. Przez kilka sekund mierzyłyśmy się wzrokiem. Zdawałam sobie sprawę z obecności cieni w głębi szopy, skąd dochodziło szuranie. Pierwszy raz od dawna poczułam strach. Nie wiedziałam, czego się spodziewać.

- W porządku - powiedziała Kate. - Słudzy Szatana, usuńcie Ruth.

Margot wstała.

- Chcę iść - powiedziała drżącym głosem.

Ona też wyczuwała bliskość ciemnych bytów. Musiałam ją stamtąd wydostać. Kate wrzeszczała zaklęcia, którymi nabiła sobie głowę, przeszukując Bóg wie jakie księgi czarnej magii. Odezwałam się głośno.

- Kate, nie zdajesz sobie sprawy, z czym masz do czynienia...

Nie zdążyłam dokończyć zdania, gdy poczułam, że coś leci w moim kierunku. Podniosłam rękę i siłą woli wysłałam promień, który oświetlił pomieszczenie. Światło odbiło się od rzuconego przedmiotu, zmieniając jego kierunek i sprawiając, że spadł na ziemię. Ale cokolwiek go rzuciło, ruszało właśnie do ataku, wprawiając w drżenie całą szopę.

Próbowałam wysłać następny promień światła, ale nie pojawiał się. Czułam, że w moim kierunku pędzi coś wielkiego jak słoń. Margot krzyczała. Stanęłam przed nią i zamknęłam oczy, ze wszystkich sił próbując się skoncentrować. Nagle światło wystrzeliło z

mojej dłoni z taką siłą, że aż się zachwiałam. Rozległo się głośne parsknięcie i ciemność, która właśnie nas dosięgała, rozsypała się w pył.

Drzwi szopy otworzyły się na oścież, a do środka wlało się światło słoneczne. Wcześniej padało. Teraz niebo było błękitne, a oślepiające promienie słońca przecinały ciemność białym ostrzem. Margot pobiegła z płaczem do domu. Ja stałam niewzruszenie, patrząc, jak zaskoczona Kate kładzie się na ziemi. Obok niej leżały kawałki starej porcelanowej lampy.

- Radzę ci znaleźć inną grę - powiedziałam, zanim wróciłam do Margot.

Kate nigdy więcej nie dotknęła planszy.

Rozdział 7

BLIZNY NA SERCU

Kiedy Margot osiągnęła wiek, w którym już co nieco rozumiała, nie mogłam się powstrzymać od udzielania jej setek porad. *W wieku szesnastu lat zapalasz gwałtownym uczuciem do chłopaka o imieniu Seth. Nie pozwól, aby tobą zawładnęło. Dlaczego? Zaufaj mi. Dobrze. Pokochasz Nowy Jork, kochanie. Gdzie jest Nowy Jork? W Ameryce. Nie mogę się doczekać, kiedy tam pojedziesz. Czy Beatlesi tam są? Tak jakby. Ale ważniejsze jest to, że jest tam kobieta o imieniu Sonya. Poznasz ją, kiedy twój pies zerwie się ze smyczy i spowoduje małą powódź w delikatesach przy Piątej Alei. Trzymaj się z daleka od tej kobiety. Dlaczego? Ukradnie ci męża.*

Na krótko przed Bożym Narodzeniem, kiedy Margot miała trzy lata, zaczęła mnie zupełnie ignorować. Całymi tygodniami nawet na mnie nie spojrzała. Trochę tak jakby uciął wiatr, jakby drobne kamyki jej świadomości osiadały na swoich miejscach, tworząc szczelne podłoże, przez które nie mogłam przeniknąć.

Byłam przygnębiona. Czułam się odrzucona i upokorzona. Myślę, że wtedy traktowałam już swoją pracę trochę poważniej. Poza tym chyba wreszcie dotarło do mojej świadomości to, co się stało: naprawdę nie żyłam. Naprawdę byłam Aniołem Stróżem.

Popadłam w obsesję na punkcie swojego odbicia (tak, nadal je miałam - byłam aniołem, nie wampirem). Nie mogłam oderwać oczu od tryskającej z moich ramion wody, która płynęła po beznadziejnie bezkształtnej białej sukni niczym warkocze królowny uwięzionej w wieży. Wyglądałam na jakieś dwadzieścia parę lat, tylko kolor moich włosów był inny. W tamtym okresie życia rozjaśniałam je, teraz miałam swoje naturalne karmelowobrązowe sprężynki do ramion. Wciąż posiadałam biust, narządy rodne, nawet te paskudne, krzywe paluchy u nóg, a na łydkach rosły mi włosy. Poza tym odrobinę świeciłam, jakby w moich żyłach, zamiast krwi, krążyły maleńkie diody elektroluminescencyjne.

Margot z każdym dniem coraz bardziej przypominała żeńską wersję Theo. Czułam się tak, jakby pochłaniała mnie przeszłość. Tak bardzo byłam zaabsorbowana myśleniem o tym, co straciłam, co odrzuciłam i jak to nigdy, przenigdy nic mi się nie udawało, że prawie zapomniałam, po co tu jestem. Miałam przecież obserwować Margot, pilnować jej. Dzieci tak szybko rosną. Kiedy wreszcie ocknęłam się ze swojej małej ucieczki w uzalanie nad sobą, ona

urosla prawie dziesiec centymetrow, miala nowa fryzura i ulegla calkowitej, nieodwoalnej karinifikacji. Byla jedna wielka poza. Ale to bylo dobre. Sprawdzalo sie w kontaktach z Kate. Odnioslam wrazenie, ze pycha, charakterystyczna dla okresu poprzedzajacego dojrzewanie, pomaga jej przewyciżyć slabość serca.

Az pewnego dnia, kiedy bylyśmy w parku, Margot stracila przytomnosć. Kilka sekund wczesniej lezalam pod huštawką, laskoczac ja pod kolanami, a ona kolysala sie nade mna jak wahadlo w zegarze zycia. Jej biala spodniczka lopotala na lekkim wietrze. Margot chichotala jeszcze, gdy huštawka poruszala sie do przodu, by opaść bezwladnie podczas ruchu w tyl. Karina zaczelala krzyczec, a Margot zsunela sie z huštawki, spadajac plecami na ziemię. Ledwo zdazyłam ochronić jej glowe przed rozbiciem o beton.

Kyle biegal po bieźni wokol pobliskiego boiska. Karina pobiegla po niego, zostawiajac Margot lezaca na ziemi z dziwnie podwinietymi nogami, z sinymi ustami. Widzialam komory jej serca - jedna z nich byla gruba i czysta, druga wygladala jak przedziurawiona opona rowerowa. Nachyilam sie i przycisnelam reke do jej piersi. Pojawilo sie zlote swiatlo, uzdrawiajaca jasnosć, ktora odegnala zasinienie wokol jej ust i oczu. Na chwile.

Kyle i Karina pedzili juz z powrotem pod gorkę. Kyle chwycil Margot pod ramiona i sprawdzil puls. Ledwo oddychala. Zaniosl ja do samochodu i zawiozl prosto do szpitala.

Przeklinalam sama siebie za to, ze stracilam czujnosć. Teraz blakalam sie po szpitalu, myslac goraczkowo, co powinnam zrobic.

I wtedy to sie stalo.

Najpierw zjawila sie Nan, jak zwykle usmiechnieta i spokojna. Polozyla mi reke na ramieniu i wskazala biala sciane. Juz mialam sie zdenerwowac (sciana?), kiedy pojawila sie na niej wizja - trojwymiarowy „film” przedstawiajacy operacje serca, niezbedna, by Margot wracila do zdrowia. Nan kazala mi go obejrzec i zapamietać, a potem powtorzyc chirurgowi wszystko, co widzialam i slyszalam. Zrozumialam. To bylo szkolenie.

Ogladalam wiec. Film przedstawial przyszlosć, a ja mialam spowodowac, aby to, co sie wydarzy, tak wlasnie wygladalo. W mojej glowie rozlegl sie glos - kobiecy, z amerykanskim akcentem - ktory tłumaczyl mi, co oznacza kazda z wykonywanych czynnosci, jaki jest jej cel, dlaczego ta konkretna technika nie zostala dotad zastosowana w naszym kraju, jak dlugie ma byc cięcie skalpela, i tak dalej. Sluchalam, zdajac sobie sprawe, ze kazde slowo, ktore zostalo wypowiedziane, kazde dzialanie osiada w mojej pamieci tak wyraźnie jak kropelki deszczu na wywoskowanym samochodzie. Rejestrowalam wszystko, kazdy przyslówek, nawet sposob akcentowania slow.

Kiedy wizja się rozmyła, Nan zaprowadziła mnie do sali operacyjnej. Odniosłam wrażenie, że czas się tam zatrzymał: pielęgniarka zakładająca maskę w chwili, gdy zaczął się „film”, nadal manipulowała przy jej tasiemkach, kiedy instruktaż się skończył.

Szybko pomogłam jej je zawiązać, a ona rzuciła tylko „dzięki”, nie oglądając się nawet, żeby zobaczyć, kto to zrobił.

Margot leżała nieruchomo na stole operacyjnym pod lampą, która wybielała rysy jej twarzy. Co gorsza, aura dziewczynki była wodnista i postrzępiona. Unosiła się nad jej ciałem jak dym nad powierzchnią wody. Dwie pielęgniarki, Kyle i główny chirurg doktor Lucille Murphy założyli rękawiczki i podeszli do pacjentki. Kiedy zrobiłam krok naprzód i znalazłam się nad Margot, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że liczba obecnych w sali operacyjnej się podwoiła: byli z nami czterej Aniołowie Stróże, każdy z nich strzegł jednej z osób. Przywitałam ich skinieniem głowy. Mieliśmy zadanie do wykonania.

Aniołem Stróżem Lucille była jej matka, niska korpulentna kobieta o imieniu Dena, promieniująca takim spokojem, że sama od razu zaczęłam głębiej i wolniej oddychać. Dena oparła głowę na ramieniu Lucille, a potem spojrzała na mnie i zrobiła krok w tył, pozwalając mi zbliżyć się do Lucille z przeciwnej strony. Powiedziałam jej, żeby nie robiła dwudziestocentymetrowego nacięcia na środku mostka, tak jak została poinstruowana. Poprosiłam, żeby zamiast tego wykonała pięciocentymetrowe nacięcie między żebrami. Dena powtórzyła te instrukcje jak tłumacz. Lucille przez kilka sekund mrugała powiekami, wyczuwając wskazówki Deny kłębiące się w jej świadomości jak barwna nić.

- Pani doktor? - zapytał Kyle.

Popatrzyła na niego.

- Chwileczkę - wbiła wzrok w ziemię, najwidoczniej rozdarta pomiędzy tym, co podpowiadało jej wieloletnie doświadczenie, a nową procedurą, która przyszła jej do głowy i, ku jej zaskoczeniu, wydawała się zupełnie sensowna. Tak szybkie działanie wymagało odwagi. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie stchórzy. Wreszcie podniosła wzrok.

- Spróbujemy dzisiaj nowej metody. Pięciocentymetrowe nacięcie między żebrami. Oszczędzimy tej dziewczynce niepotrzebne krwawienie.

Pozostali członkowie zespołu pokiwali głowami. Sięgnęłam ręką do małej blizny między piersiami. Blizny, której pochodzenie do dziś nie było mi znane.

Od tamtej chwili po kolei powtarzałam wszystko, co usłyszałam w czasie oglądania instruktażowej operacji, a Dena przekazywała to Lucille. A potem zdałam sobie sprawę, że kobiecy głos z amerykańskim akcentem, który słyszałam podczas wizji, był głosem Deny.

Dokładnie tak jak mówiła Nan, to wszystko już raz się zdarzyło. Kiedyś już tutaj stałam. Czas, który znałam, załamał się. To przyprawiało mnie o zawrót głowy.

Kiedy operacja została zakończona, wszyscy, oprócz Kyle'a, Deny, Lucille i mnie, opuścili salę. Staliśmy we czworo, jak duchy zastygłe w bezruchu, nad Margot wciąż leżącą na stole operacyjnym i modliliśmy się, by wróciła.

- Skąd ta nagła zmiana procedury? - zapytał wreszcie Kyle.

Lucille pokręciła głową. Kiedyś byli kochankami, więc była z nim szczerą.

- Nie wiem. Nie wiem. Ale - zdjęła rękawiczki - módlmy się, żeby okazała się skuteczna.

Dwa tygodnie później Margot wróciła do domu. Była słaba i obolała, lecz pewne oznaki wskazywały już na to, że powraca do zdrowia. Pierwszymi jej słowami wypowiedzianymi po wybudzeniu z narkozy była prośba o ciastko czekoladowe. Karina przekazała dla niej *longplay* Beatlesów, który Margot przycisnęła kurczowo do piersi jak sztuczne serce. Nie zwracała uwagi na lekarzy i pielęgniarki szepczące o tym, że o mało nie umarła. Myślała wyłącznie o tym, żeby znowu tańczyć jive'a w sypialni Kariny w chmurze brokatu i różowego pudru.

Było wczesne popołudnie, kiedy wróciliśmy do domu Edwardsów. Na podjeździe ścielił się dywan pomarańczowych i żółtych liści. Domyśliłam się, że jest jesień. W Irlandii Północnej trudno określić porę roku na podstawie pogody.

Dziewcząt nie było. Karina poszła na imprezę, Kate pojechała ze szkolną wycieczką za granicę. Kyle wniósł Margot na górę i położył do łóżka. Przez jakiś czas mierzył jej temperaturę, poprawiał poduszki, układał pluszowe misie pod jej rączkami, na wypadek gdyby obudziła się w środku nocy i poczuła się samotna. Było widać jak na dłoni, że Kyle ją kochał.

Poszedł na dół, a ja zostałam z Margot, obmyślając plan. Prawda, że nie było powodu, dla którego *n i e p o w i n n a m* zmienić biegu wydarzeń, sprawiając, by mogła tu zostać i dorastać w pełnym ciepła rodzinnym domu? Dlaczego nie miałabym dać jej *s z a n s y*? Czy nie na tym właśnie polegało układanie fragmentów układanki? Zaczęłam rozumieć, że nie jestem wyłącznie gościem z przeszłości, odwiedzającym galerię dawno minionych zdarzeń, lecz ich aktywnym uczestnikiem, który - pozwólcie, że pożyczę od Nan jedną z jej metafor - nakłada farby na czyste płótno przyszłości. Może będę mogła trochę inaczej zaaranżować szczegóły, naszkicować dla Margot inną ścieżkę, która zaprowadzi ją do tego samego celu.

Kiedy usłyszałam krzyki, zostawiłam śpiącą Margot i poszłam na dół sprawdzić, co się dzieje.

Byli w kuchni. Lou stała przy zlewie, patrząc przez okno na ginący powoli w mroku ogród. Kyle wyglądał, jakby przytrzymał się kuchenki.

Panowała tu atmosfera jak po pożarze lasu. Ledwo mogłam dostrzec którekolwiek z nich we mgle emocji kłębiących się jak gęsty dym.

Na chwilę zapadła cisza. W końcu odezwał się Kyle:

- Rozwód... - gdzieś na końcu tego słowa czaił się znak zapytania.

Popatrzyłam na Lou.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Powiedziałaś, że chcesz odejść.

Lou rozejrzała się. Jej rzęsy były mokre od łez.

- Mnóstwo par pozostaje małżeństwem, nie będąc z sobą. Czy nie to właśnie robiliśmy przez ostatnie sześć lat? Mieszkaliśmy pod jednym dachem. Współgzystowaliśmy.

Wtedy kłęby mgły rozstały się na dwie części. Podzieliły się. Kyle wyszedł z kuchni. Lou krzyknęła za nim:

- Właśnie tak, Kyle, uciekaj od problemu!

Zawrócił i ruszył w jej kierunku, prawie mnie przewracając.

- To ty uciekałaś - wyrzucił z siebie. - Dublin, wizyta u r o d z i c ó w? Których nienawidzisz? Nie rób ze mnie idioty. Wiem.

Otworzyła usta. Dopiero teraz dostrzegłam wokół niej aurę innego mężczyzny: wyraźny zielony nurt w czerwonej rzece jej aury. Nie знаła swojego męża wystarczająco dobrze, żeby przewidzieć, że on się zorientuje. Wpatrywała się w podłogę.

- Co będzie z dziewczynkami? - zapytał ciszej Kyle. - Z kim będą mieszkały?

Zobaczyłam, jak w zderzeniu z rzeczywistością rozwiewają się jej marzenia. Lou rozmawiała ze swoim kochankiem wyłącznie o spędzaniu dni na plaży w Tralee, schłodzonym chardonnay, bezkresnych horyzontach. Nie myślała o opiece nad dziećmi.

- Zabiorę je z sobą.

Kyle pokręcił przecząco głową i założył ręce do tyłu. Podjął decyzję w ciągu dwóch sekund jej wahania. To on odejdzie. Dziewczynki zostaną w domu z matką. Pomyślał o Margot. Przez chwilę jego aura cofnęła się do wewnątrz. Niechętnie przyznał, że tylko to jedno go gnębi. Ją też musiałby zostawić. Pocieszał się, przypominając sobie, że między Margot i Kariną zrodziła się bliska więź. Tutaj wszystkie będą miały trwałe, bezpieczny dom. Tyle tylko że bez niego.

Serce mi zamarło. Kyle pobiegł na górę szukać walizki. Potem przypomniał sobie, że nie ma walizki. Wściekły, wyszarpnął spod łóżka szylkretowe pudło Lou. Kiedy już się otrząsnęłam, w milczeniu i smutku przyglądałam się, jak pakuje do niego garnitury i koszule, kilka medycznych książek, garść cennych rodzinnych fotografii. Wiele czasu spędził przy łóżku Margot, trzymając drżącą dłoń na jej sercu. W jego własnym wyryła się szczerą, bolesną modlitwą: „Jeżeli tam jesteś, Boże, jeśli mnie słyszysz, po prostu spraw, żeby jej było dobrze”.

Z każdym jego słowem poświata wokół Margot jaśniała coraz mocniej.

*

Postanowiono, że nagły wyjazd Kyle’a zostanie tymczasowo wytłumaczony jako niespodziewana podróż służbowa. Kate i Karina nie zadawały pytań, kupiony przez Lou szczeniak labrador okazał się świetnym sposobem na odwrócenie ich uwagi, ale Margot zamknęła się w sobie. Całymi popołudniami przesiadywała w holu na najniższym stopniu schodów. W żaden sposób nie mogłam skłonić jej do uśmiechu ani do tego, żeby na mnie spojrzała. Najpierw myślałam, że czeka na powrót Kyle’a. Ale dzieci są o wiele mądrzejsze. Margot czekała, aż ktoś jej wreszcie powie, że on już nie wróci.

Jakiś czas później Lou zabrała dziewczynki do Szkocji, żeby odwiedzić Karinę na uniwersytet w Edynburgu, gdzie miała studiować geografię. W drodze powrotnej zrobiły niespodziewany objazd przez północną Anglię, odwiedzając duży szary budynek na pustkowiu noszący nazwę Domu Dziecka imienia Świętego Antoniego. Kiedy odjeżdżały, tylne siedzenie samochodu było puste, ponieważ Lou i Kate siedziały z przodu, a Margot stała na dziedzińcu szarego budynku z pluszowym misiem pod pachą, niewielką torbą u swoich stóp i mocno bijącym małym serduszkim.

- Tato - powiedziała wpatrzona w odjeżdżający samochód.

Zadrzałam na widok szaroburego gmachu.

Znałam to miejsce aż zbyt dobrze.

Rozdział 8

SHEREN I GROBOWIEC

Pozwólcie, że odszukam w pamięci wspomnienia z Domu Dziecka imienia Świętego Antoniego, do którego trafiłam na krótko przed swymi czwartymi urodzinami i w którym wytrzymałam do czasu, gdy miałam dwanaście lat dziewięć miesięcy i szesnaście dni.

Powinnam zacząć od tego, że przez większą część swojego dorosłego życia usiłowałam za pomocą butelki wody rozluźnić supeł, który z powodu pobytu w tamtym miejscu tkwił zaciśnięty na stałe gdzieś głęboko w moim żołądku. Wiem, że to nie jest usprawiedliwienie. Ale teraz poznałam okoliczności, w jakich się tam znalazłam: zaraz po tym jak przekonałam się, jak to jest być kochaną, jak dobrze jest mieszkać w ciepłym i wygodnym domu Edwardsów, jaki to luksus spać we własnej sypialni wielkości pokoju, który w sierocińcu zajmowało dwanaścioro dzieci. Kiedy już doświadczyłam miłości starszej siostry, która miała bzika na moim punkcie, jej miejsce zajęła banda starszych dzieci, które poniżały mnie dzień i noc. Nic dziwnego, że ten ból trwał jeszcze tyle lat po tym, jak się stamtąd wydostałam. Być może byłoby mi łatwiej, gdybym spędziła więcej czasu w domu Sally i Pdraiga - wtedy przynajmniej nie oczekiwałabym już, że ktoś obdarzy mnie miłością. I dom dziecka nie spowodowałby takiej traumy.

Kiedy się tam znalazłam, miejsce to wydawało mi się ogromne, i takie pozostało w moich wspomnieniach. Do dziewiętnastego wieku budynek ten pełnił funkcję szpitala, potem przytułku, aż wreszcie zmieniono nazwę i urządzono w nim sierociniec. Z jakiegoś powodu zapamiętałam gargulce na rogach budynku, ale w rzeczywistości nigdy ich tam nie było. Główne wejście znajdowało się za kilkoma kolumnami i wiodły do niego dwa wysokie stopnie. Z czarnych frontowych drzwi zwisały dwie okrągłe mosiężne kołatki. Ta umieszczona wysoko przeznaczona była dla dorosłych, druga - przymocowana całkiem nisko - dla dzieci. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz zastukałam do tych drzwi, kołatka była tak gruba, że nie obejmowałam jej dłonią. W budynku było dwadzieścia pięć pomieszczeń. Pokoje i sypialnie wydawały się ogromne, podobnie jak stare drewniane szkolne ławki. Nigdzie nie było ani skrawka dywanu. Ani jednego grzejnika w sypialniach. Nie było ciepłej wody, w każdym razie nie we wspólnych łazienkach. Jedyne obrazy na ścianach były podobizny dawnych pracowników sierocińca - posępne portrety w sepii przedstawiające

ponure dyrektorki i dyrektorów, którzy zrujnowali psychikę większości dzieci, jakie miały nieszczęście tu trafić.

Ponowny przyjazd do tego miejsca przypomniał mi dobitnie, że jestem w przeszłości. Świetnie się czułam w latach sześćdziesiątych - uwielbiałam jazdę białym citroenem DS19 Kyle'a, dzwony Lou i należącą do Kariny kolekcję długogrających płyt winylowych z albumami Beatlesów - ale w Domu Dziecka imienia Świętego Antoniego czas zatrzymał się około 1066 roku naszej ery. Na świecie jest wiele miejsc, które nie przyjęły i nigdy nie przyjmą do wiadomości upływu czasu. Jest też wiele takich osób. Jedną z nich była Hilda Mara.

Panna Marx pochodziła z Glasgow. Kierowała Domem Dziecka imienia Świętego Antoniego w czasie, kiedy ja do niego trafiłam. Miała zapadnięte policzki, wystającą dolną szczękę, której zawdzięczała swe podobieństwo do ropuchy, oraz system wartości, jakiego pozazdrościliby jej w Gestapo. Jeśli dziecko płakało, za karę wymierzała mu cztery razy. Za niegrzeczne odpowiadanie - dziesięć razy. Wychowankowie w wieku od dwóch do piętnastu lat musieli wstawać o szóstej rano i kłaść się spać o dziewiątej. Minuta spóźnienia oznaczała dzień bez jedzenia. Mały kijek był narzędziem do wymierzania razów dzieciom poniżej piątego roku życia, skórzany bicz przeznaczony był dla starszych. Ja jednak znajomość z biczem zawarłam na długo przed osiągnięciem wyznaczonego wieku.

Margot stała w deszczu, patrząc, jak Lou i Kate odjeżdżają - żadna z nich się nie obejrzała. Jeszcze długo po tym jak samochód zniknął, a na żwirowym podjeździe opadł kurz, ona wciąż stała nieruchomo z misiem pod pachą i pozlepianymi w strąki mokrymi włosami. Całym swoim ciałem odczuwała ból i dezorientację. Jako inteligentne i nad wiek rozwinięte dziecko, zrozumiała, że to, co się stało, już się nie odstanie. Wierzcie mi, to przerażające przyglądać się, jak takie małe dziecko musi się zmierzyć z tego rodzaju wiedzą.

Przesunęłam wzrokiem wzdłuż linii horyzontu. Nic, tylko całe kilometry pól i mała zubożała wioska. Chciałam się zorientować, czy istnieje jakiś sposób na to, żeby Margot nie musiała przekraczać progu szarego budynku. Szukałam samochodu, który można byłoby zatrzymać, jakiejś przejeżdżającej tędy kochającej się rodziny, której członkowie dostrzegliby trzyletnią dziewczynkę na poboczu drogi i zabrali ją z sobą. A może któryś mieszkaniec wsi? Migały mi przed oczami ich twarze: głównie starzy rolnicy, kilka maltretowanych żon. Nie było nikogo, kto by się nadawał. Jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd znajdowało się miasteczko. Można było tam spróbować. Dotknęłam ramienia Margot i powiedziałam, żeby poszła ze mną. Pchnęłam ją lekko, ale nie ruszyła się z miejsca. Pobiegłam do bramy i

wołałam ją po imieniu, aż ochryłam. Nie zrobiła ani kroku. A ja nie mogłam iść bez niej. Przeznaczenie? Bzdura. Wszystko zależy od naszych decyzji.

Margot właśnie dokonała wyboru, nie zdając sobie z tego sprawy lub nie rozumiejąc tego.

Niechętnie wróciłam do miejsca, w którym stała. Przykucnęłam obok niej, otoczyłam ją ramieniem i spróbowałam jej wszystko wyjaśnić.

„Wiesz co, Margot? Jesteś dzielnym dzieckiem. Lepiej będzie ci bez nich. Lou jest równie opiekuńcza jak żarłacz biały. Kate to antychryst. Jestem przy tobie, brzdącu. Spędzisz za tymi drzwiami trochę więcej czasu, niż byś chciała. Ale wiesz co? Nie zostawię cię. Jestem po twojej stronie. Jest tutaj kilkoro złych ludzi, tego możesz być pewna. Żli ludzie są wszędzie. Może to nawet lepiej, że spotkasz ich już teraz. Wierz mi, im wcześniej nauczysz się nie cierpieć przez głupców, tym lepiej. Wyjdzie ci to na dobre. A teraz nie bój się. Nie płacz. No, dobrze. Płacz. Wypłacz się. I na tym koniec. Dopóki tu jesteś, więcej żadnych łez. Szkoda ich marnować”.

Odczekała, aż skończę, odwróciła się w stronę drzwi, chwyciła za kołatkę i z całej siły zastukała. Minęło kilka minut. Deszcz płynął teraz srebrnymi strugami. W środku rozległ się odgłos ciężkich kroków. Ktoś nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Na progu, pochylając się nad Margot, stała Hilda Marx. Popatrzyła na dziewczynkę i warknęła:

- A to co? Utopiony szczur?

Margot utkwiała wzrok na wysokości kolan Hildy. Hilda wyciągnęła rękę i chwytając palcami podbródek dziewczynki, gwałtownie podniosła jej głowę.

- Ile masz lat?

Margot patrzyła na nią w milczeniu.

- Jak. Się. Nazywasz?

- Margot Delacroix - powiedziała Margot stanowczo.

Hilda uniosła brwi.

- Irlandzki akcent. Zrobimy z tym porządek. Tak jak i z twoim uporem. No, dobrze, Margot, masz szczęście. Jeden z naszych gości właśnie wyjechał, więc mamy wolne łóżko. Wchodź szybko do środka, no, już. Ciepło ucieka.

Kiedy znalazłyśmy się w holu, całe uczucie odrazy wywołane powrotem do miejsca największego terroru mojego dzieciństwa zostało zepchnięte na dalszy plan przez dziwne spotkanie. U stóp schodów stał Anioł Stróż Hildy - szczupła smutna kobieta z długimi brązowymi włosami. Bardzo przypominała Hildę, jakby była jej młodszą, ładniejszą siostrą.

Skinęłam głową w jej kierunku. Jak dotąd, inni aniołowie raczej trzymali się na dystans. Ale ona podeszła do mnie.

- Jestem Ruth - powiedziałam.

- Sheren - odparła, uśmiechając się słabo i podchodząc tak blisko, że mogłam zobaczyć jej zielone oczy. - Ale kiedyś byłam Hildą.

Wpatrywałam się w nią. Spuściła wzrok. To była Hilda? Zaczęłam trząść się na całym ciele, moje żyły nabrzmiały od skłębionych wspomnień o tej kobiecie, od mojej furii, przerażenia i smutku. Jak mogłabym kiedykolwiek wybaczyć jej to, co mi zrobiła? Kiedy jednak Sheren podniosła wzrok, jej oczy błyszczały. W twarzy anioła nie było śladu perfidii Hildy. Wzięła mnie za ręce. W tej samej chwili poczułam ukłucie przeszywającego ją gorzkiego żalu i przestałam się trząść.

- Wiem, że ty byłaś Margot - powiedziała. - Proszę cię, proszę, wybac mi. Musimy połączyć nasze siły, dopóki Margot tutaj będzie.

- Dlaczego? - wydusiłam wreszcie.

Teraz Sheren się trzęsła, a woda spływająca z jej pleców stopniowo nabrała czerwonego koloru. Po jej twarzy i szyi płynęły łzy, otaczając jak naszyjnikiem jej blade obojczyki. Wreszcie przemówiła.

- Pomagam aniołom wszystkich przybywających tu dzieci. Staramy się ograniczyć szkody powstałe na świecie w rezultacie krzywd uczynionych przez to miejsce. Przez Hildę. Wychowali się tutaj mordercy, gwałciciele, narkomani. Nie możemy powstrzymać Hildy przed tym, co robiła. Ale możemy w miarę możliwości próbować leczyć rany tych małych ludzi.

Spojrzałyśmy na Margot i Hildę idące schodami na górę. Poszłyśmy za nimi.

- Jak mogę pomóc?

- Pamiętasz Grobowiec?

Przez chwilę myślałam, że zwymiotuję. Niemalże wyparłam Grobowiec z pamięci. Był on dziełem makabrycznego kunsztu Hildy: małe, rojące się od szczurów, pozbawione okien pomieszczenie, w którym sześciolatnie dziecko nie mogło się wyprostować. Unosił się tam odór odchodów, zgnilizny i śmierci. Grobowiec był karą zarezerwowaną na specjalne okazje. W zależności od wieku dziecka Hilda stosowała ją w zestawie z jednym ze swoich ulubionych rodzajów tortur: głodzeniem, biciem i straszaniem potwornymi dźwiękami, które docierały do Grobowca przez rurę w podłodze, wywołując śmiertelne przerażenie u małych, nagich, wygłodzonych więźniów. Po wyjściu z Grobowca już zawsze byli płochliwi, nerwowi i małowolni. Drzwi Grobowca otwierano codziennie wyłącznie po to, aby oblać nagie

dziecko lodowatą wodą i wrzucić do środka miseczkę jedzenia, porcję wystarczającą jedynie do utrzymania go przy życiu. Ulubioną przez Hildę torturą było wyprowadzenie po kilku dniach więźnia z Grobowca, zaprowadzenie go do sypialni, na tak długo, by poczuł ulgę, a potem pobicie go do krwi i ponowne zamknięcie w Grobowcu. Tym razem na czas o wiele dłuższy od tego, który do tej pory wytrzymał.

Jeśli jakieś dziecko trafiało do Grobowca z niewielkim chociażby ziarnkiem miłości w sercu, to opuszczając to koszarne miejsce, nie miało już cienia wątpliwości, że miłość nie istnieje.

Spojrzałam na Sheren. Wiedziała, że dobrze pamiętam. Hilda postarała się o to, żebym nigdy tego nie zapomniała. Sheren pogłaskała mnie po twarzy.

- Musimy być w Grobowcu przy każdym dziecku, które Hilda tam zamknie.

- Chcesz, żebym tam wróciła?

Powoli pokiwała głową. Doskonale wiedziała, co to dla mnie znaczy i jak wiele ode mnie oczekuje. Musnęła palcami moją dłoń, sprawiając, że przez mój umysł przewinęła się seria obrazów, których Sheren była świadkiem w dzieciństwie Hildy: wieloletniego wykorzystywania jej przez pięciu starszych mężczyzn i szczególnie wyrafinowanych tortur, jakie jej zadawali.

- Przykro mi - powiedziałam wreszcie.

- Pokazuję ci to wszystko tylko po to, żebyś wiedziała, jak doszło do tego, że Hilda stała się tym, kim była.

- Kiedy zaczynamy?

- Dzisiaj zamknie w Grobowcu chłopca. Zostań z Margot, dopóki cię nie zawołam.

- Dobrze.

*

Pierwszym dzieckiem, z którym Margot się zaprzyjaźniła, był siedmioletni chłopiec o imieniu Tom. Niski jak na swój wiek, niedożywiony i niezbyt bystry Tom łatwo dawał się ponosić wyobraźni i nie był lubiany przez swojego nauczyciela pana O'Hare. Margot została umieszczona w żłobku z o wiele młodszymi dziećmi, wśród których się nudziła. Chciała tańczyć jive'a do muzyki Beatlesów, tak jak kiedyś z Kariną. Chciała się uczyć piosenek ze starszymi dziećmi. Wydawało jej się, że dzieci w klasie po przeciwnej stronie dziedzińca spędzają czas o wiele przyjemniej niż ona, bawiąca się wyliniałymi pluszowymi misiami i drewnianymi klockami z dziećmi, które nie umiały jeszcze chodzić. Podeszła do otwartego okna i zobaczyła, jak nauczyciel w tamtej klasie nagle przestał mówić, podszedł w kierunku ostatnich ławek, a potem ponownie pojawił się w polu widzenia Margot, ciągnąc Toma,

którego następnie wyrzucił za drzwi. Kilka sekund później nauczyciel wyłonił się znowu z zakończoną drewnianym uchwytem gąbką do tablicy, wyszedł na korytarz i wymierzył nią Tomowi kilka ciosów w głowę, a potem wrócił do klasy.

Tom skulił się na podłodze. Po paru minutach usiadł prosto, pocierając ucho. Po kilku następnych zaczął sobie wyobrażać, że zamiast na korytarzu znalazł się na planecie Rusefog i walczy z wojowniczymi szympanсами o skarb piratów. W jego rękach znalazł się niewidzialny karabin maszynowy. Wycelował go w okna żłobka, naśladując dźwięki wybuchów, w miarę jak eksplodowały pociski.

Stojąca w oknie Margot zachichotała.

Usłyszawszy śmiech, Tom zastygł w bezruchu przerażony, że znowu zostanie zбитy. Margot, widząc, że zwróciła jego uwagę, stanęła na palcach i pomachała mu. Nie zauważył jej. Wrócił do swojej misji. Jakiś wyjątkowo zawzięty szympanś w fioletowej zbroi zmierzał właśnie w jego kierunku. Tom musiał odstrzelić mu stopy, żeby szympanś nie mógł go dopaść. Przykucnął, wycelował i wystrzelił.

Margot tamten korytarz wydawał się bardzo ciekawym miejscem. Podeszła do opiekunki żłobka.

- Muszę siusiu.

Opiekunka uśmiechnęła się i spojrzała na Margot zza okularów.

- Mówi się: „Czy mogę skorzystać z toalety, panno Simmonds?”. Tak, możesz, Margot. Proszę, idź.

Panna Simmonds otworzyła drzwi, żeby wypuścić Margot, i dokładnie je za nią zamknęła.

Margot rozejrzała się po korytarzu. Nie było tam nikogo oprócz niej i Toma, który stał kilka metrów dalej. Podeszła do niego ostrożnie. Był tak zaabsorbowany strzelaniną, że nie zauważył jej, dopóki nie pomachała mu ręką przed nosem.

- Och! - na ułamek sekundy Margot stała się blond szympansem. Tom powrócił do rzeczywistości. - Och - powtórzył.

Margot uśmiechnęła się do niego.

Tom spędził cztery pierwsze lata swojego życia w cieplarnianych warunkach, w pełnym miłości domu na zachód od Newcastle nad rzeką Tyne w północno-wschodniej Anglii. Kiedy los zadał mu podwójny cios, karząc śmiercią rodziców i nędzą, plątał się odsyłany od jednych krewnych do drugich, aż w końcu, tak jak Margot, znalazł się przed czarnymi drzwiami Domu Świętego Antoniego, gdzie jedyną bronią przed następnymi ciosami była jego wyobraźnia.

Nie zapomniał dobrych manier. Wyciągnął brudną dłoń.

- Tom - przedstawił się. - A ty jak masz na imię?

- Mam na imię Margot - powiedziała i uściśniła niechętnie jego dłoń. - Czy mogę się z tobą bawić?

Zastanowił się. Przygryzł wargę, oparł rękę na biodrze, uciekając wzrokiem to w lewo, to w prawo.

- Proszę - powiedział wreszcie, podając jej niewidzialny przedmiot. - To jest miotacz laserowy. Roztapiasz tym pyski szympansom. Nie zwracaj sobie głowy strzelaniem w zbroję. Jest nieprzenikalna.

Margot przez kilka chwil mrugała oczami.

- Peł, peł, peł! - zasyczał Tom, celując w ścianę naprzeciwko.

Margot poszła w jego ślady.

- O, nie! - krzyknął Tom, opuszczając broń wzdłuż boku. Oczy mu się rozszerzyły. - Skończyła ci się amunicja! Daj, to ci naładuję karabin. - Ostrożnie wziął z jej rąk ciężką broń i naładował ją. Popatrzył na nią z niepokojem. - Będziesz potrzebowała czegoś lepszego niż to - sięgnął do swojej kostki i delikatnie wysunął zza niewidzialnego paska jakiś przedmiot.

- To miecz mojego ojca - wyszeptał. - To miecz Lennona. Używaj go do wycinania im serc.

Margot pokiwała głową i wzięła niewidzialny miecz z rąk Toma. Była zbyt zaaferowana, żeby zauważyć, że podskakują przed nią, sycząc: Margot, Margot, wracaj do sali! Do sali!

Bo oto zza rogu na końcu korytarza wyłoniła się Hilda Marx. Sheren biegła przed nią, żeby mnie zaalarmować. Anioł Stróż Toma, wysoki szczupły mężczyzna o imieniu Leon, stał u jego boku i poszturchiwał go. Tom wreszcie zwrócił na niego uwagę, ale przedtem zdążył jeszcze wrzasnąć: „A macie, zmutowane diabły!”, prosto w kierunku Hildy.

Dyrektorka zobaczyła, że bawią się razem w głupią dziecięcą zabawę. Nic dobrego. Zasłużyli na stosowną karę.

Uśmiechnęła się, co nigdy dobrze nie wróżyło, i podeszła do nich.

- Co to ma być, dzieci? Co to za głupie zabawy?

Tom wypuścił z rąk cały swój arsenał i utkwiał wzrok w podłodze. Margot zrobiła to samo.

- Tom, dlaczego nie jesteś w klasie?

Nie odpowiadał.

- Mów, chłopcze!

- Nie uważałem, panno Mara.

Hilda Mara zwróciła się do Margot.

- A ciebie co skłoniło do opuszczenia żłobka?

- Muszę siusiu, proszę pani.

Hilda wydeła wargi. Wyciągnęła rękę grubą jak gałąź, wskazując na koniec korytarza.

- Toaleta jest tam. Ruszaj.

Margot popędziła we wskazanym kierunku. Kiedy dotarła do drzwi toalety, odwróciła się. Po całym korytarzu rozległo się echo wymierzonego Tomowi policzka.

Doniesienia pana O'Hare o lekkomyślności Toma, jego pogarszających się ocenach i złym zachowaniu na lekcjach utwierdziły Hildę w przekonaniu, że musi doprowadzić chłopca do porządku, a więc konieczny będzie Grobowiec.

Po ogłoszeniu ciszy nocnej wszyscy aniołowie spotkali się na podeście schodów prowadzących z głównego holu na górę. Sheren powiedziała nam, co się wkrótce stanie. Kiedy wszyscy wychowankowie zasną, Hilda i pan O'Hare przyjdą po Toma. Rozbiorą go, zbiją i zamkną w Grobowcu na dwa tygodnie. Żadne dziecko w wieku poniżej dziesięciu lat nigdy nie zostało zamknięte tam na dłużej niż dziesięć dni. Kara była szczególnie sroga, mówiła Sheren, ponieważ Tom przypominał Hildzie ją samą. Wszyscy aniołowie musieli teraz pomóc Tomowi przetrwać ten straszny czas, ponieważ skutki tego przeżycia miały się odbić na jego dorosłym życiu. W grę wchodziły tak poważne konsekwencje jak depresja maniakalna, agresja, zmarnowany talent dramaturga, rozpad jego małżeństwa i przedwczesna śmierć. A wszystko to miało się zdarzyć, zanim Tom skończy trzydzieści pięć lat. I wszystko z winy Hildy Mara.

Wróciłam do Margot, która tej pierwszej nocy w sierocińcu nie mogła zasnąć. Zbyt wiele osób było w pokoju. Zbyt wiele skrzypnięć, szeptów, pochrapywań i szlochów, żeby nie odczuwać przerażenia. Poglaskałam ją po rękach. Po raz pierwszy od miesiący spojrzała prosto na mnie. Uśmiechnęłam się.

- Hej, brzdącu - powiedziałam.

Od razu odpowiedziała uśmiechem. Jego ciepło powędrowało aż do jej serca, usuwając tkwiący tam wielki głaz i promieniując na całe ciało, aż jej szarobura aura stała się jasna, żółtozłota, lśniąca jak wschód słońca. Dziewczynka powoli zapadła w głęboki sen.

Leon szybko do mnie podszedł. Gestem poprosił, żebym z nim poszła. Upewniłam się, że Margot zasnęła, i wyszłam. Zaprowadził mnie do sąsiedniej sypialni, gdzie zgromadzili się pozostali aniołowie. Czekaliśmy dłuższą chwilę. Większość dzieci spała. Tom, posiniaczony i

zakrwawiony po spotkaniu z Hildą, nie spał. Był zajęty planowaniem ucieczki z Rusefogu, żeby zmierzyć się z kosmicznymi słoniami na planecie Gymsock.

Anioł Stróż Toma Leon był jego bratem bliźniakiem. Zmarł kilka minut przed urodzeniem się Toma. Miał takie same jak on gorączkowe ruchy, te same rozwichrzone włosy. Teraz nerwowo zatarł ręce.

Sheren spojrzała w prawo. Podążyłam za jej spojrzeniem. Usłyszałam szepty dobiegające z korytarza. Wpadające przez okno światło księżyca oświetliło dwie głowy. Hildy i pana O'Hare. Cicho przeszli przez sypialnię. Odsunęliśmy się, żeby ich przepuścić, a we mnie aż się gotowało z bezsilności. Patrzyłam, jak na ustach Toma zaciska się dłoń, a wokół jego pasa mocne ramię pana O'Hare, które wyciąga go z łóżka i niesie do pokoju na dole. Zdjęli z niego ubranie, zbili go, używając do tego cegły, a kiedy stracił przytomność, ocucili zimną wodą, żeby zdawał sobie sprawę, że zamykają go w Grobowcu. Ten ostatni środek był elementem taktyki zastraszania - krzyk w środku nocy napawał pozostałe dzieci lękiem, który nie opuszczał ich do końca życia. Sprawiał, że były posłuszne.

Jeszcze raz upewniłam się, że Margot śpi, a potem poszłam za tłumem aniołów do Grobowca znajdującego się w budynku gospodarczym obok szamba. Chrząszcze, karaluchy i szczury gromadziły się w rurze, którą do Grobowca wlewały się resztki ścieków, wypełniając go na wysokość pięciu centymetrów. Z mazi wystawał duży kamień, dzięki któremu skulony więzień mógł pozostać suchy. Jedno za drugim weszliśmy do Grobowca. Szłam na końcu. Przystanąłam, wspominając, jak znalazłam się tutaj jako ośmioletnia dziewczynka. Tamta chwila w przerażający sposób wpłynęła na całe moje życie. Był to punkt kulminacyjny wszystkich moich nocnych koszmarów i przeżycie, którego wspomnienie wpędziło mnie w alkoholizm.

Nabrałam powietrza i weszłam do środka. Drzwi były jeszcze zamknięte, ale wszyscy widzieliśmy zmierzającą w naszym kierunku trójkę: pana O'Hare, Hildę i na wpół niesionego, na wpół wleczonego Toma pomiędzy nimi. Tom płakał, wymiotując i wlokąc po żwirze bosa stopy, aż obtarł je do żywego mięsa. Kiedy zdał sobie sprawę, gdzie jest, zaczął się bronić z całych sił. Pozwolili mu wrzeszczeć przez kilka minut, po czym ogłuszyli uderzeniem pięścią w jego małą szczękę. Wylądował twarzą w szlamie. Drzwi się zatrzasnęły.

Leon musiał przesunąć Toma, tak żeby mógł oddychać i nie utonął. Ostrożnie umieścił go na kamieniu. Jeden z ciosów spowodował w jego głowie skrzep, który pozostawiony bez leczenia, dostałby się do jego mózgu i zabił go przed nadejściem dnia. Anioł położył dłonie na głowie Toma i w tej samej chwili wydobyło się z nich złote światło, pod wpływem którego skrzep się wchłonął.

Kiedy Tom się ocknął, trząśnięcie na całym ciele z powodu zimna i doznanego szoku. Jego wyobraźnia nie byłaby w stanie stworzyć czegoś tak potwornego jak Grobowiec. Z rury zaczęły wychodzić stworzenia będące władcami tego terytorium. Wpełzały w gęste włosy Toma, posuwały się pomalutku w kierunku jego genitaliów, gryzły go w stopy. Sheren wysłała błysk niebieskiego światła, które sprawiło, że rozpierzchły się po kątach. Więcej go nie niepokoiły. Ale przerażenie i smród ścieków powodowały, że wydalał obydwojma końcami ciała, aż wreszcie jego żołądek był już całkiem pusty. Resztę nocy spędził, szlochając i wołając mamę. Nie zdawał sobie sprawy, że Leon obejmuje go, płacząc.

Co jakiś czas opuszczałam Grobowiec, żeby sprawdzić, czy u Margot wszystko w porządku. Czwartej nocy Tom miał halucynacje z głodu i pragnienia. Był przekonany, że widzi swoich rodziców. Jego krzyk docierał aż do głównego budynku. Hilda kazała woźnemu panu Kinnairdowi wziąć wiadro zimnej wody oraz kromkę chleba i iść do Grobowca zająć się więźniem. Sheren dopilnowała, żeby pan Kinnaird usłyszał co innego i zaniósł biednemu Tomowi cały bochenek, który chłopiec natychmiast pochłonął.

Każdego wieczoru, gdy z nadejściem zachodu słońca narastało przerażenie Toma, formowaliśmy wokół niego krąg, łącząc dłonie i otaczając go kopułą światła, dopóki nie ogarnął go całkowity spokój, który pozwalał mu zasnąć. Ostatniej nocy Leon skończył leczenie najcięższych obrażeń Toma, pozostawiając jednak niewielki krwiak w jego mózgu.

- Dlaczego? - zapytałam.

- To sprawi, że będzie roztargniony - powiedział. - Zostawiłem to, żeby łatwiej mu było zapomnieć najgorsze.

I tak oto nagi, chudy jak szkielet chłopiec, którego Hilda i pan O'Hare w końcu wywlekli z Grobowca, przeżył. Pan Kinnaird, pełniący również funkcję lekarza, zarządził dla Toma dwa tygodnie odpoczynku w łóżku i nagle poczuł niezwykle silną potrzebę uzupełnienia wstrętnych pomysłów, którymi karmiono chłopca, dodatkowymi porcjami mięsa i warzyw. Wyobraźnia Toma wróciła do dawnej sprawności (zasługa Leona), wielokrotnie umożliwiając mu znajdowanie w ciemnościach nocy nieistniejących wcześniej dróg ucieczki z przerażających miejsc lub odkrywanie w tajemnych skrzyniach mieczy, którymi walczył z wymyślonymi wrogami.

Mniej więcej rok później do Domu Dziecka imienia Świętego Antoniego przybył starszy kuzyn Toma, żeby zabrać go do siebie. Leon odszedł razem z Tomem i, jak słyszałam, dopilnował, aby umysł Toma twórczo przetworzył wszystkie przeżycia z sierocińca - zarówno te świadome, jak i podświadome - podobnie jak ostryga zamienia w perłę obce ciało.

Uwaga Hildy skupiła się teraz na innych chytrych łotrach, których miała pod opieką.

Jednym z nich była Margot.

Rozdział 9

PIEŚŃ DUSZ

Żyłam jak we śnie.

Moje wspomnienia z czasów kiedy miałam cztery, pięć i sześć lat, są nabrzmiałe od dziecięcych emocji, zniekształcone przeżywaniami ich ciągle na nowo, tak że nie jestem już pewna, co wydarzyło się naprawdę, a co jest jedynie moją późniejszą interpretacją przeszłych wydarzeń.

Innymi słowy, zawsze kiedy Margot została wychłostana przez Hildę, pobita przez starsze dzieci albo odtrącona przez te, z którymi dzieliła sypialnię, tak że czuła się całkowicie opuszczona, ból, który odczuwałam, patrząc na jej cierpienie, splatał się z ciężarem moich wspomnień. Czasem było to nie do zniesienia.

Znaliśmy historie aniołów, których Istoty Chronione były pedofilami, seryjnymi mordercami, terrorystami. Dzień po dniu musieli oni to znosić. Obserwować. Rejestrować. Kochać. Aniołowie, którzy swe śmiertelne życie spędzili w służbie Kościoła lub w roli przepelnionych radością kobiet opiekujących się dziećmi i wnukami wśród ukwieconej, pachnącej szarlotką niewinności swoich domów, teraz mieli przeżyć kolejne życie, podążając za dilerami narkotyków i alfonsami, odwiedzając meliny, patrząc na swoich podopiecznych, którzy usuwają niechciane cięższe, i chroniąc ich przed konsekwencjami ich własnych życiowych wyborów. Musieli ich kochać.

Dlaczego?

„Ponieważ tak trzeba - odpowiadała Nan. - Bóg nie pozostawia bez opieki żadnego ze swoich dzieci”.

Moja sytuacja wydawała mi się gorsza od tych, które znałam z opowieści innych aniołów w Domu Świętego Antoniego. Nic, absolutnie nic nie mogło się równać z egzystencją złożoną z potwornych wspomnień przeplatanych terażniejszością. Nic nie mogło się równać z przeżywaniami następnymi dniami wypełnionych po brzegi najczystszy żalem. Znałam już efekt końcowy. I byłam bezradna.

Trochę przypominało mi to loterię. Bombardowałam Nan pytaniami. Według jakiego klucza jesteśmy łączeni w pary z naszymi Istotami Chronionymi? Dlaczego ja muszę strzec Margot? Czy to ma coś wspólnego z tym, jak umarłam?

Kiedyś zmusiłam Sheren, żeby powiedziała mi, jak umarła.

- Pięćdziesiąt tabletek i butelka sherry.

- A więc samobójcy zostają swoimi Aniołami Stróżami? Myślisz, że ja też popełniłam samobójstwo?

- Niekoniecznie.

- Więc jak to się stało?

- Spotkałam kiedyś anioła, który przechodził przez to samo co my. Twierdził, że przesądza o tym sposób, w jaki żyliśmy.

- To znaczy?

Wskazała na Hildę wciskającą swój artretyczny palec w twarz czteroletniej dziewczynki, która zmoczyła łóżko.

- Wiesz, czym jest pieśń dusz, prawda?

- Pieśń... czego?

Sheren pokręciła głową i przewróciła oczami. Poczułam się głupio.

- Ona odróżnia nas od innych aniołów, dzięki niej łatwiej jest nam strzec naszych Istot Chronionych i wywierać na nie wpływ. Ci, których ochraniaemy, są dawnym wcieleniem nas samych. Patrz.

Podeszła do Hildy, nad którą wirowała już myśl o Grobowcu, gdzie najwyraźniej zamierzała zamknąć dziewczynkę. Sheren stanęła obok Hildy i zaczęła śpiewać. Melodia brzmiała jak tradycyjna szkocka kołysanka, ale słowa były w języku, którego nie mogłam rozpoznać. Pieśń była spokojna, tajemnicza, piękna. Głęboki głos Sheren, o wspaniałym, donośnym brzmieniu, rozlegał się coraz głośniejsz, aż podłoga zaczęła drżeć. W miarę jak Sheren śpiewała, jej skrzydła unosiły się i powoli otaczały ją i Hildę. Ich aury nabrały tego samego fioletowego odcienia. Myśli Hildy stopniowo odwróciły się od Grobowca. Posłała jedynie dziewczynkę do łóżka bez kolacji.

Podeszłam do Sheren.

- Gdzie się tego nauczyłaś?

- Pieśń dusz to każda melodia, która buduje harmonię między tobą a Margot, łączy was duchowo niezależnie od etapu, który ona właśnie przeżywa jako człowiek. Jaką piosenkę zapamiętałaś z dzieciństwa? Jaka muzyka była kiedyś dla ciebie ważna?

Myślałam intensywnie. Przychodziły mi do głowy wyłącznie dziecięce rymowanki. Bóg mi świadkiem, dosyć się ich naśpiewałam, żeby uspokoić Margot, kiedy mieszkała u Sally i Pdraiga. Ale nagle przypomniałam sobie coś, co śpiewał kiedyś Toby, usiłując pisać.

Była to stara irlandzka piosenka *I poszła przez targ*. Zdałam sobie sprawę, że Una śpiewała ją Margot.

- No dobrze - powiedziałam. - Jak to działa?

- Pieśń dusz łączy twoją wolę z wolą Margot. Nadal jesteś nią, tyle tylko że o innym imieniu i w innym wcieleniu. Ale łączy was możliwość decydowania o własnym losie i wybory, których przyszło wam dokonać.

- Mogę więc sprawić, że podejmie jakąś decyzję?

Sheren pokręciła głową.

- Nie zawsze. To ona ma ciało. I ona tu rządzi. Ty możesz tylko próbować na nią wpływać.

Rozboliła mnie głowa. Poszłam do Margot. Pieśń dusz, co? Może mogłabym jej wyśpiewać drogę ucieczki z tego miejsca.

W wieku ośmiu lat Margot była wyższa o głowę od swoich rówieśników. Wiedziała, ile ma lat, ponieważ co roku dziesiątego lipca nauczyciel stwierdzał, że jest o rok starsza - i tyle. Z łatwością mogła uchodzić za dziewczynkę jedenasto- lub dwunastoletnią, co oznaczało, że była karana za wszystkie zachowania typowe dla ośmiolatki. Żadne dziecko w jej wieku nie chciało się z nią przyjaźnić, a te dwunastoletnie również nie chciały mieć z nią nic wspólnego. No, to nie do końca prawda. Dwie starsze dziewczynki, Maggie i Edie, poświęcały jej wiele uwagi. Zazdrościły jej długich jasnoblonde włosów. Dbały zatem o to, żeby jak najczęściej farbowały się na czerwono od krwawiącego nosa. Albo żeby podbite oczy upodabniały Margot do pandy.

Miałam ochotę je utopić. Chciałam przerzucić przez poręcz stojący u szczytu schodów potężny dębowy regał z książkami i dopilnować, żeby wylądował na ich głowach. Chciałam to zrobić nie tylko dlatego, że to ja tuliłam Margot, kiedy szlochała nocą w poduszkę, nie tylko dlatego, że musiałam patrzeć, jak Maggie siada na niej okrakiem, a Edie kopie ją po twarzy, ale ponieważ to wszystko pamiętałam. Nie byłam całkowicie bezradna - raz udało mi się sprawić, że brutalny cios w tył szyi Margot nie złamał jej karku - co oczywiście nie wystarczało, żebym mogła się poczuć skuteczna, nie mówiąc już o zaspokojeniu mojej żądzy odwetu.

Jak wyprowadzony z równowagi rodzic pokłóciłam się z aniołami Maggie i Edie. Tłumaczyły, co było powodem zachowania dziewczynek. Coś o wykorzystywaniu, coś tam o znęcaniu się. Kwitowałam te wymówki machnięciem ręki. Nic. Mnie. To. Nie. Obchodzi. Zróbcie z tym porządek, bo inaczej ja zrobię to za was. Clio i Priya - tak miały na imię anioły - wymieniły spojrzenia. Po nocy, którą Maggie spędziła w Grobowcu za niegrzeczne

odpowiadanie, Edie nagle zaczęła myśleć o dokuczaniu Margot z niespotykanym dotąd poczuciem skruchy. Przyśniła się jej babcia, którą Priya była za życia. Babcia pouczyła Edie, aby była grzeczna i Margot przez jakiś czas miała spokój.

Wszystko to działo się, zanim zaśpiewałam pieśń dusz.

Wyczułam obecność rodziny, która właśnie wprowadziła się do pobliskiej wsi. Byli to dobrzy, pracowici ludzie. Miałam wizję, z której dowiedziałam się, że pan domu Will, mężczyzna po czterdziestce, pracuje jako przedstawiciel handlowy i sporo podróżuje. Jego żona Gina, zanim urodziła syna Todda, przez wiele lat uczyła gry na fortepianie. Przenieśli się na północ z Exeter, żeby opiekować się starszymi rodzicami Giny. Odniosłam wrażenie, że byliby dobrzy dla Margot, i - co ważniejsze - poczułam, że wzięliby ją do siebie.

Słowa Sheren o pieśni dusz stanowiły dla mnie potwierdzenie przypuszczeń, że życie Margot nie jest historią wyrytą w kamieniu. Można je uznać co najwyżej za zapisaną stronicę, którą wciąż jeszcze da się przeredagować. Jeśli potrafię sprawić, by Margot dokonywała innych wyborów, to znaczy, że istnieje szansa wydostania się z Domu Świętego Antoniego w nie tak odległej przyszłości.

Tamtej nocy odczekałam, aż zgasną światła, i postanowiłam zrobić użytek z moich dawno nieużywanych strun głosowych. Wstałam i dosyć skrępowana, upewniłam się, że pozostali aniołowie nie patrzą, jak nabieram powietrza i zaczynam śpiewać. Zaczęłam cicho. „Ma miła mi rzekła, matka pozwoli”... Margot poruszyła się we śnie i leżąc na lewym boku, zaczęła się wiercić na nierównym materacu. „I ojciec nie wątpi o twej dobrej woli”... Staralam się trzymać melodii. Śpiewałam teraz trochę głośniej. „Zrobiła krok w tył i to powiedziała: »Nie będę już długo na ślub nasz czekała«”. Otworzyła oczy.

Poczułam, że wodospady na moich plecach się unoszą, podobnie jak to się działo ze skrzydłami Sheren, które przybierały formę błyskawic nad jej głową w czasie, gdy śpiewała. Aura Margot rozszerzyła się, nabierając coraz głębszego koloru. Dziewczynka patrzyła wprost na mnie, choć nie mogła mnie widzieć ani słyszeć. Mogła jedynie gdzieś w głębi ducha odczuwać coś innego niż zwykle. Śpiewałam jeszcze głośniej, aż wszyscy aniołowie w pokoju odwrócili się i patrzyli na mnie. „Zrobiła krok w tył i poszła przez targ”... Widziałam teraz serce Margot, silniejsze, uzdrowione. A potem zobaczyłam jej duszę - owal białego światła przepełniony jednym pragnieniem: pragnieniem matki.

Śpiewając, intensywnie myślałam o rodzinie, którą widziałam w pobliskiej wsi. Ułożyłam w głowie plan ucieczki z instrukcjami dla Margot:

Puść w obieg plotkę, że masz spędzić noc w Grobowcu. Ukryj się w kotłowni, a o świcie wymknij się na podwórze. Kiedy ruszy dostawcza ciężarówka, wskocz do niej i schowaj

się pod workami z węglem. Gdy ciężarówka zwolni, żeby przejechać przez zagrodę dla owiec przy wjeździe do wsi, wyskocz i biegnij do domu z błękitnymi drzwiami. Tam cię przyjmą.

Kiedy przestałam śpiewać, Margot siedziała wyprostowana na łóżku, z kościstymi kolanami pod brodą. Jej umysł pracował na zwolnionych obrotach. Widziałam, o czym myśli: wyobrażała sobie mój plan ucieczki, rozważała go. Tak. Ciężarówka przyjeżdża o piątej rano w każdy czwartek, czyli pojutrze. Widziała ją kilka razy. Kierowca - stary Hugh - jest głuchy na jedno ucho. To ułatwi zadanie.

*

Następnego ranka Margot zwierzyła się Tilly, jedenastoletniej dziewczynce, która spała nad nią na piętrowym łóżku, że tej nocy zamkna ją w Grobowcu.

- Eee, za co?

O tym Margot nie pomyślała.

- Yhm, robiłam miny do panny Marx.

- Robiłaś m i n y do panny Mara? Ale jesteś odważna! Czekał tylko, aż powiem o tym reszcie!

W porze lunchu przy każdym stoliku wrzało od plotek. Opowieść zaczęła żyć własnym życiem. Margot już nie tylko zrobiła minę. Eee, nie. Nazwała pannę Marx k u p ą g ó w n a, powiedziała jej to prosto w twarz. Potem, kiedy panna Mara próbowała zaciągnąć Margot do swojego biura, żeby spuścić jej lanie, Margot dwukrotnie ją spoliczkowała i podniosła jej spódnice. Teraz dziewczynkę czekała wieczność w Grobowcu.

Margot miała jeden kłopot: jak odegrać scenę odprowadzenia jej do Grobowca. Zgodnie z dotychczasową tradycją, Hilda i pan O'Hare wywlekali nagich przestępców wieczorem z ich sypialni. Publiczne widowisko było ważne i zaspokajało u Hildy żądzę karania. Dlatego Margot puściła w obieg inną plotkę: zamierzała się ukryć przed swymi oprawcami, by utrudnić im zadanie. W końcu jej kara już i tak zapowiadała się potwornie. Czy mogło być jeszcze gorzej?

Było w tym wszystkim ziarno prawdy: Margot rzeczywiście się ukryła. Po kolacji, zachęcana przez większość dzieciaków, zapakowała do torby na ramię trochę resztek z kolacji, wymknęła się korytarzem w kierunku kotłowni, usiadła przykryta kocem i czekała.

Poinformowałam o wszystkim pozostałe anioły. Sheren popatrzyła na mnie zatroskana.

- Wiesz, co się stanie, prawda?

Pokręciłam głową. Nie miałam żadnych wspomnień związanych z tym wydarzeniem, tylko gorącą nadzieję, że nam się uda. Sheren westchnęła i wróciła do biura Hildy, obiecując, że zrobi, co będzie w jej mocy.

Na szczęście tego dnia to pan Kinnaird gasił światła. Kiedy szybkim krokiem przemierzał sypialnie, sprawdzając, czy wszyscy są w łóżkach, zobaczył, że łóżko Margot jest puste.

- Jest w Grobowcu, proszę pana - wyjaśniła Tilly.

- Ta? - sprawdził notatki. - Ni mam nikogo na Grobowiec, przynajmi na dzisiaj.

Tilly zrobiła niewinną minkę.

- Znowu zapomniał pan okularów, prawda?

Zapomniał.

- O. No tak. Hm. No to ją odhaczę.

Tilly pokiwała głową. Po pokoju krążyły szeptki. Pan Kinnaird niczego nie zauważył.

Margot nie mogła spać pomimo panującego w kotłowni przytulnego ciepła. Z każdym jękiem i stuknięciem wydobywającym się z rur wnętrzości skręcały się jej ze strachu, że ktoś odkrył plan i idzie po nią do jej kryjówki. Siedziałam przy niej całą noc, otulałam ją suknią, kiedy zaczynała trząść się z zimna i strachu, obiecywałam, że nam się uda. Wizja rodziny z wioski stała się tak wyrazista, że Margot mogła rozróżnić twarze jej członków. Pałała pragnieniem bycia z nimi, choćby miała dobijać się do ich drzwi i błagać, aby przyjęli ją do siebie. „Będę wam przynosiła śniadanie do łóżka. Mogę prac, sprzątać i gotować, tylko zabierzcie mnie z Domu Świętego Antoniego. Tylko dajcie mi rodzinę”.

O piątej rano w porannej ciszy rozległ się chrzęst żwiru na podjeździe. Było jeszcze ciemno, ale słońce drapało już promieniami horyzont. Margot usłyszała pokasztywanie silnika dostawczej ciężarówki. Fałszywe nucenie Hugh. Teraz, powiedziała Margot. Podniosła torbę, otworzyła po cichu drzwi i na paluszkach wyszła na przenikliwy poranny chłód.

Stojąc przy drzwiach kotłowni, widziała, jak kierowca kręci się przy frontowym wejściu. Jego ciężkie buciorzy łomotały powoli tam i z powrotem między ciężarówką a drzwiami. Rzucił wielkie worki z węglem, żywnością i ubraniami darowanymi przez wieśniaków. Margot prawie przestała oddychać, a jej serce łomotało jak szalone. Wyglądała, jakby miała zemdleć. Zrobiłam krok w stronę ciężarówki, chcąc się przekonać, czy ktoś mógłby ją zobaczyć, ale wtedy pod Margot ugięły się kolana. Złapałam ją właściwie w ostatniej chwili. Objęła mnie obiema rękami i dzięki temu udało jej się stanąć na nogi. Może za bardzo ją naciskam, pomyślałam. Może nie jest na to gotowa.

Hugh wrócił do samochodu i włączył silnik. Szybko!, krzyknęłam. Ruszyła biegiem po żwirze w kierunku ciężarówki, otworzyła tylne drzwi i wskoczyła do środka na stertę zgniłych warzyw, worki na węgiel i drewno na opał. Ciężarówka zachrzęściła na podjeździe, kierując się w stronę szosy.

Margot zrobiła tak, jak zaplanowałyśmy, ukryła się pod workami na węgiel. Przycisnęłam ręce do piersi i wciągnęłam powietrze. Udało się! Uciekła! Pomyślałam o rodzinie we wsi. O tym, jak będę szeptała do ucha tamtej kobiecie, że Margot jest jej córką, której nigdy nie miała, córką, o której marzyła, którą odtąd będzie mogła otaczać miłością i troską.

Patrzyłam na odjeżdżającą ciężarówkę i płakałam. Margot również szlochała tak przepełniona nadzieją i strachem, że wydawało jej się, iż wybuchnie.

I wtedy silnik zgasł. Na samym środku alei. Ciężarówka stanęła. Hugh zaklął, przekręcił kluczyk i zgrzytnął skrzynią biegów. Spod maski dobiegł jedynie zachrypnięty mechaniczny kaszel. Zajrzałam do silnika: zalany olejem. Łatwe do naprawienia. Ale szybko! Hugh pogwizdywał radośnie, otwierając maskę i zabierając się do naprawy.

Wtedy właśnie Sheren pojawiła się u mojego boku.

- Przykro mi, Ruth - powiedziała.

Zamarłam.

Rozległo się szuranie kroków i wrzask. Tylne drzwi ciężarówki otworzyły się. Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, ręce Hildy dopadły Margot, wyciągnęły ją z samochodu i zawlokły za włosy do frontowych drzwi Domu Świętego Antoniego, w obecności niczego nieświadomego starego Hugh.

W jednej chwili wizja rodziny z wioski się rozviała. Dla Margot równie dobrze mogliby nie żyć. Tak jak i ona sama.

Tym razem Hilda nie użyła do bicia swoich rąk ani nóg, ani nawet bicza. Posłużyła się małym, ale wystarczająco ciężkim workiem węgla, którego Margot trzymała się kurczowo, kiedy Hilda wywlekała ją z ciężarówki. Sheren płakała, śpiewając Hildzie i robiąc wszystko, co w jej mocy, żeby powstrzymać ją przed podnoszeniem worka nad głowę i opuszczaniem go na leżące nieruchomo na podłodze drobne ciało Margot. Ja mogłam jedynie starać się zapobiec roztrzaskaniu jej głowy albo przebicciu nerek w wyniku następnych uderzeń. A potem, kiedy wszyscy aniołowie spędzali noc za nocą, opiekując się Margot w Grobowcu, utworzyliśmy wokół niej krąg, lecząc obrażenia, które już powstały, i starając się zapobiec zatruciu reszty życia Margot przez traumę tych doświadczeń.

Myśl o ucieczce, którą podsunęłam Margot, nie opuściła jej. Przeciwnie, zaczęła kiełkować i zapuszczać korzenie.

Lecz sposób, w jaki doszło do jej realizacji, zaskoczył mnie.

Kiedy Margot miała dwanaście lat, Hilda była gotowa ją zabić. Sheren nie bez oporów podzieliła się ze mną tą wiadomością, ale nie miała wyjścia. Hilda nie postanowiła tak po prostu, że zabije Margot, ale gdybyśmy nie interweniowały, jej plan doprowadziłby do śmierci dziewczynki. Nieudana ucieczka Margot była ostatecznym dowodem na to, że należało raz na zawsze podciąć jej skrzydła. Miała spędzić miesiąc w Grobowcu. Był to najdłuższy wyrok, jaki kiedykolwiek otrzymało dziecko w Domu Świętego Antoniego.

Pocieszanie Margot każdej nocy przez nas, aniołów, nie wystarczyłoby. Musieliśmy zapobiec zamknięciu jej tam. Sheren powiedziała mi, żebym robiła, co mi każe. Popatrzyłam na nią przez chwilę. Minęło wiele czasu, odkąd przyjąłam do wiadomości, kim kiedyś była, kim była dla mnie. Zapomniałam o swojej nienawiści do niej. Przebaczyłam jej.

Sheren powiedziała nam, że tej nocy mamy pozwolić na wyciągnięcie Margot z łóżka. Hilda i pan O'Hare zawlekli Margot do łazienek na parterze, rozebrali ją, a potem ogłuszyli, popychając ją na stary zardzewiały kaloryfer. Byłam u kresu wytrzymałości, nie mogłam dłużej stać z boku. Odwróciłam się do Sheren.

- Powtarzaj Margot to, co ci powiem - powiedziała szybko.

Uklękałam obok dziewczynki, trzymając jej głowę. Krwawiła mocno z rany nad okiem. Jej oddech był płytki. Wciąż była nieprzytomna. Hilda kazała panu O'Hare zdjąć pasek.

Powtarzałam to, co mi nakazała Sheren:

Kiedy Hilda była mała, ponad wszystko kochała Marnie. A Marnie kochała ją. Ale Marnie umarła i Hilda była bardzo, bardzo smutna. Teraz Marnie patrzy na Hildę i to ona jest smutna. Powtarzaj za mną, Margot. Mów: „Gdyby Marnie mogła panią teraz zobaczyć, zabiłaby się jeszcze raz”.

Margot zakaszłała i się ocknęła.

- Jest pan gotów, panie O'Hare? - powiedziała Hilda, a on zamierzył się paskiem.

Powstrzymał go jego anioł. Krótki przypływ litości sprawił, że anioł pana O'Hare mógł wkroczyć i przytrzymać jego ramię w powietrzu. Powoli opuścił rękę i spojrzał na Hildę. Nie potrafił uderzyć leżącej Margot.

Gdy Sheren i ja stanęliśmy z boków Margot, udało jej się wstać. Naga, umazana krwią, zwróciła się do Hildy. Wzięła głęboki, przepełniony wściekłością oddech i zanim pan O'Hare zdążył wytłumaczyć się ze swojego przypływu ludzkich uczuć, powiedziała:

- Gdyby Marnie mogła panią teraz zobaczyć, zabiłaby się jeszcze raz.

Hilda rozdziawiła usta. Jej oczy zwęziły się.

- Co powiedziałaś?

Sheren szeptała już coś innego, co szybko przekazałam Margot.

Margot zacisnęła zęby. Odezwała się głośno i wyraźnie.

- Co takiego powiedziała Marnie, zanim umarła? „Bądź grzeczna, żebyśmy mogły spotkać się w niebie”. Niech pani spojrzy na siebie, panno Marx. Hildo. Marnie jest smutna. Stała się pani taka sama jak Ray, Dan, Patrick i Callum.

Padły imiona zwyrodnialców, którzy wykorzystywali Hildę. Tym razem jej oczy się zaszklily. Jej aura przybrała czerwony kolor, twarz zbrzydła od nienawiści. Rzuciła się w kierunku Margot i uderzyła ją z całych sił w twarz. Złagodziłam cios. Margot odwróciła głowę i gapiała się na Hildę i pana O'Hare. Żadne z nich się nie poruszyło. Podniosła swoje ubranie, odwróciła się i wyszła z łazienki.

Teraz. Uciekaj, zawołałam.

Gdy tylko zauważyła, że jej nie gonią, pognąła byle dalej przed siebie. Wciągając spódnicę, sweter i nie zawracając sobie głowy resztą, wybiegła przez frontowe drzwi i rzuciła się w kierunku bramy. Margot dyszała - adrenalina powodowała taki napływ śliny do jej ust, że prawie nie mogła jej pomieścić - a ja machałam. Machałam wszystkim aniołom, którzy zebrali się przed budynkiem, aby nas pożegnać. Większość z nich widziałam po raz ostatni. Szukałam Sheren. Podniosła obie ręce, jak wtedy gdy opowiadała mi o pieśni dusz, a ja pokiwałam głową. Wiedziałam, co ma na myśli.

Kiedy Margot złapała oddech, ruszyliśmy w dalszą drogę do wsi. O świcie przemarznięta do szpiku kości, ledwo żywa Margot niemal po omacku odnalazła błękitne drzwi i waliła w nie, dopóki nie otworzył jej rozczochrany, zaniepokojony mężczyzna. Margot upadła na kolana i płakała u jego stóp.

Rozdział 10

PROPOZYCJA GROGORA

Mężczyzna, który otworzył drzwi, nie był tym, którego widziałam w swojej wizji.

Jak się okazało, rodzina, którą wtedy zobaczyłam, sprzedała dom i przeprowadziła się z powrotem do Exeter, a człowiek stojący w drzwiach mieszkał tu od ponad roku.

Ale na jego widok krzyknęłam ze szczęścia. Skakałam z radości, rzuciłam mu się na szyję i wycalowałam go. Potem chodziłam w kółko, załamywałam ręce i mówiłam do siebie jak wariatka, podczas gdy Margot tłumaczyła, kim jest, dlaczego czołga się pod drzwiami o ósmej rano i jak to się stało, że wygląda jak nieboskie stworzenie.

Czułam się jak Eneasz, gdy zstąpił do Hadesu i spotkał tych, których kiedyś kochał, a potem stracił. Był to Graham Inglis, człowiek, którego nazywałam ojcem przez długie piękne lata. Nigdy nie pogodziłam się z jego śmiercią. Potrzebowałam kilku tygodni, żeby uwierzyć, że rzeczywiście znowu tu jest, czerwony na twarzy, pokryty brodawkami jak purchawka, ze swoją potworną skłonnością do wzdęć i bekania, człowiek, który nieustannie bełkotał z ustami pełnymi pieroga z mięsem i płakał z najbliższego powodu. Och, tato. Powiedzieć o nim, że miał serce na dłoni, to mało. On wklepywał je w dłoń pierwszy raz witanego człowieka i pozwalał, aby pompowało krew w czyjeś żyły.

Graham otulił Margot starym kocem, zabrał ją do środka i poczęstował gorącą herbatą. Poprosił, żeby chwilę poczekała, i przyprowadził Irinę - która przez jeden jedyny rok była dla mnie mamusią. Kiedy oni powolutku prowadzili Margot do salonu, ja stałam w przedpokoju, głęboko oddychając. Za dużo tego było jak na jeden dzień. Stałam oszołomiona, bełkocząc do siebie z zachwytem i gapiąc się na mamusię, jakby w każdej chwili mogła zniknąć. Chłonełam wszystko to, za czym tak bardzo tęskniłam: jej gładkie, pulchne dłonie, zawsze gotowe przyjść z pomocą, sposób, w jaki dawała Grahamowi kuksańca w brzuch, tłumiąc jednocześnie chichot, kiedy zażartował albo powiedział coś nieodpowiedniego, jej zwyczaj przeciągania związanych w koński ogon długich włosów między palcem wskazującym a kciukiem, kiedy była głęboko zamyślona. Aksamitny pachnący różami przepastny uścisk. Gdyby tak mogli przy mnie być, kiedy urodził się Theo... Myślę, że życie byłoby wtedy trochę znośniejsze.

Ale dość dygresji. Na chwilę straciłam wątek. Gdy poszłam do ogrodu, zobaczyłam pędzącego w moim kierunku Dżina, najukochańszego czarnego labradora na świecie. Pod jabłonią stała Nan. Szybko do mnie podeszła. Zarzuciłam jej ręce na szyję i zaczęłam szlochać.

- Nan! - płakałam w jej pulchne, ciepłe ramię. - Czy wiesz, kogo właśnie zobaczyłam? Pokiwała głową i chwyciła mnie za ramiona.

- Tak, tak, oczywiście. Wiem, tylko... uspokój się...

Opanowałam się. Cokolwiek Nan robiła z moimi ramionami, sprowadzało mnie to z powrotem na ziemię, że się tak wyrażę. Natychmiast mnie uspokoiła.

- Przepraszam - wybąkałam. - Ja tylko...

Położyła mi palec na ustach.

- Chodź ze mną - powiedziała. - Pora na pogawędkę.

Ale najpierw trochę wspomnień.

Było to na tydzień przed śmiercią mamusi. W sobotni rano obudziłam się z dziwnym uczuciem. Wokół panowała cisza, która była zbyt namacalna, zbyt ciężka od strachu, żeby mogła oznaczać spokój. Czułam lęk, stan zawieszenia. Moje serce biło jak oszalone bez powodu. Wstałam i poszłam do mamusi. Leżała jeszcze w łóżku, a jej twarz tworzyła żółtą plamę na tle białej pościeli. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam tatę idącego z Dżinem na poranny spacer. Spryskałam twarz zimną wodą. Chciało mi się krzyczeć, miałam ściśnięty brzuch i pomyślałam, że coś się zdarzy. Wiedzieliśmy już, że mamusia jest chora. Jednak to nie jej śmierć wtedy wyczułam. Przyszło mi do głowy, że w okolicy kogoś tej nocy zamordowano - było to tego rodzaju pełne grozy oczekiwanie. Czy w domu był ktoś obcy? Schodząc po skrzypiących schodach, stawiałam stopy tak powoli i delikatnie, jak tylko się dało, aby deski nie wydały żadnego dźwięku. Na dole powiedziałam sobie, że muszę się wziąć w garść. Zdjęłam z parapetu pusty kubek po kawie taty i po cichutku poszłam do salonu. Kiedy przestąpiłam próg, krzyknęłam, bo nad kominkiem nachylał się bardzo wysoki mężczyzna w prążkowanym garniturze, który nie miał nóg, tylko smugi gęstego czarnego dymu, jak gdyby płonął albo rozwiewał się w miejscu, w którym stał. A kiedy się odwrócił i popatrzył na mnie, okazało się, że jego oczy są całe czarne, pozbawione białek. Upuściłam kubek, który się potłukł, a kiedy spojrzałam znowu w tamtą stronę, mężczyzny już nie było.

Nikomui nigdy o tym nie powiedziałam. Nie muszę chyba tłumaczyć dlaczego.

Mówię o tym teraz, ponieważ to, co Nan miała mi do powiedzenia, przywołało tamto wspomnienie. Nawiązała do niego, jak gdyby była tam osobiście. Nie nazwała mężczyzny bez

nóg wytworem mojej wyobraźni ani duchem, tylko Grogorem. „Grogor to demon - powiedziała. - Już tutaj jest. W najbliższym czasie go poznasz”.

Dotychczas napotykanne przeze mnie demony występowały w formie cieni lub złowieszczych nastrojów, nigdy w ludzkiej postaci. Widziałam te, które mieszkaly w Sally. Czasem jej twarz wyglądała, jakby coś się na nią nakładało, kiedy demon znajdował się tuż pod powierzchnią jej skóry, a jej aura często zmieniała kolory jak niebo w czasie burzy, z pomarańczowej stopniowo stając się czarna jak noc. Widziałam ciemną mgłę unoszącą się w głównym holu Domu Świętego Antoniego, która niekiedy gęstniała tak bardzo, że wyglądała jak czarny krzak, a wszyscy aniołowie musieli ją omijać. A czasami, kiedy patrzyłam z bliska na Hildę, to, co wyglądało jak fragment jej aury, okazywało się złowieszczą chmurą, wypełnioną pogardą i jej złymi zamiarami. Jak dotąd jednak koegzystowaliśmy z demonami, nie tocząc zbyt wielu bojów.

Tym razem wyglądało na to, że jeden z nich dążył do konfrontacji. Jakże mi miło.

- Dlaczego on chce się ze mną spotkać? - zapytałam Nan.

- Pamiętaj, że jest tu w interesach - odparła. - Ma dla ciebie propozycję.

Przystanęłam i odwróciłam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że on jest tutaj, ponieważ ja tu jestem?

- Obawiam się, że tak.

- Co to za propozycja?

- On chce, żebyście odeszły stąd razem z Margot.

- Albo?

Nan westchnęła. Nie miała ochoty mi tego mówić.

- Albo ześle na mamusię chorobę.

Teraz rozumiałam już wahanie Nan. Ugięły się pode mną kolana, aż musiałam przytrzymać się Nan, próbując oswoić się z tą wiadomością.

Mamusia zachorowała nagle jakiś miesiąc po moim pojawieniu się na progu ich domu. Nikt nie wiedział dlaczego. Lekarze nie mogli ustalić przyczyny choroby. Przepisywane przez nich leki nie pomagały. Aż do samego końca tata był całkowicie przekonany, że ona z tego wyjdzie. Ja dzieliłam jego pewność.

Po tym, co powiedziała Nan, ukłękłam, ukryłam twarz w dłoniach i płakałam.

Dowiedziałam się, że to ja byłam przyczyną śmierci mamusi. Gdybym nigdy nie zapukała do tych drzwi, gdyby ona i tatuś nie wzięli mnie do siebie, miałyby przed sobą jeszcze dwadzieścia, trzydzieści szczęśliwych lat. A tata nie byłby tak załamany.

Musiałam zebrać się na odwagę i stawić czoło Gregorowi. Nan i ja poszłyśmy z powrotem w kierunku domu. Kiedy Nan wracała pod jabłoń, wyciągnęła jeszcze rękę i dotknęła mojej twarzy.

- Pamiętaj, jesteś aniołem. Cała boska moc jest z tobą. A na razie widzisz tylko jej niewielką część.

Po tych słowach zniknęła.

Widok, jaki ukazał się moim oczom, gdy wróciłam do domu, poprawił mi nastrój. Margot siedziała przy ogniu skulona pod brudnym kocem, trzymając na kościstych kolanach parujący kubek z herbatą. Jąkając się i drżąc, wyjaśniała Grahamowi i Irinie, jak to się stało, że znalazła się pod ich drzwiami. Opowiedziała im o Domu Dziecka imienia Świętego Antoniego, o tym, jak tam trafiła i co się tam działo, o Grobowcu i o biciu dzieci cegłą. O tym, że siniaki na jej twarzy to ślady bicia sprzed kilku godzin. Mówiła tak rzeczowo, że nie wątpili w ani jedno jej słowo, po prostu dali jej więcej herbaty i wreszcie zapisali najważniejsze rzeczy. Gdy Margot skończyła, wydała z siebie długi szloch. Graham włożył płaszcz przeciwdeszczowy i poszedł na policję.

Kiedy Irina otarła się o mnie, przechodząc obok, głowę wypełniły mi informacje o niej, których wcześniej nie znałam. Zobaczyłam jej ojca - wyniosłego, trzymającego fason mężczyznę - pomimo że nigdy w życiu go nie poznałam ani nie widziałam jego zdjęcia. Zobaczyłam kłótnie jej i Grahama, podczas których żadne z nich tak naprawdę nie upierało się przy swoich poglądach, jej głęboką miłość do tego człowieka, zakorzenioną w sercu jak prastare drzewo, a potem ujrzałam żal, który najboleśniej ją trawił. Aborcja. Podjęli tę decyzję wspólnie. Oboje byli bardzo młodzi. Mamusiu, tak mi przykro, pomyślałam. Nie miałam o tym pojęcia.

Irina podążyła do kuchni zupełnie nieświadoma tego, co przed chwilą się stało. Poszłam za nią i otoczyłam ramionami jej szeroką talię. Wtedy odwróciła się, patrząc przed siebie. W pierwszej chwili myślałam, że wpatruje się w kuchenne drzwi. Potem zobaczyłam, że obserwuje Margot przez szparę. Uśmiechała się. „Taka śliczna dziewczynka”, myślała. Tak, tak, przytaknęłam. „Wydaje mi się, że mówi prawdę”. Tak, tak, potwierdziłam.

W ciągu następnych kilku tygodni spychałam wiadomość o Gregorze w coraz dalsze zakątki świadomości. Doniesienie złożone przez Grahama na policji poskutkowało niezapowiedzianą wizytą, którą w Domu Świętego Antoniego złożył inspektor w towarzystwie dwóch policjantów. To, co tam zastali, sprawiło, że placówkę zamknięto w trybie natychmiastowym. Po wsi krążyła plotka o pięcioletnim dziecku zamkniętym na tydzień bez jedzenia i wody w pomieszczeniu tak małym, że prawie nie mogło w nim stanąć.

To dziecko przebywało obecnie na oddziale intensywnej terapii. Pozostałe dzieci rozdzielono pomiędzy rodziny zastępcze oraz sierocińce w całym kraju. Hildę Marx znaleziono w jej gabinecie, z fiolką tabletek w jednej ręce i pustą butelką po sherry w drugiej, bez pulsu.

W radiowych wiadomościach - państwo Inglis nie mieli telewizora - słuchaliśmy wywiadów z urzędnikami, którzy komentując te wydarzenia, zapewniali o swoim „zaangażowaniu i oddaniu” sprawie przekazania większych środków na rzecz domów dziecka w całym kraju oraz „zobowiązywali się” podnieść standardy opieki nad sierotami. Irina spojrzała na Margot, która pochłaniała rosół z kury.

- Powinnaś być z siebie dumna, kochanie - powiedziała. - To ty tego wszystkiego dokonałaś.

Margot uśmiechnęła się i odwróciła głowę. Kiedy znowu podniosła wzrok, Irina wciąż stała obok niej. Powoli uklękła przed Margot - jej artretyczne kolana zawsze strzelały, kiedy klękała - I ujęła obie szczupłe dłonie Margot w swoje.

- Graham i ja pragniemy, żebyś została u nas tak długo, jak zechcesz - powiedziała. - Co ty na to?

Margot czym prędzej pokiwała głową.

- Tak - wyszeptała.

Irina uśmiechnęła się. Uśmiechała się bardzo podobnie jak Nan. To pewnie dlatego tak szybko zaufałam Nan, od samego początku. Twarz Iriny była pomarszczona i rumiana, oczy miały odcień karaibskiego błękitu, gęste jak u młodej dziewczyny blond włosy nosiła związane w podskakujący energicznie koński ogon. Nagle jej źrenice się zwężyły, a uśmiech zgasł. Margot przez chwilę się zastanawiała, czy zrobiła coś złego.

- Czy ty jesteś duchem, który przyszedł mnie prześladować? - zapytała bardzo poważnym tonem.

Przez głowę Margot przemknęło pytanie - wciąż pamiętam, co wtedy myślałam: Czy ona mówi do mnie? Na jej twarzy malowała się niepewność. Irina podniosła rękę i przeczesła palcami kosmyki włosów za uchem Margot. Zaczęła się tłumaczyć:

- Ja tylko... jesteś taka podobna do mnie, kiedy byłam dzieckiem. Pomyślałam sobie...

Margot nic z tego nie rozumiała. Była zdezorientowana, bała się, że zostanie wyrzucona na ulicę. Za to ja nareszcie pojęłam tamte słowa Iriny: ona myślała, że Margot jest duchem dziecka, które usunęła wiele lat temu. Podeszłam do Margot i położyłam rękę na jej ramieniu, łagodząc w ten sposób strach, który ścisnął jej gardło.

- To nieważne - powiedziała Irina miękko. - Takim ludziom jak ja przychodzą do głowy głupiutkie myśli, kiedy za długo żyją.

Wstała i wyszła, żeby przynieść Margot ciepłe grzanki.

*

Graham i Irina byli pisarzami. Graham publikował prowokujące, drastyczne powieści kryminalne pod nazwiskiem Lewis Sharpe. Irina była poetką cieszącą się uznaniem niewielkiej, lecz oddanej grupy czytelników. Pisała powoli i w skupieniu usadowiona przy kominku, zbyt nieśmiała, aby brać udział w wieczorach poetyckich. Raz na cztery lata wydawała cienki tomik przepelnionych spokojem, głęboko poruszających wierszy. Jej najnowszy zbiór zatytułowany *Prządka pamięci* był właśnie na ukończeniu.

Wieczory miały im na słuchaniu radia, a najczęściej na dyskusjach literackich. Margot znalazła się w samym środku pola bitwy o to, czy lady Makbet miała dzieci, czy nie („Oczywiście, że miała! Skąd, u licha, przyszłoby jej do głowy mówić o karmieniu piersią, gdyby ich nie miała?”, „To metafora, kobieto! Zwykła sztuczka, żeby skłonić Makbeta do zabicia Duncana!” I tak dalej.) Albo grała rolę cichego sędziego podczas burzliwej dyskusji o tym, czy Sylvia Plath była lepszą poetką niż Ted Hughes („Tego nie da się zmierzyć! Na jakim polu on niby może być lepszy? Tylko bez psychologicznych bredni o hodowli os! Co takiego?” I tak dalej).

Zaintrygowana Margot spędzała długie popołudnia, zaczytując się Plath, Hughesem, Szekspirem, potem Plautem, Wergiliuszem, Dickensem, Updikiem, Parkerem, Fitzgeraldem i Bronte. W Domu Świętego Antoniego wszystkie książki miały pozaginane rogi, a pochodziły zazwyczaj z darów przekazywanych przez właścicieli sklepów z używanymi rzeczami i dyrekcje szkół. W rezultacie Margot niezmiennie pozostawał wybór między romansidłami a twórczością Aphry Behn. Zwykle padało na te pierwsze. Teraz, bombardowana pytaniami, które aż prosiły się o odpowiedź (czy Heathcliff był Irlandczykiem?), i niejednoznacznościami w narracji, które domagały się wyjaśnienia (Hamlet i Ofelia: rodzeństwo czy kochankowie?), Margot czytała szybko i wnikliwie. Koniecznie chciała mieć podczas tych wieczorów coś do powiedzenia, zamiast zastanawiać się, czy Kaliban i Eneasz to osoby czy planety. Poza tym zaczęła kochać wyzwania.

W tym miejscu powinnam wspomnieć, że nie dawało mi spokoju stwierdzenie Nan, iż nie widzę w duchowym świecie wszystkiego. Kilka razy widziałam Anioła Stróża Iriny, ale nigdy Grahama. Tęskniłam za wspólnotą aniołów z Domu Świętego Antoniego. Ponadto zastanawiałam się, dlaczego nie zawsze je widuję, dlaczego wokół mnie nie roi się od demonów i duchów, dlaczego czasem czuję się zupełnie jak człowiek.

A jednak zdawałam sobie sprawę, że Grogor tam jest, i nie dawała mi spokoju świadomość, że to on decyduje, kiedy mogę go zobaczyć. Może powinnam po prostu uważniej patrzeć?

To się zdarzyło pewnego wieczoru, gdy Graham, Irina i Margot dyskutowali o *Trzech kobietach* Sylvii Plath. Graham opowiedział dowcip o filmie Polańskiego pod tytułem *Dziecko Rosemary* i oboje z Iriną się roześmieli. Margot zanotowała w pamięci, żeby go obejrzeć, w żadnym razie nie chcąc być przyłapaną na tym, że nie jest na bieżąco. Wciąż się śmiejąc, Irina wstała i poszła do kuchni po szklanek wody. Dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Patrzyłam, jak uśmiech szybko znika z jej twarzy. Nachyliła się nad kuchennym zlewem i przez znajdujące się na wprost okno popatrzyła w noc. Powoli pochyliła głowę, a do zlewu zaczęły skapywać wielkie gorące łzy.

Kiedy zbliżyłam się, żeby ją pocieszyć, u jej boku pojawił się jakiś mężczyzna. Objął ją i położył głowę na jej ramieniu. Przez sekundę sądziłam, że to jej Anioł Stróż, aż zauważyłam prążkowany garnitur, a potem okropny dym buchający w miejscach, gdzie powinien mieć nogi. Obejmował ją jak kochanek, szepcząc jej do ucha, głaszcząc ją po włosach.

Tymczasem Anioł Stróż Iriny ukazał się za oknem. Wyglądał na wściekłego i skonsternowanego, przyciskał ręce do szyby i wykrzykiwał stłumione prośby, żeby wpuścić go do środka. Nie mogłam tego zrozumieć. Cokolwiek Grogor mówił do Iriny, coraz bardziej wyprowadzało ją to z równowagi, podczas gdy jej Anioł Stróż z jakiegoś powodu nie mógł interweniować.

Wkroczyłam.

- Ej! - powiedziałam głośno.

Nie przestając obejmować Iriny, Grogor odwrócił głowę w moją stronę. Śmiał się. Nie mogłam znieść widoku jego obrzydliwych czarnych oczu, których źrenice pływały w czymś, co przypominało smołę, ani jego dziwnej roztopionej skóry, która wyglądała tak, jakby była zrobiona z wosku.

- Słyszałam, że chciałeś się ze mną spotkać - powiedziałam.

Powoli odwrócił się z powrotem do Iriny.

- Hej! - krzyknęłam. - Mówię do ciebie.

Zanim Anioł Stróż Iriny albo ja zdążyliśmy cokolwiek zrobić, Grogor sięgnął w głąb jej ciała tak zwyczajnie, jakby sięgał do szafki, i coś w nim umieścił. Anioł Stróż Iriny walił pięściami w okno, a potem zniknął. Tak jak i Grogor, ale ten w ciągu sekundy znów pojawił się przede mną. Zmierzył mnie wzrokiem.

- A więc tak się tu znalazłaś? - mówił z nieznanym mi akcentem, zaskakująco nosowym głosem.

- Moja odpowiedź brzmi: nie. Możesz spadać.

Uśmiechnął się. Z obrzydzeniem stwierdziłam, że nie ma zębów, tylko mokrą szarą dziurę zamiast ust. Pokiwał głową.

- Więc Nandita już się z tobą widziała. Założę się, że nie powiedziała ci wszystkiego.

- Jestem pewna, że powiedziała mi wystarczająco dużo - odparłam.

Splunął na mnie. Naprawdę na mnie splunął, czarną klejącą mazią z głębi tej swojej kurzej gęby, a potem zniknął.

Wytarłam twarz. Zebrało mi się na wymioty. Irina natychmiast się wyprostowała. Wyglądała, jakby pozbyła się straszliwego ciężaru, i to w samą porę. Drzwi do kuchni otworzyły się. To był Graham. Szybko otarła rękawem łzy i odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytał.

Podniosła szklankę.

- Zapomniałam, po co przyszłam. Znasz mnie.

Bez przekonania pokiwał głową, poczekał na nią i razem wrócili do pokoju.

Tamtej nocy spałam przy Margot, owinąwszy jej ciało swoją suknią. Byłam wściekła na dwoje pozostałych aniołów, którzy kręcili się po domu. Może gdybyśmy działali zespołowo, wyrzucilibyśmy stąd Grogora. Ale oni woleli się nie pokazywać.

Tuż przed świtem Grogor pojawił się, wisząc nade mną obok żyrandola jak chmura gradowa z ludzką twarzą. Udawałam, że go nie widzę. Po kilku minutach odezwał się.

- Irina cierpi na szczególnie bolesne schorzenie, biedactwo. Ciężko przez to przejść. To nieuleczalne. Oczywiście wystarczy, że zabierzesz stąd Margot, a Irina poczuje się o wiele lepiej.

Podniosłam głowę i spiorunowałam go wzrokiem.

- Dlaczego Irina? - wysyczałam. - Ona nie ma z tym nic wspólnego. To sprawa między tobą a mną.

Przysunął się tak blisko mojej twarzy, że czułam na skórze jego oddech. Zacisnęłam zęby.

- Tobą a mną? - powiedział. - A jak ci się wydaje, kto stoi między tobą a mną?

Cofnęłam się i mocniej objęłam Margot. Rozdrażniony, rzucił we mnie grudą smoły, a ja podniosłam rękę, siłą woli wytwarzając tarczę ochronną, która otoczyła łóżko jak kopuła światła i wchłonęła czarną maź. Wobec tego Grogor rozwiął się w powietrzu i na nowo

przybierając postać czarnej chmury, owinał się wokół tarczy, niemalże przysłaniając jej światło. Musiałam się mocno skoncentrować, żeby utrzymać tę barierę w nienaruszonym stanie i powstrzymać go przed przedostaniem się do środka. Wreszcie poddał się. Wrócił do swojej ohydnej półczłowieczej formy i naciskając na tarczę, powiedział:

- Zapamiętaj sobie: ona nie musi umierać.

Co mogłam zrobić? Każdy następny dzień w obecności Iriny sprawiał, że Margot stawała się coraz szczęśliwsza i bardziej promienna, w widoczny sposób wygrzebując się z emocjonalnego dołka po pobycie w Domu Świętego Antoniego. Patrzyłam, z pękającym sercem, jak choroba rozrasta się w organizmie Iriny niczym trudny do wyplewienia chwast. Wkrótce zaczęła narzekać, że wszystko ją swędzi. Pewnego wieczoru w blasku ognia płonącego w kominku Margot zauważyła, że skóra Iriny przybrała chory żółty odcień.

- Dobrze się czujesz, Irino? - pytała ciągle.

Irina ignorowała te pytania i odpowiadała:

- Mów do mnie „mamusiu”.

Margot spędzała popołudnia, czytając lub wyglądając przez okno swojej sypialni. Patrzyła na dzieci przesiadujące w ogrodach sąsiednich domów i marzyła o tym, by się z kimś zaprzyjaźnić. Mówiłam jej: Spędzaj czas z mamusią, Margot. Będziesz żałowała, jeśli go dobrze nie wykorzystasz. Więc Margot zatrzaskiwała okno i szła na dół do kuchni, gdzie Irina siedziała przy stole w szlafroku, próbując wypić filiżankę bulionu. Jej szczupłe ramiona były zbyt słabe, by utrzymać naczynie, a gardło zbyt ściśnięte, aby mogło przepuścić więcej niż jedną kroplę naraz. Margot siadała bez słowa naprzeciwko niej. Powoli unosiła łyżeczkę od herbaty i za jej pomocą podawała Irinie niewielkie ilości bulionu. Irina kładła swoją kościstą dłoń na rękę Margot, kiedy ta unosiła do jej ust kolejne porcje. Choć cały czas patrzyły sobie w oczy, żadna z nich nie przemówiła. Kiedy Margot kończyła, resztki zupy były zimne, a jej twarz zalana łzami.

Trudno mi wyjaśnić, dlaczego odszukałam Grogora. Nie chodziło tylko o to, że nie chciałam przeżywać bólu po stracie mamusi. Margot była dla mnie jak moje dziecko. Wielokrotnie czułam, że jej doświadczenia i ból są odrębne od moich. Zaczynałyśmy się już od siebie różnić.

Powiedziałam Grogorowi, że to ja odejdę, a Margot zostanie. Powiedziałam mu, że porozmawiam z Nan i jeśli to konieczne, znajdziemy kogoś innego, kto zostanie Aniołem Stróżem Margot. Nie wiedziałam nawet, czy to możliwe albo rozsądne, lecz byłam skłonna spróbować. Wzrok Grahama patrzącego na mamusię, która coraz więcej dni spędzała w łóżku, doprowadzał mnie do rozpacz.

Odpowiedź Grogora była dość tajemnicza.

- Interesujące - powiedział.

A potem zniknął.

Choć mamusia przez wiele miesięcy kurczowo trzymała się życia, umarła w bólu i bez godności. Tylko czasem odczuwała chwilową ulgę. Anioł Stróż Iriny przynajmniej na końcu zaczął się pojawiać częściej, aby wzmocnić jej mięśnie i umożliwić siedzenie prosto w łóżku, ukazać jej na krótką chwilę niebo we śnie, przekonywać, aby mówiła Grahamowi i Margot to, co tak bardzo chcieli słyszeć. Że ich kocha. Że zawsze, zawsze przy nich będzie. I że to absolutnie wykluczone, aby Hamlet i Ofelia byli rodzeństwem. Graham musiał chyba upaść na głowę, żeby w ogóle coś takiego zasugerować. Zgodziła się jednak z teorią Margot w kwestii Kalibana: zdecydowanie, z całą pewnością była to kobieta.

Pogrzeb Iriny odbył się w październiku w mglisty poniedziałkowy rano. Przy grobie zebrała się garstka żałobników, aniołów i ksiądz. Kiedy opuszczano trumnę, zaczęłam się odsuwać jak najdalej od zebranych, tłumiąc płacz w fałdach sukni. Ale kiedy odwróciłam się i zobaczyłam Margot próbującą zatrzymać łzy pięściami, a nieco dalej przygnębionego Grahama, z twarzą szarą jak listopadowy dzień, pomyślałam: Jestem tutaj po to, żeby pomóc im przez to przejść. Ruszyłam więc wielkimi krokami w kierunku Margot, otoczyłam ją ramieniem i powiedziałam, żeby wzięła Grahama pod rękę. Stał w pewnej odległości od Margot po jej lewej stronie. Zawahała się. Wiem, że to dla ciebie trudne, powiedziałam. Do tej pory najbliższą ci osobą była mamusia. Ale Graham cię teraz potrzebuje. A ty potrzebujesz jego.

Odetchnęła. Ksiądz czytał fragment z Biblii: „Anioł Pana zakłada obóz warowny wokół bojących się Jego i niesie im ocalenie”¹. Patrzyłam, jak Margot ostrożnie wyciąga rękę w kierunku Grahama i bardzo powoli bierze go pod ramię. To wyrwało go z zamyślenia. Kiedy zobaczył, co robi Margot, zrobił nieznaczny krok w jej kierunku, tak że nie stali już daleko od siebie.

- Dobrze się czujesz, tato?

Graham zamrugał. Po chwili pokiwał głową. Nazwała go tatą. W tym po raz pierwszy wypowiedzianym przez Margot słowie było coś, co dało mu siłę. Otoczył swoją szorstką dłonią jej dłoń, która ścisnęła jego ramię. Przysięgam, że widziałam, jak się uśmiecha.

*

¹ Ps 34, 8. Cyt. za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych*, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tynieckich, wyd. 5 na nowo oprac. I popr., Poznań 2002 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Wiele lat zajęło mi zrozumienie, jak to możliwe, że demon miał taką moc, iż potrafił zabić człowieka. Później Nan powiedziała mi, że nie on to zrobił: mamusię zabiło poczucie winy. A przynajmniej to jej poczucie winy, spowodowane aborcją sprzed wielu lat stworzyło podatny grunt, w którym mógł wykiełkować zasiany przez Grogora załączek choroby. Po tym wyjaśnieniu nie poczułam się ani trochę lepiej. Ale zasiało ono inny rodzaj ziarna - ziarno zemsty.

Rozdział 11

KRÓTKI FILM O AROGANCJI

No dobrze, powinnam was o czymś uprzedzić. Jako nastolatka nie byłam święta.

Przykro mi, nie miałam na to wpływu. Ale wiadomo, jak to jest.

Skończyłam trzynaście lat i świat nagle skurczył się do rozmiarów woreczka kleju. Okazało się, że dzięki tej magicznej substancji można przyklejać plakaty z wizerunkiem Donny'ego Osmonda na ścianach sypialni, a p o z a tym odlecieć daleko od żalu, który po śmierci mamusi zostawił pod stołem w naszej jadalni swoje ubłocone buciory. Ledwo zaczęłam chodzić do miejscowej szkoły, już chciano mnie z niej wyrzucić. Tata walczył, abym mogła tam zostać. Miałam najlepsze w klasie oceny z angielskiego, więc pozwolono mi zostać, pod warunkiem że przestanę wagarować i namawiać inne dzieciaki do ćpania.

Przez kilka lat po śmierci mamusi byłam odludkiem. Nocami, aby zabić ciszę, pisałam pełne udręki wiersze, przyjaźniłam się z niewłaściwymi ludźmi i patrzyłam, jak tata całymi dniami gapi się na zegar na kominku, który dawno temu przestał chodzić. Aż wreszcie napisał nową powieść. Czytałam jej robocze wersje i szczegółowo je komentowałam. Kwitował chichotem moją nad wiek rozwiniętą zdolność wychwytywania luk w narracji i krytykę niedopracowanych postaci. Wreszcie zabrał z biurka swoją starą maszynę do pisania i postawił ją na mojej toaletce.

- Pisz - zarządził.

I pisałam.

Na początku był to stek bzdur. Potem kilka przyzwoitych opowiadań. Później listy miłosne. Do kościstego nędznika, który nazywał się Seth Boehmer i sprawiał wrażenie, że ma kłopot ze staniem lub siedzeniem w jednym miejscu. Nakładał na swoje czarne włosy tyle pomady, że kiedy wiły się przez środek jego twarzy, wyglądały jak skrzydło zdechłej wrony. Rzadko patrzył komukolwiek w oczy i zawsze trzymał ręce wciśnięte głęboko w kieszeniach. Ale ja miałam szesnaście lat. On miał dwadzieścia, był ponury i bardzo szybko jeździł samochodem. Jak mogłam go n i e pokochać?

Obserwowałam, jak Margot sama na siebie zastawia pułapkę. Ciągle przewracałam oczami i rozmawiałam z sobą. Możecie mnie uważać za cynika. Przecież to ja tam kiedyś byłam, najzupełniej dosłownie, ja swego czasu to wszystko robiłam, a teraz na własny widok

robiło mi się niedobrze. Seth był czymś w rodzaju kamienia milowego: zaczęłam dostrzegać, jak daleko zaszłam, odkąd Margot zaczęła pograżać się w autodestrukcji.

Teraz jednak czar prysł. Czuję się, jakbym oglądała kiepską komedię romantyczną - zawsze wiadomo, kto jest kim, co się stanie, kiedy to się stanie, i można regulować zegarek według motywów muzyki instrumentów smyczkowych. Nudy na pudy. No i bałam się. Patrzyłam teraz na rzeczy, których nigdy przedtem nie widziałam. I nie chodzi mi o zjawiska duchowego świata. Nie mówię o aurach ani o jajowodach. Mam na myśli konsekwencje tego, co przeżyłam w Domu Dziecka imienia Świętego Antoniego. Chociaż ciężko się napracowaliśmy, aby zapobiec zrujnowaniu życia dzieci, które przestąpiły jego próg, nie dało się uniknąć szeregu następstw. Jednym z nich był Seth.

Margot poznała Seta, gdy nocowała u swojej najlepszej przyjaciółki Sophie. Seth był kuzynem Sophie. Po tym jak w młodym wieku został sierotą, przez wiele lat mieszkał z rodzicami Sophie i choć odziedziczył rozległą farmę, wciąż spędzał większość wieczorów w rojącym się od kotów niewielkim domu wujostwa. Odkąd u Sophie zaczęły nocować jej koleżanki, Seth pojawiał się tam z własną poduszką i kocem.

Krótki film o arogancji:

Miejsce akcji: kuchnia. Czas akcji: o zmierzchu. Nastrój: niewiele lepszy od przyprawiającego o gęsią skórkę. Szesnastoletnia dziewczyna wymyka się na dół. Grzebie w szafkach w poszukiwaniu paracetamolu - ma miesiączkę i z bólu nie może spać. Nie zauważa ukrytej w mroku postaci usadowionej przy kuchennym stole z książką i papierosem. Tymczasem cień obserwuje ją przez dobrych kilka minut. Już wcześniej zwrócił na nią uwagę, kiedy razem z Sophie i bandą jej smarkatych koleżanek robiły makijaż. Wysoka (jakieś metr siedemdziesiąt pięć), szczupła na swój szesnastoletni sposób (duży biust, wąskie biodra), gęste blond włosy do pasa. Soczyste różowe wargi, zuchwałe oczy. I bardzo frywolny śmiech. Teraz Seth przez jakiś czas przygląda się plądrowaniu szafek przez Margot, zanim wreszcie postanawia ujawnić swoją obecność.

- Jesteś włamywaczką czy co?

Margot odwraca się, upuszczając na podłogę tuzin pudełek tabletek od bólu głowy. Cień przy stole nachyla się i pozdrawia ją gestem królowej Elżbiety. Światło księżycyca demaskuje go jako kuzyna Sophie.

- Hej - mówi bezbarwnym głosem.

Ona chichocze.

- Mmm... Hej - odpowiada skrzepowana. Nie mogę patrzeć na tę jej niezręczność. - Dlaczego tutaj siedzisz?

On milczy. Klepie miejsce przy stole naprzeciwko siebie. Ona posłusznie siada. Seth zaciąga się papierosem, chcąc się przekonać, ile czasu Margot mu da. Jak może złapać ją na haczyk bez niepotrzebnego zawracania głowy. Ona wychodzi z tej próby zwycięsko.

- A więc - mówi on, drapiąc kciukiem bokobrody. - Ja nie śpię. Ty nie śpisz. Dlaczego nie mielibyśmy zrobić razem czegoś ciekawszego niż gapienie się na księżyc?

Znowu chichot. A potem, kiedy on się uśmiecha, mój śmiech w nastoletnim wykonaniu.

- Na przykład upiec ciasto?

On pstryknięciem posyła peta do zlewu, kładzie ręce na stole i z uśmiechem opiera na nich brodę jak pies.

- Jesteś mądrą dziewczynką, wiesz, co mam na myśli.

Ona przewraca oczami.

- Hm, Sophie raczej by się nie spodobało, gdybym przespała się z jej kuzynem.

On wstaje i wydobywa zza ucha kolejnego skręta. Pozory przejścia do ofensywy.

- Kto mówi o seksie?

- Jestem mądrą dziewczynką, wiem, co miałeś na myśli.

Brak uśmiechu. Jej oczy płoną. On otwiera szeroko oczy. Jest znacznie bardziej inteligentna, niż myślał.

- Palisz?

- Jasne.

- Powiedz, Margot...

- Uhm?

Wtórowała mu, poruszając bezgłośnie ustami, gdy wypowiadał kolejne słowa:

- Co byś powiedziała na długi spacer po parku?

Margot zaciąga się dymem. Ze wszystkich sił stara się nie zakrztusić.

- W okolicy nie ma parków.

- Jesteś mądrą dziewczynką, wiesz, co mam na myśli.

Nachylam się w jej stronę i bardzo wyraźnie mówię: Nie!

Wiem, że to wszystko na próżno. Nigdy nie słuchałam rad, ani w wieku lat czterdziestu, ani, tym bardziej, szesnastu. I wiedziałam, że nie powstrzymają mnie przeszkody - przeciwnie, sprawią, że będę jeszcze bardziej zdeterminowana, aby je pokonać.

Gruntownie przemyślałam możliwą taktykę. Jedyne, co mi pozostało w tej sytuacji, to stać z boku i pozwolić Margot zrobić to, co zrobiła Margot, a kiedy to wszystko się skończy,

kiedy wszystkie okropne błędy zostaną popełnione, zrobić co w mojej mocy, aby na gruzach zbudować coś pięknego. Na przykład mądrość.

Cóż, na studiach nigdy nie wybrałam zajęć z psychologii. Nigdy nie przerabiałam Freuda. Ale teraz coś mnie uderzyło, rzucając światło na jeden z moich życiowych wyborów - którego nigdy nie mogłam do końca zrozumieć, po którym nigdy w pełni nie przyszłam do siebie.

Margot podniecała brutalność ich związku.

Mówię serio. Przyjmowała policzki i kopniaki, drwiny i kłamstwa ze świadomością, że jego pocałunki będą potem lepiej smakowały, a obietnice i romantyczne gesty wydadzą się bardziej podniecające, jeśli poprzedzą je siniaki.

Pewnego razu o świcie, po tym jak Seth wdrapał się po rynnie do sypialni Margot, nalegając, żeby poszła z nim do samochodu, niechętnie pojechałam z nim do baru w oddalonym o dziesięć mil większym mieście. Z samochodowego radia ryczał Johnny Cash, gdy Seth powiedział:

- Kocham cię, ślicznotko.

- Ja kocham cię bardziej, Seth.

On ścisza radio.

- Na pewno?

Margot kiwa głową.

- Taak.

- Umarłabyś dla mnie, Margot?

- Oczywiście!

Chwila ciszy.

- A ty umarłbyś dla mnie, Seth?

Wpatruje się w nią szarymi jak pociski oczami z uśmiechem podpalacza.

- Zabiłbym dla ciebie, Margot.

Ona wpada w uniesienie. Ja wiercę się nerwowo na siedzeniu.

Niecałą godzinę później Seth wywleka ją na zewnątrz baru i popycha na ścianę.

Wskazujący palec kieruje w jej twarz.

- Wszystko widziałem!

Margot łapie oddech.

- Co widziałeś?

- Tego faceta. Patrzyłaś na niego.

- Nie patrzyłam!

- Nie kłam!

Ona obejmuje dłońmi jego twarz.

- Seth... kocham tylko ciebie.

On wymierza jej policzek. Mocno. A potem całuje. Delikatnie.

A ona, o dziwo, delektuje się każdą sekundą tej opery mydlanej.

*

Poszłam po poradę do Anioła Stróża Grahama. Tymczasem Margot chodziła nerwowo po swoim pokoju, mówiąc do siebie i załamując ręce. Zastanawiała się, jak ma mu powiedzieć. Aniołem Grahama była jego młodsza siostra Bonnie. Pokiwała głową i zniknęła. Właśnie wtedy kiedy potrzebuję jej opinii w kwestii taktyki - ona z n i k a? Bonnie pojawiła się ponownie w czyimś towarzystwie. Sprowadziła Irinę, młodszą o jakieś trzydzieści lat, o gładkiej twarzy i czystym spojrzeniu, ubraną w długą białą suknię. Tylko że z jej pleców nie tryskały strumienie wody. Spojrzała na mnie, wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po twarzy. Zakryłam usta rękami, a oczy napełniły mi się łzami.

- Mamusiu - powiedziałam, a ona przyciągnęła mnie do siebie.

Po dłuższej chwili odsunęła się i ujęła w dłonie moją twarz.

- Jak się miewasz, kochanie? - zapytała.

Strumienie łez nie pozwalały mi mówić. Tyle miałam jej do powiedzenia, o tyle rzeczy chciałam zapytać.

- Tak bardzo za tobą tęsknię - tylko tyle zdołałam z siebie wydobyć.

- Och, kochanie - powiedziała. - Ja też za tobą tęsknię. Ale wiesz, wszystko będzie dobrze. Naprawdę nie jestem aż tak daleko.

Popatrzyła na Grahama. Wiedziałam, że przyszła, żeby być z nim.

- Jak długo możesz zostać? - zapytałam szybko.

Zerknęła na Bonnie.

- Nie mam zbyt wiele czasu - odparła. - Duchy mogą przychodzić tylko wtedy, gdy zaistnieje taka potrzeba. Niedługo znów się zobaczymy.

Otarła łzy z mojej twarzy, a potem podniosła do ust moje dłonie i ucałowała je.

- Kocham cię - wyszeptalam.

Ona uśmiechnęła się i usiadła obok Grahama, który śliniąc się, chrapał rozciągnięty na sofie. Położyła głowę na jego piersi.

Popędziłam na górę do pokoju Margot, która stojąc przed lustrem, bezgłośnie wymawiała słowa.

Nie panowałam nad sobą.

- Margot! - wydyszałam. - Mamusia jest na dole, szybko!

Zignorowała mnie i dalej ćwiczyła swoją mowę. Mowę, którą świetnie pamiętałam.

„Wiem, że jesteś mną bardzo rozczarowany, i wiem, że mamusia też by była...” Jej oczy zaczęły napęcznieć się łzami. „Ale, jak powiedziała lady Makbet, co się stało, to się nie odstanie. Długo o tym myślałam i postanowiłam urodzić to dziecko. Od ciebie zależy, czy wyrzucisz mnie z domu, czy nie”.

Ujrzałam jej dziecko, kiedy było wielkości ziarenka, obserwowałam, jak kręci się i wiruje, aby wreszcie delikatnie wylądować jak diament na czerwonej poduszce. Małeńki chłopczyk o drżącym serduszką. Mój syn.

Margot skończyła swój monolog i jeszcze przez chwilę gapiała się w lustro. Na moment nasze odbicia zlały się w jedno.

Byłyśmy bliźniaczkami, chociaż dzieliła nas granica śmiertelności. Różniłyśmy się tylko spojrzeniem. W oczach Margot czaiło się coś, co przywodziło na myśl osobę, która ma przed sobą most przewieszony nad przepaścią. Moje należały do kogoś, kto już po nim przeszedł.

Powoli zeszła na dół.

- Tato...

Graham chrząknął we śnie. Spróbowała jeszcze raz. Irina obudziła go kuksańcem. Margot natychmiast wpadła w panikę. W głębi ducha liczyła na to, że będzie spał dalej, a jej się na razie upieczce. Wyprężył się gwałtownie i rozejrzał wkoło. Zobaczył minę Margot.

- Wszystko w porządku? Co się stało? - usiadł i zaczął gmerać palcami we włosach w poszukiwaniu okularów.

Margot czym prędzej go uspokoiła.

- Nic, nic, tato.

Pobożne życzenie.

- Chodź, usiądź - powiedział oszołomiony.

Margot usiadła, odwracając wzrok. Płakała. Graham po omacku udał się do kuchni.

- Jesteś blada jak ściana - powiedział. - Dobrze się czujesz? Usiądź, zrobię nam herbatę. Kto to widział, żeby tak długo spać... Wiesz, śniła mi się twoja mamusia.

- Naprawdę? - wykrztusiła Margot, a łzy spływały po jej policzkach.

Graham krzyczał z kuchni.

- Powiedziała mi, że muszę się tobą lepiej opiekować. A to ci dopiero, co?

Margot nie odpowiedziała. Zamiast tego wbiła paznokcie w uda, żeby nie płakać głośno. Patrzyłam, jak Irina podchodzi do niej i obejmuje ją.

Kiedy Graham wrócił i zobaczył wyraz twarzy Margot, odstawił tacę i wziął ją za rękę. Bardzo łagodnie zapytał:

- Co się stało, kochanie?

Zamknęła oczy i nabrała powietrza. Stałam obok, trzymając rękę na jej ramieniu.

- Wydaje mi się, że jestem w ciąży, tato.

Odwróciłam wzrok. Nie miałam siły po raz drugi patrzeć, jak twarz taty w jednej chwili postarzała się i pograżyła w smutku. A jednak kiedy podniosłam wzrok, zdałam sobie sprawę, że uczucie, które się na niej odmalowało, to nie smutek, rozczarowanie ani gniew, w każdym razie nie na Margot.

To był obraz porażki.

Jak zarys pociągnięcia pędzla, dostrzegłam na nim niewyraźny portret dziecka Iriny, tego, którego zdecydowała się nie urodzić.

- Spokojnie - wyszeptła do niego Irina. - Ona potrzebuje kogoś, kto wskaże jej drogę, a nie osądzi.

Powoli zbliżył twarz do jej twarzy, tak bardzo, że mogła zobaczyć smutek w jego oczach.

- Jakąkolwiek podejmiesz decyzję, musisz podjąć ją bardzo, bardzo rozważnie, nie myśląc zbyt wiele o tu i teraz, ale przede wszystkim myśląc o przyszłości.

Przysiadł obok niej i otoczył jej zimne, drżące dłonie swoimi.

- Czy on cię kocha?

- Kto?

- Ojciec dziecka.

- Tak. Nie. Nie wiem - mówiła teraz szeptem, a łzy skapywały z jej ust na kolana.

- Bo jeśli on cię kocha, macie szansę. Jeśli nie, musisz myśleć o swojej przyszłości.

Wolałaby, żeby wrzeszczał na nią i wyrzucił ją za drzwi. Logika jego rozumowania powodowała, że czuła się jeszcze bardziej zagubiona. Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na jej głowie. Jej mocno bijące serce uspokoiło się. Po kilku chwilach powiedziała:

- Muszę się przekonać, czy mnie kocha, czy nie.

Graham pokiwał głową.

- Tak, tak.

Spojrzał na zdjęcie Iriny na kominku w tej samej chwili, kiedy ona uśmiechnęła się do mnie, a potem wróciła tam, skąd przyszła.

- Tam, gdzie jest miłość, nie ma przeszkód nie do pokonania.

Przypomniałam sobie, że znam już odpowiedź. I rozwiązanie.

Chciałam jednak, żeby ktoś inny mi je podsunął, żebym mogła się upewnić, że nie jestem złym człowiekiem, dlatego iż chcę się pozbyć dziecka.

Musicie zrozumieć: dla mnie myśli Margot były jak smagnięcia biczem po plecach. Miała siedemnaście lat i nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, co chodzi jej po głowie. Wyobraźnia ani razu nie podsunęła jej obrazu dziecka, istoty ludzkiej. Ta ciąża była dla niej jak kopiec kreta na drodze, chciała go rozgnieść. „Głupi dzieciak”, myślała, a ja myślałam o Margot jak o dziecku, które się rodzi i zostaje porzucone, a jej pragnienie przeżycia rośnie i rośnie we mnie, aż staje się niemożliwe do stłumienia. „W jaki sposób miałabym opiekować się dzieckiem? Dlaczego miałabym w ogóle tego chcieć?”, myślała. A ja przypominałam sobie, z nie mniejszym poczuciem winy, jak zastanawiałam się, czy nie lepiej byłoby dla Margot, gdyby umarła, gdyby w ogóle nie przyszła na świat. Było jeszcze więcej myśli płynących przez ciemny umysł Margot, myśli, które widziałam, a których nie potrafię nawet opisać.

Wyszukała w Londynie klinikę aborcyjną, w której dokonano by zabiegu w zamian za niemalą sumę dwustu funtów. Powiedziała Grahamowi o swoich planach, a on zwyczajnie pokiwał głową i powiedział, że da jej te pieniądze. Przygotował ją na to, że to będzie bardzo bolesne, ale musi być dzielna.

Przed upływem tygodnia powiedziała Sethowi. Szczęka opadła mu nieznacznie, potem odwrócił wzrok i zaczął chodzić po pokoju. Odczekała kilka minut.

- Seth - powiedziała w końcu.

Odwrócił się do niej. Jego szeroki uśmiech i błyszczące oczy sprawiły, że w jej sercu zaświecił promyk nadziei. Nie spodziewała się, że ta wiadomość mogłaby go uszczęśliwić. Może wszystko dobrze się ułoży. Może zostaną razem. Może jednak urodzi to dziecko.

Wiedziałam, co dalej nastąpi, jakby chodziło o kroki walca. Spuściłam głowę i wyciągnęłam rękę, żeby złagodzić siłę uderzenia, od którego Margot i tak straciła równowagę. Złapała za oparcie fotela, żeby utrzymać się na nogach, i ponownie odwróciła w jego stronę ogłuszona i pozbawiona tchu.

- Seth!

A potem z moich skrzydeł rozległ się głos, który odbił się echem po wszystkich komnatach mojej duszy. *Niech tak będzie.* Wkroczyłam, żeby powstrzymać Seta, ale nagle znalazłam się po drugiej stronie muru. Gdzieś wewnątrz siebie słyszałam każde uderzenie, głuche odgłosy kopniaków. Krzyczałam po jednej stronie ściany, a Margot krzyczała po drugiej, waliłam pięściami w zimne cegły.

Szybko rozejrzałam się wkoło. Byłam w ogrodzie na tyłach domu Setha, wśród chwastów i blasku zachodzącego słońca.

Chwilę później poczułam, jak czyjeś ramię otacza moje plecy. Podniosłam wzrok. Był to Salomon, Anioł Stróż Setha. Spotkaliśmy się przelotnie. Złapał mnie za rękę, chcąc mnie pocieszyć.

- Odczep się - warknęłam. - Lepiej pomóż mi dostać się z powrotem do środka.

Pokręcił głową.

- Nie mogę - odparł. - Wiesz o tym.

- Dlaczego tutaj jesteśmy? - wrzasnęłam.

Salomon po prostu gapił się na mnie.

- Niektóre rzeczy mają się wydarzyć - wyszeptał. - A niektóre nie. Tam, gdzie oni dokonają wyboru, my nie mamy władzy.

Wewnątrz rozległ się następny krzyk, a potem trzaśnięcie drzwi. Cisza.

- Teraz możesz tam wrócić. Setha nie ma - powiedział łagodnie.

Ruszyłam do przodu i znalazłam się z powrotem w sypialni z Margot.

Leżała na podłodze, z trudem łapiąc powietrze. Włosy miała zmierzwione i splątane, mokre od krwi i łez. Przeszywający ból w podbrzuszu sprawił, że gwałtownie usiadła, wyjął z bólu. Usiłowała złapać oddech.

- Powoli i głęboko, powoli i głęboko - mówiłam do niej łamiącym się od płaczu głosem.

Rozejrzała się przerażona, że Seth mógłby wrócić, a jednocześnie pragnąc gorąco, żeby ją pocieszył.

Pochyliłam się nad nią, żeby naprawić to, o czym wiedziałam, że było nie do naprawienia. Diamentu w jej wnętrzu już nie było. Aksamit z rozprutej czerwonej poduszki snuł się po podłodze.

Poszłam po pomoc. Udało mi się nakłonić sąsiadkę Setha, żeby zadzwoniła do niego do domu. Ponieważ nikt nie odebrał, zdecydowała się wejść i sprawdzić, czy młody człowiek dobrze się czuje. Kiedy znalazła Margot na podłodze, wezwała karetkę.

*

Próbując pogodzić się z tym, co ją spotkało, Margot postanowiła przeprowadzić się tak daleko od Setha, jak tylko się dało. Zakręciła globusem Grahama, zamknęła oczy i wyciągnęła palec wskazujący. To ja zatrzymałam globus i ja opuściłam jej palec na najlepszym z możliwych miejsc: Nowym Jorku.

Nowy Jork, Nowy Jork...

Rozdział 12

CIEMNIEJĄCY OCEAN

Warto wspomnieć, że zostając Aniołem Stróżem (a nie każdy tego doświadcza), można się spotkać z ofertą podróży lotniczych opracowaną według niespotykanych dotąd standardów. Zapomnijcie o klasie biznes. Pierwsza klasa jest dla mięczaków. Polecam klasę anielską. Dysponuje ona miejscem siedzącym na dziobie samolotu albo na skrzydle - dla tych, którzy lubią mieć dużo miejsca na nogi. Można by pomyśleć, że ma się dzięki temu zaledwie przyzwoity widok na chmury i zachody słońca. Nie dajcie się nabrać. To nie ma nic wspólnego z jakże cenionym miejscem przy oknie. Gdy siedząc na samolocie, mijałam Grenlandię, a potem Nową Szkocję, widziałam znacznie więcej niż chmury. Widziałam anioła planety Jowisz tak ogromnego, że jego skrzydła - utworzone przez wiatr, a nie przez wodę - owijały to ogromne ciało niebieskie, jednocześnie nieustannie odbijając zmierzające w kierunku Ziemi meteory. Spojrzałam w dół i dostrzegłam anioły unoszące się nad Ziemią jak warstwy atmosfery, wysłuchujące modlitw i interweniujące, gdy trzeba było przyjść z pomocą. Zobaczyłam ślady modlitw i trajektorie ludzkich wyborów, wijące się jak gigantyczne autostrady. Widziałam anioły w miastach i na pustyniach, migoczące jak nocny widok Ziemi z Księżycą: odwrócona gruszka Afryki płonąca światłkami Cape Town i Johannesburga, psia głowa Australii z płomiennozłotymi frędzlami i czarownica na miotle, Irlandia, połyskująca nowiutkimi jednopensówkami z Dublina, Cork, Derry i Belfastu - nie były to jednak światła miast, lecz blask, którym promienieli aniołowie.

Margot poleciała do Nowego Jorku z postanowieniem, że spędzi tam lato. Krzywdy wyrządzone jej przez Seta nie ograniczały się do straty dziecka ani upokorzeń doznanych ze strony pielęgniarek w szpitalu, które cmokały z dezaprobatą nad kolejną nastolatką w ciąży i z takim samym lekceważeniem odnosiły się do poczucia ludzkiej godności jak do stosowania środków przeciwbólowych podczas łyżeczowania macicy. Krzywdy nie kończyły się również na poczuciu zdrady i bezbrzeżnym żalu, który ogarnął Margot, kiedy już w pełni zdała sobie sprawę z tego, co zrobił Seth. Nie, nie kochał jej. Każdy człowiek boryka się w życiu z jedną prawdą, której nigdy w pełni nie pojmie. Musi przerabiać wciąż te same lekcje, popełniać takie same błędy, zanim ich sens dotrze wreszcie do jego świadomości. W wypadku

Margot chodziło o nieumiejętność odróżniania miłości od nienawiści. Nowy Jork uważałam za miejsce, w którym wszystko układa się w całość i jednocześnie rozpada na kawałki.

W tym czasie przytrafiło mi się coś dziwnego. W dniu wyjazdu na lotnisko zauważyłam, że moja suknia ma srebrzysty połysk. Początkowo sądziłam, że odbija jakieś światło. Jednak w trakcie podróży do Nowego Jorku zobaczyłam, że nabrała z kolei liliowej barwy. Kolory zmieniały się tak szybko, że zanim wylądowałyśmy na Lotnisku Kennedy'ego, na mojej szacie zdążyłam już zobaczyć całą paletę fioletów i błękitów. A gdy chwiejnym krokiem przemierzałam halę bagażową, zagarniając ręką fałdy sukni, zastanawiałam się, dlaczego, u licha, jest turkusowa.

Kiedy się rozejrzałam, doznałam największego szoku w swoim życiu. Posiadłam nową zdolność widzenia, jak gdyby świat duchowy wreszcie ukazał się moim oczom bez żadnych ograniczeń.

Tak jakby opadła jakaś zasłona, odsłaniając równocześnie dwa istniejące obok siebie wymiary - ludzki i duchowy. Setki, nie, t y s i ą c e aniołów. Jak to się nazywa w Biblii? Zastępy, tak to było. Zastępy, rzesze, legiony, chóry anielskie otoczone kolorową mgłą. Anioły gromadziły się wokół rodzin, których członkowie witali swoich bliskich przy wyjściu z lotniska, albo pomagały brzuchatym biznesmenom zdjąć z taśmy ciężki bagaż. Duchy - nie żartuję - pojawiające się od czasu do czasu w różnych miejscach, zdezorientowane, zagubione, a razem z nimi ich aniołowie czekający cierpliwie na dzień, kiedy tamci zrozumieją, że naprawdę nie żyją i że rzeczywiście czas już odejść. I wreszcie demony.

Nie chcę tego przedstawiać w sposób, który sugerowałby łatwą koegzystencję demonów i aniołów. Teraz, kiedy ujrzałam duchowy świat w całej okazałości, zobaczyłam również, że demony urządziły się wśród nas jak szczury w stodole: spiskują, aby zagarnąć wszelki śmiertelny ochłap, jaki im się nawinie, a jeśli pozostanie w ich mocy, są zdolne do wyrządzenia szkód o niewyobrażalnych rozmiarach.

Podobnie jak anioły, demony różnią się między sobą wyglądem. Widziałam, że ich forma - atramentowy cień, gęsta mgła, zawieszona w powietrzu twarz albo, tak jak u Grogora, prawie cała postać - miała na ogół silne powiązanie z aurą człowieka, za którym podążały. Przyglądałam się młodemu mężczyźnie w dzinsach i obcisłej białej koszulce, który przemierzał terminal, ciągnąc za sobą walizkę i żując gumę. Był umięśniony i radosny. Patrząc na niego, nigdy byście nie podejrzewali, że dorobił się nie jednego, lecz dwóch demonów kroczących wraz z nim ramię w ramię, gotowych na wszystko jak doberman. I wtedy ujrzałam jego aurę, była purpurowo-czarna, koloru oberżyny. Nie wiem, co złego

zrobił ten młody człowiek, ale wiem, że nie miał sumienia: światło, jaśniejące nad głowami większości ludzi u niego zgasło. Nie został po nim nawet ślad.

Margot zabrała swój bagaż - pojedynczą torbę - z taśmociągu i rozejrzała się oszołomiona liczbą ludzi wchodzących i wychodzących z hali przylotów, niepewna, dokąd powinna teraz pójść. Miała adres kolegi kolegi, który był gotów zaoferować jej nocleg do czasu, aż Margot stanie na nogi. Pamiętałam to dokładnie, kolega kolegi miał księgarnię i z radością korzystał z gotowości Margot do darmowej pracy w zamian za mały pokój na górze, z osobliwym ruchomym czarnym dywanikiem na podłodze. W rzeczywistości był on jednym rojem karaluchów. Trąciłam stojącego przy wyjściu anioła i poprosiłam o pomoc. Ku mojemu zadowoleniu, mówił z silnym akcentem z Bronksu. Powiedział, że „zagada ze swoim gościem”, czyli, jak zrozumiałam, z jego Istotą Chronioną. Ten „gość” był taksówkarzem. Skierowałam Margot w jego stronę.

Taksówkarz zawiózł ją pod wskazany adres w samym centrum. Przyjemnym dodatkiem okazała się zlokalizowana tuż za rogiem najlepsza kafejka w mieście, gdzie serwowano wspaniałe omlety. Margot aż drżała z podniecenia z powodu szczęścia, jakie ją spotkało. Kiedy taksówkarz się zatrzymał, promieniała jak dynia w Halloween. Ja natomiast zachowałam daleko idącą rezerwę. Chcecie zgadywać, gdzie wylądowałyśmy? Proszę bardzo, Łatwo sobie wyobrazić to miejsce.

„Księgarnia Babbingtona” przypominała bardziej lombard niż antykwariat. Bob Babbington - leniwy, żujący tytoń i wyzyskujący pracowników właściciel - odziedziczył księgarnię po ojcu. Decyzja, aby kontynuować działalność, niewiele miała wspólnego z jego pasją do książek, bo czytywał głównie podręczniki użytkowania samochodów, ani z chęcią przejścia pałeczki w imieniu trzeciego pokolenia sprzedających książki Babbingtonów. Wynikała ona raczej z faktu, że cenił sobie mieszkanie, za które nie płacił czynszu, i pracę polegającą niemal wyłącznie na siedzeniu i paleniu tytoniu. Od razu rzucało się w oczy, że Bob nie wkładał serca w to, co robił. Pomalowana na czarno fasada sklepu, z pełnymi chwastów i puszek po piwie skrzynkami w oknach, prezentowała się równie zapraszająco jak otwarty grób. W środku było jeszcze gorzej.

Niezrażona wyglądem miejsca Margot pchnęła drzwi i bąknęła niezdecydowane „cześć”. W podobny sposób wchodziła większość klientów niepewnych, czy przeszkadzają, czy też nie. W odległym rogu sklepu wypatrzyła niewielką czarną czuprynę i podkreślane do góry wąsy, ponad którymi tańczył latawiec dymu. Poniżej spod ciasno opiętego podkoszulka wpływało brzuszysko Boba, jak ogromny biały uśmiech. Bob rzucił okiem na ubraną w

szkocką kratę blondynkę, królową włóczęgów, która ukazała się w drzwiach, i pomyślał o kajdankach. Ło-ou.

Jednakże, zgodnie z danym słowem, Bob zaproponował Margot pokój na górze w zamian za jej „pomoc” w sklepie. Zacisnęłam zęby i poszłam za nimi, kopiąc po drodze Pirata, ślepego, trędowatego kota Boba, i wysyłając światełko odstrasżające szczury i karaluchy.

Margot wślizgnęła się między poplamione prześcieradła na rozkładanej sofie, pomyślała, jak bardzo tęskni za Grahamem, i popłakując, zasnęła. Ja tymczasem spacerowałam po skrzypiącej podłodze, przyglądając się, jak moja suknia znowu zmienia kolor. Przypominała teraz ocean, którego błękit nabiera coraz głębszej barwy, w miarę jak ciemnieje niebo. Czekałam na Nan, która zwykle zjawiała się, kiedy coś w moim świecie ulegało zmianie, jednak tym razem jej nie było. Próbowałam więc sama zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie musiałam myśleć zbyt intensywnie. Można powiedzieć, że dysponowałam pewnymi wskazówkami. Skoro zaledwie kilka godzin wcześniej otworzyły się przede mną drzwi duchowego świata, domyślałam się, że to samo dzieje się teraz z królestwem natury. Wyglądając przez okno na ulicę, zobaczyłam coś, co początkowo wzięłam za tumany kurzu unoszące się jakieś dwa metry nad chodnikiem. Potem zdałam sobie sprawę, że są to roje zarazków, wśród których poruszają się nieświadomi niczego mężczyźni i kobiety. Siedziałam w oknie i przerażona patrzyłam, jak przechodzący przez taki obłok mężczyzna zgarnia z sobą mięsaka Kaposiego, który zdobywa jego dżiąsła i skórę wokół kolan niczym punkty w meczu snookera - za jednym podejściem do stołu. Następna była szybko idąca kobieta, której trafił się prezent w postaci wirusa czarnej ospy. Kiedy jednak dałam o tym znać ich aniołom, w mojej głowie rozległy się odpowiedzi tak wyraźne, jakbym odsłuchiwała pocztę głosową: *Przyjrzyj się bliżej, żółtodziobie. To szkoła życia.*

Jeszcze długo musiałam się uczyć, zanim pojęłam niektóre lekcje.

Nietrudno się domyślić, że sypialnia Margot była dla zarazków niczym Hotel California dla gości. Spędziłam noc, chroniąc jej płuca przed wilgotnymi zarodnikami krążącymi w powietrzu i dość złośliwą odmianą grypy zamieszkującą poduszkę, na której spoczywała głowa Margot. Ale to były banalne kłopoty w porównaniu z moim głównym zmartwieniem. Resztę nocy poświęciłam zbijaniu, jak w partii szachów, oznaczeń ścieżki wytyczanej dla Margot przez trzy demony, które ukrywały przede mną swoje oblicza.

Pozwólcie, że coś wyjaśnię. Demony, jak się przekonałam, nie uciekają się do szeptanych sugestii i kuksańców łokciem. Są znawcami ludzkich słabości. Potrafią nakłonić

dwie bratnie dusze do małżeństwa, a jednocześnie wykryć malutką rysę na ich związku i przez lata drążyć to miejsce, aby wreszcie doprowadzić do rozwodu, rozdzierającego serca nie tylko tych dwojga, ale również ich dzieci i wnuków. W końcu rozłam odbija się na życiu całych pokoleń. Demony wyznaczają sobie dalekosiężne cele. I polują w stadzie. Trzy z nich spędziły większą część nocy, pracując nad wcieleniem w życie planu, który przygotowywały od lat: nakłonić Margot, żeby odebrała sobie życie.

Dostrzegłam te znaki, gdy tylko przekroczyłam próg antykwariatu. Pierwszym z nich był Bob. Zobaczył Margot i pomyślał o kajdankach. W jego głowie, jak krótki film, wyświetliła się jeszcze inna myśl: trzymałby ją w tym mieszkaniu na górze tygodniami, miesiącami, może nawet latami. Mogłaby gotować, sprzątać, a on zaopatrywałby ją w trawę w ilości wystarczającej, aby porzuciła wszelką myśl o ucieczce. Jego kulawe poczucie przyzwoitości odpychało tę myśl, lecz ta i tak powracała. Razem z dziesięciorgiem innych aniołów uformowaliśmy krąg wokół łóżka Boba i wypełniliśmy jego sny wspomnieniami o matce. Kiedy światło wokół jego głowy stało się jaśniejsze, ujawniły się trzy inne siły ukryte w tym budynku. W owej chwili przekonałam się o istnieniu hierarchii w świecie aniołów: czworo spośród przybyłych dobyło mieczy. Promieniały oślepiającym światłem, a z bliska wyglądały tak, jakby ich ostrza zrobiono z kwarcu. Nieważne zresztą, z czego je wykonano, ważne, że działały. Demony odeszły, a ich plan legł w gruzach. Ale ja nie zamierzałam ryzykować. Spędziłam noc wraz z innymi aniołami, planując dla Margot nową drogę. Potem odeszły, żeby zrobić to, co należy.

Do rana moja szata nabrała koloru indygo, a ja byłam całkowicie zdezorientowana, przerażona i podekscytowana zarazem. Z jakiegoś powodu suknia zaczęła zmieniać kolor właśnie wtedy, gdy zdarłam kurtynę duchowego świata. Gdybym wtedy wiedziała, jak dużą odpowiedzialność biorę na swoje barki i jakiej ochrony będzie w konsekwencji potrzebowała Margot, myślę, że zostawiłabym zasłonę na miejscu.

Ale teraz było już za późno.

Rozdział 13

BRATERSTWO BRONI

Zaczęłam następnego dnia z nowym postanowieniem: odkryć, jak umarłam. A dokładniej: dowiedzieć się, kto mnie zabił.

Margot miała niecałe osiemnaście lat, była naiwna jak gaska i apetyczna jak ciastko francuskie. Jakby ta kombinacja nie była wystarczająco niebezpieczna, w jej głowie roilo się od marzeń, które nigdy nie miały się ziścić: o wspaniałej karierze pisarki sprytnie łączonej z opieką nad sześciorgiem dzieci (trzema chłopcami i trzema dziewczynkami) w domu z drewnianym parkanem w północnej części stanu Nowy Jork, gdzie piekłaby szarlotki dla przystojniejszej wersji Grahama. A ja, przyglądając się, jak Margot wychyla się z okna mieszkania i patrzy na umyte brudnym deszczem ulice i żółte taksówki, otoczona swoimi fantazjami zabarwiającymi powietrze na fioletowo, nie mogłam powstrzymać przejmującego żalu: od którego momentu jej życie potoczyło się niewłaściwym torem? W którym miejscu wszystko poszło nie tak?

Czy to wina Hildy? Seta? Sally i Pdraiga? Lou i Kate? Zoli i Micka? Czy może raczej konsekwencja wydarzeń, które dopiero miały nadejść, jak małżeństwo z Tobym, urodzenie Theo i separacja, którą przetrwałam dzięki zapasom wódki? Miałam właśnie przed sobą ten moment mojego życia, gdy mogłam być sama sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Młoda blondynka mieszkająca na Manhattanie w czasie, kiedy ulicami przetaczały się wszelkiego rodzaju rewolucje - społeczne, polityczne, seksualne, ekonomiczne - nie powinna skończyć martwa w pobliskim hotelu jakieś trzydzieści lat później. Jasne, to się zdarza. Lecz nie na mojej warcie.

Margot zamknęła okno, ubrała się (własnoręcznie uszyte spodnie w szkocką kratę, granatowy wełniany sweter) i rozczesła długie włosy. Patrzyła na swe odbicie w wysokim, stojącym lustrze. Ja stanęłam za nią, opierając brodę na jej ramieniu. Dziewczyno, westchnęłam, *m u s i s z* sobie sprawić jakieś nowe ciuchy. Wydęła nieznacznie wargi, poklepała policzki, zbadała swoje szerokie, krzaczaste brwi. Obróciła się nieco, żeby obejrzeć ubranie - czy wspomniałam, że spodnie w kratę były wysokie w talii i workowate na biodrach? - i skrzywiła się. Ja też.

Naprawdę kiedyś tak wyglądałam? Dlaczego nikt mnie nie aresztował?

Na dole w sklepie Bob ustawiał książki bez określonego porządku, jednocześnie pogryzając cynamonową bułkę. Zobaczył Margot i z zakłopotaniem odwrócił wzrok. Jego sny o matce były surowe i niepokojące. Opuściły go sprośne myśli o uwięzieniu Margot. Teraz ujrzałam go w innym świetle. Był kretem w ludzkiej postaci. Ciekawski na swój kreci sposób, mrukliwy i szurający nogami w wąskich przejściach między pełnymi książek regałami, upajał się brakiem kontaktu z ludźmi. Anioł Boba, jego dziadek Zenov, chodził za nim z rękami założonymi z tyłu, kręcąc głową z dezaprobatą wobec chaosu, jaki tworzyły strony i obwoluty książek. A kiedy przyjrzałam się dokładniej, mogłam dostrzec równoległe światy unoszące się w powietrzu po obu stronach Boba, jak ekrany telewizorów pływające pod wodą. Gdy się koncentrowałam, obrazy stawały się wyraźniejsze, jakby powierzchnia wody się wygładzała: jeden przedstawiał małego chłopca chowającego się w szafie przed ojcem, który miał ciężką rękę. Drugi przedstawiał Boba jako emeryta: samotny, zniedołężniały, wciąż ustawiał książki. Oba sprawiły, że zrobiło mi się go odrobinę żal.

Bob zaproponował Margot herbatę, ale odmówiła, a potem pokazał jej księgarnię. Zaraz, powiedziałam: „księgarnię”? Powinnam była powiedzieć: „skarbnicę literatury”. Ten facet miał stuletnie wydania Plauta, którymi podpierał stół bilardowy, tomiki poezji Langstona Hughes’a z autografem autora, kurzące się pod ladą, pierwsze wydanie Achmatowej wykorzystywane jako taca. Kiedy Bob narzekał na kiepską sprzedaż i rozwodził się nad tym, że nie ma pojęcia, dlaczego ludzie zwracają sobie głowę dzieleniem historii na obszary geograficzne, dada, dada, dada, wreszcie udało mi się zwrócić uwagę Margot na tomik Achmatowej. Podniosła książkę i gapiała się na okładkę.

- Czy wiesz, kto to jest? - spytała.

Minęła co najmniej minuta.

- Kto?

- Kobieta na okładce tej książki.

- Kurczę, uwielbiam twój akcent. Oku-adka. Powiedz jeszcze raz „okładka”.

- To Anna Achmatowa. Jedna z najbardziej rewolucyjnych poetek naszych czasów.

- Yy...

- O - zdjęła z innej półki tom *Dzieł* Szekspira i zaczęła przewracać kartki. - A tu jest podpis sir Laurence’a Oliviera. To tak jakbyśmy stali na progu jednego z najwspanialszych na świecie uniwersyteckich wydziałów literatury.

Patrzyła na niego wyczekująco. Pokiwałam głową. Bardzo słusznie. Bob przestąpił z nogi na nogę.

- Jak długo to tutaj leżało? - zainteresowała się Margot.

Bob podniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

- Yyyy, nie-em.

Sprawdzała kolejne półki. Bob obejrzał się, jakby w każdej chwili spodziewał się zobaczyć przybyłych wraz z nią hiszpańskich inkwizytorów, którzy wyłamują drzwi. Margot przerwała przeglądanie półek i oparła ręce na biodrach.

- Mmmm - mruknęła, chodząc po księgarni.

Teraz skupiła na sobie całą ciekawość Boba.

- Co, co? - zaniepokoił się.

Przystanęła i wskazała na niego w zamyśleniu. Wepchnął koszulkę za pasek spodni.

- Potrzebujesz nowszych rzeczy - powiedziała.

- Znaczą ubrań?

- Nowszych k s i ą ż e k. Masz na półkach za dużo klasyki - wciąż chodziła po sklepie. - Pchli targ. Jest tu jakiś w okolicy?

- J a k i targ?

- Wybacz, wyprzedaż garażowa, targ staroci, miejsca, gdzie ludzie sprzedają rzeczy, których już nie potrzebują.

- Ymm...

- W takim miejscu mogliśmy tanio kupić trochę książek.

- My...?

- Spróbuję się dowiedzieć, gdzie możemy zdobyć nowy towar.

- Ymm, Margot.

Była już w płaszczu. Odwróciła się w drzwiach i popatrzyła na niego.

- Co?

Bob podrapał się w brzuch.

- Nic... Ja tylko... Powodzenia.

Uśmiechnęła się i wyszła.

Uwaga dla tych, którzy już nie pamiętają, których nie było jeszcze wtedy na świecie albo utknęli na bezludnej wyspie: Nowy Jork pod koniec lat siedemdziesiątych był tętniącą życiem, zubożałą, dręczoną przestępczością, rojącą się od narkotyków, pełną slumsów dyskoteką otwartą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Teraz, kiedy tam wróciłam, byłam jednocześnie nieufna i podekscytowana. Z mojego punktu widzenia wyglądało to tak, jakby na jednego człowieka przypadało dziesięcioro aniołów - jedni mieli na sobie białe szaty, inni wyglądali, jakby okrywały ich płomienie, niektórzy byli ogromni i świecili pulsującym światłem. Nic dziwnego, że miasto aż tętniło poczuciem, że

jest niezwyciężone, jakby miało skrzydła zdolne wznieść je ponad wszystko, co mogło je spotkać. Na przykład na ulicach, którymi Margot przechodziła tego ranka, były jeszcze świeże ślady krwi. Reporterzy i tajni informatorzy tropili mordercę, który nazywał siebie Synem Sama. Przez pewien okres w okolicy czuło się ciężar strachu i podejrzeń, od których powietrze gęstniało, aż ciężko było oddychać, a chodniki stawały się zbyt śliskie, by po nich chodzić. Jednak teraz, po tak krótkim czasie, znowu kwitło tu życie. W miejscach jeszcze niedawno otoczonych kordonem policji szczeliny w asfalcie beczelnie porastały maki. I przypomniałam sobie, że to właśnie dlatego kiedyś czułam się tutaj bezpiecznie, chociaż w ciągu osiemnastu miesięcy cztery razy zostałam napadnięta, dlatego kiedyś kochałam to miasto: nie za kawiarnie, które mnożyły się jak kryjówki Czarnych Panter, nie za poetów bitników na Szóstej Alei czy rewolucjonistów, ale za pulsującą siłę tego miejsca, dającą poczucie, że mogę wspiąć się na gruzy swojej przeszłości i dzięki temu sięgnąć wyżej.

Zaczęło padać. Margot naciągnęła płaszcz na głowę i próbowała zorientować się w planie miasta, który miała z sobą. Myliły jej się kierunki i po jakimś czasie wylądowała na ulicy domów jednorodzinnych we wschodniej części Manhattanu. Dawno już nie widziała domów poupychanych tak blisko siebie jak drwa na tyłach stodoły. Przez kilka minut stała, patrząc na rząd trzypiętrowych białych budynków. Do każdych drzwi prowadziły schodki. Kawalek dalej wystrojony facet o niesfornych włosach i wysoka czarnoskóra kobieta w długiej do ziemi żółtej sukni kursowali między otwartymi drzwiami wejściowymi a tyłem zaparkowanego przed domem pikapa i pakowali do niego jakieś pudła. Wyglądali tak, jakby się kłócili. Kobieta potrząsała otwartymi dłońmi, które trzymała na wysokości głowy, miała szeroko otwarte oczy, a jej usta szybko się poruszały. Gdy tylko Margot znalazła się w takiej odległości, że mogła ich usłyszeć, Elegancik rzucił na ziemię trzymane pudło i ruszył do domu. Kobieta, jak gdyby nigdy nic, dalej przesuwała kartony. Margot podeszła do niej.

- Cześć. Wyprowadzacie się?

- O n się wyprowadza - odburknęła kobieta, wskazując głową drzwi.

Margot popatrzyła na pudełko, które niosła kobieta. Było pełne książek.

- Nie masz ochoty ich sprzedać?

- Ja bym ci je d a ł a. Ale nie są moje. Muszę zapytać jego.

Kobieta prychnęła i odstawiła karton, a potem wyjęła jedną z książek i używając jej jako parasola, pobiegła z powrotem do domu. Margot powoli podeszła i przejrzała zawartość pudła. Salinger. Orwell. Tolstoj... Ich właściciel znał się na literaturze.

Mężczyzna pojawił się w drzwiach. Z bliska nie wydawał się już taki elegancki. Był blady jak wampir, czarnowłosy. Jego fryzura miała kształt kwitnącego szarlatu, a ciemne błyszczące oczy widziały już zbyt wiele bólu.

- Hej - powiedział do Margot. - Chcesz moje książki?

Margot uśmiechnęła się.

- Uhm, tak, jeśli jesteś zainteresowany ich sprzedażą. Albo oddaniem, według uznania - roześmiała się.

Jego oczy zabłyśły.

- Skąd jesteś? - zrobił krok do przodu.

Kobiecie drgnęły wargi. Jęknęła pod ciężarem pudła. Usiłowałam odnaleźć to spotkanie w pamięci.

- Z Anglii. Ale urodziłam się w Irlandii - odparła Margot, zapominając o padającym deszczu - dopiero co tutaj przyjechałam. Pracuję w księgarni.

- Z której części Anglii?

- Z północno-wschodniej.

- Mmmmm.

- Możesz w końcu wziąć się do roboty? - odezwała się jego dziewczyna, panna Rozdrażniona.

Och, przestań się czepiać, rzuciłam. Jej Anioł Stróż przeszył mnie wzrokiem.

- No dobrze - powiedział, wchodząc z powrotem w rolę jej chłopaka. - Jak widzisz, przeprowadzam się. Nie mam czasu na podróż w przeszłość. Weź sobie to pudełko, jest twoje.

- Jesteś pewien?

- Prezent dla krajanina. A raczej krajanek w tym wypadku - skinął głową i wszedł do środka.

Poczułam, że ktoś klepie mnie po ramieniu. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam Leona, anioła, którego poznałam w Domu Świętego Antoniego.

- Leon! - zawołałam, rzucając mu się na szyję. - Jak się masz? - spoglądałam to na niego, to na Elegancika. Aż wreszcie zrozumiałam.

Elegancik był Tomem z Domu Świętego Antoniego. Obrońca planety Rusefog, pierwsze dziecko, które chronił przed Grobowcem. Tom, którego pamiętałam jako chłopca podającego mi niewidzialny pistolet.

- Co porabiałeś? - zapytał Leon.

Milczałam pogrążona w myślach. Kiedy Tom wszedł do domu, w samym środku gęstej przestrzeni pomiędzy nim a Margot otworzył się równoległy świat. Może zresztą była to tylko projekcja moich życzeń, nie jestem pewna. Zobaczyłam Margot i Toma, dwie bratnie dusze żyjące w świecie stworzonym w jej fantazji, wśród gromadki dzieci, spędzające wieczory na dyskusjach o Kafce przy jadalnym stole. Wrzasnęłam do niej: To on! To mały Tom! Powiedz mu, kim jesteś! Powiedz mu o Domu Świętego Antoniego!

Może mnie usłyszała, może nie, w każdym razie Margot podniosła pudło z książkami i poszła. Ale najpierw nabazgrała swoje imię i adres wewnątrz egzemplarza *Raportu mniejszości* Philipa K. Dicka i zostawiła książkę na schodach.

Kilka dni później Tom pojawił się w księgarni i zapytał, czy jest Margot.

- Zależy, kto pyta - odparł Bob, ze swym wdziękiem księcia zaklętego w żabę.

- Proszę jej powiedzieć, że przyszedł Tom. Fan Philipa K. Dicka.

- Człowieku, on nie ma pojęcia o pisaniu.

- Czy zastałem Margot?

- Nie-em.

Tom westchnął, wyjął notatnik z kieszeni marynarki i zapisał swój numer telefonu.

- Czy mógłby pan jej to dać?

Dopilnowałam, żeby to zrobił. Dopilnowałam, żeby Margot oddzwoniła. I dopilnowałam, żeby zgodziła się pójść z nim na kolację, kiedy ją zaprosił.

Margot i ja - równie zdenerwowane i podobnie podekscytowane - w deszczowy czwartkowy wieczór wsiadłyśmy do taksówki i pojechałyśmy do Lenox Lounge w Harlemie. I obie w podobny sposób wyobrażałyśmy sobie przyszłość - jako długie wspólne życie z Tomem. A ja dziwiłam się, że wreszcie coś zmieniam. Steruję okrętem mojego przeznaczenia, płynącym do brzegów nienaznaczonych jeszcze śladami moich stóp ani moim żalem.

Tom czekał przed wejściem do Lenox Lounge w czarnym garniturze i białej koszuli rozpiętej pod szyją. Przysiadł na ulicznym słupku z nogami skrzyżowanymi w kostkach, od czasu do czasu ocierając z twarzy krople deszczu. Zobaczyłam stojącego przy nim Leona i pomachałam mu. Kiedy Margot spostrzegła Toma, wrzasnęła do taksówkarza: „Stój!”, tak gwałtownie, że wcisnął hamulec z całej siły i zatrzymał się na samym środku zatłoczonej ulicy. Margot rzuciła mu parę monet i kilka słów przeprosin ponad oparciem przedniego siedzenia i wysiadła z samochodu. Poszłam za nią. Po drugiej stronie ulicy ktoś do mnie machał. To była Nan. Puściłam Margot przodem i przeszłam przez jezdnię, żeby spotkać się z Nan.

Mocno mnie uścisnęła.

- Podoba mi się ten nowy kolor. Niebieski, co? Musisz teraz inaczej widzieć świat - wzięła mnie pod rękę i pociągnęła wzdłuż ulicy.

- Zupełnie inaczej - odparłam. - Co właściwie oznacza ta zmiana? Dlaczego moja suknia nabrała innej barwy?

- Litości, jedno pytanie naraz wystarczy - roześmiała się. - Zmiana wiąże się z kontynuacją twojej duchowej podróży. Zdaje się, że dotarłaś do ważnego punktu. Niebieski to dobry kolor.

- Ale co on...

Przystanęła, spoglądając na mnie bardzo surowo.

- Musimy porozmawiać o tych dwojgu - odwróciła się w stronę Margot i Toma zajętych rozmową i niezręcznym flirtem.

- Słucham.

- Nie słuchaj. Tylko popatrz.

I w jednej chwili rozstały się chmury nad Lenox Avenue, nad jej nienasyconymi kosztami na śmieci i lizajawatymi budynkami, odsłaniając wizję.

Przedstawiała ona małego chłopca, mniej więcej dziewięcioletniego, przypominającego ulicznika z połowy dziewiętnastego wieku. Ubrudzony na twarzy, ubrany był w tweedowy beret, brudną koszulę, krótkie spodenki i sfatygowaną marynarkę. Trzymał ręce w górze, usta miał otwarte, jakby śpiewał. W następnej sekundzie zauważyłam, że chłopiec stoi na scenie. W stuosobowym tłumie widzów dostrzegłam tę samą czarnoskórą kobietę w żółtej sukni, którą spotkaliśmy wcześniej. Była teraz starsza, miała krótko obcięte włosy, a jej błyszczące oczy skupione były na scenie. Zrozumiałam, że chłopiec jest jej synem. Zaszleściła kurtyna i chłopiec pobiegł za kulisy prosto w ramiona mężczyzny, którym był Tom. Jego ojciec.

- Zrozumiałaś już, dlaczego tu jestem? - Nan uniosła brew.

- Chcesz, żebym udaremniła ewentualny romans Margot i Toma...

Nan pokręciła głową.

- Chcę, żebyś zastanowiła się nad całą układanką, zanim zaczniesz bawić się jej fragmentami. Wiesz już, kogo poślubi Margot. A teraz zobaczyłaś rezultat wyborów dokonanych przez Toma.

- Przecież on ich jeszcze nie dokonał! Ani Margot - przystanęłam i wzięłam głęboki oddech. Byłam wściekła. - Posłuchaj. Musi być jakiś powód, dla którego jestem swoim... jestem Aniołem Stróżem Margot. I według mnie tym powodem jest to, że aż za dobrze wiem,

co Margot powinna była zrobić, a czego nie. A jej małżeństwo z Tobym to jedna z rzeczy, których nie powinna była robić.

Nan wzuszyła ramionami.

- Dlaczego?

Przyjrzałam się jej twarzy. Dlaczego? Od czego tu zacząć?

- Zaufaj mi - powiedziałam. - Toby i ja... nie byliśmy dla siebie stworzeni. Rozstaliśmy się, prawda? Jaki to ma sens: pozwolić Margot wpakować się w małżeństwo, o którym wiem, że nie będzie udane, co?

Nan uniosła brew.

- I wydaje ci się, że z Tomem sprawy potoczą się choć trochę lepiej?

Zamknęłam oczy i odchyliłam głowę do tyłu, wypuszczając powietrze wraz z całą frustracją. Czułam się tak, jakbym wykladała neurologię jaskiniowcowi.

- Dowiedziałam się o pieśni dusz - powiedziałam w końcu.

Popatrzyła na mnie.

- Tak? I co z tego dla ciebie wynikło?

Przystanęłam.

- Pieśń dusz to nie wszystko, prawda? Mogłabym zmienić bieg wydarzeń.

- Ruth...

- Mogę się dowiedzieć, kto mnie zabił, i nie dopuścić do tego. Mogę zmienić rezultat swojego życia...

Stałyśmy przed wejściem do Lenox Lounge.

Nan popatrzyła mi w oczy.

- Jest wiele, wiele rzeczy, które jako Anioł Stróż możesz zrobić, szczególnie w tym wypadku. Ale tu nie chodzi o „mogę”. „Mogę” jest pojęciem ludzkim, mantrą *ego*. Ty jesteś aniołem. Teraz liczy się wola Boga.

Ruszyła w swoją stronę.

Nadeszła moja kolej, żeby zagrać w „dlaczego?”.

- Wytlumacz mi, dlaczego to jest takie ważne, Nan - poprosiłam. - Nawet nie widziałam jeszcze Boga. Dlaczego nie mogę zmieniać biegu wydarzeń, skoro dobrze wiem, ile dobrego mogłoby z tego wyniknąć?

- Naprawdę wiesz?

Litość na jej twarzy mnie rozbroiła.

Mówiłam dalej, choć już z mniejszym przekonaniem.

- Mimo że umarłam, wciąż mogę pośrednio żyć życiem Margot. Może nawet udałoby mi się tak wszystko odkręcić, żebym zamiast umierać w kwiecie wieku, zostawiając za sobą zniszczone relacje z synem, mogła żyć pełnią życia, doczekać późnej starości, może zrobić coś dobrego dla świata...

Już zniknęła, by po chwili znaleźć się poza zasięgiem moich protestów. Przygryzłam wargi. Nie znośliam tego nagłego przerywania naszych rozmów.

- Uważaj na siebie - powiedziała, a potem zniknęła na dobre.

Obejrzałam się. Zobaczyłam czarną mgłę i odbicie twarzy Grogora w szybie jakiegoś samochodu. Mrugnął do mnie.

Stałam na deszczu, czując, jak faluje płynąca po moich plecach woda. Nie potrafiłam powiedzieć, czy to moje serce biło w mojej piersi, czy wybory, których dokonywała Margot, należały do niej czy do mnie. I po raz pierwszy w życiu nie wiedziałam, jak dużo mam do powiedzenia w jakiegokolwiek kwestii. To mnie doprowadzało do furii.

Była północ. Margot i Tom wychodzili pod rękę z Lenox Lounge. Wciąż nie zdawali sobie sprawy, gdzie spotkali się po raz pierwszy. Wiedzieli tylko, że pragną zostać kochankami, i to jak najszybciej.

Obejmowali się, a potem długo całowali.

- Jutro w tym samym miejscu? - zapytał Tom.

- Zdecydowanie - Margot ponownie go pocałowała.

Odwróciłam się.

Tom zauważył jadącą w ich kierunku taksówkę.

- Wsiadaj do tej - powiedział. - Ja mam dzisiaj ochotę iść do domu piechotą.

Taksówka zatrzymała się. Margot wskoczyła do środka. Posłała mu powłóczyście spojrzenie i uśmiechnęła się. Tom ze śmiertelną powagą wyjął z wewnętrznej kieszeni niewidzialne magnum 44 i strzelił do niej. Przez głowę przemknęło jej krótkie wspomnienie Domu Świętego Antoniego, ale zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Staliśmy obok siebie, Tom i ja, obydwójce zatopieni we wspomnieniach, patrząc, jak taksówka zanurza się w neonowy przypływ.

Usiadłam na tylnym siedzeniu obok Margot, obserwując, jak co chwilę odwraca się, by wyrzucić przez tylną szybę, i śmieje się sama do siebie, gdy myśli o Tomie. Widziałam, jak światełko wokół jej serca staje się coraz większe i większe, a wraz z nim rosną marzenia. Zastanawiałam się nad tym, co powiedziała Nan. „Myślisz, że z Tomem będzie inaczej?” Tak. Tak właśnie myślałam. Tak, zdecydowanie tak.

Kiedy taksówka zwolniła i zatrzymała się na czerwonym świetle, usłyszałam stukanie w szybę. Kierowca odsunął ją i zerknął na stojącą w deszczu postać. Mężczyzna nachylił się, chroniąc się przed deszczem za pomocą trzymanego nad głową skórzanego notesu.

- Czy mógłbym się dosiąść? Jadę do West Village.

Zesztywniałam. Poznałabym ten głos, choćby dobiegał z czeluści egipskiego grobowca, po którym maszerowałyby orkiestra dęta.

Taksówkarz zerknął na Margot, której twarz odbijała się w lusterku wstecznym.

- Jasne - odparła, przesuwając się, żeby zrobić miejsce dla nowego pasażera.

Nie, powiedziałam, zamykając oczy.

Światła zmieniły się na zielone. Młody mężczyzna w prążkowanym garniturze koloru limonki odgarnął do tyłu długie włosy i wyciągnął rękę do Margot.

- Dziękuję - powiedział. - Jestem Toby.

Zaczęłam krzyczeć. Wydałam z siebie długi, udręczony krzyk. Wrzask potępieńców.

- Margot - powiedziała Margot, a ja płakałam.

- Miło mi cię poznać.

Rozdział 14

TRZY STOPNIE PRZYCIĄGANIA

Czy istnieje sposób, żeby opisać tę scenę w samochodzie, to uczucie, które wisiało nad nami jak nabrzmiała po ulewie markiza, gotowa pęknąć w każdej chwili pod ciężarem zebranej w niej wody? Bębnienie deszczu o przednią szybę zlewało się z szumem samochodowego radia. Odgłos pracujących wycieraczek przypominał elektrokardiograf, a taksówkarz zawodził *Singing in the Rain* po węgiersku.

W samochodzie można było zaobserwować trzy rodzaje albo trzy stopnie przyciągania:

1. Margot patrzyła na Toby'ego i czuła, że jej uwagę dziwnie przyciągają jego piękne długie włosy koloru jesiennych liści, łagodność spojrzenia, szczerłość jego „dziękuję”.

2. Toby zerkał kątem oka na Margot i myślał „niezłe nogi”. Pomimo frustracji coś we mnie drgnęło. Toby z góry założył, że Margot ma chłopaka, studiuje na Uniwersytecie Columbia (krótka tweedowa spódniczka w kolorze mchu tego lata robiła furorę wśród studentek) i że nie ma szans, by zechciała spojrzeć na kogoś takiego jak on. Uśmiechnął się więc uprzejmie, wyciągnął z kieszeni notes i wrócił do przerwanych notatek - do swojego opowiadania.

3 - Kiedy siedziałam pomiędzy nimi, mój własny pociąg do Toby'ego objawił się w postaci głębokiego, wiernego, pokiereszowanego przez życie uczucia łączącego mnie z człowiekiem, który był ojcem mojego dziecka, moim mężem, klientem, a kiedyś najlepszym przyjacielem. Lina rozciągnięta pomiędzy nami, gruba jak trakcja tramwajowa, w końcu pękła i uderzyła mnie w twarz. I teraz, kiedy siedziałam tak blisko niego, że mogłam dostrzec łańcuszki pomarańczowych piegów pod jego oczami i gładkość jego policzków (gdy tymczasem on modlił się o zarost, który byłby dowodem na to, że ma - wreszcie - ukończone dwadzieścia jeden lat), drżałam z miłości, pożądania, nienawiści i poczucia krzywdy.

Chociaż nie oddychałam, bałam się wypuścić powietrze, jakby było cennym darem. Siedziałam nieruchoma jak posąg do chwili, gdy wysiadł z samochodu, zastukał w szybę na pożegnanie i zniknął w ciemności nocy. Rozluźniłam zaciśnięte dłonie i śmiałam się, dopóki nie zniknęło nerwowe drzenie w moim głosie. Wiedziałam, że znowu się spotkają, i część

mnie, która wciąż go nienawidziła, wyła na tę drugą część, która pragnęła znowu go zobaczyć.

Mój anielski konflikt wewnętrzny sprawił, że na chwilę straciłam czujność. Kiedy odwróciłam głowę, Margot sięgała po coś, co wypadło z kieszeni Toby'ego, kiedy wysiadał z samochodu. Zanim zdołałam cokolwiek zrobić, zanim wróciłam do terażniejszości, ona już czytała.

Było to opowiadanie, a może esej, napisany drobnymi literami z mnóstwem zawijasów, pismem intelektualisty o grubych, okrągłych samogłoskach, świadczących o silnie rozwiniętej empatii Toby'ego. Co ciekawe, opowiadanie zostało napisane na kartce pochodzącej z wydanego na przełomie wieków *Dekameronu* Boccaccia, tak starej, że nabrała koloru musztardy, a pierwotny tekst zdążył niemal całkowicie wyblaknąć.

Toby'ego można było określić jako typ przymierającego głodem artysty. Był tak szczupły, że sztruksowy garnitur wisiał na nim jak garniturokształtny śpiwór, a jego długie szczupłe ręce pokryte cętkami były zawsze zimne. Żył ze stypendium wypłacanego mu co kwartał przez Uniwersytet Nowojorski, co w rzeczywistości oznaczało, że żywił się resztkami ze straganu z hot dogami, które sprzedawał jego przyjaciel z uczelni, a nocował na poddaszu otwartej przez całą noc restauracji na Bleecker Street. Nigdy, przenigdy nie przyznałby, że jest biedny. Obzerał się słowami, raczył się poezją i czuł się jak milioner, jeśli tylko obdarowano go piórem wypełnionym atramentem i czystymi kartkami. Był pisarzem. Najgorszą rzeczą, jaka się z tym wiązała, było w wypadku Toby'ego przeświadczenie - nawet jeśli ktoś podawał je w wątpliwość - że skrajna nędza była w pakiecie.

Jeśli potraficie sobie wyobrazić kawałek delikatnego papieru z wyblakłym włoskim tekstem wyglądającym zza upstrzonych plamami atramentu artystycznych gryzmołów wiecznego pióra, wiecie już, co Margot podniosła z podłogi, rozwinęła i przeczytała.

Toby E. Posłusny

Drewniany człowiek

W przeciwieństwie do Pinokia, drewniany człowiek nie był kukielką. Drewniany człowiek był prawdziwym człowiekiem, podczas gdy wszyscy wokół niego byli nieprawdziwi. W tej krainie kukielek drewnianemu człowiekowi żyło się bardzo ciężko. Szanse na zatrudnienie były zerowe, chyba że miało się sznurki przymocowane do kończyn i potrafiło się mówić, nie poruszając ustami. Nie było też domów ani bloków mieszkalnych, a w końcu zaczynało brakować nawet kościołów; za to cała planeta zamieniła się w gigantyczną scenę, po której kukielki kroczyły dumnie i walczyły między sobą, a drewniany człowiek czuł się

coraz bardziej samotny. Bo trzeba wam wiedzieć, że drewniany człowiek nie był zrobiony z drewna, lecz miał drewniane serce; właściwie jego serce było drzewem o wielu gałęziach, na których nie rosły brzoskwinie ani gruszki i żaden ptak nie przylatywał, żeby na nich usiąść i śpiewać.

Choć Margot nic nie wiedziała o mężczyźnie, obok którego siedziała przez siedemnaście przecznic, czuła się tak, jakby otwarto jej okno do jego świata, pokazano stronę z jego dziennika albo list miłosny. Nieskrywana samotność przyczajona w opowiadaniu trafiła na podatny grunt, wzbudzając sympatię Margot. Ja oczywiście widziałam w tym świadomie napuszone, intertekstualne brednie, śmierdzące postmakkartyzmem. Młody Toby Posłusny nie był mistrzem pióra i jeszcze wiele lat miało upłynąć, nim opanował swoje rzemiosło. Ale dla młodej, cierpiącej na lekką nostalgię miłośniczki literatury, która potrafiła cytować całe fragmenty *Wichrowych Wzgórz*, palimpsest Toby'ego był jak pole zaminowane smakowitym autobiograficznym symbolizmem.

I tak oto mężczyzną, który wyparł Toma z myśli Margot, nie był Toby, lecz jeden z jego bohaterów. Tom dzwonił do księgarni jeszcze pięć razy. Margot zawsze wtedy właśnie była na mieście. Penetrowała inne księgarnie w poszukiwaniu książek, jakie Bob powinien mieć na swoich półkach, krążąc jednocześnie myślami wokół historyjki Toby'ego. Była coraz bardziej sfrustrowana z powodu zakurzonych tomów nieżyjących białych pisarzy płci męskiej, które zajmowały miejsce w księgarni Boba. Mimo że pomalowała fasadę na biało, wymieniła przepalone żarówki i spędziła cały weekend na naprawianiu napisu „Księgarnia Babbingtona”, klienci, którzy odwagili się wejść do środka, zwyczajnie nie chcieli Hemingwaya ani Wellsa. Chcieli nowych, gniewnych głosów odzywających się w gettach Detroit, w zamieszkanych na dziko budynkach Londynu, Manchesteru, Glasgow czy domach czynszowych Moskwy. Po JFK, Wietnamie, aferze Watergate i seryjnym mordercy tuż za progiem nowe pokolenie dwudziestoparoletnich czytelników pragnęło literatury, która oddawała głos szaleństwu.

W końcu pogodziłam się z utraconą perspektywą przyszłości z Tomem i energicznie zachęciłam Margot do zrobienia ważnego kroku, choć oczywiście wiedziałam, ile ją to będzie kosztowało: chciałam, aby studiowała literaturę na Uniwersytecie Nowojorskim. Zadzwoiła do Grahama.

- Cześć, tato! To ja! Jak się masz?

Stłumione chrząknięcie.

- Margot. Margot? Czy to ty?

Zerknęła na zegarek. Znowu pomyliła strefy czasowe. W Anglii była czwarta nad ranem.

- Margot?

- Tak, tato, przepraszam, obudziłam cię?

- Nie, nie - kaszel przypominający nabieranie żwiru na łopatę i odgłos splunięcia. - Oczywiście, że nie. Właśnie szykowałem się na spotkanie dnia. Jesteś podekscytowana, co się stało?

Wyjaśniła więc jednym tchem, co chciała zrobić. Rozśmieszyły go jej słowa: „szansa, żeby nie stać się kimś takim jak filistrzy, którzy rządzą naszym krajem”. Zapytał, ile by to kosztowało. Życzenie Margot zostało spełnione w czasie krótszym niż jedna minuta. Graham miał zapłacić chesne i przelać na konto Boba pieniądze za jej mieszkanie na następne dwanaście miesięcy. Miał tylko jedną prośbę: aby przeczytała jego najnowszą powieść i powiedziała, co o niej sądzi. Umowa została zawarta.

Ja tymczasem obserwowałam uważnie Midtown West, od czasu do czasu namawiając Margot, żeby obejrzała księżycowy krajobraz nieużytków w tamtej okolicy i pomyślała o ich bliskim sąsiedztwie z Times Square. Mówiłam jej, żeby zapomniała o wojnach gangów i policyjnych nalotach w tym rejonie, skupiając się na niewyobrażalnie niskich cenach ziemi. Kiedy pieniądze Grahama zostały zaksięgowane na jej koncie, okazało się, że była to kwota wystarczająca, aby kupić działkę o powierzchni czterdziestu arów. Bank z pewnością dołożyłby sumę potrzebną na wybudowanie skromnego hotelu. Ukazywałam Margot ten pomysł w snach, wzbogacając go o obrazy przestronnych pokoi z wykrochmalonymi prześcieradłami na łóżkach, różowymi piwoniami na nocnych szafkach, ogniu płonącym na kominku w holu... Czułam się jak reżyser filmu, chociaż nie potrzebowałam kamery, wystarczała mi własna wyobraźnia i dłoń przyciśnięta do czoła Margot. Kiedy się budziła, nagle zaczynała tęsknić za wygodniejszym łóżkiem, gorącym prysznicem i obsługą pokoi. Ale pomysł zbudowania hotelu nigdy nie doczekał się odzewu z jej strony. Z żarliwością akademickiego neofity podążyła za swoim powołaniem, którym był Uniwersytet Nowojorski.

Wlokłam się zatem za nią jak stary znużony muł przez Washington Square Park do Uniwersytetu Nowojorskiego, wchodziłam po schodach starego wiktoriańskiego budynku z przeciekającym dachem i ostrożnie zajmowałam jej miejsce w pełnym przeciągów wysokim pomieszczeniu z tablicą umieszczoną na marmurowym kominku. Pozostali studenci w liczącej piętnaście osób grupie byli milczący, zvarci i gotowi do obrzucenia wykładowcy swoimi poglądami na poststrukturalizm, zanim się jeszcze pojawił. Jedna z dziewcząt, potomkini Chińczyków o imieniu Xiao Chen z ogoloną głową, ubrana w złote satynowe

getry, wysokie martensy i skórzaną nabijaną ćwiekami kurtkę motocyklową, podniosła wzrok na Margot i uśmiechnęła się. Spojrzałam na Xiao Chen i natychmiast pomyślałam o kolejkach tequili i ulicznym bandycie leżącym bez życia na środku parkowej alejki. Ach, tak, Xiao Chen. To dzięki niej opanowałam sztukę kradzieży.

Kiedy drzewa przybrały kolor czerwieni, potem bieli, aż wreszcie wyglądały jak nagie widły, Margot i Xiao Chen pogrążyły się w lekturze książek, do wydrukowania których unicestwiono całe lasy, a ja patrzyłam w udręce, jak na niewykorzystanej dotąd działce w Midtown West, cegła za cegłą, rośnie nowy budynek, jakby ktoś, jedna na drugiej, układał sztaby złota.

Wiele lat po naszej pierwszej randce odkryłam, że Toby pracował na Uniwersytecie Nowojorskim w czasie, gdy ja tam studiowałam. Wtedy jednak nasze drogi nigdy się nie zeszły. Zatrudniono go, aby poprowadził kilka seminariów, kiedy profesor Godivała wzięła wolne, by opiekować się dzieckiem. W ciągu kilku godzin od wywieszenia na tablicy ogłoszeń informacji o zapisach na kurs Toby'ego, zatytułowany *Szekspir freudowski*, wszystkie miejsca były już zajęte. Margot stała, z długopisem w ręce, chcąc koniecznie dopisać swoje nazwisko. Zobaczyłam, kto jest wykładowcą - Tobias Posłusny - i na całe gardło zaczęłam śpiewać pieśń dusz, ku wielkiemu zdumieniu pozostałych aniołów stojących wśród tłumu rywalizujących o miejsce studentów. Margot zawahała się, a potem nabazgrała swoje nazwisko. Na szczęście zjawiała się Xiao Chen i uratowała mi skórę.

- Nie będziesz chodziła na ten kurs.

- Oczywiście, że będę. Dlatego się zapisałam. Ty nie chcesz?

Xiao Chen pokręciła głową.

- To seminarium jest w poniedziałki o ósmej trzydzieści rano. Tak czy owak, ty nie cierpisz Szekspira. Chodź, zapisz się ze mną na zajęcia z modernizmu.

Margot zawahała się.

- Stawiam kolejkę, jeżeli się zgodzisz - powiedziała Xiao Chen, wyrwała pióro z ręki Margot i skreśliła jej nazwisko, a potem zaprowadziła ją do tablicy z listą chętnych na zajęcia z modernizmu.

Margot zapisała się na nie i pognały do bractwa studenckiego.

Jednak idąc za nimi, wpatrzona w nasiona, które dojrzewały jak zielone serca w twardej ziemi Washington Square Park, przygotowując się do długiej podróży w stronę słońca, zobaczyłam Toby'ego. Siedział samotnie na ławce i pisał. Xiao Chen spotkała dwóch zapalonych sportowców i została z Margot w tyle, flirtując i chichocząc, a ja podeszłam do Toby'ego.

Wśród gałęzi wierzby rosnącej za jego plecami siedział anioł z długimi srebrnymi włosami i pociągłą poważną twarzą. Był tak jasny, że z większej odległości przypominał oświetlony słońcem wodospad tryskający spomiędzy gałęzi. Kiedy podeszłam, uświadomiłam sobie, że to Gaja, Anioł Stróż Toby'ego, jego matka. Za mojego życia nigdy się nie spotkałyśmy. Gaja spojrzała na mnie i pokiwała głową, choć uśmiech na jej ustach nie był pełny. Usiadłam obok Toby'ego. Nieobecny duchem, bazgrał w skupieniu, założywszy nogę na nogę.

- Dobrze cię widzieć, Toby - powiedziałam.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - odparł z roztargnieniem, choć przy słowie „że” się zawahał i zdezorientowany, podniósł głowę.

Wstałam gwałtownie. Toby rozejrzał się, podrapał po głowie, a potem wrócił do pisania. W miarę jak pisał, powłokę emocji i procesów myślowych pojawiającą się często w formie rozedrganej, iskrzącej się ściany, o zmiennych barwach i fakturze, przecinały szczeliny. Działo się to w chwilach, gdy powstawały nowe połączenia pomiędzy poszczególnymi pomysłami, pączkującymi na jej powierzchni. Dostrzegłam swoją szansę.

Musiałam zapytać.

Musiałam się dowiedzieć, bo jeżeli to on zabił Margot, jeżeli moje życie zakończyło się tak gwałtownie z powodu tego mężczyzny, musiałam znaleźć sposób, żeby zabrać Margot jak najdalej od niego.

- Czy zabiłeś Margot, Toby?

Wciąż pisał.

Odezwałam się głośnie.

- Czy zabiłeś Margot?

Gaja podniosła głowę.

Ze wszystkich sił starałam się dostrzec obrazy z jego przeszłości i przyszłości pojawiające się obok jak równoległe światy. Potrzebowałam wskazówek. Ale jedyne, co zobaczyłam, to twarze jego studentów, postać drewnianego człowieka tańczącego samotnie w krainie kukielek i jakiś wiersz, który był jeszcze jambicznym embrionem.

Potem przemknął mi przed oczami obraz Margot w taksówce.

Podeszłam bliżej. Uśmiechnął się szeroko, jakby pozwolił sobie na chwilę osobistej tęsknoty, a potem dalej pisał. A potem znowu. Nad jego głową pojawił się obraz uśmiechniętej twarzy Margot w taksówce, jak kielkujące zimą ziarno.

Rzuciłam okiem na Margot i Xiao Chen, dobrowolne zakładniczki niebieskookich sportowców, i usiadłam obok Toby'ego.

- Mój syn nie jest mordercą - przede mną stała Gaja, srebrzysta jak nowe ostrze.

- W takim razie, kto zabił Margot?

Wzruszyła ramionami.

- Przykro mi, nie wiem. Na pewno nie Toby.

Odeszła. Powiew wiatru zakolysał drzewami w parku i uniósł spódnice jakiejś dziewczyny, wywołując aplauz pojedynczych przechodniów. Omiótł Toby'ego, jednak nie poruszył jego myśli.

Przyjrzałam mu się dokładnie, ogarniając paletę kolorów ziemi, którymi mieniła się jego aura, wstrzymując oddech, kiedy zauważyłam, w jak złym stanie są jego nerki, jak delikatne są jego kości. Poprzez jego spokojną dziewczęcą twarz i złote przenikliwe oczy patrzyłam, jak białe światło jego duszy kurczy się i rozszerza, kiedy on wpada na jakiś pomysł, a ten rozbrzmiewa najgłębszymi pragnieniami płynącymi z wnętrza jego istoty. Widziałam je jako wyświetlone na małych ekranach obrazy nadziei. Być kochanym. Pisać książki, które pobudzą świat do współczucia i zmian. Dostać stały etat na Uniwersytecie Nowojorskim. Mieć dziecko z właściwą kobietą.

Sportowcy zbierali się do odejścia, a Margot i Xiao Chen poszły z nimi. Minie kilka lat, zanim Margot spotka Toby'ego we właściwych okolicznościach. Schyliłam się i pocałowałam go delikatnie w policzek. Spojrzał prosto na mnie. To, co on uznał za chmurę, z której pada deszcz, było w rzeczywistości moim sercem rozpryskującym się na tysiące kawałeczków żalu.

Zakochiwałam się w nim od nowa.

Rozdział 15

PIES W DELIKATESACH

Tymczasem Margot zakochiwała się w uniwersyteckiej drużynie hokejowej. Najpierw darzyła uczuciem jej trenera, dopóki nie dowiedziała się o tym jego żona. Potem przeniosła swoją miłość na męskich członków klubu karate. Jej namiętność była tak drapieżna, że pożarła połowę wydziału. Potem pochłonęła Jasona. Ale Jason chodził z Xiao Chen. Po odbiciu oddanych chłopaków sportowców trzynastu blondynkom z Connecticut Xiao Chen właśnie zaczęła przenosić rzeczy do mieszkania Jasona. Kto jak kto, ale Xiao Chen nie miała prawa aż tak się dziwić. Margot była klasycznym przypadkiem ucznia, który przerósł mistrza. Dość powiedzieć, że ich przyjaźń gwałtownie się zakończyła.

A ja z każdym dniem zaczynałam coraz bardziej nienawidzić Margot. Margot, mówiłam jej. Jak ja cię nie znoszę. Pozwól, że wymienię wszystkie powody:

1. Nienawidzę twojego fałszywego amerykańskiego akcentu.
2. Nienawidzę twojego pseudopoświęcenia dla feminizmu i religijnego oddania puszczaniu się.
3. Nienawidzę, jak okłamujesz tatę. Kiedy się zorientuje, że oblewasz egzaminy, będzie zdruzgotany.
4. Nienawidzę twoich pozerskich poglądów i głębokiego głosu palacza. Nienawidzę go, ponieważ ty nigdy nie słuchasz mojego.
5. Nade wszystko, Margot, nienawidzę siebie - za to, że kiedyś byłam tobą.

Zbliżała się sesja. Zebraliśmy się wraz z grupą aniołów i ciężko pracowaliśmy nad tym, żeby nasze Istoty Chronione zechciały przysiąść fałdów i sięgnąć po lepszą przyszłość. Tymczasem Bob zwracał baczną uwagę na małe eskapady Margot na górę z każdym Tomem, Dickiem i Harrym, na którego się natknęła. Wykombinował, że jemu też może się poszczęścić. I tak w noc poprzedzającą pierwszy egzamin Margot zaczesał do tyłu swoje afro, najlepszy podkoszulek wepchnął do najciaśniejszych džinsów i zapukał do jej drzwi.

- Margot?

- Śpię.

- Nie śpisz, bo gdybyś spała, tobyś nie odpowiadała.

- Idź sobie, Bob.

- Mam wino. Czerwone. C h a-b l i s s.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Margot w koszuli nocnej, z najbardziej nieszczerym ze swoich uśmiechów na twarzy.

- Czy ktoś powiedział chablis?

Bob przyjrzał się butelce, a potem spojrzał na Margot.

- Uhm. Taa.

- Wchodź.

Udało mi się zapobiec spełnieniu marzeń Boba, ale kosztem utraty przytomności przez nich oboje we wnęce kuchennej Margot. Zbyt dużo c h a-b l i s s sprawia, że biały człowiek robi się senny, jak powiedziałby Bob.

Gorzej poszło mi ze sprawieniem, aby Margot usłyszała moje odpowiedzi na pytania egzaminacyjne. Siedziała w sali egzaminacyjnej, a właściwie leżała na stoliku, próbując mentalnie pokonać wyszczerbiony mur swojego kaca. Rozłożyłam ręce i podeszłam do okna. Za biurkiem w roli pilnującego siedział Toby. Usiadłam na blacie obok niego i patrzyłam, jak pisze.

Rozpoznałam kilka zdań, miały się one pojawić później w jego pierwszej powieści *Czarny lód*. Kilkakrotnie cmokał z niezadowoleniem i skreślał słowa lub całe zdania ciężkimi, karzącymi liniami, aż w końcu Gaja położyła dłoń na jego ramieniu, namawiając go, by się nie poddawał. Kiedyś zobaczyłam, jak Gaja wyciąga rękę, w chwili gdy Toby drapie piórem po papierze, ale nie może go dotknąć. Mogła to zrobić dopiero kilka minut później. Przyglądałam mu się z bliska. Kiedy myśli kształtowały krajobraz wyobrażeń w jego mózgu, jego aura kurczyła się nagle, a w jej miejscu powstawała gruba bariera. Wyglądało to jak lodowiec, w którym przez chwilę był zamknięty. Zdarzało się, że trwało to jakieś dziesięć sekund. Gaja raz po raz wołała go po imieniu, aż bryła wyglądała tak, jakby się rozpuszczała. Ale nie rozplywała się w powietrzu. Wsiąkała w Toby'ego.

- Co to jest? - zapytałam Gaję po chwili.

Szybko na mnie spojrzała.

- To lęk. Toby boi się, że nie jest wystarczająco dobry. Nigdy nie spotkałaś się z tym u Margot?

Pokręciłam głową. Niczego podobnego u niej nie widziałam.

- Pewnie jej lęk przybiera inne formy - wzruszyła ramionami. - Tak wygląda u Toby'ego. Chroni go. Mnie to martwi. Ostatnio odgradza go od dobrych rzeczy. A ja nie mogę się dostać do środka.

Pokiwałam głową.

- Może razem temu zaradzimy.

Uśmiechnęła się.

- Może.

Gaja na nowo próbowała wyciągnąć Toby'ego ze skorupy, ale bariera powracała i tylko on, będący źródłem własnych lęków, mógł ją rozpuścić. Nie dało się z nią walczyć. Gdyby zdołał się z niej uwolnić podczas tamtego egzaminu, mógłby zauważyć Margot, która pakowała właśnie rzeczy i wychodziła z sali godzinę przed czasem.

Wyszłam za nią na zewnątrz. Siedziała skulona i patrzyła na rzekę Hudson. Potem szybko ruszyła przed siebie, zaczęła biec.

Nie zatrzymywała się i po jakimś czasie gnałyśmy obie z szaloną prędkością, z twarzami zroszonymi potem, a włosy każdej z nas powiewały jak warkocz komety.

Biegłyśmy tak, aż znalazłyśmy się na Moście Brooklińskim. Margot z trudem łapała powietrze, dysząc i pochylając się do kolan, serce łomotało w jej piersi. Patrzyła na ruch uliczny, a potem oparła się o barierkę i spojrzała na budynki Manhattanu. Słońce wciąż było wysoko, musiała zrobić daszek z dłoni, aby osłonić oczy. Sprawiała wrażenie, jakby szukała kogoś, obserwując spod zmrużonych powiek bliźniacze wieże i przystań numer czterdzieści pięć. W końcu chwiejnym krokiem podeszła do ławki i usiadła ciężko.

Wokół niej jak małe błyskawice migotały smutek i dezorientacja. Kiedy siedziała pochylona, z jej serca wystrzeliwały maleńkie różowe światełka, okrążały ją i przesączały się do jej aury. Zacisnęła powieki, broda jej drżała. Myślała o mamusi. Jedyne, co mogłam zrobić, to położyć rękę na jej głowie. *Już dobrze, brzdącu. Nie jest aż tak źle.* Kiedy usiadłam obok niej, oparła łokcie na udach, a głowę na dłoniach i płakała, wydając z siebie długie łkania bez dna. Czasem od rozpaczyny do pogodzenia się z losem trzeba pokonać bardzo długą drogę.

W czasie gdy Margot siedziała na ławce, przemknęła obok grupa kolarzy, słońce płynęło po niebie mieniącym się odcieniami złota, aż w końcu całe miasto rozjarzyło się złotorudym blaskiem, a rzeka płonęła.

Próbowałam sięgnąć pamięcią do tamtej chwili, ale nie mogłam jej sobie przypomnieć. Przestałam się nad tym zastanawiać i zaczęłam mówić:

- Rozważasz skoczenie z tego mostu, brzdącu? Żebyś wiedziała, od ekipy samobójców dzieli cię jeszcze jeden krok - poklepałam metalową barierkę.

Znowu zaczęła płakać. Mówiłam łagodniejszym tonem. Nie żeby mnie słyszała, lecz może wyczuje moją obecność.

- Co się dzieje, Margot? Dlaczego jeszcze tu jesteś? Dlaczego nie siedzisz nad książkami, tak jak obiecałaś, żeby wyjść na ludzi? - Nagle zorientowałam się, że zaczynam wygłaszać monolog pod tytułem „świat stoi przed tobą otworem”, i westchnęłam. Zmieniłam taktykę. - Ci wszyscy faceci, z którymi spałaś, czy którykolwiek z nich cię uszczęśliwił? Czy któregośkolwiek z nich kochałaś?

Powoli pokręciła głową.

- Nie - wymamrotała.

Łzy płynęły jej po twarzy.

Nie ustępowałam.

- Dlaczego więc to robisz? Co będzie, jeśli znowu zajdziesz w ciążę? Albo złapiesz HIV?

Podniosła głowę i otarła łzy, a potem zaczęła się śmiać.

- Gadam do siebie. Kompletnie mi odbija - oparła głowę na skrzyżowanych ramionach, patrząc teraz ponad budynki, najdalej jak mogła w stronę horyzontu. - Tak naprawdę jesteśmy na świecie zupełnie sami, prawda? - powiedziała cicho.

To nie brzmiało jak pytanie. A ja w końcu przypomniałam sobie to potężne, rozdzierające duszę pragnienie, żeby ktoś mnie uratował. Pamiętam, że czułam się na tym moście tak, jakbym znajdowała się miliony mil od lądu, na skale na środku morza. I nikt nie przyszedł mi z pomocą.

Tylko że teraz ja tutaj jestem, Otoczyłam ją ramieniem, a potem poczułam czyjeś inne ramiona na swoich, potem jeszcze inne, a kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam Irinę i Unę, duchy, które przyszły z wizytą z tamtej strony. Obejmowały mnie i Margot, mówiły do niej łagodnie, że wszystko jest w porządku, że są przy niej i że czekają. Płakałam i dotykałam ich rąk, chcąc je zatrzymać jak najdłużej, a one całowały mnie, przytulały i mówiły, że zawsze są ze mną, że tęsknią. Szlochałam, aż wydawało mi się, że pęknie mi serce. Światelko wokół serca Margot migotało jak świeca na wietrze.

W końcu wstała, zacisnęła zęby i podeszła powoli do krawężnika. Złapała taksówkę i pojechała do domu, a gwiazdy skryły swoje sekrety za nieprzebytą chmurą.

*

Zła wiadomość była taka, że oczywiście oblała wszystkie egzaminy. Chociaż jej porażka była jednocześnie pewnego rodzaju osiągnięciem. Oblała więcej niż którykolwiek student na roku. Można powiedzieć, że zrobiła to w sposób spektakularny. Bob wydał na jej cześć przyjęcie wśród książek i gorzały. Spędzili irytująco hałaśliwy wieczór, świętując jej monumentalną naukową katastrofę.

Dobra wieść była taka, że mogła powtórzyć pierwszy rok. Udało mi się przemówić do niej i zachęcić ją, aby opracowała plan. Nie było mowy, by powiedziała Grahamowi, że wydała setki funtów na nieustającego kaca. Postanowiła zatem, że znajdzie jeszcze kilka dorywczych zajęć, całe lato będzie oszczędzała, a potem sama opłaci sobie drugą rundę na pierwszym roku.

Znalazła pracę w irlandzkim pubie, gdzie w weekendowe wieczory była kelnerką, wyprowadzała psy bogatych ludzi na Upper East Side. Rzuciłam okiem na szczekający pompon na końcu smyczy i jęknęłam. To nas zaprowadzi do Sonyi, nie było co do tego wątpliwości.

Były dwa powody, dla których nie dołożyłam większych starań, żeby zapobiec spotkaniu Margot z Sonyą Hemingway.

Po pierwsze i przede wszystkim, Sonya była przezabawna. Wysoka, o apetycznie zaokrąglonych kształtach i sięgających pośladków ogniście rudych włosach, które prasowała przez pół godziny każdego ranka. Sonya lubiła bary, twarde narkotyki i półprawdy. Nie miała absolutnie żadnych planów na przyszłość. Poza tym była daleką krewną Ernesta Hemingwaya. Tym ostatnim faktem (choć trudnym do zweryfikowania) chwaliła się głośno projektantom, dilerom narkotyków i wszystkim, którzy zechcieli jej słuchać. Opłaciło się. Do korzyści z opowiadania tych niewiarygodnych historii należała choćby zawrotna kariera modelki i nieustająca obfitość białego halucynogennego proszku.

Po drugie, było coś, co nie dawało mi spokoju. Miała czy nie miała romansu z Tobym? Pomyślałam, że skoro nadarza się okazja, aby wreszcie wyjaśnić tę szczególną ciekawostkę egzystencjalną, powinnam z niej skorzystać.

Ale zmierzałyśmy akurat w przeciwne strony. Pies - wabił się Paris - posłusznie dreptał przy nodze na swojej smyczy. Odwróciłam się, wypatrując Sonyi na ulicy. Szła drugą stroną Piątej Alei. Może lepiej zainterweniować, pomyślałam.

Nachyliłam się i potargałam puszyste uszy Parisa, a potem przycisnęłam dłoń do jego czoła.

- Pora obiadu, co, mały?

Paris zaczął się entuzjastycznie ślinić. Od razu posłałam do jego głowy obrazy rozmaitych psich smakołyków.

- Co najbardziej lubisz? Indyka? Bekon?

Psu ukazał się obraz pieczonego indyka i bekonu z różną. Zaszczekał.

- Czekaj, już wiem - powiedziałam. - Megatona salami!

Na to Paris zerwał się do biegu. Trochę szybciej niż przewidywałam i z zadziwiającą siłą. Szarpnął Margot do przodu, kierując się prosto na drugą stronę ulicy i zmuszając dwie taksówki i chevroleta do zatrzymania się zaledwie kilka centymetrów od Margot. Krzyknęła i wypuściła smycz. Paris rzucił się naprzód, aż ogon zafurkotał mu jak śmigło. W rezultacie zatrzymał następny samochód oraz rowerzystę, który przeleciał nad kierownicą i wylądował na straganie z hot dogami. Nie był zadowolony.

Margot z zakłopotaniem przeszła przez jezdnię, w ramach przeprosin zaczekawszy na zielone światło. Kiedy znalazła się po drugiej stronie ulicy, rzuciła się do drzwi delikatesów. Stałam obok i śmiałam się - za drugim razem to wydawało się o wiele zabawniejsze. Paris trafił prosto na świeżą dostawę wieprzowiny na tyłach sklepu i opanowany swoim psim pragnieniem dorwania się do największego kawałka, przewrócił baniak z wodą, rozlewając jego zawartość po całej podłodze sklepu. Właściciel, przeklinając, wyrzucił Parisa za drzwi. Pies podporządkował się ochoczo, zaciskając szczęki na kawałku mięsa. Margot zgarnęła Parisa, dała mu parę razy po nosie i zaciągnęła go z powrotem do środka, żeby przeprosić. Stała twarzą w twarz z właścicielem, który usiłował właśnie pozbiierać rozrzucone resztki mięsa.

- Tak mi przykro! Obiecuję, że za wszystko zapłacę! Proszę wystawić rachunek, zwrócę panu wszystko, jak tylko będę mogła.

Właściciel rzucił jej gniewne spojrzenie i powiedział - po włosku - żeby sobie wsadziła swoje przeprosiny tam, gdzie słońce nie dochodzi. Margot zobaczyła stojącą w rogu dziewczynę o długich rudych włosach, która oglądała ze śmiechem swoje mokre ubranie - jeszcze jeden ze skutków ubocznych eskapady Parisa. To była Sonya.

- Przykro mi - powiedziała do niej. - To nie jest mój pies...

Sonya wykręciła swoje rude włosy.

- Jesteś Angielką, co?

Margot wzruszyła ramionami.

- Tajakby.

- Wasza królowa pewnie by tego tak nie ujęła.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej bluzki. Czy całkiem ją zniszczyłam?

Sonya podeszła do niej. Miała zwyczaj ignorowania zasad dotyczących przestrzeni osobistej. Podchodziła do osób, które były dla niej obce - jak Margot w tym przypadku - tak blisko, że prawie zderzały się nosami. W bardzo młodym wieku przekonała się na własnej skórze, że ludzie reagują przy bezpośredniej konfrontacji. Czasem dobrze, czasem źle - ale w każdym razie można w ten sposób zwrócić ich uwagę, a o to jej chodziło.

- Hej, tajakby Angielko, masz dzisiaj jakąś randkę?

Margot cofnęła się o krok. Widziała białka oczu Sonyi i czerwoną szminkę odbitą na jej zębach.

Sonya zrobiła jeszcze jeden krok do przodu. Paris polizał jej rękę.

- Twój pies mnie lubi, co?

Margot odzyskała panowanie nad sobą.

- Przepraszam za twoją bluzkę. Jest śliczna.

Sonya zerknęła na swoją marszczoną bluzkę z fioletowego jedwabiu, która lepiała się do jej ciała.

- Nie szkodzi, mam takich mnóstwo - nie wiadomo skąd wydobyla czarną wizytówkę i wsunęła ją za obrozę Parisa.

- Możesz mi to wynagrodzić, przychodząc wieczorem na imprezę.

Mrugnęła zalotnie do Margot i wciąż ociekając wodą, wyszła na Piątą Aleję.

Wolna od psa, lecz pełna wątpliwości, Margot stała tego wieczoru przed domem Sonyi w Carnegie Hill, zerkając na czarną wizytówkę przekonana, że pomyliła adres. Nacisnęła dzwonek. Drzwi natychmiast się otworzyły, ukazując rozpromienioną Sonyę w obcisłej sukience w leopardzie cętki.

- Tajakby! - wrzasnęła, wciągając Margot do środka.

Zachichotałam. Tajakby. Co za tupet.

Sonya przedstawiła Margot swoim gościom, przekrzykując Boba Marleya, który wrzeszczał z dwóch gigantycznych głośników przy wejściu do domu - aż wreszcie przyszła kolej na faceta, którego określiła jako „pana Szekspira spędzającego imprezy z nosem w książce”. Wstrzymałam oddech. To był Toby.

- Cześć - powiedziała Margot, wyciągając rękę w stronę częściowo ukrytej za książką postaci na fotelu.

- Cześć - odparł on zza książki, a kiedy ją zobaczył, powiedział „cześć” jeszcze raz, lecz tym razem z wykrzyknikiem na końcu. - Toby - podał jej rękę, wstając.

- Margot - powiedziała Margot. - Chyba już się spotkaliśmy.

- Zostawię was, pogadajcie sobie - zdecydowała Sonya i odeszła tanecznym krokiem.

Margot i Toby przypatrywali się sobie, a potem niezręcznie odwrócili wzrok. Margot usiadła i podniosła książkę, którą czytał. Toby bawił się chwilę paskiem przy spodniach, zanim usiadł obok. Przelotne zerknięcie na flirtującą i roześmianą Sonyę na drugim końcu pokoju utwierdziło mnie w moich podejrzeniach: zawsze wolał ją ode mnie, od samego początku.

- Jesteś więc Toby - powiedziała Margot.

- Tak - odpowiedział. - Tak.

Czy naprawdę wypadło to aż tak niezręcznie? W mojej pamięci nasze pierwsze spotkanie przedstawiało się jakoś bardziej dynamicznie. A potem też wcale nie było lepiej.

- Sonya to twoja dziewczyna?

Toby mrugał przez kilka sekund, a potem otworzył usta i zamknął je.

- Uhm, jakby tu określić nasze relacje... Jako niemowlę podkradała mi smoczek. Chyba mieliśmy jakiś epizod, kiedy zdjęła z siebie całe ubranie i weszła mi do łóżeczka, ale poza tym nasz związek jest raczej platoniczny.

Margot pokiwała głową i uśmiechnęła się. Gaja zrobiła krok do przodu i nachyliła się nad ramieniem Toby'ego.

- To ta jedyna, Toby.

Powiedziała to tak po prostu. I co więcej, Toby ją usłyszał. Na chwilę odwrócił się w stronę Gai, z sercem łomoczącym pod wpływem tego nagłego olśnienia, a ja patrzyłam dalej oniemiała z podziwu i upokorzenia. Gaja wiedziała, że kiedyś byłam Margot, i słyszała, jak oskarżyłam jej syna o morderstwo. A mimo to teraz zachęcała go, żeby związał się z Margot.

Toby odwrócił się do Margot, ni stąd, ni zowąd nie mogąc się doczekać, kiedy ją lepiej pozna. Tymczasem ona była już pochłonięta lekturą jego książki.

- Wygląda na to, że lubisz czytać.

Przewróciła kartkę.

- Tak.

- Wiesz, wszyscy są dzisiaj tak negatywnie nastawieni do Szekspira, ale nie da się przecież nie uwielbiać Romea i Julii, prawda?

Roześmiałam się. Towarzyskie pogawędki szły Toby'emu beznadziejnie.

Margot raczej nie ułatwiała mu zadania. Podniosła głowę znad książki, założyła nogę na nogę i spojrzała na niego ze śmiertelną powagą.

- Romeo i Julia to szowinistyczna fantazja na temat romantyzmu. Julia powinna była wylać z balkonu kadź wrzącego oleju.

Uśmiech Toby'ego zgasł jak wypalona świeca. Odwrócił wzrok, szukając w myślach riposty. Margot przewróciła oczami i wstała, żeby odejść. Gaja natychmiast zjawiała się przy Tobym, coś mu szepcząc. Widziałam, jak Margot rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu nowego rozmówcy, kogoś bardziej skłonnego do wygłupów, i poczułam, że jestem po stronie Toby'ego.

Toby nie słyszał szeptów Gai, tak chaotyczne były jego emocje wobec ogarniającego go pragnienia, żeby związać się z Margot. Był zdenerwowany, spięty i nie rozumiał, dlaczego tak bardzo pociąga go ktoś zupełnie nie w jego typie.

Wreszcie zrobiłam krok do przodu.

- Toby - powiedziałam zdecydowanie. - Powiedz jej, żeby poszła do diabła.

Powtórzyłam. Jeszcze raz. Gaja patrzyła na mnie, jakbym postradała rozum. Wreszcie Toby wstał.

- Margot - powiedział głośno, gdy ona odchodziła. - Margot! - powtórzył, a ona odwróciła się.

Muzyka na chwilę ucichła. Kilka osób spojrzało w ich stronę. Toby wyciągnął palec w jej kierunku.

- Mylisz się, Margot. Ta sztuka jest o bratnich duszach, które pokonują wszystkie przeciwności losu. Ona jest o m i ł o ś c i, nie o szowinizmie.

Muzyka rozległa się ponownie: pierwsze takty *I Shot the Sheriff*. Sonya zmusiła wszystkich, żeby wstali i się bawili. Margot popatrzyła przez tłum na Toby'ego, a ich spojrzenia się spotkały. Przez chwilę miała ochotę rzucić jakąś beztroską odpowiedź. Ale coś w jego spojrzeniu ją powstrzymało. Odwróciła się i wyszła. Poszła do swojego mieszkania nad „Księgarnią Babbingtona”.

Rozdział 16

FALA ZAGUBIONYCH DUSZ

W ciągu następnych miesięcy miałam sporo bliskich spotkań z demonami. Anioł Stróż Sonyi - jej ojciec Ezechiel - przez większość jej życia nieobecny, cierpliwie czekał w korytarzu jej domu, nieustannie w odwrocie wskutek uzależnienia Sonyi od dwóch demonów, Luciany i Pui. W przeciwieństwie do Grogora, trudno je było odróżnić od którejkolwiek z tych świetnie wyglądających osób, które przestępowały próg domu Sonyi. Wiem, że spędzały z Sonyą wiele czasu, ale najczęściej pozostawały niewidoczne.

Nauczyłam się w ten sposób kilku rzeczy: demony potrafią nadzwyczaj dobrze się ukrywać. Jak miliony owadów penetrujących skrytki i dziury w podłogach waszych domów demony wciskają się w miniaturowe przestrzenie życia. Patrzyłam, jak Sonya zdejmowała naszyjnik z ciężkim wisiorkiem z macicy perłowej, i w chwili gdy kładła go przy lustrze, dostrzegałam wyglądające z niego twarze Luciany i Pui. Czasem fundowały sobie przejażdżkę jej torebką od znanego projektanta, innym razem owijały się wokół jej przedramienia jak amulet. Sonya była właściwie nieprzewidywalna, jeśli chodzi o styl życia, jaki prowadziła - na przykład w poniedziałek widziało się, jak ćwiczy jogę i sączy aloes, a już we wtorek można się było potknąć o jej wyniszczone narkotykami ciało, kiedy leżała nieprzytomna z twarzą w wymiocinach. Toteż Luciana i Pui czasem wylegiwały się rozciągnięte na ogromnej kanapie Sonyi w pełnej, ludzkiej postaci, lecz równie dobrze mogły zostać zredukowane do ciemnych plam na jej duszy. Nigdy jednak jej nie opuszczały.

W ciągu kilku tygodni Sonya zaproponowała Margot, żeby się do niej wprowadziła. Mówiła, że żał jej Margot, która nie dosyć, że musi pracować w trzech miejscach, to jeszcze mieszka w obrzydliwej norze Boba. W rzeczywistości Sonya była samotna. Nawet obecność Luciany i Pui wiązała się z jej samotnością. Nigdy nie pojęła prawdziwej przyczyny, dla której od razu zaczynała się czuć mniej samotna, kiedy była naćpana. Przypisywała to działaniu narkotyków na mózg. Błąd. Tak naprawdę powodem było to, że Luciana i Pui owijały się wtedy wokół niej jak bluszcz wokół drzewa. Najbardziej oddani i nikczemni z jej towarzyszy.

Postawiłam sprawę jasno, od samego początku oświadczając, że ja nie będę czekała w korytarzu, patrząc, jak ta dwójka niszczy duszę Sonyi. Przez nie Sonya miała zły wpływ na

Margot, która już teraz próbowała po trochu trawy, to znów kokainy. Widziałam, co nadciąga, jak reflektory lokomotywy nadjeżdżającej w chwili gdy Margot leży na torach. Luciana i Pui nie bawiły się w uprzejmości, skoro doszło do konfrontacji. Zmieniały kształty, unosiły się jak dwa słupy czerwonego dymu w kształcie kobry, wypluwając w moim kierunku kule ognia. I tak jak w prawdziwym życiu, znalazłam się w sytuacji, do której nie byłam przygotowana - bez przeszkolenia, bez wcześniejszego ostrzeżenia. Tak jak w prawdziwym życiu, działałam instynktownie: uniosłam ręce i zatrzymałam ogień, a potem zamknęłam oczy, wyobrażając sobie światło, które we mnie rośnie i rośnie - i tak się stało, a kiedy znowu otworzyłam oczy, światło było już tak silne, że demony wycofały się do narożnika, znikając jak cienie w południe, i przez dłuższy czas się nie pokazały.

Ezechiel powrócił do życia Sonyi w świetnej formie. Ona nagle zaczęła myśleć o rzuceniu narkotyków, przestawieniu się na zdrowszy tryb życia, może nawet ustatkowaniu się z jakimś miłym facetem na dobre i na złe.

- Co sądzisz o Tobym? - zapytała pewnego razu Sonya Margot przy porannej kawie.

Margot wzruszyła ramionami.

- Wydaje się miły. Cichy.

- Zastanawiam się, czy się z nim nie umówić.

Margot zaczęła przesadnie kaszleć.

- U m ó w i ć się z nim? A będziesz też, nie wiem, piekła, organizowała spotkania koła gospodyń?

Dla Sonyi - a musicie wyobrazić sobie tę dziewczynę, pochyloną nad filiżanką *latte*, ubraną w jedwabną szatę w leopardzie cętki i biustonosz typu *push-up* z czerwonego aksamitu, z niewyprasowanymi włosami w nieładzie, przecinającymi jej bladą twarz jak rana cięta głowy - był to prawdziwy afront. Najbardziej natomiast obrażało ją to, że właściwie nie czuła się obrażona na myśl o pieczeniu i byciu gospodynią.

- Chyba się starzeję.

- Czy ty i Toby kiedykolwiek byliście parą?

Sonya pokręciła głową. Tym razem mówiła prawdę.

- Chodziliśmy razem do przedszkola. Jest dla mnie jak brat. Fuj, co też mi przyszło do głowy. Tak czy owak, czy na tym przyjęciu u mnie parę miesięcy temu nie okazało się przypadkiem, że macie do siebie słabość?

- Obraziłam go.

- No i?

- No i nic. Nie widziałam go od tamtego czasu.

- A chciałybyś?

Margot zastanowiła się. W końcu pokiwała głową.

I tak Margot i Toby znaleźli się na nieoficjalnej randce.

On przyszedł do księgarni Boba. Bob siedział w swoim stałym miejscu na krześle za ladą, paląc mieszankę trawki i tytoniu. Czytał o nowym cadillacu Fleetwood Brougham. Spojrzał na Toby'ego i strzepnął papierosa w jego stronę.

- Przyszedłem do Margot.

Zza lady dobiegł kaszel. Toby rzucił okiem na półkę z nowościami.

- Macie tu dobre książki. Nigdy o tym miejscu nie słyszałem.

- Uhm.

- A więc? Jest Margot?

- Musisz ją zapytać.

Zawsze podziwiałam nieskończoną cierpliwość Toby'ego. Zerknęłam na Zenova, który opierał się o ladę, i gestem pokazałam, jak daję Bobowi w łeb. Zenov pokręcił głową, jakby mówił: „I co mi zrobisz?”.

Toby klasnął w dłonie za plecami, rozważając sugestię Boba. A potem wrzasnął ile sił w płucach:

- Margot!

Bob spadł z krzesła i rymsnął tyłkiem o podłogę.

- Margot Delacroix, tu Toby Posłusny, przyszedłem na naszą nieoficjalną randkę. Jesteś tam, Margot? - wrzeszczał spokojny, nieporuszony, głosem o sile godnej ewangelickiego pastora, ze wzrokiem cały czas wbitym w Boba.

Bob wstał, a Zenov śmiał się w kułak.

- Hm, ejże, pójdę po prostu i zobaczę, czy jest...

- Dziękuję - Toby, wciąż się uśmiechając, skinął głową w kierunku Boba.

Kilka minut później Margot wyłoniła się zza parawanu w zielonej tiulowej sukience wieczorowej w stylu lat pięćdziesiątych, dwa rozmiary za małej. Upinała jeszcze włosy zaczerwieniona ze zdenerwowania. Patrzyłam na Toby'ego, który zdębiał na widok sukienki, dekoltu w łódkę. I jej nóg.

- Cześć - powiedziała. - Przepraszam, że czekałeś.

Toby skinął głową i podał jej ramię.

Wzięła go pod rękę i wyszli ze sklepu.

- O jedenastej zamykam... - wydusił z siebie Bob, ale drzwi zatrzasnęły się, zanim skończył zdanie.

Mówi się, że już po dwóch tygodniach nowego związku dokładnie wiadomo, czego można się spodziewać. Ja mówię, że jeszcze wcześniej. Pierwsze randki są jak mapa całej okolicy.

Początki z Tobym były dalekie od banału. Nie chodzili na randki typu kolacja i kino. Pierwszego wieczoru wiosłowali łodzią po Hudsonie. Margot uznała to za przezabawne. Był to zarazem ważny moment ich związku. Potem Toby zgubił wiosło i zaczął recytować W. B. Yeatsa. Margot była zafascynowana. A potem - cóż, czy mogła inaczej? - wyjęła kokainę. Według Toby'ego było to obrzydliwe.

- Schowaj to.

Margot popatrzyła na niego, jakby wyrosła mu druga głowa.

- Przecież przyjaźnisz się z Son, prawda?

- Taak, ale to nie znaczy, że jestem ćpunem...

- Nie jestem ć p u n k ą, Toby, lubię się zabawić, to wszystko...

Odwrócił wzrok. Ja też, było mi wstyd. Nienawidziłam siebie. Nienawidziłam tamtej chwili, jednej z wielu, jakie kładły się cieniem na coś, co wyglądało jak urokliwy krajobraz przyszełego związku. Moja wina. Jak zwykle.

Margot poczuła się urażona.

- Dobrze, skoro ty nie chcesz, będzie więcej dla mnie! - wciągnęła obie kreski.

Toby przyglądał się budynkom na drugim brzegu rzeki. Latarnie uliczne zaczynały migotać ponad grzywami przybrzeżnych fal, rzucając w kierunku łodzi złote i czerwone wstążki. Uśmiechnął się. Odłożył wiosło. Zdjął marynarkę i buty. A potem koszulę.

- Co robisz? - zapytała Margot.

On wciąż się rozbierał, aż został w samych slipach. Wtedy wstał, wyciągnął do przodu swoje szczupłe białe ramiona, nachylił do kolan kościsty tors i wskoczył do rzeki.

Margot upuściła pozostałą kokainę i zszokowana, przechyliła się przez burtę. Toby nie wynurzał się przez długi czas. Czekala, bawiac się rękami. A jego wciąż nie było. Zastanawiała się, czy nie zawołać pomocy. Wreszcie zdjęła żakiet i buty i wskoczyła za nim. A on wypłynął na powierzchnię, śmiejąc się do rozpuku.

- Toby! - wrzasnęła, szczękając zębami. - Oszukałeś mnie!

Toby, śmiejąc się, chlapał na nią wodą.

- Nie, moja słodka Margot, to ty siebie oszukujesz.

Popatrzyła na niego.

Jaki on jest mądry, pomyślałam.

„Jaki on jest szalony”, pomyślała Margot.

- He?

Podpłynął do niej pieskiem.

- Naprawdę myślisz, że koka robi z ciebie kogoś zabawnego? - zapytał. - Bo jeśli tak, to jesteś o wiele głupsza, niż sądziłem.

Z nosa kapiała mu woda, a jego głos drżał z zimna. Margot wpatrywała się w niego i właśnie wtedy kiedy przyszło jej do głowy, żeby go pocałować, on nachylił się i pocałował ją. Był to - rękę za to - najdelikatniejszy i najszczęśliwszy pocałunek w jej życiu.

Następne miesiące spędziłam na maleńkim poddaszu nad całonocną restauracją, przyglądając się badawczo Margot i Toby'emu osuwającym się coraz bardziej w głąb lodowej rozpadliny, która zaczynała przypominać miłość. Najpierw powiedziałam sobie, że tych dwoje zakochało się w samym zakochaniu, że to okoliczności, a nie miłość, trzymają ich razem, choć nie mają pieniędzy, przyszłości ani zbyt wiele wspólnego. Ale kiedy owinięci w ręczniki pili kawę i czytali poranne gazety na trzęsącym się balkonie na piątym piętrze z widokiem na West Village, wyglądali jak stare małżeństwo. Myślałam: Chwileczkę. Co mi tutaj umyka? Co przegapiłam za pierwszym razem?

Czy czułam się jak piąte koło u wozu? Cóż, powiedzmy, że czułam się lepiej dzięki temu, iż Gaja tam była. Trochę czasu zajęło mi poznanie jej. W intymniejszych chwilach Toby'ego i Margot, chwilach, które chciałam uszanować i pielęgnować ze względu na ich prywatność i świętość, gawędziłam z Gają o dzieciństwie Toby'ego. Ona umarła na raka szyjki macicy, kiedy miał cztery lata. Do tego czasu Aniołem Stróżem Toby'ego była jego ciotka Sara. Och, powiedziałam zaskoczona. Myślałam, że Aniołowie Stróże są na stałe przypisani do jednej osoby. „Nie - powiedziała Gaja. - Tylko tak długo, jak długo jesteśmy potrzebni, i tylko kiedy jesteśmy potrzebni. Człowiek może być pod opieką dwadzieściora różnych aniołów w ciągu swojego życia. Ty też pewnie będziesz strzegła jeszcze innych osób”.

Na samą myśl o tym zakręciło mi się w głowie.

Toby powiedział mi kiedyś, że zachował tylko jedno wspomnienie swojej mamy. Uczyła go jeździć na rowerze. Bał się, że się przewróci, i stał w drzwiach domu, trzymając kurczowo kierownicę. Zapamiętał, że powiedziała mu, by spróbował dojechać tylko do końca ścieżki w ogrodzie. Potem, jeżeli to mu się uda, będzie mógł spróbować dojechać do końca ulicy, później do końca przecznicy i tak dalej. Kiedy dojechał do końca ścieżki - całe cztery metry - biła mu brawo z takim entuzjazmem, że popedałował na drugi koniec miasta, aż musiała siłą zaciągnąć go z powrotem do domu. Powiedział, że od tamtej pory stosuje

podobną taktykę w pisaniu: najpierw do końca strony, potem do końca rozdziału i tak dalej, aż kończy całą powieść. I na zawsze zachował w pamięci obraz matki, która bije mu brawo.

Gaja uśmiechnęła się.

- Wiesz, pamiętam to, tę przygodę z rowerem.

- Tak?

- Tak. Ale co ciekawe, Toby nie miał wtedy czterech lat. Był o rok starszy. A ja już wtedy nie żyłam. Byłam jego Aniołem Stróżem.

Gapiałam się na nią.

- Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

- Toby przez całe swoje życie zachował zdolność widzenia mnie w niektórych momentach. Nie wie, czy jestem jego matką czy aniołem. Czasem myśli, że jestem kimś, kogo zna ze szkoły, albo dawną sąsiadką, albo po prostu jakąś stukniętą kobietą stojącą zbyt blisko niego w księgarni. To niezbyt częste, lecz czasem się zdarza.

Popatrzyłam na Toby'ego i Margot, którzy leżąc na wysłużonej skórzanej kanapie, na przemian splatali i rozplatali palce. Zastanawiałam się, pełna nadziei: czy Toby kiedykolwiek mnie zobaczy? Co, jeśli tak się stanie? Czy będę mogła go kiedyś przeprosić? Czy kiedykolwiek będę w stanie zadośćuczynić mu za to, co zrobiłam?

Ślub odbył się w Kaplicy Kwiatów w Las Vegas dziewięć rozkosznych miesięcy po tamtej koszarnej pierwszej randce. Próbowałam - bez powodzenia - przekonać Margot, żeby poczekała ze ślubem do powrotu do Anglii, aby Graham mógł w bardziej uroczysty sposób uczcić niepowtarzalną okazję wydania za mąż jedynej córki. Potem przez całe życie zmyślałam historyjki na temat tego ślubu, urozmaicając je tak, aby nowe wersje wydarzeń odpowiadały moim aktualnym upodobaniom. Ale w rzeczywistości pewnego wieczoru Toby pojawił się w irlandzkim pubie, gdzie pracowała Margot. Miał skromny pierścionek z brylantem.

Popatrzyła na niego.

- Poważnie?

Potwierdził mrugnięciem.

- Jest za duży na mój serdeczny palec, wiesz?

Jego uśmiech zgasł.

- Naprawdę?

- Pasuje mi na kciuk. W takim razie to nie jest pierścionek zaręczynowy - tym razem to ona mrugnęła i nabrała powietrza. „Czy to naprawdę już?”, pomyślała.

Tak, odpowiedziałam jej. To już.

Spojrzała na Toby'ego.

- Nie powinienes mnie o coś zapytać?

Ukląkł na jedno kolano i wziął ją za rękę.

- Margot Delacroix...

- Tak? - zatrzepotała zalotnie rzęsami.

Stałam obok niej, obserwując go uważnie. Chciałam, żeby się postarała, zachowała należną powagę i delektowała się tą chwilą. Marzyłam o tym, żeby móc znaleźć się na jej miejscu, żeby powiedzieć „tak” szczerze, z całego serca.

- Margot Delacroix - powtórzył Toby bardzo poważnie. - Kłótniwa, lubiąca sobie dogadzać - jej uśmiech zgasł - płomienna, zadziorna, piękna Julio mojego serca - uśmiech wrócił na jej usta - kobieto moich marzeń, proszę, proszę, powstrzymaj się od wylania wrzącego oleju na moją głowę i zamiast tego zostań moją żoną.

Patrzyła na niego śmiejącym się wzrokiem, przygryzając policzek. W końcu przemówiła.

- Toby Posłusny. Romeo mojej duszy, introspektywny niewolniku literatury, cierpiący na syndrom męczennika...

Pokiwał głową. Trzeba przyznać, że to wszystko prawda. Ale to jeszcze nie było wszystko. Trzymała go w napięciu.

- ...słodki, kochający, cierpliwy Toby.

Minęła minuta.

- Margot? - Toby ścisnął jej rękę. Bolały go kolana.

- Nie powiedziałam już „tak”?

Pokręcił głową.

- Tak! - podskoczyła.

On odetchnął z ulgą i wstał z trudem.

Podziwiając pierścionek, nagle doznała olśnienia. A raczej, teraz dopiero to wiem, chwili obłądu. Gotowi? Proszę:

- Pobierzmy się w Vegas!

Wierzcie mi, próbowałam jej to wybić z głowy. Nawet śpiewałam pieśń dusz. Nic sobie z tego nie robiła.

Toby zastanowił się. Oczyma wyobraźni widział tradycyjny ślub, który wzięliby w przyszłym roku w staroświeckiej angielskiej kaplicy, wśród lilii i róż. Graham prowadziłby Margot kościelną nawą. Poruszałam ustami w rytm jej słów.

- Nuda - powiedziała. - Po co czekać?

Toby ustąpił. Trzeba przyznać, że zachował się honorowo. Znalazł najbliższą budkę telefoniczną, zadzwonił do Grahama i poprosił o rękę Margot. „Nie, Margot nie jest w ciąży”, zapewnił go. Po prostu ją kocha. I po prostu nie może czekać ani chwili dłużej. Po drugiej stronie zapadła cisza. W końcu Graham przemówił głosem łamiącym się od łez. Oczywiście, że mają jego błogosławieństwo. Zapłaci za ceremonię i miesiąc miodowy w Anglii. Margot wrzasnęła jeszcze do słuchawki: „Dziękuję!” i „Kocham cię, tato!” - nie raczyła nawet poświęcić chwili, żeby spokojnie z nim porozmawiać, za co miałam ochotę kopnąć ją w tyłek - po czym zaciągnęła Toby'ego do samochodu. Słuchawka dyndała w powietrzu, a życzenia Grahama pozostały nieusłyszane.

I tak oto wyruszyli do Vegas. Zaledwie trzy dni jazdy samochodem. Po drodze pożyczyci od Sonyi sukienkę w leopardzie cętki i czerwone lakierowane szpilki i zgarnęli z pudełka z biżuterią Margot złoty kolczyk, który posłużył za obrączkę ślubną Toby'ego. Jedzenie? Zapasy na drogę? Nie bądźmy naiwni. Kochali się - cóż więcej było im potrzebne?

Słońce wślizgiwało się już za odległe wzgórza, kiedy na tylnym siedzeniu samochodu Toby'ego zjawiła się Nan.

- Cześć, Nan - powiedziałam. - Przyszedł mi powiedzieć, że powinnam coś zrobić, żeby się nie pobierali? - wciąż byłam trochę rozżalona po naszym ostatnim spotkaniu.

Patrzyła przed siebie, marszcząc brwi.

- Co się stało?

Nachyliła się w moją stronę ze wzrokiem wciąż utkwionym gdzieś w ciemniejącym krajobrazie.

- Margot i Toby zmierzają w sam środek Domu na Palach.

Zamrugałam.

- Co to jest Dom na Palach?

- To zbiorowisko demonów. Ten Dom na Palach jest bardzo duży. Wiedzą, że Toby i Margot jadą się pobrać, i będą chciały to udaremnić.

- Dlaczego?

Spojrzała na mnie.

- Małżeństwo oznacza miłość i rodzinę. Czyli coś, czemu każdy demon sprzeciwia się najbardziej, oczywiście poza samym życiem.

Popatrzyłam za okno w ślad za jej spojrzeniem. Nie zobaczyłam niczego poza pomarańczowym migotaniem zachodzącego słońca i błyskami świateł samochodów nadjeżdżających z przeciwka.

- Może już go minęliśmy.

Nan pokręciła głową, nie przestając nerwowo wyglądać przez okno.

Nagle samochodem zakołysało na boki i zarzuciło nim w poprzek drogi. Złapałam za oparcie siedzenia Toby'ego, sięgając do przodu, żeby ochronić Margot.

- Jeszcze nie - powiedziała spokojnie Nan.

Samochód przechylił się ciężko na lewą stronę i przez chwilę myślałam, że albo całkiem się wywrócimy, albo roztrzaskamy o auta nadjeżdżające z przeciwnika.

Poczułam, że Nan bierze mnie za rękę.

- Co robimy? - zawołałam.

- Teraz! - wrzasnęła Nan, chwytając mnie za ramię, i razem z Gają natychmiast znalazłyśmy się na zewnątrz, trzymając maskę pędzącego z hukiem autostradą samochodu, ciągnąc go z powrotem w prawo.

Przed nami rozległy się klaksony. Kilka aut gwałtownie skręciło na pobocze. Toby walczył z kierownicą, aż udało mu się zjechać z drogi błyskającej reflektorami ciężarówki.

Samochód wrócił na swój pas i po chwili Toby zatrzymał się na polnej drodze zaraz za tablicą z napisem „Witamy w Nevadzie”. Silnik zgasł, a ja próbowałam pozbierać myśli. Słyszałam śmiech Margot i Toby'ego.

- Kurczę, to było przerażające!

- Zajrzę pod maskę.

Głosy z przednich siedzeń. Podekscytowane. Zdenerwowane.

Nan zaczęła iść w stronę krawędzi żółtej równiny, jej sylwetka rysowała się na tle zachodzącego słońca. Podniosłam dłoń do czoła i próbowałam dojrzeć, na co patrzy.

- Co widzisz?

Brak odpowiedzi. Rozejrzałam się. Zza konturów purpurowych wzgórz zaczęły się wyłaniać postacie zmierzające w moim kierunku. Ruszyłam na ich spotkanie z wyciągniętą w górę ręką gotowa posłać im moje najjaśniejsze światło. I wtedy zobaczyłam je wyraźnie. Najpierw czułam się tak, jakbym grała w komputerową strzelaninę w stylu *Hell's Finest*. Było tak jasno, że musiałam odwrócić wzrok. Sto lub więcej złotych płonących istot, o wiele większych ode mnie, ze skrzydłami z ognia. Właśnie zamierzałam wrócić i zawołać Nan, ale ona już była przy mnie.

- Archaniołowie - powiedziała. - Po prostu dają nam znać, że tu są.

- Dobrze - powiedziałam. - Ale dlaczego tu są?

- Nie wyczułaś tego? - zapytała. - Spójrz na swoje skrzydła.

Woda płynęła teraz również po mojej piersi, gdzie łączyły się ciemne wezbrane strumienie. Wyglądały jak nadmiar cieczy z przepelnionego zbiornika przelewający się przez tamę.

I wtedy to wyczułam, tak intensywnie i przerażająco, jakbym stała na krawędzi piekieł: byliśmy ścigani.

Toby zamknął maskę i wytarł ręce szmatą.

- Nie lękaj się, pani, nic ci nie grozi - zawołał do Margot, która chichocząc, wychyliła się przez okno pasażera.

Wskoczył z powrotem do auta i zapalił silnik.

Chciałam wsiadać, ale Nan mnie powstrzymała.

- Zobacz - wskazała na samochód.

Zobaczyłam sączący się spod maski czarny dym, a potem usłyszałam ryk maszyny. Zastanawiałam się przez chwilę, dlaczego Toby nie wyłączy silnika, żeby sprawdzić, co się stało. Zamiast tego samochód ruszył gładko, a wydostający się spod maski dym wił się nad jego dachem i w dół wzdłuż bagażnika, aż w końcu otoczył cały samochód jak skóra albo bariera - prawie taka jak ta, którą widziałam wokół Toby'ego.

A za moment wśród dymu ukazała się twarz. Grogora.

Ruszyłam za samochodem i wskoczyłam na maskę, a potem na dach. Ostatnie wstążki słonecznego światła rozproszyły się na horyzoncie i w ciemnościach nie mogłam zobaczyć, jak dużo dymu nabierało się wokół moich stóp. W pewnej odległości za mną stała Nan, trzymając wysoko nad głową kulę światła. Kula zaczęła się przesuwać w moją stronę i w miarę jak się zbliżała, jaśniała coraz bardziej. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że dym rozstąpił się wokół mnie, tak że powstał okrąg, ale w innych miejscach nadal gęstniał, sunąc powoli jak wał błota.

- Ruth! - krzyknęła Nan z oddali.

W tej samej chwili, jak fala przyływu, wyrosła przede mną ściana czarnego dymu. Były w niej setki czarnych jak węgiel dłoni sięgających w moim kierunku.

- Nan! - wrzasnęłam.

Moje skrzydła pulsowały. Fala przyływu nadeszła i roztrzaskała się o mnie z siłą lawiny.

Kiedy przyszłam do siebie, leżałam na poboczu autostrady, nie mogąc się ruszyć. Zmobilizowałam wszystkie siły, żeby odszukać Nan. Odwróciłam głowę i na samym środku, pomiędzy samochodami i ciężarówkami, zobaczyłam bitwę. Setki demonów atakowały archaniołów, których spotkałam wcześniej na pustyni, ciskając potężne kule płonących

głazów i zapalone strzały, które archaniołowie odpierali mieczami. Od czasu do czasu widziałam, jak jakiś archanioł upadał na ziemię i znikał. *Czy one umierają? Jak to możliwe?*

Usłyszałam za plecami jakiś ruch. Spróbowałam wstać.

- Nan! - zawołałam, ale wypowiadając jej imię, wiedziałam już, że to nie była Nan.

To był Grogor.

Kroki ucichły. Przekręciłam głowę i spojrzałam w górę. Stał nade mną, na słupach dymu zamiast nóg, bez twarzy, z dziurą po kuli zamiast ust, lecz mimo to nadal bardzo podobny do człowieka. Wysoki złośliwy mężczyzna w ciemnym garniturze. Upewnił się, że jestem unieruchomiona. Potem przykucnął obok mojej głowy.

- Dlaczego nie przyłączysz się do drużyny, która wygrywa? - zapytał.

- Dlaczego nie zostaniesz księdzem? - odparłam.

Uśmiechnął się z wyższością.

- Naprawdę chcesz tak skończyć? - rzucił okiem w kierunku archanioła, który dostał kulą płomieni w pierś.

Patrzyłam zdumiona i przerażona, jak pada na ziemię i znika w błysku światła.

- Nie wystarczy, że stoicie sobie z boku, przyglądając się, jak ludzie wszystko psują? - ciągnął, cmokając z dezaprobatą. - Wydaje mi się, że cię przejrzałem, Ruth. Wolałabyś zmieniać bieg rzeczy, poprawiać los. Zresztą dlaczego nie?

Nagle poczułam, jak moje skrzydła pulsują, ich prąd kierował się do mojego wnętrza. Wraz z tym prądem w mojej głowie rozległ się głos: *Wstań*.

Kiedy tylko się pozbierałam, dostrzegłam błysk karmazynowego światła i poczułam potężny wstrząs pod stopami, jakby pod ziemią wybuchła bomba. Podniosłam głowę i zobaczyłam otaczających demony archaniołów trzymających miecze skierowane w niebo. A potem z góry runął potężny podmuch ognia, zamieniając demony w chmurę gęstego pyłu. Kiedy znowu spojrzałam w stronę Grogora, już go nie było.

Z kuli płomieni wybiegła do mnie Nan. Złapała mnie za rękę i podniosła na nogi.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

- Myślałam, że nie mogą nas zranić.

Obejrzała mnie dokładnie.

- Oczywiście, że mogą nas zranić, Ruth. Jak myślisz, z jakiego powodu musimy się bronić?

- Dlaczego powiedziałaś, że już niczego nie muszę się bać?

Otrzeptała moją suknię.

- Co mówił do ciebie Grogor?

Pokręciłam głową. Nie chciałam tego powtarzać, przyznawać, że to, co powiedział, było prawdą. Nan uniosła brew.

- Nie możesz pozwolić sobie na poczucie winy, wątpliwości, strach ani żadną z tych obronnych emocji, które czułaś jako człowiek. Jesteś a n i o ł e m. Masz Boga po swojej stronie, a przed sobą niebo.

- Mów do mnie jeszcze.

Nad wzgórzami zaczynało świtać. Pozostali aniołowie odwrócili się w kierunku wschodzącego słońca i zaczęli znikać na różowiejącym niebie.

- Najgorsze za nami - stwierdziła Nan. - Idź poszukać Margot. Niedługo znowu cię odwiedzę.

Odwróciła się w stronę wzgórz.

- Czekaj - poprosiłam.

Zatrzymała się.

- Jestem zakochana w Tobym - powiedziałam. - A jeśli nie znajdę sposobu, żeby zmieniać rzeczywistość, nigdy więcej go nie zobaczę. Proszę, pomóż mi, Nan - błagałam.

Byłam zdesperowana.

- Przykro mi, Ruth. Ale jest tak, jak ci mówiłam. Miałaś już jedno życie, w którym dokonałaś wszystkich wyborów. To życie nie polega na dokonywaniu ich ponownie. Polega na pomaganiu w tym Margot.

- I tyle!?! - krzyknęłam. - Miałam tylko jedną szansę? Myślałam, że Bóg zawsze wysłuchuje tych, którzy proszą o drugą!

Ale jej już nie było, a ja stałam sama na środku drogi numer siedemdziesiąt sześć, wpatrując się w niebo w poszukiwaniu Boga.

- Podobno mnie kochasz, tak? - wrzasnęłam. - Tak mi to okazujesz?

Nic. Tylko niespodziewany, wolno padający deszcz i szum wiatru, który brzmiał jak „ćśśśś”.

Rozdział 17

ZIARNO

Wkrótce dotarłam do Las Vegas. Gaja próbowała opowiedzieć mi szczegółowo o ślubie, ale powiedziałam jej - przyznaję, dość gburowato - żeby sobie odpuściła. Pamiętałam wszystko dokładnie. Zepsuty neon w kształcie złamanego serca, błyskający nad wejściem do kaplicy jak zły znak. Kiczowate sztuczne kwiaty. Muzyka jak w centrum handlowym wydobywająca się z organów w holu. Tupecik urzędnika, łopoczący w podmuchu z klimatyzatora jak skrzydło zdechłego ptaka. Toby, który chichotał podczas przysięgi. Wahanie w chwili gdy mówiłam „tak”, chęć zapytania kogoś najpierw, jak to jest być małżeństwem, skąd wiadomo, czy to ta właściwa osoba, czy nie. Co to znaczy być naprawdę zakochanym, zamiast, jak ja tyle razy, tkwić po uszy w głęboko zakorzenionej potrzebie, żeby ktoś powiedział mi, że jestem nic niewarta. A potem przypomniałam sobie, że to być może nie najlepsza pora na zadawanie tego rodzaju pytań, że może lepiej będzie zostać przy zwykłym „tak”, a będziemy żyli długo i szczęśliwie. Oczywiście.

Tydzień później rozpoczęli miesiąc miodowy. Za wszystkie oszczędności kupili dwa bilety powrotne do Newcastle nad Tyne w północno-wschodniej Anglii. Margot gnała przez niewielki terminal, ciągnąc za sobą Toby'ego, nie mogąc się doczekać, żeby zobaczyć Grahama, pierwszy raz od trzech lat.

Doszli już do drzwi prowadzących na zewnątrz, lecz wciąż nigdzie go nie było.

- Myślisz, że mógł zapomnieć? - zapytał Toby. - Może powinniśmy po prostu wziąć taksówkę?

Margot pokręciła głową, nerwowo obserwując lotnisko.

- Nie ma mowy, żeby zapomniał. Nie ma przecież pięćdziesięciu córek.

Toby pokiwał głową i usiadł na walizce.

Kiedy zobaczyłam ukrytą w cieniu postać na drugim końcu terminala, nachyliłam się i powiedziałam do niej z bólem:

- Jest.

Odwróciła głowę i spojrzała prosto na Grahama.

- Czy to on? - zapytał Toby, podążając za jej spojrzeniem.

- Nie. Ten facet jest za szczupły. I ma laskę. Tata już by tutaj biegł.

Postać stała przez chwilę, patrząc na Margot. Potem powoli, krok za krokiem, kuśtykając, z cienia wyłonił się bardzo zmizerniały, bardzo postarzały Graham.

Margot usiłowała pogodzić obraz idącego powoli w jej stronę mężczyzny z portretem taty, który nosiła w pamięci. Przypominałam sobie tamtą chwilę z tak bolesną jasnością, że z trudem mogłam znieść widok, który ukazał się przed oczami Margot. Była to seria zdumiewających zmian: brzuch Świętego Mikołaja, szerokie ramiona i grube ręce rzeźnika podczas jej nieobecności zniknęły. Graham, w wersji, którą miała przed sobą, wyglądał, jakby właśnie pokonał piechotę Saharę. Burza gęstych włosów zamieniła się w garstkę wysuszonej trawy, jego okrągłe rumiane policzki były zapadnięte, a w oczach - i to ją najbardziej zszokowało - nie dostrzegła poczucia humoru ani woli walki.

- Tata? - wyszeptała Margot, stojąc wciąż jak wryta.

Toby wyczytał w jej głosie panikę. Spoglądał to na Margot, to na mężczyznę, który szedł w ich kierunku, powłócząc nogami. Wreszcie ruszył mu naprzeciw.

- Graham, jak sądzę? - powiedział wesoło, sięgając po jego bezwładną rękę, a zarazem łapiąc go dokładnie w chwili, gdy się potknął i zatoczył do przodu, prosto w ramiona Toby'ego.

Margot podniosła obie ręce do twarzy. Spokojnie, mówiłam jej. Weź się w garść, kochanie. Ostatnią rzeczą, jakiej tata teraz potrzebuje, są twoje łzy. A tak, były to odważne słowa, ponieważ sama przeraziłam się widokiem Grahama, nie tyle nawet jego fizyczną formą, ile stanem jego aury: światło wokół jego serca było podzielone na dziesiątki promyków słabnących i pulsujących wolno jak niewielkie krwawienie z niegojącej się rany. Sztuczne ognie inteligencji i kreatywności, które kiedyś wystrzeliwały ponad jego głową, teraz wznosiły się niemrawo, jakby we mgle zamokły im zapalniki.

Wierny swojemu usposobieniu Graham z aprobatą walnął Toby'ego w plecy, po czym odsunął go z drogi, aby podejść do Margot. Przycisnęła do jego ramienia swoją mokrą od łez twarz i mocno go uściskała.

- Tato - wyszeptała, wdychając jego zapach.

Graham nie odpowiedział. Szlochał z twarzą ukrytą w jej włosach.

Po przyjeździe do domu Grahama Margot poszła prosto do łóżka odespać różnicę czasu, podczas gdy Toby przeglądał stojące na półkach powieści z nazwiskiem Lewis Sharpe i zdjęciem Grahama na okładce. Gaja, Bonnie, ja i dwaj mężczyźni siedzieliśmy wokół tańczącego na kominku ognia. Na chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się Graham:

- Jak ją nakłoniłeś do tego, żeby powiedziała „tak”?

Toby zakaszłał, zasłaniając usta pięścią.

- A, oświadczyny. Cóż, wyjąłem pierścionek, oczywiście dla wzmocnienia argumentacji, i zadałem pytanie nad pytaniami...

Graham uśmiechnął się słabo. Nachylił się, opierając łokcie na kolanach. Zauważyłam, że jego usta opadają lekko z prawej strony.

- Nie. Miałem na myśli Margot. Łatwiej złapać kolibra na łące, niż zrobić z Margot swoją starą, tak mawiała moja żona. Margot zawsze była dzikim koniem. Co się zmieniło?

Toby przez chwilę lub dwie zastanawiał się nad tym, co powiedział Graham. Popatrzyłam na zdjęcia Margot i Iriny na kominku i zrobiło mi się smutno. Nie wiedziałam, że tata tak mnie widział.

- Cóż, proszę pana - powiedział Toby, drapiąc się po brodzie. - Wiem, że Margot sprawia takie wrażenie. Trafił pan w sedno. Ale gdzieś w głębi duszy myślę, że chce tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Zachowuje się lekkomyślnie i niezobowiązująco, bo życie nauczyło ją, że zaangażowanie oznacza ból.

Graham pokiwał głową. Powoli pochylił się nad butelką whisky stojącą przed nim na stoliku do kawy i nalał im obu drinka.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - powiedział cicho.

Zaalarmowany tonem głosu Grahama Toby usiadł naprzeciwko niego i kiwnął głową.

Graham opróżnił swoją szklankę, postawił ją hałaśliwie na stoliku, a potem spojrzał na Toby'ego.

- Umieram - powiedział.

Zapadła cisza, podczas której ciężar tych słów stopniowo docierał do świadomości Toby'ego.

- Ja... to... Naprawdę bardzo mi przykro, proszę pana.

Graham pomachał lekko rękami na boki, jakby wyciągał białe flagi, żeby się poddać.

- To nie o tym chciałem ci powiedzieć. To tylko wstęp - odchrząknął. - Umieram i jestem z tym całkowicie pogodzony. Gdzieś tam jest moja żona. Cieszę się, że znowu ją zobaczę. Ale widzisz - wysunął się ze swojego fotela tak blisko do przodu, że Toby mógł zobaczyć ogień tańczący w oczach starszego pana. - Nie mogę umrzeć, dopóki nie będę pewien, że zaopiekujesz się Margot, kiedy mnie zabraknie.

Toby wyczytał w twarzy Grahama zdenerwowanie. Teraz wszystko było zupełnie jasne. Podrapał się po brodzie i uśmiechnął. Przez chwilę ciężar złych wieści został zmniejszony przez ogarniające go uczucie zadowolenia. Był zadowolony, że Grahamowi na tym zależy. Był zadowolony, ponieważ czuł, że Graham ufa mu w sprawie tak ważnej jak przyszłość jego jedynej córki.

Wreszcie udzielił jedynej odpowiedzi, za którą mógł ręczyć.

- Nigdy nie pozwolę jej odejść. Obiecuję.

Ogień dogasał. Uśmiechając się z powodu słów, których użył Toby, Graham zagłębił się z powrotem w swoim fotelu i zaraz zasnął.

Kiedy później Toby leżał w łóżku obok Margot, ciągle nie mogąc się przestawić z nowojorskiego czasu, patrzył na Margot i myślał o prośbie Grahama. Potarł twarz, zastanawiając się, jak jej przekazać wiadomość o jego zbliżającej się śmierci. Potem pomyślał o tym, co Graham powiedział o niej. „Łatwiej złapać kolibra na łące, niż zrobić z Margot swoją starą”. Zaśmiał się do siebie. A potem, ni stąd, ni zowąd, uformowała się wokół niego lodowa powłoka. Gaja i ja wymieniliśmy spojrzenia. Powłoka była grubsza niż kiedykolwiek wcześniej, twarda i szklana. Przyglądałyśmy się, jak Toby patrzy na Margot, i zdałam sobie sprawę, że żeniąc się ze mną, podjął ogromne ryzyko. Największy, paraliżujący strach Toby odczuwał przed utratą Margot, a nie tylko z powodu obietnicy, którą złożył Grahamowi. Od początku wiedziałam, że stracił matkę jako dziecko, ale teraz widziałam, że ta strata wypełniała wszystkie zakamarki jego życia. Była wpisana w jego przekonania, jego percepcję świata. Co, jeśli Margot jednak go opuści? Co, jeśli to wszystko się skończy? Co wtedy?

Od tamtej chwili skupiałam się na tym, żeby im się udało. Choćbym miała śpiewać pieśń dusz każdej minuty każdego dnia. Choćbym miała szeptać do ucha Margot o wszystkich zaletach Toby'ego, instruować ją, co ma zrobić, żeby uczynić ich małżeństwo rajem, zamiast czyścieniem.

Kogo próbuję oszukać? Skąd niby miałabym wiedzieć, jak sprawić, żeby im się udało?

Tydzień później nadszedł czas wyjazdu. Margot niechętnie, ze łzami żegnała się z tatą, nie na lotnisku, lecz w drzwiach jego domu. Tutaj nie wydawał się taki przytłoczony bieganiną i hałasem zewnętrznego świata. W domu sprawiał wrażenie mniej załamane, był ożywiony niezmiennością ognia płonącego na kominku, zdjęciami mamusi, obecnością zwiniętego w kłębek i śpiącego w kącie Dżina.

Kiedy Margot i Toby wrócili do Nowego Jorku, spotkały ich pewne niespodzianki:

1. Podanie Toby'ego o etat na Uniwersytecie Nowojorskim zostało odrzucone, a jego zajęcia odwołane. Nie był już potrzebny.

2. Jego mieszkanie nad restauracją zamieniono w kolejne pomieszczenie lokalu. Pokój, który kiedyś był salonem, zastawiono stolikami, na których stały karty dań. Rzeczy osobiste Toby'ego wrzucono do kartonowych pudeł, które ustawiono w kuchni obok

zamrażarki z mięsem, więc wszystkie jego książki i notatniki zawsze już śmierdziały zdechłą krową.

Mieli dwa wyjścia: przeprowadzić się do Boba albo do Sonyi. Sonya zaproponowała im górne piętro swojego domu do czasu, aż Toby znajdzie pracę. Przenieśli wszystkie rzeczy Toby'ego do Sonyi i przez pierwszych kilka wieczorów było tam dość przytulnie. Sonya starała się nie wchodzić im w drogę. Margot wciąż pracowała jako kelnerka w irlandzkim pubie, w tajemnicy odkładając ćwierćdolarówki na kolejną podróż do Anglii. Toby nie sypiał po nocach, paląc papierosy na balkonie i obserwując ludzi w domach naprzeciwko, borykając się z najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć: dopadł go kryzys twórczy.

*

Tamten młody mężczyzna zaczepił Margot w drodze do pracy. Niedawno rzuciła studia - wzięła urlop dziekański, jak tłumaczyła wszystkim wkoło, z sobą włącznie - i pracowała siedem dni w tygodniu, żeby odłożyć pieniądze na kaucję za mieszkanie.

Ale była samotna, przygnębiona i tęskniła za domem. Toby próbował skończyć powieść - dzieło literackie w formie serii listów, opowiadające o tragicznym bohaterze, któremu, cóż za ironia, nie udało się przezwyciężyć swojego strachu przed porażką - jednocześnie szukając pracy. Próbował nawet w porcie. Faceci w brudnych kombinezonach spojrzeli na niego raz i kazali mu spadać. Nie potrzebowali gościa, który potrafi napisać esej. Potrzebowali kogoś, kto potrafi przetaszczyć czterdzieści kilo węgla z jednego miejsca na drugie sto razy w ciągu dnia.

Dlatego pojawienie się tamtego młodego człowieka wydawało się - nie, było - idealną szansą dla Luciany i Pui. O, tak, wciąż tu były, chociaż Sonya stała się religijna i prowadziła zdrowy tryb życia. Była buddystką i weganką. Mimo jej irytującej potrzeby nawracania wszystkich wkoło („Wiedziałaś, że mleko jest rakotwórcze?”), była zdrowsza, szczęśliwsza, a przebywanie z nią stało się o wiele przyjemniejsze. Miała też o wiele lepszy wpływ na Margot. Prawie zapomniałam urazę, jaką żywiłam do niej przez wiele, wiele lat. Urazę, która teraz zaczynała właśnie kiełkować w sercu Margot.

Ziarno tej urazy spoczywało w kieszeni owego młodego mężczyzny: próbka, jak mówił, towaru, który kiedyś sprzedawał Sonyi. Jeśli spodoba się Margot, jeśli zadziała, może wrócić w przyszłym tygodniu, a on sprzeda jej trochę więcej po promocyjnej cenie. Margot zmierzyła go wzrokiem. Mógł mieć nie więcej niż siedemnaście lat. Nie zauważyła w nim nic podejrzanego - inaczej niż ja, zapewniam - i właściwie wydał jej się całkiem sympatyczny. „Jak to się nazywa? - zapytała. - Ten t o w a r”. Uśmiechnął się. „Dietyloamid kwasu

lizergowego - powiedział. - Potocznie zwany pigułką szczęścia”. To mówiąc, pomachał jej na pożegnanie.

Załamując ręce, próbowałam sobie przypomnieć tę chwilę. Problem z narkotykami polega na tym, że robią z mózgu *frappé*. Wreszcie zmówiłam modlitwę i porozmawiałam z Margot bardzo poważnie.

- Margot - powiedziałam. - To jest toksyczne. Nie chcesz tym faszerować swojego organizmu. To zrujnuje ci życie.

Jakże mądrość jest profanowana przez nieuniknione banały.

Nie słyszała mnie. I tak oto, kiedy chłopak pojawił się tydzień później, a potem po dwóch i po trzech tygodniach, Margot kupowała coraz więcej jego ziarna, a ono zapuszczało korzenie i rozkwitało koszmarnymi kwiatami.

Książka Toby’ego była prawie gotowa. Udało mu się pokonać kryzys twórczy dzięki temu, że dniami i nocami przesiadywał dosłownie zabarykadowany w małym pokoiku przylegającym do sypialni jego i Margot, waląc w starą maszynę do pisania Grahama. Jak dotąd nie zauważył u Margot żadnej zmiany. Wystukał słowo „Koniec” - zgodnie ze swoją tradycją, choć wydawca zawsze je usuwał - a potem wszedł na krzesło i walnął pięścią w powietrze. Otworzył wszystkie zamki w drzwiach i ogłosił:

- Margot! Margot, kochanie! Skończyłem! Zjedźmy coś!

Margot chodziła po salonie, zdejmując z półek książki i rzucając je na podłogę, spychając poduszki z kanapy, podnosząc buty i próbując wytrześć ze środka coś, co w nich było schowane. Otaczała ją zamieć białego pierza z rozprutych poduszek.

- Margot!

Zignorowała go i szukała dalej.

- Margot, co się stało? Margot! - złapał ją za ramiona i przyjrzał się jej. - Kochanie, co zgubiłaś?

Rozum, chciałam powiedzieć, ale to nie była pora na żarty. Toby tego nie widział - nigdy nawet nie zrobił sobie skręta - ale ona była w szponach uzależnienia, którego wyleczenie, wiedziałam o tym aż za dobrze, będzie trwało całe lata. I które tak właśnie wyglądało. Podobnie jak zrzącenie losu, które widziałam u Uny i Bena, uzależnienie Margot owijało się ciasno wokół jej serca, a potem rozrastało na zewnątrz niego, aż każdy z jej organów, każdą z tętnic i komórek jej krwi otulała potrzeba.

Margot wbiła w Toby’ego puste spojrzenie.

- Odwal się.

Puścił ją, przyglądając się jej zdeorientowany i zraniony.

- Słuchaj, powiedz mi po prostu, co ci zginęło, i razem to znajdziemy.

- Nie, nie możesz. On już idzie.

Cisza.

- Kto idzie?

- Nie znam jego imienia.

- Dlaczego ktoś idzie? Czy on idzie tutaj? Margot!

Chciał znowu ją złapać, lecz odepchnęła go i uciekła na dół. Toby, Gaja i ja pobiegliśmy za nią.

Sonya siedziała w kuchni, czytając i popijając zupę miso. Margot podeszła do niej z wyciągniętą ręką.

- Potrzebuję sto dolarów.

Niezła garstka drobników w latach osiemdziesiątych.

Sonya gapiała się na nią. Przyszło jej do głowy, że to jakiś dowcip. A potem zobaczyła wzrok Margot, pot spływający po jej twarzy, jej drżącą rękę. Odstawiła zupę i wstała.

- Margie, co ty bierzesz, kochanie? To zupełnie nie w twoim stylu...

Toby przerwał jej.

- Ona chyba jest chora. Czy przypadkiem nie panuje żółta febra?

Sonya podniosła rękę, aby go uciszyć.

- Żadna żółta febra, skarbeńki.

- Skarbeńki? - Margot zaczynała opanowywać paranoja. Spoglądała to na Toby'ego, to na Sonyę. Przeszkadzali jej, przez nich nie mogła dostać tego, czego chciała. Działali razem. Chcieli, żeby sobie poszła. Nie, zaraz. Byli kochankami.

- Spałeś z nią? - Margot do Toby'ego.

- Musimy zabrać ją do lekarza, i to szybko - Sonya do Toby'ego.

- Czy ktoś mi powie, co o się tutaj dzieje? - Toby w przestrzeń. Pukanie do drzwi. Ach, to pan Siedemnastoletni, diler narkotyków. Proszę wejść.

Sonya przeszła przez pokój i otworzyła drzwi na oścież. Rozpoznała go natychmiast.

- Patrick?

- Hej - rzucił, patrząc na Margot przez ramię Sonyi.

- Mówiłam wam już, że nie jestem... przyszedłeś do M a r g o t?

Patrick zastanowił się.

- Hm. No.

Toby puścił Margot i podszedł do Sonyi.

- Co to za facet? Czego chce od Margot?

Patrick trzymał coś w ręce.

- Daj mi to! - krzyknęła Sonya.

Zanim Patrick zdążył wepchnąć trzymany przedmiot z powrotem do kieszeni, Toby wyciągnął rękę i wyrwał go z ręki dilerka.

Złoty medalion.

- Czy to dla Margot? - zapytał Toby cicho.

Kiedy obejrzał się na Margot, jego oddech przyspieszył, a wokół niego uformowała się lodowa bariera.

- Nie, to jest moje - powiedziała Sonya, zabierając mu medalion. - Zobacz - otworzyła go, pokazując mu dwa miniaturowe zdjęcia swoich rodziców. - Skąd to masz, Patrick? Ukradłeś mi to?

Patrick zaczął się jąkać.

- Jest wart mniej, niż mówiła - powiedział, wskazując na Margot. A potem zwiął.

O, słodka godzino! Oczywiście nic z tego nie pamiętam. Byłam nieco oderwana od rzeczywistości. Margot chodziła wokół rozłożonej przed kominkiem niedźwiedziej skóry, machając rękami i szlochając. Toby podszedł do niej.

- Skarbie. Margot.

Przestała chodzić i spojrzała na niego.

- Przepraszam, kochanie. To przeze mnie. Zbyt dużo czasu spędzałem nad moją głupią książką... - łagodnie podniósł rękę, ujął jej twarz, i z oczami pełnymi łez powiedział: - Naprawię to, obiecuję.

Nachylił się, żeby ją pocałować. Odepchnęła go brutalnie i podeszła do Sonyi.

- Nie możesz tak po prostu sypiać sobie w najlepsze z mężczyznami innych kobiet! - wrzasnęła, unosząc rękę i z całej siły uderzyła Sonyę w twarz.

Sonya zatoczyła się, trzymając się za policzek. Dotknęła swoich ust: w miejscu trafionym obrączką ślubną Margot pokazała się krew.

- Wynoś się razem ze swoim towarem - warknęła i spojrzała na Toby'ego.

Pokiwał głową.

- Pozwól, że najpierw zawiozę ją do lekarza.

Wtedy z rogów pokoju wyłoniły się Luciana i Pui i otoczyły Margot jak wilki. Szeptaly do niej miękko, jak kociaki: „On zawsze wołał Sonyę od ciebie. Czy to nie jedyny powód, dla którego się z tobą ożenił? Chciał być bliżej Sonyi. Piękna, zabawna Sonya. Nie to co ty”.

Przez chwilę rozważałam walkę z nimi obydwoma, ale wtedy poczułam w skrzydłach znajome uczucie i usłyszałam głos płynący nimi do mojej głowy: *Połóż rękę na jej głowie i myśl o Tobym*. Stałam więc naprzeciwko Margot, położyłam rękę na jej czole i wypełniłam jej głowę wszystkimi dobrymi wspomnieniami z ich wspólnej przeszłości, o wieczorze, gdy wiosłowali po Hudsonie, o podróży samochodem do Vegas, o jego przysiędze, że zawsze będzie jej wierny, o przecuciu w głębi jej serca, że rzeczywiście tak będzie.

Upadła na kolana, wydając z siebie puste, suche łkania.

Sonya krzątała się głośno po kuchni. Po chwili wróciła ze szklanką wody i tabletką xanaxu.

- Daj jej to - powiedziała do Toby'ego.

- Nie! - krzyknął. - Żadnych prochów.

Wepchnęła mu tabletkę do ręki.

- To pozwoli jej zasnąć, a tobie spokojnie pomyśleć. Wygląda, jakby nie spała od kilku dni.

Miała rację. Tak właśnie było. A Toby niczego nie zauważył. Niechętnie dał Margot tabletkę.

Czy to jest pigułka szczęścia, Toby? Tak, Margot, to jest pigułka szczęścia. Dobrze, Toby. Popij wodą, Margot. Dobrze.

Niedługo potem leżała zwinięta na sofie, śpiąc twardo.

Sonya wyszła z kuchni i podała Toby'emu kubek kawy.

- Przykro mi, Tobes, ale nie mogę pozwolić, żeby zabierała mi rzeczy. To należało do mojej mamy - podniosła medalion.

Toby usiadł obok Margot i szlochał cicho, gdy Sonya tłumaczyła mu, jakie są skutki brania narkotyku, co powinien teraz zrobić i jak mogą pomóc Margot to rzucić. A ja pomyślałam, pierwszy raz od dziesięcioleci, że była prawdziwą przyjaciółką. Najprawdziwszą ze wszystkich moich przyjaciółek.

I nie winiłam jej, gdy dotrzymała słowa i nalegała, żeby Toby i Margot wyprowadzili się po tym, jak Margot spędziła dwa tygodnie w łóżku. Dwa tygodnie bez narkotyków. Obiecała, że pozostaną przyjaciółmi. Nawet pomogła im przewieźć rzeczy do nowego mieszkania przy Dziesiątej Alei.

Droga powrotna z tego upadku była wspinaczką bez asekuracji po ścianie stromego urwiska. Margot odmówiła szukania pomocy. Wybrała starą szkołę odwykową: w łóżku, zamknięta na klucz, otoczona książkami, wodą, poduszkami, w które mogła krzyczeć, kiedy szpony nałogu zaciskały się wokół niej. Stopniowo Toby ustanowił rytuał wspólnego picia

kawy i przyswajania przez Margot krótkich informacji ze świata zewnętrznego. „Yankesi właśnie sprzedali Cubsom Pata Tablera. Reagan mianował dzisiaj pierwszą w historii kobietę sędzią Sądu Najwyższego. Simon i Garfunkel zagrali darmowy koncert w Central Parku. Nie, nie poszedłem. Chciałem się upewnić, że wystarczy ci kawy”.

Kiedy Margot zaczęła wychodzić z sypialni i z uzależnienia, Toby znalazł pracę w miejscowej szkole średniej. Na życzenie Gai poprosił Margot o redakcję swojej nowej książki przed wysłaniem jej wydawcom. Dobrze jej zrobiła możliwość ponownego zanurzenia się w lekturze. Mnie również. Widok brudnopisu pierwszej książki Toby’ego, której nakład, mówię wam, został wyczerpany w ciągu dwóch miesięcy, był prawdziwym rarytasem. Czytałam przez ramię Margot, robiąc uwagi, wystrzajac jej redaktorski zmysł, skłaniając ją do kwestionowania każdej sceny, każdej postaci. Pierwszy raz od dłuższego czasu mnie słuchała.

I wtedy nadszedł ranek, który dobrze zapamiętałam. Biegnące ulicą dzieci chowały twarze w wydrążonych dyniach i pod maskami duchów. Pożółkłe liście na schodach przed domem przypominały pogubione przez jesień monety. Jesteś w ciąży, powiedziałam Margot. „Nie jestem”, pomyślała. Zrób test, odparłam. Zobaczysz. Zobaczysz.

Rozdział 18

ŹRÓDŁO WIADOMOŚCI

Myślę, że jest tak, jak mówią: macierzyństwo jest lepsze za drugim razem.

A może teraz byłam po prostu na to gotowa. Nie wiem. Ale kiedy przyglądałam się temu maleńkiemu ziarnku światła głęboko we wnętrzu Margot, pragnęłam, żeby jego serduszko zaczęło już nadawać swoim alfabetem Morse'a, swoim nerwowym rytmem istnienia. Patrzyłam, z własnym sercem w gardle, jak ciało Margot dziesiątki razy grozi zatopieniem słodkiej melodii tego nowego życia w wirusach, toksynach, zmianach hormonalnych. Jednak światełko trzymało się jej kurczowo, jak maleńka postać przywarta do masztu tonącego statku miotanego szkwałem.

Powiedziała Toby'emu. Gaja wznosiła okrzyki i skakała z radości - powstrzymałam się od powiedzenia jej o tym wcześniej tylko po to, żeby zobaczyć tę reakcję - a Toby zrobił krok do tyłu, wyczytując w twarzy Margot rozczarowanie i starając się opanować swoją ekscytację.

- Dziecko? Rany, to czadowo. To... to znaczy, to cudownie, co? Prawda?

Margot wzruszyła ramionami i skrzyżowała ręce. Toby złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze. Nie musisz go urodzić, jeśli nie chcesz...

Odepchnęła go.

- Wiedziałam, że nie chciałbyś mieć ze mną dziecka...

Projekcja jej własnych uczuć. Cofnęłam się przed oślepiającym blaskiem słońca, otulając się w cień.

- Już próbowałam się go pozbyć - westchnęła, a jej oczy napęłniły się łzami.

Kłamała. Testowała go.

Twarz Toby'ego jakby się zapadła. Długa cisza. Grobowe spojrzenie. Oto, gdzie zaczął osuwać się grunt, pomyślałam.

- Próbowalaś?

- Próbowalam spaść ze schodów. Nic nie dało - kolejne kłamstwa. Oparła na ramionach skrzyżowane ręce, jakby sama siebie obejmowała.

Na twarzy Toby'ego odmalowały się ulga i złość. Zamknął oczy. Gaja otoczyła go ramionami i przemówiła do niego: „Ona potrzebuje potwierdzenia, że jej nie zostawisz”.

Opuścił ręce, przyglądając się, jak Margot podchodzi do okna.

- Nie zostawię cię, Margot. To n a s z e dziecko - a potem dodał już z mniejszym przekonaniem: - To nasze małżeństwo.

Bardzo ostrożnie do niej podszedł. Widząc, że go nie odtrąca, objął ją od tyłu, przyciskając dłonie do jej brzucha.

- To nasze dziecko - powiedział miękko, a ona uśmiechnęła się i powolutku odwróciła, pozwalając się przytulić.

Większą część ciąży Margot spędziłam, przypominając sobie z bolesną ostrością wszystkie rzeczy, które robiłam, żeby uciec od rzeczywistości, to popadając w ekscytację, to znowu się wstydząc. Wstydziłam się z powodu marihuany, którą Margot paliła u Sonyi, kiedy Toby był w pracy, wstydziłam za jej kłamstwa („Czy to nie szkodzi dziecku, Margie?”, „Ani trochę. Kiedy jestem zrelaksowana, dziecko ma więcej witamin”, i tak dalej). Wstydziłam się z powodu skutków brania narkotyków, które dostrzegałam, zaglądając do jej wnętrza, gdzie świeciło niepewne światełko. Wstydziłam się z powodu myśli, które Margot przychodziły do głowy („Może p o w i n n a m spróbować spaść ze schodów, może udałoby mi się go pozbyć”, i tak dalej). A potem stopniowo rosło jej radosne podniecenie, tak jak moje. Dzieliłyśmy radość, widząc na ekranie ultrasonografu cień twarzy Theo wyrzeźbiony w świetle łona Margot, emocje i zaskoczenie wywołane przez małą stopę opartą o ścianę jej brzucha, nagłe olśnienie wywołane faktem, że w jej wnętrzu rzeczywiście jest dziecko, że to się dzieje naprawdę.

Luciana i Pui zamieszkały na parapecie okiennym w mieszkaniu Toby'ego i Margot. Koty w gołębniku, co?, krzyczałam na nie, a one łypały gniewnie i wołały Margot, kusząc ją wizytą u Sonyi, żeby dać dziecku więcej witamin. A ja wtedy namawiałam Theo, żeby kopał, i Margot dochodziła do wniosku, że nie ma ochoty na wizytę u Sonyi. Że woli iść na spacer do parku Inwood Hill, żeby zaczerpnąć powietrza. I tak robiła codziennie.

Rozpoznałam stare rdzawoczerwone drzwi mieszkania po drugiej stronie ulicy, z odłazącymi od dołu wielkimi płatami wiekowej farby. Margot zauważyła gazety i stojące na progu butelki mleka. Była pewna, że ktoś tam mieszka. Czasami o świcie w salonie paliło się światło, ale do rana ktoś je wyłączał. Zasłony zawsze były zaciągnięte. W okolicy takiej jak ta sąsiedzi żyją własnym życiem. Margot zawahała się. Czy powinna tam wejść i sprawdzić? Tak, powiedziałam jej. Spojrzała na swój brzuch. W porządku, mała. Nie zrobią ci krzywdy. Idź, idź.

Drzwi wejściowe były uchylone. Mimo to na wszelki wypadek zapukała. Żadnej reakcji.

- Halo - zawołała. Otworzyła drzwi trochę szerzej, wyczuwając kurz pod opuszkami palców. - Czy ktoś jest w domu?

Smród uderzył ją jak ciśnięta w twarz szmata. Śmieci, wilgoć i ekskrementy. Nabrała powietrza i uniosła rękę, żeby zakryć nos i usta. Zawahałam się. Tak, wiedziałam, kto tam mieszka, ale teraz nie byłam już przekonana, czy powinnam ją zachęcać do tego spotkania. I wtedy odebrałam wiadomość płynącą po moich plecach: *Ona jest tu potrzebna. Poślij ją do środka.*

Zanim Margot zdążyła przekonać samą siebie, żeby stamtąd wyjść, odezwał się zachrypnięty głos:

- Kto tam jest?

To był głos kobiety. Głos bardzo starej, bardzo chorej kobiety. Rose Workman. Wyprzedzając Margot, wpadłam do ciemnego zapomnianego pokoju. Ruszyłam w kierunku postaci na kanapie, nie mogąc się doczekać, kiedy zobaczę twarz Rose, pomarszczoną jak kartka zwinięta w kulkę, ciśnięta do kosza, a potem rozprostowana. Jej balansujące na długich czarnych palcach ciężkie pierścionki, z których każdy miał swoją historię. Te historie zostały ze mną na zawsze.

Jednak postać na kanapie nie była Rose Workman. Zamiast niej zobaczyłam rozebranego do pasa grubego białego mężczyznę. Odrzucił koc i warknął na mnie. To był demon. Odskokczyłam przestraszona i zdezorientowana.

- Halo! Kto tam jest? - głos Rose dochodził z kuchni, wraz z postukiwaniem laski, która prowadziła jej szurające stopy przez ciemność.

Margot podeszła do niej bardzo powoli.

- Dzień dobry - powiedziała z mieszaniną ulgi i odrazy. - Mieszkam naprzeciwno. Chciałam tylko się przywitać.

Rose włożyła okulary i zerknęła na Margot. Jej szeroki uśmiech był cieplejszy niż powrót do domu, a wraz z nim jej oczy zamieniły się w ciemne szparki w głębokich fałdach jej twarzy.

- Och, wejdz, dziecko. Rzadko kto do mnie zagląda, moja pani.

Margot poszła za nią do kuchni, przyglądając się gołym, zawilgoconym ścianom, warstwie kurzu na zbutwiałym kuchennym stole, wsłuchując się w echo obcasów stukających o gołe deski podłogi. Gdy mijala mężczyznę na kanapie, przebiegł ją dreszcz. Chciała wyjść. I ja też.

Demon podskoczył i ruszył w moją stronę. Sto pięćdziesiąt kilo łysego, rozebranego do pasa białego mięsa z oczkami jak szpileczki i grymasem niezadowolenia na twarzy. Nachylił się nade mną, wydał groźny pomruk, a potem mnie odepchnął.

- Nie mieszaj się - warknął.

Rozstawiłam stopy, jednocześnie mając oko na kobiety w kuchni i rozglądając się za aniołem Rose. Demon rzucił się na mnie po raz drugi, więc uniosłam rękę i wystrzeliłam kulę płomieni.

- Spróbuj mnie jeszcze raz tknąć, a zrobię z ciebie hamburgera - powiedziałam stanowczo.

Uniósł brew i parsknął. Najwyraźniej cięte riposty nie były jego mocną stroną. Wykrzywił twarz, mierząc we mnie palcem.

- Trzymaj się z daleka od nie swoich spraw - wyburczał, a potem opadł z powrotem na kanapę i przykrył się kocem.

Chodziłam, potykając się, po pokoju oszołomiona spotkaniem, usiłując zrozumieć, dlaczego jest tu demon, a nie ma anioła.

Chwilę później Margot wychodziła z kuchni z talerzykiem ciasteczek owiniętych folią aluminiową. Rose obejmowała Margot, opowiadając jej historię pierścionka na lewym palcu wskazującym. Dotyczyła jej najstarszego syna, który zginął w czasie wojny. Szły w kierunku wyjścia.

- Przepraszam, muszę uciekać - mówiła Margot. - Powiedziałam mężowi, że spotkamy się w parku. Ale zajrzę jeszcze.

- No myślę - odparła Rose i pomachała jej.

Wyszłam za nią zdumiona. Czyżby Rose nie miała swojego anioła? Czy Nan nie wspominała przypadkiem, że Bóg żadnego dziecka nie zostawia samego?

Margot odwiedziła Rose nazajutrz, potem następnego dnia i znów następnego, aż wreszcie wpadała trzy razy dziennie. Tak jak kiedyś uwielbiałam te wizyty, pławiłam się w radosnych wspomnieniach kobiety, która rodziła trzynaście razy i, ku mojemu zachwytowi, w jej opowieściach porody i macierzyństwo o wiele bardziej przypominały dar niż męczarnię, za którą ja je uważałam, tak samo teraz przerażał mnie widok tamtych drzwi z odłazającą płåtami farbą, dobiegających z kanapy gróźb, prowokacji i ciągłych ataków.

W końcu zawołałam Nan. Nie pokazywała się od czasu bitwy w Nevadzie i myślałam, że nasze drogi się rozeszły. Tęskniłam za nią. I przede wszystkim potrzebowałam jej.

Zjawiała się w ciągu kilku minut. Na dzień dobry uderzyłam w pokutny ton.

- Nan, wybacz mi - szeptałam. - Przepraszam, bardzo przepraszam.

Machnęła ręką na moje przeprosiny, jak zwykle sama decydując o tym, czego chce, a czego nie chce słuchać.

- Nic się nie stało - powiedziała, przyciągając mnie do siebie. - Pierwszy raz jesteś aniołem, jeszcze tak wiele musisz się nauczyć.

Wyjaśniłam jej sytuację z demonem Rose.

- Dlaczego nie ma żadnego anioła przypisanego do Rose? - zapytałam. - I kim jest ten mors, który mieszka na jej kanapie?

Wyglądała na zdziwioną. Szczerze zdziwioną.

- Ale... nie wiedziałaś... M a r g o t jest aniołem Rose.

- Co proszę?

Roześmiała się, a potem zobaczyła moją minę i spoważniała.

- Wiesz, że człowiek może mieć więcej niż jednego Anioła Stróża?

- Uhm.

- I wiesz, że Anioł Stróż Rose został niedawno przypisany komu innemu?

- Nie.

Westchnęła.

- Moja droga, naprawdę musisz zacząć używać tego - poklepała moje skrzydła. - Teraz Margot pełni funkcję anioła Rose.

Gapiałam się na nią. Dostrzegałam w tych wyjaśnieniach pewne luki. Jak na przykład to, że Margot jest śmiertelniczką.

Nan wzruszyła ramionami.

- I co z tego? - zapytała. - Nie tylko umarli pełnią tę funkcję, moja droga. W przeciwnym razie, po co byliby rodzice? Albo przyjaciele, rodzeństwo, pielęgniarki, lekarze...

- Rozumiem - powiedziałam, chociaż to nie była prawda.

- Teraz twoim zadaniem jest ochrona Margot przed Ramem.

- Tym demonem?

- Tak. Jak się pewnie zorientowałaś, nieźle się uczył Rose.

Zastanowiłam się. Zauważyłam już, że z jakiegoś powodu zamieszkał w życiu Rose jak mąż, który nie zamierza odejść. Ale z tego, co widziałam, nie kusił jej. Rose chodziła do kościoła. Nie miała nałogów. Nikogo nie zabiła. Nie mogła się nawet zdobyć na to, żeby rozdeptywać karaluchy biegające radośnie po podłodze jej kuchni.

- Przyjrzyj się uważniej - poradziła mi Nan. - Zobaczysz, jaki jest jego cel i siła, z jaką trzyma się Rose.

To się wydarzyło tamtego dnia, kiedy Rose opowiadała Margot historię złotego pierścienia na swoim serdecznym palcu.

- Ten pierścień - powiedziała, dotykając go w zamyśleniu - pojawił się w moim życiu jednego popołudnia, gdy byłam młoda. Miałam ze dwanaście lat, nie więcej. Zbierałam jabłka na farmie tatusia, w sadzie za stodołą. Był taki upał, że mogłaś zrobić pieczone na otwartym polu, tak, tak, dziecko. Nawet bydło powłóczyło nogami, jeszcze krowa nie przekuśtykała przez pole, a już poidła schły na pieprz. Wiedziałam, że nie powinnam, lecz nie mogłam się oprzeć. Poszłam nad rozlewisko, rozebrałam się do nagusieńka, zmówiłam pacierz i wskoczyłam do chłodnej wody. Nawet głowę zanurzyłam. Do dzisiaj czuję tę wodę we włosach, między nogami... Żebym dała radę tyle wytrzymać pod wodą, to siedziałabym tam do wieczora. A potem się okazało, że musiałam wytrzymać dłużej, niż się spodziewałam. Najpierw myślałam, że to prąd tak szarpie, że ciągnie mnie w dół rzeki. Poczułam ciepło w kostce, a potem taki ogień, że kwiczałam jak wieprzek zarzynany na święta. Otwieram oczy, patrzę, krew, co nawet wygląda jak ogień. I we krwi, w tej kołomyi, widzę ogon. Aligator, długi jak ciężarówka. Przypomniałam sobie, jak tatuś mówił, że mają delikatne oczy, więc nachyliłam się w stronę jego pyska i pcham kciuk prosto tam, gdzie ma oko. Na sekundę mnie puścił i w tym czasie zdążyłam machnąć nogami, żeby wydostać się na powierzchnię i nabrać powietrza. Ale aligator już mnie łapie za drugą nogę i ciągnie pod wodę. Myślę sobie, jak nie zaraz się spotkam z Panem Jezusem. Wtedy jakiś mężczyzna wyciągnął mnie na ten gorący dzień, na ten skwar nowego życia. To on mi dał ten pierścionek.

Kto wie, czy te historie w ogóle były prawdziwe. Ale zawsze gdy Rose zaczynała je opowiadać, światło wokół niej jaśniało tak bardzo, że Ram staczał się z kanapy, i powarkując, umykał w stronę tylnych drzwi jak niedźwiedź z bólem głowy.

- Dał mi go mój pierwszy mąż - powiedziała Rose, spoglądając z uśmiechem na pokryte pajęczyną zdjęcie przystojnego mężczyzny wiszące na ścianie. - Mówił: „Nigdy nie przestawaj opowiadać swoich historii Rose, opowiadaj je całemu światu!”. Poszedł, kupił mi porządne pióro, notatniki oprawione w skórę i kazał pisać. Nigdy nie przestałam.

- Co się stało z tymi notatnikami? - zapytała Margot. - Gdzie one są?

Rose machnęła ręką.

- Za dużo ich, żeby w nich grzebać!

Margot podniosła z podłogi nowy notes w twardej oprawie.

- Czy ten jest najnowszy?

Rose pokazała swoje powykrzywiane palce.

- Tak, ale ręka za bardzo mnie boli. Nie mogę już pisać.

Margot zaczęła czytać na głos. Jednocześnie wśród aury Rose pojawiły się małe równoległe światy. Wyświetlały się, ciemniały, rozwijały się jak wachlarze, aż wypełniły cały pokój. Patrzyłam, jak błyskają przede mną obrazy: Rose jako mała dziewczynka, proszona przez rodziców, żeby opowiadała historie gościom ich pensjonatu w Luizjanie, potem matka bazgrząca obok dzieciennego łóżeczka, a później Rose w wieku, w którym była teraz, ale szczuplejsza, w lepszej formie, usadowiona przy stole pod oknami biblioteki Uniwersytetu Columbia, otoczona przez kobiety i mężczyzn ubranych w suknie i garnitury, uśmiechniętych jak do pamiątkowej fotografii. A potem ktoś wręczał jej jakiś dyplom.

Wysiliłam wzrok, żeby przeczytać to, co na nim napisano, i zamurowało mnie: „Nagroda Pulitzera w kategorii fikcja”.

W tym miejscu wizja na chwilę się urywała i następowało zbliżenie tego samego dyplomu, oprawionego w ramkę i zawieszzonego na ścianie salonu Rose. Nie był to jednak salon, w którym teraz siedziałyśmy: ten, na który patrzyłam, był trzykrotnie większy, z marmurowym kominkiem, dywanem na całą podłogę i satynowymi zasłonami w kolorze kości słoniowej w wykuszowych oknach. Pokojówka odkurzała oprawione w złoczone ramki niezliczone zdjęcia ukochanych synów i wnuków Rose. Na fotografiach uwieczniono wyciskające łzy sceny ukończenia przez nich szkół, służby wojskowej i jednego z nich ściskającego rękę prezydenta Reagana. O ile było mi wiadomo, żadne z jej dzieci nigdy nie ukończyło szkoły średniej.

Obraz znikł, a ja stałam oszołomiona z zapartym tchem, aż zauważyłam, że wrócił Ram.

Margot przerzucała kartki notatnika Rose.

- To niesamowite - powiedziała. - Dlaczego pani tego nie opublikowała?

I wtedy odezwał się Ram, siedząc u boku Rose i delikatnie ujmując jej dłoń:

- Nie jesteś wystarczająco dobra, Rose.

Rose powtórzyła, kręcąc głową.

- Nie jestem dość dobra, dziecko.

- Książki są dla bogatych, nie dla takich jak ty.

Rose powtórzyła jak papuga:

- Książki są dla bogatych, nie dla takich, jak ja.

- Bzdura - przerwała Margot. Ram rzucił jej ostre spojrzenie. - To jest piękne.

Wspaniale pani pisze.

Ram mówił głośnie.

- Nie obchodzą cię pieniądze. Przez pieniądze dobrzy ludzie robią się źli.

Na twarz Rose padł cień. Powtórzyła słowa Rama.

Margot spojrzała na nią zakłopotana.

- Przykro mi, że tak pani myśli - powiedziała miękko. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Czy mogę pokazać pani notatniki mojemu mężowi? On również jest pisarzem.

Ram wstał. Otworzył swoje cuchnące usta i zawył na Margot. Rose zasłoniła sobie uszy, jakby dostała ataku. Margot wyciągnęła do niej rękę.

- Rose, co się dzieje?

Rose jęknęła.

- Idź już, proszę.

Margot próbowała złapać ją za rękę, ale Rose wyrwała się i ukryła twarz w dłoniach, szlochając.

Margot zrobiła krok w stronę drzwi. Ram spojrzał w górę na stary drewniany wentylator nad jej głową. Ruszyłam do przodu.

- Nie waż się! - powiedziałam.

Uśmiechnął się, wskoczył na łopatki wentylatora i zaczął je szarpać.

- Pospiesz się! - wrzasnęłam do Margot, a potem rzuciłam się na jego bandzioch i zepchnęłam go na podłogę pokrytą pokruszonym tynkiem.

Rose zawyla. Margot zgarnęła notatnik leżący na kolanach Rose i wybiegła z domu. Ram pozbierał się i spiorunował mnie wzrokiem. Miał rozszerzone nozdrza. Przykucnął, szykując się do ataku, ale wtedy, bez ostrzeżenia, woda na moich plecach zamieniła się w płomień. Ram rozdziawił paszczę, skulił się ze strachu, a potem się schował jak karaluch w ramce ze zdjęciem pierwszego męża Rose.

A później stało się coś, czego nie mogłam zrozumieć. Rose stanęła przede mną radosna i uśmiechnięta. Patrzyła wprost na mnie.

- Jestem gotowa - powiedziała. - Spraw, żeby ten mężczyzna już mi nie dokuczał. Zabierz mnie do domu.

Wyciągnęła rękę, a ja ją za nią złapałam. Poczułam, że wchodzi do mojego ciała i przechodzi przez skrzydła, a potem znika.

Spędziłam noc w mieszkaniu Rose, chodząc po pokojach, patrząc na zdjęcia, które były dla niej tak cenne, płacząc na widok pustych kuchennych szafek, potulnych szczurów mieszkających pod jej łóżkiem, brudnej wody kapiącej z wiekowego kranu. Próbowałam zrozumieć, dlaczego zdecydowała się żyć w tym domu, dlaczego godziła się na to, żeby tkwić w szponach demona, zamiast żyć tym życiem, którym powinna. Nie znalazłam odpowiedzi.

Zrobiłam więc to, co należało. Kiedy następnego dnia przyszła Margot i znalazła ciało Rose zwinięte na kanapie, kiedy łkała i szlochała na podłodze, objęłam ją, i próbując ją uspokoić, szeptałam jej do ucha, żeby była dzielna. I przypominałam jej o notatnikach. Po wezwaniu karetki poszła na górę i otworzyła szafę w sypialni Rose. W środku, zamiast ubrań, leżały dziesiątki notatników zapisanych pismem starszej pani. Zanim nadjechało pogotowie, Margot spakowała je do kilku walizek i poprosiła Toby'ego o pomoc w przeniesieniu notatników do ich mieszkania.

Jakiś czas później zadzwonił wydawca Toby'ego. Zapiski Rose go zainteresowały, ale wymagały sporych nakładów pracy redakcyjnej, a oni po prostu nie mieli na to czasu. Czy Margot miałyby czas następnego dnia? Spojrzała na swój brzuch rozsadzany przez zamkniętą w nim małą planetę i pomodliła się, żeby dziecko zostało w środku trochę dłużej. „Tak - powiedziała. - Mam czas”.

Rzecz warta wzmianki: to było jak spełnienie marzeń. Coś, co musiało we mnie rosnąć od bardzo dawna, jak tajemnica, której przysięgałam dochować, jak moje dziecko. Nigdy nie wiedziałam, kim chciałabym być, gdy dorosnę - nigdy też chyba nie byłam pewna, kiedy oficjalnie to nastąpi - ale po tym jak pochłaniałam książki u Grahama i Iriny, jak przez wiele godzin rozprawiałam się z powieścią Toby'ego, próbując w fikcji odnaleźć prawdę, kwiat w paku, dokładnie wiedziałam, co chciałabym r o b i ć.

Czy to nie zabawne, że przypadkiem od razu natknęłam się na idealną dla siebie pracę? Nawet tego nie dostrzegłam. Przynajmniej nie wtedy. Tamtego ranka szłam u boku Margot z przekonaniem i zdecydowaniem. Kwiatuśku, powiedziałam do niej, gdybym mogła zrobić to wszystko jeszcze raz, to byłaby jedyna rzecz, której bym nie zmieniła. Wreszcie, pomyślałam, sprawy zaczynają układać się należycie.

Biuro wydawcy znajdowało się nad słynnymi delikatesami przy Piątej Alei, tymi, które Margot w pamiętny sposób sprofanowała kilka lat wcześniej. Zasłoniła twarz, mijając ich właściciela, i zaczęłyśmy wspinać się na trzecie piętro.

Hugo Benet, dyrektor zarządzający Benet Books, mężczyzna z najbielszymi, najrówniejszymi i największymi zębami, jakie kiedykolwiek widziałam, był weteranem wydawniczego świata. Pomimo największych wysiłków przez lata pracy poza rodzinnym Toronto nigdy nie udało mu się znaleźć przyzwoitego asystenta. „Notatniki są swego rodzaju odkryciem”, powiedział do Margot. Zamierzali opublikować pierwszą partię, jak tylko uporają się ze standardowym procesem redakcyjnym. Czy Margot jest zainteresowana podjęciem tej pracy?

Nie była pewna.

Oczywiście, że jesteś, powiedziałam jej.

„Oczywiście, że jestem”, odparła, czując cieniutką stróżkę wody na udzie, szpony bólu zaciskające się stopniowo na jej brzuchu i powstrzymując cisnący się na usta krzyk.

Rozdział 19

AUTOBUS

Po jakichś dziesięciu godzinach od pierwszych skurczów Margot doszła do wniosku, że już wcale nie chce rodzić. Że macierzyństwo jest nie dla niej, właściwie to nie chce mieć dziecka, więc czy teraz mogłaby już pójść sobie do domu?

Następny skurcz złapał ją, zanim zdążyła dokończyć tę prośbę skierowaną do siostry Mae.

- Nie, pani Posłusny - powiedziała stanowczo siostra Mae. - Jeszcze jedno parcie i po bólu. Gdyby się pani skupiła na parciu, zamiast krzyczeć, pewnie już by pani urodziła.

Margot darła się wniebogłose. Tędy chodził po korytarzu, nagle zdając sobie sprawę, że pierwszy raz od lat śpiewa *Szema Israel*.

Siostra Mae sięgnęła między nogi Margot, aby zorientować się w ułożeniu dziecka. Wciąż wysoko. Ale zamiast główki wyczuła nóżkę. Spojrzała na Margot.

- Zaraz wracam - powiedziała i czym prędzej poszła po lekarza.

Jeszcze jeden skurcz przetoczył się po ciele Margot jak stalowy czołg. Rany, pamiętam to uczucie. To nieprawda, że się je zapomina. No i oczywiście obserwowanie wszystkiego od nowa znakomicie odświeża pamięć. Patrzyłam, jak zaciskają się mocno krwawe szczęki kolejnego skurczu, zamknęłam oczy i położyłam ręce na miednicy Margot.

Wtedy obok mnie zjawił się jeszcze jeden anioł. Młody, dwudziestoparoletni mężczyzna ze skupieniem w oczach i opadającymi na twarz włosami koloru cappuccino. Było w nim coś bardzo znajomego. Zerknęłam na niego.

- Czy my się znamy?

Wzdrygnął się na widok tego, co zobaczył na szpitalnym łóżku.

- James - przedstawił się szybko, nie odrywając oczu od Margot. - Jestem Aniołem Stróżem Theo.

Margot znowu krzyczała. Próbowwała zejść z łóżka.

- Czekaj - powiedziałam jej. - Spróbuję obrócić Theo.

- Theo? - jęknęła.

Podniosłam wzrok. Słyszysz mnie. W dodatku patrzy na mnie, zupełnie tak jakby mnie widziała. Koniec świata!

- Siostró - błagała, wyciągając do mnie ręce. - Proszę mi dać znieczulenie. Jakiegokolwiek. Dłużej tego nie wytrzymam.

Musiałam mieć oczy jak spodki. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd ostatni raz mnie widziała. Przez chwilę zastanawiałam się, jak według niej wyglądam. Potem znowu zaczęła wrzeszczeć, a ja wzięłam się w garść.

- Jest ułożony pośladkowo - powiedziałam łagodnie. - Spróbuję go obrócić. Ale musisz leżeć tak spokojnie, jak tylko się da.

Rzuciłam szybkie spojrzenie na drzwi. Słyszałam dobiegające z końca korytarza głosy: położna wracała z lekarzem.

- Skąd pani wie, że to chłopiec? - wydyszała Margot.

Udałam, że nie słyszę, i położyłam rękę na jej brzuchu.

Zerknęłam na Jamesa, który wydawał się trochę przestraszony.

- Chodź no tutaj - powiedziałam do niego. - Jesteś aniołem Theo, tak?

James pokiwał głową.

- W takim razie pogadaj z tym małym gościem, żeby obrócił się we właściwą stronę.

James położył dłonie na moich, zamknął oczy i w tej samej chwili ciało Margot załało złote światło. Tak jak robiłam to już wielokrotnie wcześniej, próbowałam wchłonąć część jej bólu. Zacisnęłam powieki i kiedy nadszedł następny skurcz, złapałam go, pociągnęłam jak metalowy pręt i szarpnęłam do siebie. I podobnie jak Rose, ten metalowy pręt przeszedł przeze mnie, dotarł do skrzydeł i przeniknął przez nie do jakiejś innej części wszechświata. Margot odetchnęła z ulgą.

Teraz widziałam już, jak dziecko, malutki Theo przerażony i zagubiony, zaczyna spadać główką w dół. Margot znowu krzyczała, skurcze spadały na nią jak osuwające się drapacze chmur. Stałam przy jej głowie i położyłam rękę na jej sercu.

- Musisz spróbować się uspokoić - powiedziałam. - Theo potrzebuje tego, żebyś oddychała powoli, powoli, p o w o l i.

Margot oddychała tak wolno i głęboko, jak umiała, i ledwo James zdążył ułożyć Theo we właściwej pozycji i zsunąć go w dół w kierunku chłodnego wyjścia na świat, weszli lekarz i położna.

- Wielkie nieba! - zawołała położna, widząc już główkę dziecka.

Zjawiała się dokładnie w chwili, gdy Margot zdobyła się na ostatnie, imponujące parcie, czując jednocześnie, jak dziecko wychodzi z niej główką do przodu.

- Pani Posłusny - wysapała położna - ma pani małego chłopczyka, proszę.

Margot usiłowała podnieść głowę.

- Theo - powiedziała. - Myślę, że ma na imię Theo.

Theo Graham Posłusny, całe cztery i pół kilograma, przytulił się do piersi Margot i ssał aż do wieczora.

Margot miała kłopoty z łóżyskiem, więc zatrzymano ją na kilka tygodni w szpitalu. W nocy odwożono dziecko na oddział noworodków, aby mogła spać. Pewnie powinnam była zostawić Jamesa, żeby mógł się zająć swoją robotą, i iść doglądać Margot, ale nie mogłam się powstrzymać. Zadurzyłam się w kwilącym w plastikowym łóżeczku różowym klopsie z odrobiną ogniście rudych włosów pod wełnianą czapczką, którą Rose kilka miesięcy wcześniej zrobiła na drutach. Był tak głodny, że całą noc szukał niewidzialnej piersi, pielęgniarki uciszały go za pomocą smoczka, a ja głaskałam jego śliczną buzię.

Wreszcie podszedł do mnie James. Pomyślałam, że jest bardzo dzielny.

- Posłuchaj - powiedział po chwili stania w milczeniu obok mnie przy łóżeczku Theo.

- Opieka nad Theo to moje zadanie. Ty powinnaś być z Margot.

Zerknęłam ponad jego ramieniem na Margot, którą widziałam przez zasłonę zaciągniętą wokół jej szpitalnego łóżka. Spała głębokim snem.

- A co, myślisz, że jej nie pilnuję? Przecież widzę, że ma się dobrze. Zapomniałeś, że jestem aniołem? Znam się na tym, bądź spokojny.

Przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

- Może powinienem ci wyjaśnić moją relację z Theo.

- Nie obchodzi mnie twoja relacja z Theo. Jedyne, co mnie obchodzi, to żebyś dopilnował, by nie skończył w więzieniu, odsiadując dożywocie za morderstwo.

Kątem oka widziałam, jak robi krok w tył. Chyba zachowałam się trochę obcesowo, pomyślałam. Prawdopodobnie był jakimś dalekim krewnym Toby'ego. Wujkiem na przykład. Tak czy owak, nie było potrzeby rzucać się na niego z pazurami. Prawda zaś była taka, że chciałam mieć Theo tylko dla siebie. Trafiła mi się okazja, której nigdy bym się nie spodziewała. Co więcej, nie sądziłam, że kiedykolwiek bym jej chciała. Ponowne doświadczenie cudu urodzenia swojego pierwszego dziecka. Czułam się jak wilczyca, która warczy na drapieżniki. Nie chciałam, żeby James grał pierwsze skrzypce.

Odwrociłam się do niego.

- Przepraszam. W porządku? - powiedziałam, wyciągając ręce w szczerym geście.

Napotkał moje spojrzenie i wytrzymał je bez słowa. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, a do mnie coraz wyraźniej docierało echo moich nierozważnych słów. James nie przyjmował przeprosin. W końcu Theo zaczął kwilić i James wstał. Chciałam pogłaskać

policzek małego, ale James był szybszy. Położył dłoń na główce dziecka, a ono natychmiast zasnęło.

- Nie musisz mnie darzyć sympatią - wymruczał James, patrząc mi w oczy. - Lecz proszę cię, żebyś mi zaufała.

Pokiwałam głową. Drugie przeprosiny bezgłośnie uformowały się w moich ustach. James odwrócił się do mnie plecami, a ja po cichu wślizgnęłam się z powrotem za zasłonę przy łóżku Margot.

Kilka dni później Margot wróciła do wyszorowanego na wysoki połysk mieszkania, ze świeżo odmalowanym pokojem dziecięcym, pełnym wszystkich niemowlęcych akcesoriów, na widok których wzdychała w sklepie z rzeczami dla dzieci. Toby, znacznie wyprzedzając swoje czasy, nalegał, aby pracodawca udzielił mu tygodniowego urlopu ojcowskiego. Kiedy jego prośba została odrzucona, Toby udzielił go sobie sam i natychmiast został zwolniony. Ale czyż widok nowo narodzonego dziecka nie wypełnia świata nadzieją? Bez pracy, bez grosza przy duszy i wśród rozbrzmiewających wkoło policyjnych syren Toby czuł, że jego mała rodzina jest niezwykła.

Najlepsze było jeszcze przed nimi: Toby poinformował Margot, że za ostatnie oszczędności opłacił lot Grahama, który następnego wieczoru miał wylądować na Lotnisku Kennedy'ego, żeby zobaczyć swojego wnuka. I wtedy pierwszy raz od dłuższego czasu zaśpiewałam pieśń dusz. Zadzwoń do taty, mówiłam Margot - za pierwszym razem ten pomysł odbił się od jej emocji jak groch od ściany. „Dzwonić do niego? Ależ ja nie mam czasu... Mam jeszcze tyle do zrobienia przed jego przyjazdem...” Ponaglałam ją, aż wreszcie się poddała.

Płakałam z radości i smutku, słuchając tej rozmowy, której nigdy nie przeprowadziłam. Czułam ulgę, że jednak ktoś tam nad nami pozwolił mi poprzesuwać fragmenty układanki choć na tyle, żeby Margot mogła powiedzieć rzeczy, których ja nigdy nie powiedziałam.

- Tato!

Rozległ się chropawy dźwięk suchego kaszlu. Jak zwykle źle obliczyła różnicę czasu. Trudno.

- Tato, Toby właśnie mi powiedział! Jak długo u nas zostaniesz? Przylecisz jutro pierwszym samolotem?

Chwila ciszy.

- Tak, tak, Margot, kochanie. Wylatuję o siódmej, więc taksówka przyjedzie po mnie o czwartej...

Theo zaczął płakać

- Czy ja słyszę mojego wnuka?

Toby podał Theo Margot, a ona przytrzymała słuchawkę blisko buzi dziecka, pozwalając, by jego płacz usłyszano aż w Anglii. Gdy wreszcie oddała go Toby'emu, natychmiast uczeplił się jego małego palca i zaczął ssać.

- Chyba jest głodny - wyszeptał Toby.

Pokiwała głową.

- Tato, muszę kończyć. Nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy. Bezpiecznej podróży.

Cisza.

- Tato?

- Kocham cię, moja słodka dziewczynko.

- Ja też cię kocham, tato. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Całą noc, podczas gdy Margot wierciła się i przewracała z boku na bok, z radości nie mogąc spać, chodziłam po pokoju najpierw przepełniona ulgą, że udało mi się dopasować ten zawsze brakujący fragment, a potem załamana z powodu tego, co miało nadejść. Ponieważ wiedziałam, że tylko tyle było mi dane zmienić. Nawet teraz tak wiele pozostawało poza moją kontrolą.

Telefon zadzwonił późnym rankiem. Była to pani Bieber, sąsiadka Grahama. Delikatnie i ostrożnie poinformowała Margot, że zaledwie przed godziną do jej drzwi zapukał taksówkarz, który znalazł Grahama siedzącego na schodach przed domem, z walizką w ręku, zimnego i nieruchomego. „Odszedł spokojnie - powiedziała - nie cierpiał”.

Margot była załamana. Siedziałyśmy razem w małej łazience i razem płakałyśmy, a nasze łzy miarowo skapywały na jej dłoń.

Zdołałam przekonać samą siebie, że uczucia, które zadomowiły się w moim sercu wkrótce po narodzinach Theo, były moim wytworem. Teraz, widząc kłębiące się w głowie Margot hormony i rozpedzone, zderzające się z sobą impulsy nerwowe, miałam bezpośredni obraz depresji poporodowej. Zawsze gdy Theo krzyczał - a krzyczał często, całymi godzinami - przez ciało Margot przetaczała się czerwona fala, impulsy nerwowe pędziły coraz szybciej, aż drżała na całym ciele. Wydawało się jej, że karmi go całymi dniami, dzień w dzień. Miała anemię - choć lekarze zapewniali ją, że tak nie jest - i niepostrzeżenie wdała się infekcja dróg rodnych. W końcu nagle odkryła, że nienawidzi Toby'ego. Nienawidziła go za jego magiczną umiejętność spania twardo, podczas gdy tuż obok dziecko wyło w łóżeczku. Nienawidziła go

za to, że nie musiał zamieniać się w ociekającą mlekiem, krwawiącą maszynę do obsługi dziecka. Nienawidziła go za to, że czuła się wyczerpana, zagubiona i umierała ze strachu na samą myśl o następnym dniu znoszenia tego chaosu.

Przyglądałam się, jak Toby usiłuje ją zadowolić. Wtedy wydarzyła się miła niespodzianka. Książka Toby'ego *Czarny lód* trafiła na ogólnokrajową listę bestsellerów. Tak, teraz już o tym wiedziałam. Ale dowiedziałam się dopiero kilka miesięcy po fakcie. Toby odebrał telefon i podziękował wydawcy za informację, przyglądając się Margot, która usiłowała nakarmić Theo siódmy raz w ciągu godziny. Jej twarz była zaczerwieniona od łez. Wiedziałam teraz to, o czym wtedy nie miałam pojęcia - Theo nie potrafił ssać. Odgłosy przełykania, które wydawał, powstawały, gdy łykał powietrze. I kiedy z głodu bolał go brzusek, piersi Margot płonęły od nadmiaru mleka.

- Zrób coś! - syknęłam do Jamesa.

Przewrócił oczami.

- Robię, co mogę.

Wkroczyła Gaja.

- Dajcie mi spróbować.

Szepnęła coś do Toby'ego.

Odłożył słuchawkę i podszedł do Margot.

- Kochanie.

Zignorowała go. Położył rękę na jej ramieniu.

- Margot.

- O co chodzi, Toby?

- Dlaczego nie wyjdiesz na parę godzin. Ja się nim zajmę.

Spojrzała na niego.

- Nie masz piersi, Toby. Za dziesięć minut znowu trzeba go będzie nakarmić.

Toby uśmiechnął się.

- Owszem, ale mogę dać mu mleko w proszku. No, dalej, idź do fryzjera czy co. Zrób sobie przyjemność.

Popatrzyła na niego.

- Żartujesz?

- Mówię zupełnie poważnie.

- Nie mamy pieniędzy.

Odwrócił wzrok. Nie umiał kłamać, nawet w słusznej sprawie.

- Powiedzmy po prostu, że odłożyłem coś na takie chwile jak ta.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Ile?

- Przestań się dopytywać! Bierz książeczkę czekową i idź! Zafunduj sobie kosmetyczkę, pedikiur czy co tam wy, dziewczyny, robicie z tymi swoimi paznokciami. Już, wynocha stąd.

Wyszła szybciej, niż zdołałyby powiedzieć: masaż klasyczny. Szłam za nią po schodach, a potem ulicą, w stronę przystanku autobusowego. W moich skrzydłach rozległ się głos: *Namów ją do spaceru. Nie pozwól jej wsiąść do autobusu.*

Dlaczego?, pomyślałam. Spojrzałam na nadjeżdżający autobus. Dlaczego?, zapytałam ponownie, ale odpowiedzi nie było. W porządku, pomyślałam. Ty nie odpowiadasz, ja nie słucham.

Zajęłyśmy miejsca z tyłu autobusu. Margot przycisnęła do czoła mokrą chusteczkę, powiew powietrza wpadającego przez otwarte okno łagodził ból jej piersi. Autobus zatrzymał się na Jedenastej Alei. Wsiadła kolejna grupka pasażerów. Jedna z osób przeszła w naszą stronę i usiadła naprzeciwko Margot. Poczułam, jak skręca mi się żołądek.

Kobieta była sobowtórem Hildy Marx. Miała jej jasnopomarańczowe włosy poprzetykane siwizną, upięte wysoko, wiecznie czerwony nos, który straszył na środku twarzy, i wysuniętą żuchwę. Patrzyłam, jak Margot gwałtownie wstrzymuje oddech, obserwując, jak kobieta zsuwa z ramion płaszcz - czarny trencz, tak podobny do tego, który nosiła Hilda - i stuka górnymi zębami o dolne, dokładnie tak, jak to robiła Hilda. Po chwili stało się jasne, że kobieta nie jest Hildą. Ktoś w autobusie rozpoznał w niej Karen, a kiedy uśmiechnęła się i zaczęła rozmawiać, jej twarz całkowicie zmieniła wyraz. Jej akcent zdradzał, że urodziła się i wychowała w New Jersey.

Oczywiście powinnam była o tym pamiętać. Patrzyłam bezsilnie, jak myśli Margot powracają do Domu Dziecka imienia Świętego Antoniego. Przebiegł ją dreszcz wywołany wspomnieniem Grobowca. Strach, upokorzenie i poczucie beznadziei wplecione w obrazy przeszłości związane z tamtym miejscem wypłynęły na powierzchnię jej umysłu jak wrak statku, wraz ze wszystkimi wzdętymi trupami wystawiającymi na światło dzienne swoje ohydne twarze. Dysząc ciężko, wpatrywała się w swoje stopy. Położyłam ręce na jej ramionach, próbując ukoić jej lęk: *Jesteś tu i teraz. To wszystko już minęło. Jesteś bezpieczna.* Margot oddychała powoli i głęboko, usiłując ignorować obrazy, które pojawiały się przed jej oczami: Hilda bije ją workiem węgla. Hilda wyciąga ją z Grobowca tylko po to, żeby zaraz zaciągnąć ją tam z powrotem. Hilda mówi jej, że jest nikiem.

Wysiadła z autobusu na najbliższym przystanku i zaczęła iść szybkim krokiem, chociaż nie była pewna, gdzie jest ani dokąd zmierza. Myśl o masażu dawno odeszła w zapomnienie. Zamiast niej pojawiło się obezwładniające pragnienie, żeby zalać się w trupa. Marzyła przez chwilę o tym, żeby móc zadzwonić do Xiao Chen i pójść z nią do uczelnianej knajpy. W ciągu sekundy zdecydowała się pójść tam sama.

W porządku, powiedziałam na głos. Chyba do Boga. Teraz już będę słuchać. Wyślij mi wiadomość, jakieś wskazówki, co powinnam z tym zrobić. Widzisz, wiem, co się stanie. Wiem, że wyda pięćdziesiąt dolarów na kolejki wódki i że będzie się obściskowała z jakimś facetem, którego imię wyleciało mi z głowy, wiem, że wytoczy się stamtąd o północy, niemalże nie pamiętając, że ma męża i dom. A, i jeszcze dziecko.

I wiecie co? Nic. Ani słówka. Żadnych wiadomości w skrzydłach, żadnych przeczuć. Rzecz jasna, mówiłam do Margot, wrzeszczałam na nią ile sił w płucach, śpiewałam pieśń dusz... Ignorowała mnie. Najgorsze było to, że kiedy doszła do baru, przy wejściu czekał już Grogor. Gdy Margot weszła do środka, objął ją w pół i wprowadził do środka. A ja nie mogłam nic zrobić.

*

Powodem, dla którego Toby nie powiedział Margot o sukcesie swojej książki, było to, że przez następne tygodnie z sobą nie rozmawiali. Stary kolega z uczelni zadzwonił do Toby'ego z baru, kiedy zobaczył, jak Margot wychyla koktajle i obcałowuje się z jakimś studentem. Wyglądało to następująco:

O jedenastej wieczorem w kuchni Margot i Toby'ego dzwoni telefon. Właśnie skończyło się mleko w proszku, a wszystkie sklepy są już zamknięte. Theo krzyczy.

- Halo! - Toby czym prędzej odsuwa słuchawkę od ucha.

Z drugiej strony dobiega głośnie muzyka.

- Cześć, stary. Jed z tej strony. Powiedz, Tobes, czy przypadkiem ostatnio nie urodziło ci się dziecko?

Dudnienie.

- Uhm.

- I... czy nie ożeniłeś się z blond laską o imieniu Margot?

- Uhm.

- A gdzie ona może być teraz?

- Nie jestem pewien. Dlaczego pytasz?

- Stary, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Chyba jest tutaj.

- Gdzie?

I tak oto Toby bierze Theo, ubiera go i obaj jadą w miejsce, gdzie Margot, trzymając za rękę innego faceta, rzyga pod latarnią.

Patrzyłam, bezsilna i skruszona, bardziej skruszona niż jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak Toby zatrzymuje się obok Margot, ogląda się na Theo, a potem wyskakuje z samochodu. Gaja i James zostali w środku. Ja odwróciłam wzrok. Toby podszedł do Margot, która wiedziała, że on tam jest, ale nie reagowała, aż w końcu powiedział:

- Theo cię potrzebuje.

I coś z zawartej w tych słowach odpowiedzialności, miłości dotarło do niej, więc zataczając się, wsiadła do samochodu, omal nie przewracając się na Theo na przednim siedzeniu.

Brak słów.

Brak słów, aby opisać doświadczenia tamtej nocy.

Wiem tylko, że chciałam wszystko zmienić. Chciałam zerwać zasłonę, która dzieliła mnie od Margot, wejść w jej ciało i błagać Toby'ego o przebaczenie. Chciałam zabrać Theo i uciec z nim daleko od tej strasznej, skompromitowanej kobiety, a jednocześnie chciałam uleczyć wszystkie jej rany, cofnąć czas, spotkać się z Bogiem i nawymyślać Mu za wszystko, co się wydarzyło i zdecydowało o tym, że jest taka, a nie inna.

Od tamtej nocy małżeństwo, które zostało śmiertelnie ranione, zanim jeszcze na dobre się rozwinęło, wykrwawiało się w ciszy, która zapanowała między Tobym a Margot. Toby spędzał dni na pisaniu, Margot na redagowaniu notatników Rose, a Theo spoglądał to na jedną smutną twarz, to na drugą, to na mnie. Mówiłam mu, że go kocham, że kocham jego ojca. Że jest mi przykro.

I modliłam się, żeby ktoś, gdzieś, mnie wysłuchał.

Rozdział 20

SZANSA ZMIANY

Kiedy czysta groza tamtej nocy została zredukowana do rozmiarów złego wspomnienia, kiedy Toby wreszcie posłuchał głosu Gai i przebaczył Margot, postanowili spróbować jeszcze raz.

To był najszczęśliwszy dzień mojego życia, tego przed śmiercią i po niej. Margot zobaczyła na przystanku autobusowym plakat z reklamą książki Toby'ego. Wróciła do domu, uginając się pod ciężarem torby z zakupami, i została przywitana przez jego plecy.

Nic nowego. Ale tym razem była wściekła. I czuła się zraniona.

- Jak to się stało, że nie powiedziałeś mi o swojej książce?

Hałas.

- Hm? - nawet się nie odwrócił.

Rzuciła zakupy na podłogę.

- O książce - powtórzyła. - O twoim „międzynarodowym bestsellerze”. Dlaczego dowiaduję się ostatnia? Wszyscy w Port Authority o tym wiedzą. Jestem twoją żoną.

Wreszcie się odwrócił. Nagle zdała sobie sprawę, że minął ponad tydzień, odkąd ostatni raz patrzyli sobie w oczy.

- Moją żonę - wyszeptał, jakby sprawdzał brzmienie słów w obcym języku. - Moją żonę.

Jej twarz złagodniała. Nagle, nie wiedząc dlaczego, wybuchnęła płaczem.

- Moją żonę - powtórzył Toby, wstając i powoli idąc w jej stronę.

- Przepraszam - powiedziała przez łzy.

- Ja też przepraszam - powiedział Toby, obejmując ją.

Nie odtrąciła go.

Wierzcie mi, odtąd zawsze kiedy przez moje skrzydła przychodziły jakiekolwiek wiadomości, słuchałam i postępowałam zgodnie z instrukcjami. Nie pytałam więcej, kto, co, gdzie ani dlaczego. Po prostu nie miało znaczenia, czy te wiadomości pochodzą od Boga, innego anioła czy mojego sumienia. Liczyło się to, że gdybym wtedy posłuchała, gdybym powstrzymała Margot przed wejściem do tamtego autobusu, góra lodowa, która prawie zatopiła ich małżeństwo, być może dałaby się ominąć.

Widziałam też, że nie tylko ich małżeństwo odniosło rany. Toby był teraz innym człowiekiem. Jego oczy wypełniał smutek, którego wcześniej w nich nie było. Zaczął dolewać whisky do kawy. Najpierw kroplę, potem kieliszek. Patrzył na inne kobiety i myślał: „A jeśli? A jeśli ożeniłem się z niewłaściwą kobietą?”.

To było nie do zniesienia. Wspomnienia naszego rozstania napłynęły falami, z całą siłą niechęci i zdrady, które mu towarzyszyły. I pomyślałam, że to ja byłam wszystkiemu winna. To ja sprawiłam, że mnie zdradził.

A jednak nad tą kwestią wciąż wisiał znak zapytania, jak miecz Damoklesa. Nigdy właściwie go na tym nie przyłapałam. W rzeczywistości większość powodów, dla których wierzyłam w jego zdradę, rozwiązała się w nicość. Mimo braku dowodów nie ulegało dla mnie wątpliwości, że spał z Sonyą. A ja gardziłam nim za to.

Niedługo po pierwszych urodzinach Theo radość Margot i Toby'ego obserwujących pierwsze kroki synka przyćmiła świadomość tego, że ich pucołowaty chłopczyk potrafi otworzyć okno w salonie, które znajduje się cztery piętra nad betonowym chodnikiem. To wpłynęło na ich decyzję o przeprowadzce do nowego mieszkania w West Village, położonego niedaleko poddasza, na którym mieszkał kiedyś Toby, jednak pięciokrotnie od niego większego. Czek opiewający na przyzwoitą sumę za tantiemy z książki Toby'ego umożliwił opłacenie mieszkania będącego spełnieniem marzeń Margot o wygodzie i bezpieczeństwie: metalowe łóżko, liczne kanapy, pierwszy telewizor i wreszcie telefon. Zupełnie jakby ktoś rozciągnął gigantyczną siatkę, chroniącą Margot przed upadkiem. Wreszcie czuła się bezpieczna. I szczęśliwa.

A z nią reszta rodziny. Jamesowi i mnie udało się nawet puścić w niepamięć nasz mały spór o władzę. Gaja, James i ja stworzyliśmy własną małą rodzinę aniołów dogladającą Margot, Toby'ego i Theo, którzy powoli, lecz zdecydowanie oddalali się od cmentarzyska przeszłości w kierunku bardziej obiecującej, mniej destrukcyjnej przyszłości. Toby spędzał wieczory na pisaniu nowej książki, a Margot poddawała krytyce i redagowała jego brudnopisy. W ciągu dnia zabierali Theo do parku, uczyli go nazw zwierząt w zoo i przytulali mocno, gdy bał się policyjnych syren, odgłosów strzelaniny czy kłótni za ścianą.

Wreszcie Toby'emu udało się przekonać Margot do odnowienia jej zaniedbanej przyjaźni z Sonyą.

- Nie ma mowy - sprzeciwiała się. - Zwariowałeś? Po tym jak wyrzuciła nas ze swojego mieszkania na bruk?

Toby rozważał przypomnienie jej o skradzionym medalionie Sonyi, ale ugryzł się w język.

- W porządku - powiedział. - Tylko że... Nie mogę patrzeć, jak siedzisz sama. Matki potrzebują wsparcia innych kobiet - znowu oglądał Oprah. Westchnął. - Po prostu mam wrażenie, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś miała jakieś kobiece towarzystwo. A ty i Son byłyście jak...

- Jak co?

- ...no, siostry. Byłyście jak siostry - skrzyżował środkowy palec ze wskazującym. - Byłyście sobie bliskie, prawda?

Tak, pomyślałam. Byłyśmy. Dawno temu.

Margot nalegała, żeby to Toby zadzwonił do Sonyi. Kiedy się upewniła, że Sonya jej nie odrzuci, wzięła słuchawkę z ręki Toby'ego. Wreszcie, powtarzając za Tobym, który wymawiał bezgłośnie te słowa, stojąc w drugim końcu pokoju, udało jej się powiedzieć:

- Może wpadłabyś na kolację? - chociaż zabrzmiało to jak zdanie twierdzące, a nie pytanie.

Nie znośła prosić.

Ja również nie byłam całkowicie przekonana do tego pomysłu. Moje podejrzenia nie zmniejszyły się ani trochę. Ale nic nie robiłam. Patrzyłam, jak we troje spędzają miły wieczór rozłożeni na nowych skórzanych kanapach, opijając sukces Toby'ego, podczas gdy Theo, teraz już czteroletni, smacznie spał. I czekałam.

Sonya przez ostatnich kilka lat mieszkała w Paryżu. Szczuplejsza, wyższa w swoich butach na piętnastocentymetrowym koturnie, przyprawiała konwersację francuskimi słówkami, nazwiskami znanych osobistości i sławnych fotografów. Margot wierciła się na kanapie. Popatrzyła na swój sfatygowany sweter z dziurami pod pachami, kupiony na pchlim targu, dzinsy, które zaczynały przecierać się na kolanach. Potem spojrzała na długonogą Sonyę pławiącą się w paryskiej ekstrawagancji. „Jest taka piękna”, pomyślała Margot. Daj spokój, mówiłam jej. Jest samotna i ma bulimię. Margot jednak nie słuchała mnie. „Dlaczego nie mogłam być taka jak ona? Może Toby byłby z nią szczęśliwszy niż ze mną”. I po raz pierwszy to zrozumiałam - jak anorektyczka, która patrzy na zdjęcia swojej szkieletowatej sylwetki i wreszcie mówi: „No, rzeczywiście, tak naprawdę n i e b y ł a m gruba”. Pomyślałam: Tak. Teraz rozumiem. To nie dlatego, że Toby mnie nie kochał. To ja nie kochałam siebie.

Toby cię kocha, mówiłam jej. Ale gdy Margot patrzyła, jak Sonya kieruje do Toby'ego nużące opisy artystycznego świata Montmartreu, od czasu do czasu sięgając nogawki jego spodni, aby strzepnąć z niej niewidzialny pyłek, ogarniało ją coraz większe

przygnębiecie i poczucie klęski. Wreszcie Sonya złapała rękę Toby'ego i zaczęła nią potrząsać.

- Obiecuj, że przyjedziesz odwiedzić mnie w Paryżu, Tobes, proszę!

Gaja usiłowała zwrócić uwagę Toby'ego na wyraz twarzy Margot. Minął jakiś czas, odkąd jednym ciągiem wypił cztery szklaneczki ginu z tonikiem. W efekcie nachylał się coraz bardziej ku Sonyi, zgadzając się przyjechać do Paryża, a potem, na domiar złego, zaczęli opowiadać sobie dowcipy z czasów, w których Margot nie znała Toby'ego. W końcu Gai udało się przebić błonę ograniczającą jasność umysłu Toby'ego i ruszyć jego sumienie. Zerknął na Margot i cofnął rękę.

- Kochanie, dobrze się czujesz? - zapytał miękko.

Z obrzydzeniem odwróciła wzrok. W tej samej chwili w sypialni Theo rozległ się wrzask.

- Pójdę tam - powiedziała Margot i wyszła z pokoju.

Toby nie był aż tak pijany, żeby zignorować nastrój Margot. Odwrócił się do Sonyi i zaczął dokładnie oglądać swój zegarek, trzymając go przed samym nosem.

- Hej, Son, świetnie było cię widzieć, ale robi się trochę późno...

Sonya obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem i opróżniła swoją szklanekę. Nachyliła się ku niemu powolutku, patrząc mu w oczy.

- Mówiłeś Margot o naszej rozmowie w barze?

Margot dosłyszała z przedpokoju swoje imię wymówione szeptem. Zastygła w bezruchu, zamieniając się w słuch.

Sonya zdjęła z kanapy swoje długie nogi i przysunęła się bliżej.

- Nie - odparł Toby. - Dlaczego pytasz?

Sonya wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Hej, jesteś żonaty, nie mówię ci, co masz robić. Tylko że... - zerknęła w kierunku drzwi.

- Co?

Szerszy uśmiech.

- Zastanawiałam się, czyj to był pomysł, żeby zaprosić mnie na kolację. Twój czy jej? Pamiętałam to zdanie, było wyryte w mojej pamięci. Margot, która słuchała za drzwiami, pozwoliła, aby ukryte za tymi słowami pytania podsyciły jej podejrzenia.

Toby zamrugał oczami niepewny, do czego Sonya zmierza.

- Chyba mój.

Sonya pokiwała głową.

- A czy mogę spytać, co jeszcze ci chodzi po głowie?

Patrzyłam, jak przesuwa ręką po nodze Toby'ego i zatrzymuje ją tuż poniżej krocza, a potem chichocze. Toby położył dłoń na jej ręce i uściśnił ją.

- Son - powiedział. - Co ty robisz?

Margot słyszała nutę flirtu w głosie Sonyi. Położyła rękę na klamce.

Sonya rozsiadła się z powrotem na kanapie.

- A jak ci się wydaje, co robię, Toby? Czy nie tego właśnie chcesz?

Oddychałam tak szybko, że o mało nie zemdlalam. Gaja stała obok mnie, powtarzając: „Patrz, patrz”. Odpowiedziałam, że nie mogę. Margot czuła się tak samo jak ja. Jedna jej połowa chciała wybuchnąć, a druga uciec.

Zatem to ja patrzyłam. Toby, zwykle taki wygadany, jękał się bez ładu i składu.

- Czy to miało znaczyć „tak”? - Sonya zaczęła mówić za niego.

Pociągnęła rękę Toby'ego w stronę swojego uda. Wyrwał ją.

Nagle całkowicie wytrzeźwiał.

- Son, przestań - wyprostował się, kręcąc głową.

Gaja popatrzyła na mnie bardzo poważnie. Nie spał z nią?, pomyślałam. N i e?

Sonya beztrząsco rozparła się na kanapie, zakładając nogę na nogę i bawiąc się fałdami sukienki.

- Powiedz mi jedno - poprosiła bardzo poważnym tonem. Toby podniósł wzrok. - Wtedy kiedy powiedziałeś, że mnie kochasz... mówiłeś poważnie?

Zobaczyłam, że Margot w przedpokoju podnosi rękę do ust. Patrzyłam uważnie.

- To było tyle lat temu... - Toby mamrotał, zerkając na swoje stopy.

- Mówiłeś prawdę? - Sonya była uparta.

A nawet zdesperowana. Z kryjówki w kącie wyłonił się Ezechiel i położył rękę na jej ramieniu. W jej pytaniu brzmiała bezbronność i ból, którego korzenie sięgały gdzieś daleko poza jej relację z Tobym.

Podniósł wzrok.

- Tak.

Zerwała się z kanapy, zarzuciła prawą nogę na Toby'ego i usiadła na nim okrakiem, a potem nachyliła się, żeby go pocałować.

No i to była właśnie ta chwila, w której Margot weszła do pokoju.

Chwila, w której rozpętało się piekło.

Chwila, w której skończyło się moje małżeństwo.

*

Margot kazała mu się spakować z samego rana. Jej uczucia utworzyły fortecę, o którą roztrzaskiwały się wszystkie moje błagania i wyjaśnienia Toby'ego. Zabrał więc ubranie na zmianę i przeniósł się do kolegi. Miesiąc później kolega przeprowadził się na północ stanu, a Toby wynajął jego mieszkanie. Margot była oziębiała. A ja załamana. Po sześciu miesiącach Margot wystąpiła o separację. W dniu, w którym przyszedł pozew, Toby zerwał ze ściany lustro i roztrzaskał je, tworząc na podłodze mozaikę frustracji. W każdym z kawałeczków pojawiła się moja twarz, ale tylko na ułamek sekundy, potem rozplynęła się w nicość w jego łzach.

W moim sercu, złamanym z powodu ich separacji, wkrótce zapanowała całkowita rozpacz, kiedy przypominałam sobie swoje życie przed samą śmiercią. Jej okoliczności nadal pozostawały dla mnie niewyjaśnione: jednego dnia żyłam, następnego spoglądałam już na swoje martwe ciało, gawędząc przy okazji z Nan w zaświatach. Ale moje wspomnienia z okresu poprzedzającego śmierć pozostały przejrzyste jak woda źródłana: Theo trafił do więzienia. Dostał dożywocie. I gdzieś w głębi ducha czułam, że to ja jestem temu winna.

Wkrótce pojawił się Grogor. Na swoje gościnne występy wybrał sypialnię Theo - co uznałam za ukrytą groźbę - powodując, że Theo zaczął krzyczeć przez sen. To zaabsorbowało Margot na tak długo, że Grogor mógł uciąć sobie ze mną pogawędkę.

Nie wiem i nie chcę wiedzieć dlaczego, ale Grogor nie był już tym płonącym potworem o cuchnącej twarzy, którego spotkałam po raz pierwszy. Był nadzwyczaj podobny do człowieka. Wysoki, z szeroką żuchwą i czarnych jak atrament włosach zaczesanych na uszy - o takim mężczyźnie kiedyś powiedziałabym, że jest w moim typie. Miał nawet świeży zarost i złamaną jedynekę. Wszystko to było tak ludzkie, że uspiło moją czujność.

- Przychodzę w pokojowych zamiarach - powiedział z uśmiechem, trzymając ręce w górze.

- Wynoś się, Grogor - warknęłam, podnosząc dłoń pełną światła.

Nie zapomniałam naszego ostatniego tanga.

- Proszę, nie - powiedział, składając ręce w geście skruchy. - Przyszedłem przeprosić. Szczerze.

Wystrzeliłam promień światła, który powalił go z siłą pędzącego samochodu. Po twardym lądowaniu na komodzie przychodził do siebie, krztusząc się, na czworakach.

- Jeżeli się nie wyniesiesz, zabiję cię - ostrzegłam.

- Zabijesz mnie? - zachichotał, usiłując stanąć na nogi. - Chciałbym to zobaczyć.

- Nie ma sprawy - odparłam, wzruszając ramionami. - Wystarczy mi, jak rozwalę cię na kawałki.

Uniosłam kolejną, mniejszą kulę światła i wycelowałam w jego nogi.

- Nie! - zawołał, przykucając lekko.

Przekrzywiłam głowę. Grogor podniósł rękę.

- Jestem wspaniałomyślny i mam dla ciebie bardzo ciekawą propozycję. Wysłuchaj mnie.

- Masz dziesięć sekund.

Wyprostował się i obciągnął marynarkę, opanowując się.

- Wiem, że chcesz zmieniać bieg rzeczy. Wiem, że Margot dokłada wszelkich starań, żeby spieprzyć swoje skądinąd cudowne życie; życie, z którego ty chciałabyś przynajmniej zachować jakieś dobre wspomnienia; życie, które mogłoby posłużyć do przygotowania lepszej przyszłości dla Theo...

Zwróciłam się w jego stronę. Moje skrzydła zaczęły przesyłać wiadomości, szybkie i pełne złości. *Wyrzuć go natychmiast. Owija kłamstwa w prawdę. Wyrzuć go.*

- Wynoś się Grogor, zanim dam ci się poznać od najgorszej strony.

Uśmiechnął się.

- Zrozumiałem - podszedł do okna i odwrócił się do mnie. - Gdybyś zmieniła zdanie, zapewniam cię, że jest sposób. Możesz odmienić los Theo.

To mówiąc, zniknął.

Theo natychmiast się uspokoił. Margot pogłaskała go po buzi, a on z powrotem odpłynął w sen. Jego twarz była spokojna jak poranna mgła. Margot usiadła przy nim, odpychając od siebie myśli o Tobym. Popatrzyłam na nią i pomyślałam, że wciąż mogę zmienić bieg rzeczy. Wciąż mogę je naprawiać.

A przecież wszyscy wiemy, do czego doprowadziło zwątpienie.

Rozdział 21

PODEJRZANI

Kiedy Nan zjawiała się z kolejną wizytą, zadałam jej pytanie, które od spotkania z Grogorem nie dawało mi spokoju.

- Co by się stało, gdybym zmieniła zakończenie życia Margot?

Siedziałyśmy na dachu mieszkania Margot, spoglądając w dół na kwadraty pomarańczowego światła błyskające z okien domów w całym mieście i pojawiające się na ich tle, jak owady zatopione w bursztynie, plamy ludzi: obejmujących się, toczących z sobą kłótnie, samotnych.

Dłuższą chwilę nie odpowiadała. A potem dostałam burę.

- Dobrze wiesz, że nie jesteśmy tu po to, żeby ponownie zorkiestrować symfonię. Naszym zadaniem jest dopilnować, żeby symfonia została zagrana w taki sposób, w jaki chciał tego kompozytor.

Zawsze męczyły mnie te jej metafory.

- Przecież mówiłaś mi, że mogę odrobinę pozmienić ułożenie fragmentów układanki, prawda? A gdybym tak zmieniła cały obrazek? Gdybym sprawiła, że będzie piękniejszy?

- Kto u ciebie był?

Czy ona zawsze musi być taka mądra?

- Grogor - przyznałam się.

Skrzywiła się.

- Demon, który zabił twoją mamusię?

- Mówiłaś, że mamusię zabiło poczucie winy.

- Czy Grogor wspomniał, jakim kosztem można zmienić tę układankę, co?

- Nie.

Wzniosła rękę do góry.

- Zawsze jest jakaś cena. Oto, dlaczego my nie zmieniamy biegu rzeczy w sposób przekraczający dane nam instrukcje: samolot prowadzi pilot, nie pasażerowie. Ale to już przecież wiesz. Prawda?

Pokiwałam pospiesznie głową.

- Dobrze już, dobrze. Tylko pytałam.

- My mamy cztery zadania. Obserwujemy, chronimy, rejestrujemy...

- ...kochamy - dokończyłam za nią zdanie.

Tak, wiedziałam to wszystko.

- Z czystej ciekawości - powiedziałam po odpowiedniej przerwie. - Jaki jest ten koszt?

Jej oczy się zwężyły.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

Wyjaśniłam najlepiej, jak potrafiłam komuś, kto nie znajdował się w doprowadzającej do szaleństwa sytuacji bycia własnym Aniołem Stróżem, kogo ominęła konieczność znoszenia najbardziej rozdzierającego serce rodzaju żalu - że po prostu są w mojej przeszłości rzeczy, które chciałabym móc zrobić odrobinę lepiej. I że tak dużo więcej chciałam dla Theo. O wiele więcej niż dożywocie za morderstwo.

- Pytasz o cenę - powiedziała, wyciągając otwartą dłoń. - W tej chwili masz szansę pójść do nieba, masz ją w garści. Aniołowie nie są jedynie służącymi. Otrzymujemy zadanie do wypełnienia, aby udowodnić, że zasłużyliśmy na niebo, ponieważ większość z nas nie wykonała wystarczająco dużo odpowiedniej pracy w swoim śmiertelnym życiu. Koszt jest taki - uderzyła drugą ręką o dłoń, którą trzymała przed sobą. - Kiedy przestaniesz być aniołem, nie zobaczysz nieba.

Zaczęłam płakać. Powiedziałam jej, że kocham Toby'ego, a Margot właśnie stara się o rozwód. Co sprawia, że pogodzenie się z Tobym staje się coraz mniej prawdopodobne.

Westchnęła.

- Kiedyś byłam w sytuacji, w której teraz jesteś. Zadawałam pytania, miałam poczucie żalu, straty. Zobaczysz Boga. Zobaczysz niebo. A w niebie jest tylko radość. Pamiętaj o tym.

Ale zawsze gdy widziałam tęsknotę i ból w oczach Toby'ego, kiedy przyjeżdżał po Theo, zawsze kiedy obserwowałam sny Margot o jej życiu z Tobym, patrzyłam na jej płacz i coraz większą nienawiść z powodu zdrady Toby'ego, słowa Grogora dzwoniły mi w uszach, a wyzierające zza nich kłamstwa kurczyły się do nieistotnych rozmiarów.

*

Czy kiedykolwiek rozpoznajemy chwile, które pełnią w naszym życiu funkcję foremek do wykrawania ciastek, chwile, które nadają mu określony kształt? Czy kiedykolwiek potrafilibyśmy je dostrzec, jeśli byśmy mogli się cofnąć na naszej drodze i ulżyć naszemu życiu? Nawet wtedy gdybyśmy poustawiali wszystkie te chwile, które zawiniły, jak rząd podejrzanych - czy potrafilibyśmy wskazać palcem te właściwe? *Tak, panie inspektorze, to ten z tą kąśliwą uwagą. Tak jest, to on - ten podobny do mojego ojca. Oczywiście, że rozpoznaję tamtego - tego, który zepchnął mnie na margines.*

Nie zaprzestałam prób rozpoznania przełomowych momentów w moim życiu. Margot była tym, kim była, a jedyne, co ja mogłam zrobić, to wywiązać się z powierzonego mi zadania. Próbowałam uporać się z ostatnią, ale najważniejszą częścią mojej pracy: pokochaniem jej. Zdecydowanie mi tego nie ułatwiała. Na przykład taka sytuacja:

Margot szykuje się do pracy. Ma też nieodpartą ochotę na drinka. Znajduje butelkę za kominkiem i ciska nią o ścianę. Butelka jest pusta. Szkło rozpryskuje się wszędzie. Theo się budzi. Jest już spóźniony do szkoły. Ma siedem lat. Ma spokojne oczy swojego ojca i rude włosy. Temperament odziedziczył po Margot: jest szybki jak chart pod względem wpadania w złość i równie szybki, jeśli chodzi o miłość. Uwielbia swojego ojca. Usiłuje pisać historyjki, takie, jakie pisze tata, lecz przeszkadza mu w tym dysgrafia. Litery, które stawia, wyglądają jak odbite w lustrze. To go doprowadza do szału, tak samo jak jego dziwaczna ortografia.

Margot wrzeszczy na Theo, żeby wstawał. To ona zapomniała go wcześniej obudzić, jednak już o tym nie pamięta, a on stara się wygrzebać z pościeli i dotrzeć do łazienki. Próbuje zrobić siusiu, ale kiedy właśnie ma zacząć, Margot odpycha go, żeby zajrzeć za rezerwuar. On krzyczy. Ona krzyczy na niego. Ją potwornie boli głowa, a przez niego jest jeszcze gorzej. „Przez ciebie jest jeszcze gorzej”, mówi mu. Jak zwykle. „O co ci chodzi? - wrzeszczy on. - To ty masz problem z alkoholem”. Ona odpowiada na jego pytanie. „O co mi chodzi? Chodzi mi o to, że moje życie byłoby lepsze, gdyby ciebie w nim nie było. Moje życie byłoby lepsze, gdybyś nigdy się nie urodził”. „Świetnie - mówi on. - Będę mieszkał z tatą”. Ubiera się do szkoły i trzaska drzwiami, a po szkole wraca do domu, w którym nikt się do nikogo nie odzywa.

Dla Theo przełomowym momentem nie był ten, w którym Margot oznajmiła mu, że chciałaby, by nigdy się nie urodził. Słyszał już to od jakiegoś czasu. Nie. Przełomowy moment dla Theo nastąpił nieco później, ale tym, co zaczęło go do niego zbliżać, był widok Margot rozpaczliwie szukającej wódki. Chociaż uważał, że jego mama jest pijaczką, że ma świra, i nie rozumiał, co właściwie tacie strzeliło do głowy, że się z nią ożenił - mimo to zadawał sobie pytanie: „Co w tym takiego jest, że ona tego szuka jak eliksiru młodości?”

Pytanie wymusiło odpowiedź, która padła, kiedy miał dziesięć lat i znalazła się przed nim otwarta butelka Jacka Danielsa: „Jasne”.

Wraz z odpowiedzią pojawiły się też konsekwencje. Upicie się do nieprzytomności. A po pijanemu - bójka z młodszym dzieckiem. Dzieckiem, które miało nóż. Nóż, który trafił jakoś do ręki Theo. Nóż, który wylądował w brzuchu młodszego dziecka.

Dlatego Nowojorski Departament do spraw Przystępczości Nieletnich uznał, że Theo musi spędzić miesiąc w izbie zatrzymań z innymi młodocianymi przestępcami. Młodocianymi przestępcami, którzy mieli już na swym koncie gwałty i ciężkie uszkodzenia ciała, a dokonywali ich również na współwięźniach. Theo był jednym z nich.

Dowiedziałam się tego od Jamesa. Kiedy miesiąc później razem z Theo wrócił do domu, jego twarz wyglądała jak skamieniałe drewno, a ze skrzydeł płynęła mu krew. Kiedy zobaczyłam Theo, płakałam razem z Jamesem. Brązową połyskującą aurę chłopca otaczała teraz postrzępiona skorupa bólu, ciężka jak ołów, tak że Theo wydawał się przygarbiony pod jej ciężarem. Gdy przyjrzałam się jej bliżej, dostrzegłam dziwne macki wysuwające się z tej powłoki i próbujące sięgnąć do wnętrza Theo. Przecinały jego aurę i docierały do samego serca. Wyglądało to jak sztywny spadochron owinięty wokół niego, przypięty do jego duszy. Była to najgorsza emocjonalna forteca, jaką którekolwiek z nas widziało - Theo zrobił z siebie więźnia własnego bólu.

Całymi dniami nie odzywał się do Margot ani Toby'ego. Postawił torbę w pokoju, a potem wygrzebał noże do mięsa z tylnej części kuchennej szuflady i ukrył je pod swoim łóżkiem. Kiedy zadzwonił szkolny psycholog, Theo zagroził, że wyskoczy z okna, jeżeli psycholog spróbuje z nim rozmawiać.

Tamtej nocy obserwowałam koszmary senne Theo, które wypełniały jego sypialnię. Świeże wspomnienia jego oprawców z izby zatrzymań. Dwaj chłopcy uderzają go w brzuch kastetem przeschumowanym przez jakiegoś odwiedzającego. Inny starszy chłopiec trzyma jego głowę pod wodą, aż Theo traci przytomność. Ten sam chłopiec przyciska w nocy poduszkę do jego twarzy. Ten sam chłopiec go gwałci.

I jakby tego nie było dość, równoległe światy, które wzniosły się wśród stłoczonych koszmarów, ukazały mi sceny z życia Theo już jako dorosłego człowieka, z ciałem pokrytym tatuażami i nadgarstkami noszącymi ślady wielokrotnych prób samobójczych. Najpierw poczułam ulgę, widząc, że nie jest już w więzieniu. Ale potem patrzyłam, jak wkłada broń za pasek spodni, jak otwiera bagażnik samochodu i pomaga innemu mężczyźnie wyciągnąć z niego worek z ciałem. Worek zaczyna się poruszać, a Theo wyciąga pistolet i strzela w niego cztery razy.

Zbroja, którą wytworzył, nie była już jego drugą skórą: zmieniła go w żywą broń.

Co wy byście zrobili? Czy cena miałaby dla was znaczenie?

W nocy wyszłam z mieszkania, wdrapałam się na dach budynku i zawołałam Grogora.

W ciemnościach natychmiast pojawiła się para stóp. Zrobił krok do przodu. Miał poważną twarz, a jego przenikliwe oczy przypominały ostrze włóczni.

- Powiedz dlaczego.

- Co dlaczego?

- Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Patrzyłam na niego.

- Muszę znowu stać się Margot, tylko na tak długo, jak to będzie potrzebne, żeby wszystko naprawić. Podaj mi cenę.

- Cenę? Czy ja wyglądam na sprzedawcę?

- Wiesz, o czym mówię.

Przysunął się bliżej, tak blisko, że mogłam dostrzec żyły na jego szyi i kurze łapki zmarszczek od śmiechu rozchodzące się promieniście z kącików jego oczu. Był tak podobny do człowieka.

- Myślę, że słowo, którego ci brakuje, to „okazja”. Aby stać się śmiertelnikiem na tak długo, żeby zrobić to, co musi być zrobione, będziesz musiała to zatkać. - Wskazał na moje skrzydła.

- A jak to się robi?

Położył rękę na piersi i skłonił się nisko.

- Będę głęboko zaszczycony. Trzeba je zapieczętować albo, innymi słowy, odciąć je zaporą od rzeki wieczności, która płynie przed tronem Boga, tak żeby Bóg nie widział, co zamierzasz zrobić. W ten właśnie sposób stworzysz sobie okazję, żeby zmienić to, co musi być zmienione. Rozumiesz?

- Dalej, Grogor. Co jeszcze?

Udał zakłopotanie. Utkwiłam wzrok w jednym punkcie. Przerwał moją zadumę i wzruszył ramionami.

- Bywa różnie. Istnieje ryzyko.

- Jakie to ryzyko?

Umilkł.

- Jak myślisz, co Bóg pomyślałby sobie o jednym ze swoich aniołów, który postępuje wbrew zasadom?

- Mogę nigdy nie trafić do nieba.

Bardzo powoli zaczął bić mi brawo.

- Możesz nigdy nie trafić do nieba.

Ale to samo odnosiło się do Theo.

Myślicie, że się wahałam?

Rozdział 22

SIEDEM DNI

I tak oto, zupełnie jak Kopciuszek, który zrzucił łańchmany, żeby założyć balową suknię, ja zrzuciłam swoją niebieską szatę, żeby znowu zanurzyć się w czas.

Pozwoliłam, żeby Grogor nałożył na każde moje skrzydło po garści gorącej smoły z czeluści piekieł, a kiedy woda przestała nimi płynąć, i zaczęłam czuć, krzyczałam z bólu, poparzona gorącą smołą, drżałam z zimna, stojąc boso na wilgotnych kafelkach w łazience, a potem zataczałam się przytłoczona ciężarem własnego ciała, jakby z dużej wysokości spadł na mnie słoń.

Nie miałam tyle wdzięku co Kopciuszek. Ale zostawiłam za sobą atlasowy pantofelek.

Gdy tylko zdjęłam swoją błękitną suknię, skurczyła się do maleńkiego szmaragdowego klejnotu. Schowałam go w komodzie Margot. Byłam teraz szpiegiem w świecie ludzi. Musiałam zatrzeć wszelkie ślady tego, co zrobiłam, dopóki nie zakończę pomyślnie zadania, które przybyłam wypełnić. A było nim odbudowanie mojej więzi z Theo, uleczenie jego ran. Może z mojej strony była to arogancja. Wierzyłam jednak, że choć bardzo źle wypadłam w pierwszej rundzie, powtórna szansa zostania jego mamą pozwoli mi użyć balsamu matczynej miłości, który ukoji jego ból. I że jakimś sposobem zdołam przygotować długoterminowy plan na przyszłość, uświadamiając Margot, jak bardzo Theo jej potrzebuje, i że to wystarczy, aby poznała jego wrażliwość i cierpienie.

Starannie wybrałam porę. Patrzyłam, jak prawnik Margot wyjaśnia jej, że aby przekonać sąd, iż jest dobrą matką, musi pomyślnie przejść czterotygodniowe leczenie odwykowe. Było to konieczne, by wykazać, że zasługuje na wyłączną opiekę nad dzieckiem albo, w najgorszym razie, choćby częściową. „Nie ma sprawy”, odparła, choć wcale nie była przekonana, że chce jednego albo drugiego. Wiedziała tylko, że chce coś wygrać, cokolwiek, żeby udowodnić, że nie straciła absolutnie wszystkiego.

Kiedy Margot zgłosiła się do Riverstone, ekskluzywnej kliniki odwykowej niedaleko Hamptons, ja znalazłam się sama w jej mieszkaniu, przeglądając jej ubrania w szafie, pijąc jej mleko, zajmując jej przestrzeń życiową. Theo był u Toby'ego tuż za rogiem. Spędziłam ten pierwszy dzień, zachwycając się dotykiem własnej skóry, włosów, uczuciem ciepła i zimna, dźwiękiem, który wydawała moja dłoń, kiedy uderzałam nią o stół, smakiem pizzy. Kiedy

kroiłam trzydziestopięciocentymetrową podwójną pepperoni na grubym cieście, z zapieczonym żółtym serem i dodatkową mozzarellą, skaleczyłam sobie nożem opuszek kciuka. Przez chwilę pomyślałam o wierszu Plath: „Mały pielgrzymie, Indianin obcina twój skalp”². W miejscu skaleczenia nabrzmiała kropla krwi i spłynęła nagle w dół mojego ramienia jak czerwony atrament, a ja prawie zapomniałam, co się robi w takiej sytuacji. Gdy spostrzegłam stojący na stole wazon ze słonecznikami, włożyłam do wody pulsującą i palącą z bólu rękę aż po łokieć.

Wszystko wokół było takie nieprzeniknione. Gdy patrzyłam na stół, nie mogłam już zobaczyć tego, co znajduje się pod nim albo w sąsiednim pokoju, nie widziałam śladów ludzi, którzy przy nim kiedyś siedzieli, ani drewnianych słojów pod warstwą lakieru. Nie mogłam obserwować czasu roztańczonego jak burza piaskowa fal i cząstek. Jeśli ktoś widziałby mnie tamtego wieczoru, na pewno zadzwoniłby po psychiatrę. Spędziłam mnóstwo czasu, sunąc pomalutku wzdłuż ściany z policzkiem przyciśniętym do jej powierzchni, zadziwiona nagłą, znajomą materialnością tego świata, pukając w cegły, przypominając sobie dawne złudzenie, że śmiertelne życie pełne jest ograniczeń, że nieustannie musimy godzić się z tym, co niesie los.

Być może największą z moich zbrodni było porzucenie Margot, pozostawienie jej bez ochrony wtedy, gdy najbardziej mnie potrzebowała. Niechętnie wezwałam Nan. Wiedziałam, co mnie czeka.

Usłyszałam głos, który brzmiał tak, jakby dochodził z bardzo daleka, jakby moja rozmówczyni stała na końcu długiego korytarza.

- Czy rozumiesz, co zrobiłaś?

Obejrzałam się.

- Gdzie jesteś?

- Przy stole.

Rozejrzałam się.

- Dlaczego cię nie widzę?

- Bo zawarłaś pakt z demonem. Pakt, który może kosztować cię bardzo dużo i nie przynieść niczego.

Jej głos drżał szarpany emocjami. Skierowałam się w stronę stołu. Wreszcie ją zobaczyłam - była snopem księżycowego światła za wazonem ze słonecznikami.

² Sylvia Plath, *Cięcie*, tłum. M. Kafel.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz, Nan - westchnęłam. - To nie jest na zawsze. Mam siedem dni na znalezienie sposobu, żeby naprawić to, co już się stało.

- Możesz nie mieć nawet siedmiu godzin - odparła.

- Co takiego?

Księżycowe światło zamigotało, kiedy wydała z siebie długie westchnienie.

- Jesteś bezbronna jak papierowa łódka podczas uderzenia tsunami. Czy wiesz, jaki łatwy cel stanowisz teraz dla demonów? Nie posiadasz właściwej aniołom umiejętności walki z demonami ani ludzkiej, danej przez Boga ochrony przed nimi, ponieważ w tej chwili nie jesteś ani jednym, ani drugim. Jesteś marionetką w rękach Grogora. On nie będzie czekał, żeby się przekonać, czy Bóg wyśle cię do piekła, czy nie. Sam zadba o to, żebyś tam trafiła.

Jej słowa mną wstrząsnęły. Ich prawdziwość spowodowała, że zmiękły mi kolana.

- Pomóż mi - wyszeptałam.

Wyciągnęła rękę i uścisnęła moją dłoń. Jej skóra, zawsze ciemna i pobrużdżona, teraz migotała wokół mojej w gęstej mgle.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy.

I znowu zostawiła mnie samą, a ja bezsilnie spoglądałam przez okno na miasto, tęskniąc za obecnością archaniołów.

*

Spałam do późna, potem spadłam z łóżka na drewnianą podłogę, poparzyłam się pod prysznicem, ponieważ zapomniałam, że czerwony kolor oznacza ciepłą, a niebieski zimną wodę. Ubrałam dzinsy Margot i czarną koszulę i grzebałam w jej rzeczach, szukając kosmetyków do makijażu. Spojrzałam w lustro: wyglądałam młodziej niż Margot w chwili obecnej, byłam trochę szczuplejsza, trochę zdrowsza. Miałam dłuższe, ciemniejsze włosy, jaśniejsze i niestety szersze brwi niż ona. Znalazłam jakąś szminke, pęsetę, wylałam na głowę butelkę utleniacza do włosów, trzymając kciuki, żeby się udało. Potem w ruch poszły nożyczki. Zanim skończyłam, zapomniałam już zupełnie o zagrażających mi demonach zdeterminowana, żeby zrealizować swój plan.

Wyszłam na poranny chłód Manhattanu, zamierzając pojechać autobusem do szkoły Theo, ale gdy poczułam podmuch wiatru na twarzy, sprawiło mi to taką przyjemność, że przeszłam piechotą całe trzydzieści przecznic. Mijająca mnie kobieta powiedziała „dzień dobry”, a ja odparłam: Och, rzeczywiście dobry. Potem jakiś bezdomny poprosił o drobne, więc zatrzymałam się, żeby powiedzieć mu, jakie szczęście go spotkało, że żyje, a on gapił się na mnie jeszcze dłuższą chwilę, kiedy się oddalałam. Śmiałam się na głos i upajałam tym, że mogę rozmawiać z ludźmi, a oni słuchają mnie i odpowiadają.

Kiedy znalazłam się w okolicy szkoły Theo, zwolniłam tempo. Musiałam dokładnie przemyśleć następne ruchy. To nie był sen ani list, który mogłabym przepisać, ani występ, który można powtórzyć. Czułam, że teraz każde słowo, każdy mój czyn są jak wyryte w kamieniu. Nie, to było coś więcej, sprawa jeszcze większej wagi. Czułam, że ryję w kamieniu, w którym coś już zostało wyryte. I jeśli nie będę ostrożna, to kamień może pęknąć na pół.

Wymyśliłam, że poczekam na szkolny dzwonek, spotkam się z Theo przy bramie i zaproszę go na spacer. Ale co, jeśli przyjdzie Toby? Co, jeśli Theo zobaczy mnie i ucieknie? Postanowiłam wejść do szkoły i zabrać go z klasy. Jeśli nauczyciele każą mu iść ze mną, prawdopodobnie pójdzie. Aczkolwiek będzie marudził.

Zgłosiłam się na recepcji. Rozpoznałam Cassie, szkolną recepcjonistkę o grubych powiekach, i uśmiechnęłam się do niej. Nie odpowiedziała tym samym, choć pamiętałam, że nasze drogi kilka razy się już skrzyżowały. Zmierzyła mnie wzrokiem, wyduła wargi i zapytała:

- W czym mogę pomóc?

Nie mogłam powstrzymać chichotu. Wciąż zachwycało mnie to, że wszędzie wkoło ludzie do mnie mówią. Ona prawdopodobnie pomyślała, że jestem na haju.

- Hej, jak się pani miewa? Hm. Tak, jestem Ruth, nie, przepraszam. To nie tak. Jestem Margot. Margot Delacroix.

Gapiała się na mnie szeroko otwartymi oczami. No tak, poszło mi do dupy. Jestem Margot, Margot, Margot, powtarzałam sobie. A potem zdałam sobie sprawę, że mówię to głośno, a Cassie ma ze zdziwienia otwarte usta.

- Jestem mamą Theo Poslusny'ego - ciągnęłam bardzo powoli, jakby angielski nie był moim ojczystym językiem. - Muszę na chwilę zabrać go z klasy. Nagła sprawa rodzinna.

Zacisnęłam usta. Mówienie jest zbyt niebezpieczne, pomyślałam. Cassie podniosła słuchawkę i wybrała jakiś numer. Obstawiałam pięćdziesiąt procent szans, że dzwoni do szpitala psychiatrycznego, a pięćdziesiąt, że do wychowawczynie Theo.

- Uhm, tu recepcja, jest tu mama Theo Poslusny'ego. Chce z nim porozmawiać. Uhm. Obojętne.

Odłożyła słuchawkę, zamrugała, a potem powiedziała:

- Już idzie.

Zasalutowałam i strzeliłam obcasami. Przysięgam, jakbym miała zespół Tourette'a. Rozejrzałam się i gdy zauważyłam krzesło, podbiegłam do niego i usiadłam ze skrzyżowanymi nogami i założonymi rękami.

Wtedy pojawił się Theo. Theo z plecakiem przewieszonym przez ramię, w niebieskiej koszuli do połowy wystającej ze spodni, ze swoimi rudymi włosami wysmarowanymi brylantyną i kręcącymi się na karku jak płatki kwiatu. Theo z plamkami piegów swojego ojca, wciąż uroczym noskiem jak pieczarka, w ubłoconych, rozpadających się tenisówkach, z twarzą zmarszczoną zakłopotaniem, podejrzliwością i hardością.

No i owszem, wybuchnęłam płaczem. Opanowałam potrzebę padnięcia na kolana i błagania go o przebaczenie za wszystko, nawet za rzeczy, których jeszcze nie doświadczyłam. Stłumiłam falę poczucia winy, którą chciałam rozlać u jego stóp, i po prostu zmusiłam się, żeby powiedzieć: „Hej, Theo”, jakby te słowa nie pasowały mi do ust, jakby były zbyt duże, zbyt nabrzmiałe tęsknotą, latami czekania i wszechogarniającym pragnieniem w sercu, żeby go przytulić.

On tylko patrzył. Cassie przysłała mi na ratunek.

- Hej, Theo - powiedziała z uśmiechem. - Twoja mama mówi, że ma pilną sprawę rodzinną. Możecie spędzić razem tyle czasu, ile potrzebujecie. Bez pośpiechu. Wiesz, że w razie czego możesz na mnie liczyć, co stary?

Puściła oko.

Byłam jej wdzięczna za ten przerywnik. Zebrałam się w sobie i przełknęłam łzy. Theo, wciąż oszołomiony, pozwolił mi położyć rękę na swoim ramieniu i wyszedł ze mną na słońce.

Odezwał się dopiero kilka przecznic dalej.

- Czy tata nie żyje?

Na śmierć zapomniałam, że w szkole naplotłam bzdur o „nagłej sprawie rodzinnej”. Przystanąłam.

- Nie, nie, Tobie ma się dobrze. Chciałam tylko... żebyśmy spędzili razem trochę czasu, wiesz? Zabawili się.

Theo pokręcił głową i zaczął odchodzić. Pobiełam za nim.

- Theo, co się stało?

- Z a w s z e tak robisz.

Tak robię?

- Co? - zapytałam. - Co robię?

- Zostaw mnie w spokoju - powiedział, przyspieszając. - Wiedziałem, że kłamiesz. Czego ode mnie chcesz tym razem, co? Porwiesz mnie tylko po to, żeby wkurzyć tatę? Chcesz mnie ustawić przeciwko niemu, tak? No więc n i e u d a ci się.

Szedł dalej. Każde jego słowo było jak kopnięcie w klatkę piersiową. Stałam przez chwilę, wpatrując się w niego, a potem uspokoiłam się i popędziłam za nim ulicą.

- Theo, wysłuchaj mnie.

Przystanął i odetchnął głęboko, nie patrząc mi w oczy.

- Co by było, gdybym ci powiedziała, że możemy zrobić wszystko, co? Jakie marzenie chciałbyś spełnić? Czy jest coś, co chciałbyś zrobić najbardziej na świecie?

Podniósł głowę, żeby sprawdzić, czy mówię poważnie, a potem zastanowił się.

- Chciałbym sto dolarów.

Przemyślałam to.

- Załatwione. Co jeszcze?

- Nintendo. Z dziesięcioma gramami.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Chcę kostium Luke'a Skywalker'a z peleryną, butami i mieczem, ze wszystkim!

- Dobry wybór. Coś jeszcze?

Pomyślał. Spróbowałam jakoś go naprowadzić.

- Chciałbyś, żebyśmy zrobili coś razem, ty i ja? Może na przykład poszlibyśmy do zoo? Na kolację i do kina? No, dalej, ja stawiam.

Wzruszył ramionami.

- Nic - odparł i poszedł dalej.

A ja znowu stałam i patrzyłam za nim. Wtedy zdałam sobie sprawę, że James na pewno tu z nim jest.

- James - wyszeptałam. - Pomóż mi.

- On chce grać w karty z tobą i Tobym - rozległ się głos.

W karty? I to wszystko? Wtedy powróciło na moment wspomnienie naszej trójki. Było to w czasie, gdy próbowaliśmy wszystko naprawić. Theo nie mógł mieć więcej niż sześć lat. Toby wyjął talię kart, żeby nauczyć syna tabliczki mnożenia przez dwa, i po chwili siedzieliśmy na podłodze w salonie, ucząc Theo zasad pokera, a potem zaśmiewaliśmy się, kiedy ograł nas ze szczętem w niecałą godzinę.

To był tylko jeden wieczór, jeden raz. Tymczasem teraz ten chłopiec nagle woli grę w karty od wycieczki do Disneylandu albo do Wodnego Świata. Bądź tu mądry.

- A może zagramy w karty? - zawołałam za nim. Zatrzymał się. Podeszłam szybko do niego. - Wiesz, ty, ja i tata. Jak za starych czasów.

- Ty i tata - powiedział, patrząc mi prosto w twarz. - Przecież go nienawidzisz.

Cofnęłam się. Gdybyś tylko wiedział, pomyślałam.

- Nie nienawidzę go - nic lepszego nie zdołałam wymyślić. - Kocham twojego tatę.

Zobaczył w moich oczach, że mówię prawdę.

- Nieprawda.

Powtórzyłam, a on mi uwierzył. Myślę, że to nim trochę wstrząsnęło, rozrzuciło wokół kilka szans, jak szklanych kulek, zaświeciło płomyk głęboko w jego duszy.

- Nie chcę tych innych rzeczy - powiedział. - Chcę tylko grać w karty.

Uff, pomyślałam. Nie miałam pojęcia, skąd wezmę sto dolarów.

Poszliśmy do domu i zadzwoniłam do Toby'ego. Kiedy wieszłam płaszcz, zobaczyłam, że znowu jest tu Nan. Pojawiła się jako połyskująca mgiełka przy schodach, a ja wydałam z siebie długie westchnienie ulgi. Ubezpieczała tyły. Tak czy owak, miałam inne powody do zmartwień. Nie wzięłam pod uwagę, jak poradzę sobie z Tobym. Myślałam tylko, co mogę uczynić dla Theo, jak mogę go zmienić, jak mogę powiedzieć albo zrobić coś, co uleczy rany, które mu zadałam w tak młodym wieku.

Kto jak kto, ale ja akurat powinnam to wiedzieć. Czasem kamień pęka całe wieki po tym, jak został uderzony.

Zadzwoniłam do Toby'ego. Wiedziałam, że będzie pracował w domu, wygładzając ostatecznie tekst swojej nowej książki. Słyszając mój głos, zapytał natychmiast:

- Co się stało? - jego głos był ostry i podejrzliwy.

- Hm. Nic, zupełnie nic. Theo i ja zastanawialiśmy się, czy chciałoby ci się wpaść do nas wieczorem na partyjkę pokera.

Cisza.

- Czy to jakiś żart?

Zamrugałam. Theo się uśmiechał, co dodawało mi otuchy, pokazywał na migi jedzenie, podczas gdy ja trzymałam słuchawkę przy uchu.

- I... wydaje mi się, że Theo chce, żebyśmy wzięli coś na wynos.

Theo udął cios kung-fu.

- Coś z chińszczyzny.

- Margot - głos Toby'ego był surowy i zniecierpliwiony. - Myślałem, że ustaliliśmy, że pójdziesz na miesiąc na odwyk. Co? Kolejna złamana obietnica?

Złość w jego głosie wytrącała mnie z równowagi. Zawahałam się. To sprawa Gai, pomyślałam. Proszę, spraw, żeby dał mi szansę. Tylko raz. Tylko ten jeden raz.

- Toby - powiedziałam miękko. - Przepraszam. Tak mi przykro.

Patrzyłam, jak buzia Theo kipi, nie, r o z p ł y w a się w oszałamiającej radości. I słuchałam, jak oddech Toby'ego po drugiej stronie robi się spokojniejszy, wyobrażałam

sobie, jak w myślach rozważa różne możliwości: „Jest na haju? W ciąży? Umierająca?”, zanim przyjdzie mu do głowy, że może jestem szczerą.

- Posłuchaj, Margot... - zaczął, a ja przerwałam mu, zanim skończył.

- Mam zarezerwowany odwyk od przyszłego tygodnia. Masz moje słowo, Toby. Obiecuję ci. Pójdę w przyszłym tygodniu, będę czysta - roześmiałam się. - A teraz przyjeżdżaj, bo Theo i ja potasujemy karty bez ciebie.

I tak oto, po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat, siedziałam ze swoim synem i z mężem, grając w pokera, w grę, w którą nie grałam od tak dawna, że obaj spędzili większość czasu, od nowa ucząc mnie zasad, wyjaśniając mi reguły gry jak dwuletniemu dziecku, wśród niekończącej się wesołości spowodowanej tym, jaka się zrobiłam ciemna. Jadłam chińszczyznę - posługując się widelcem zamiast pałeczkami, co wzbudziło jeszcze większą wesołość - a potem robiłam wszystko i byle co, żeby tylko rozśmieszyć Theo - i słuchać jego głosu, który stawał się beztroski i lekki jak piórko szybujące w świetle księżyca. Kierowałam rozmowę na tematy, o których wiedziałam, że od razu się przy nich rozkręci - i rzeczywiście, żyłki biegnące po jego czole wyglądały, jakby miały pęknąć z emocji, gdy mówił o nowym filmie Spielberga, o tym, że on też będzie aktorem, a Toby spoglądał to na niego, to na mnie, uśmiechając się w zamyśleniu zza pawiego ogona swoich kart.

Okolo dziesiątej, kiedy Theo o mało nie pękł z przejęcia jak prażona kukurydza, Toby zabrał go do łóżka. Kilka minut później zszedł na dół. Zabrał płaszcz z fotela, zarzucił go na swoje szczuple ramiona i powiedział:

- Cóż, dobranoc.

- Zaczekaj - powiedziałam.

Czekał z ręką na klamce.

- Naprawdę musisz już iść? - z trudem zdobyłam się na śmiech.

Odwrócił się.

- Czego chcesz, Margot?

Klasnęłam w ręce.

- Chcę, żebyś wiedział, że jest mi przykro.

Zacisnął szczękę.

- Z jakiego powodu? Dlatego że chlałaś w obecności naszego dziecka od rana do wieczora, dzień w dzień przez... całymi tygodniami? Za to, że spałaś z jego nauczycielem i zrobiłaś z Theo pośmiewisko w oczach całej szkoły? Za to, że posyłałaś go do szkoły w brudnym ubraniu, że nie zabrałaś go do lekarza, kiedy miał zapalenie wyrostka robaczkowego, co?

Otworzyłam szeroko usta. Nie mogłam wydusić słowa. Toby mówił dalej.

- A może z tego powodu, jak traktowałaś mnie, Margot? Rany, moglibyśmy spędzić całą noc, układając tę listę grzechów, prawda? Coś ci powiem. To m n i e jest przykro. Co ty na to?

- Z jakiego powodu?

- Przykro mi, że nie mogę przyjąć twoich przeprosin. Nie wierzę ci. Nie potrafię.

Nie patrząc na mnie, wyszedł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

Następnego dnia odprowadziłam Theo do szkoły. Obudziłam się w mokrej pościeli i dotarło do mnie: moje skrzydła powracają. Nie zostało mi już wiele czasu.

Podczas gdy Theo szedł - nie, podskakiwał - obok mnie, zastanawiając się, kiedy tata i ja moglibyśmy zorganizować drugą rundę naszego pokera, przeżywając wciąż od nowa, jakie to było fajowe, że on miał trzy asy i waleta, a ja same trójki i dziewiątki, planując, że może moglibyśmy wszyscy pójść do zoo w jego urodziny, ja myślałam o Margot. Mój plan wymagał kontynuacji. Musiałam spotkać się z nią w jakiś sposób, dopilnować, żeby nie zniszczyła wszystkiego, co zdołam osiągnąć podczas swojej krótkiej wizyty. Byłam przerażona, nie, odchodziłam od zmysłów, przeżywając niewypowiedziany koszmar na samą myśl, że po tym, co zrobiłam, po wszystkim, co poświęciłam, Margot mogła zwyczajnie to zrujnować. Chociażby pytając, kto zabrał Theo ze szkoły tamtego dnia. A jeśli wszystko, co robię, przywróci Theo i Toby'emu nadzieję tylko po to, żeby Margot pozbawiła ich złudzeń, powodując nieodwracalną katastrofę?

Odnalazłam tamto miejsce - Riverstone - obszerny biały budynek w kształcie UFO, z plastikowymi bocianami naturalnej wielkości na łące i brązowymi posągami Buddy stojącymi sobie spokojnie pomiędzy białymi filarami. Za krzakami otaczającymi okrągły budynek migotał staw z kaczkami. Kierując się strzałkami, poszłam w kierunku recepcji.

Moje wspomnienia Riverstone były, delikatnie mówiąc, mgliste. Zachowałam w pamięci tylko przebliski krótkich scen, nagłe, jak uderzenia kropli deszczu o powierzchnię stawu. Pamiętałam protekcyjną terapeutkę w pokoju, który pachniał jak woda w basenie. Swoje ręce, na które spojrzałam pewnego ranka i zobaczyłam, że mam po dwa dodatkowe palce - bez wątplenia był to skutek środków uspokajających, ponieważ dodatkowe palce wkrótce odpadły. I kobietę, która z uśmiechem, trzymając mnie za rękę, opowiadała mi o kangurach.

Odnalazłam recepcjonistkę usadowioną w kosmicznej kabinie, osłoniętej szklaną kopułą. Przedstawiłam się jako Ruth, czując ulgę, że nareszcie mogę użyć własnego imienia.

- Pani jest... siostrą pani Delacroix? - spytała recepcjonistka.

Zrobiłam, co mogłam, żeby ukryć moje fizyczne podobieństwo do Margot. Okulary. Beret. Wyrazny makijaż. Najwidoczniej się nie udało.

- Kuzynką - odparłam.

- Domyśliłam się - uśmiechnęła się, marszcząc nos. - Cóż, zwykle nie zezwalamy na wizyty...

- To nagła sytuacja - powiedziałam. Mówiłam prawdę. Tak było. - Ktoś z rodziny jest umierający, lepiej, żeby dowiedziała się o tym teraz, a nie miesiąc po fakcie.

Recepcjonistce zrzęda mina.

- Och. Hm, w porządku. Zadzwońię do jej terapeutki. Ale niczego nie obiecuję.

Zostałam zaprowadzona do wspólnego pomieszczenia, gdzie Margot i inni podopieczni najwyraźniej właśnie mieli ciche zajęcia. Wiało tu koszmarną nudą. Margot musiało od tego odbijać. Ja w każdym razie bym zwariowała. Ściany zdobiły wielkie oprawione w złote ramy obrazy, opatrzone słowami w rodzaju: „Akceptacja”, i naszpikowanymi obłudą zdaniami typu: „Nastawienie jest wszystkim”. Przewróciłam oczami i wyobraziłam sobie w tych miejscach hasła w stylu: „Cynizm” i: „Porażka jest nieunikniona”. Nie ma to jak bliski kontakt z rzeczywistością, wspomagający leczenie. Ktokolwiek zaprojektował te wnętrza, wyraźnie utożsamiał powrót do zdrowia z dużą liczbą białych welurowych kanap i szklanych stolików do kawy poustawianych, gdzie tylko się da, wyposażonych w świeczki i tulipany. Z niewidzialnego głośnika delikatnie sączyła się muzyka klasyczna. Spojrzałam na wielki zegar dworcowy nad wejściem i moje serce zaczęło szybciej bić. Jeżeli powiedzą, żebym przyszła jutro, to już po mnie.

W białych drzwiach prowadzących do pokoju socjalnego pojawiła się terapeutka - niska koścista Kanadyjka z ciężką czarną, równo przyciętą grzywką. Była to doktor Gale. Wzięła mnie pod rękę i znad okularów spojrzała mi w oczy.

- Obawiam się, że nie mogę pozwolić pani na spotkanie z Margot - powiedziała. - To niezgodne z zasadami ośrodka. Ale mogę jej przekazać każdą wiadomość od pani.

Myślałam gorączkowo.

- Muszę się z nią zobaczyć - powiedziałam. - Nie rozumie pani? Nigdy nie wróci do zdrowia, jeżeli się dowie... W czasie jej pobytu u państwa umarła Nan. Tak naprawdę, myślę, że znowu zacznę pić...

- Przykro mi - powiedziała stanowczo doktor Gale. - Margot podpisała regulamin leczenia, który przewiduje również postępowanie w wypadku tragedii rodzinnej. To ważne dla jej powrotu do zdrowia. Mam nadzieję, że pani rozumie.

Posłała mi uśmiech, przelotny jak mgnienie oka. A potem odwróciła się na pięcie i odeszła.

Zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko. Nie spodziewałam się takich komplikacji. Zastanawiałam się gorączkowo, jak z tego wybrnąć, nie podpalając tego miejsca. W porządku, pomyślałam. Proszę. I zaczęłam się modlić. *Spraw, żeby anioł tej kobiety dał jej kopniaka we właściwym kierunku.*

- Doktor Gale - prawie krzyknęłam za nią przez pokój.

Kilka roztrzęsionych osób odwróciło się, spoglądając na mnie ze swoich sof.

Doktor Gale przystanęła.

- Proszę nie podnosić głosu - warknęła.

- Ja naprawdę muszę zobaczyć się z Margot - powiedziałam. - Obiecuję, że nie będę przeszkadzała w jej leczeniu. Ona po prostu musi o czymś się dowiedzieć. To mnie nie będzie już tutaj, kiedy ona wyjdzie. Muszę spotkać się z nią ten ostatni raz.

Doktor Gale rozejrzała się. Patrzyło na nas kilkoro jej kolegów. Jej prawa stopa, zwrócona już w kierunku drzwi, ruszyła w moją stronę.

Znowu stała naprzeciwko mnie i przyglądała mi się badawczo.

- No dobrze - powiedziała. - Ma pani dziesięć minut - umilkła, a potem dodała ciszej: - Od rozpoczęcia leczenia Margot trzeba było wielokrotnie podawać środki uspokajające, więc może być nieco senna. To normalne. Proszę po prostu starać się nie mówić zbyt głośno ani zbyt szybko.

Pokiwałam głową. Doktor Gale otworzyła drzwi i zawołała Margot. Nikt nie odpowiedział. Zawołała jeszcze raz. Z fotela przy oknie podniosła się jakaś postać, a potem powoli podeszła do nas.

- Margot - powiedziała łagodnie doktor Gale. - Jest tu twoja kuzynka. Obawiam się, że ma dla ciebie złe wiadomości.

- Moja... kuzynka? - Margot była nieobecna duchem. Patrzyła na mnie, bardzo powoli mrugając.

Doktor Gale pokiwała głową.

- Zabiorę was do pokoju rodzinnego.

Kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły, nachyliłam się i wzięłam Margot za rękę. Wyszarpnęła ją i wbiła wzrok w swoje kolana. Widok Margot we własnej osobie odebrał mi dech. Poczucie mojej i jej fizyczności sprawiło, że chciało mi się płakać. Wydawała się taka słaba, taka otepiąta przez leki i rozpacz. Było mi wstyd, że nie chroniłam jej lepiej. Że nie uzdrowiłam jej.

W końcu wzięłam ją za rękę. Jej dłoń była luźna i bezwładna jak liść.

- Margot, musisz mnie posłuchać - powiedziałam stanowczo.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Mówiłam dalej.

- Mam ci do powiedzenia coś bardzo, bardzo ważnego i chcę, żebyś uważnie mnie posłuchała. Dobrze?

Skrzywiła się, głowa jej się trzęsła.

- Czy ja cię znam?

- Tak jakby.

Tyk. Jakby się ocknęła. Zachichotała. Właśnie jej przypomniałam pierwsze spotkanie z Sonyą.

- Masz zabawny akcent. Skąd jesteś?

Zdałam sobie sprawę, że wciąż jeszcze od czasu do czasu mówię australijskim nosowym akcentem, który pozostał mi po spędzonych tam latach. Latach, których Margot jeszcze nie przeżyła.

- Z Sydney - odparłam.

- W Australii?

- Uhm.

Dłuższa chwila ciszy.

- Oni mają ...gury, co?

- Góry?

Zabrała swoją dłoń z mojej i podniosła obie ręce do twarzy jak łapy.

- Ach! - powiedziałam. - Kangury.

Pokiwała głową.

- Tak, mają tam kangury.

Zastanawiałam się, jak powinnam z nią rozmawiać. Przyszło mi na myśl, żeby powiedzieć jej, że jestem nią przybywającą z przyszłości. Ale szybko się zreflektowałam. Zdecydowanie, zdecydowanie nie mogłam oczekiwać, że mi zaufa. Ja nigdy nikomu nie zaufałam w całym swoim dorosłym życiu. Nawet swojemu mężowi. Nawet samej sobie.

Zaczęłam od tego, co zadziałałoby w moim wypadku.

Powiedziałam jej, co przeżył Theo w izbie zatrzymań. Niczego nie pomijałam. Opowiadałam o wszystkich szczegółach w sposób jaskrawy i dobitny, aż w końcu zaczęłam płakać, a Margot kierowała wzrok coraz dalej i dalej w przestrzeń za oknem, kiwając głową, kiedy zadawałam pytanie, i unosząc rękę do twarzy, kiedy mówiłam o tym, co Theo musiał znieść i czego będzie potrzebował od niej, żeby móc przyjść do siebie.

Wreszcie przeszłam do sedna. Do sprawy, która była powodem mojej wizyty.

- Musisz przebaczyć Toby'emu - powiedziałam.

Przeniosła spojrzenie na mnie, odwracając drżącą głowę. Nie wiem, co jej podawali, ale odlatywała przez to w kosmos.

- On mnie zdradził. Z moją najlepszą przyjaciółką.

- Nie, nie zdradził cię, Margot. Możesz mi wierzyć.

Patrzyła pustym wzrokiem. Chciałam nią potrząsnąć. Nadal była bardzo spokojna. Szukałam w myślach czegoś, co dotarłoby do niej pomimo leków, czegoś, co mogłoby po prostu przebić się przez minione lata podejrzliwości i niedowierzania, przez jej warstwy ochronne i ból.

Ale zanim się odezwałam, ona powiedziała:

- Wiesz, kiedy byłam dzieckiem, widywałam anioły. Dawno temu. Wierzysz w anioły?

Po dłuższej chwili pokiwałam głową oszołomiona.

Nic nie mówiąc, przez dłuższy czas patrzyła za okno zatopiona we wspomnieniach.

Nachyliłam się i wzięłam ją za rękę.

- Toby wciąż cię kocha. Masz jedną szansę - t y l k o j e d n ą żeby wyciągnąć rękę po tę miłość. Jeśli ją zaprzepaścisz, to będzie koniec.

Poszłam odebrać Theo ze szkoły, większość drogi pokonując biegiem, gdyż uciekł mi autobus. Czułam już na plecach wilgoć moich skrzydeł. Teraz każda sekunda była cenna, więc przywiązywałam szczególną wagę do ilości czasu, który spędzaliśmy razem. Poszliśmy na naleśniki do IHOP i na *Hooka* do kina na Union Square. Kupiłam mu całą szafę nowych ubrań, za wszystko płacąc kartą kredytową Margot. Prawie całą noc spędziliśmy, urządzając na nowo jego pokój, wieszając na ścianach plakaty z Batmanem, piorąc dywan, zmieniając pościel i przykręcając luźne półki w jego szafie, tak żeby nie groziła zawaleniem, kiedy będzie spał. Później naprawiłam jeszcze rolety w oknie i poskładałam wszystkie jego ubrania. Wreszcie kazałam mu kłaść się do łóżka i poszłam po szklankę wody, ale kiedy wróciłam, Theo już spał.

Idąc w stronę sypialni Margot, zobaczyłam światło na końcu korytarza. Nan, pomyślałam. Poszłam w tamtym kierunku. W tej samej chwili głos Nan dobiegł mnie z pokoju po lewej stronie.

„Ruth!”

W następnej sekundzie upadłam na podłogę z twarzą zakrwawioną i piekącą z bólu spowodowanego przez coś, co mnie uderzyło. Płuca miałam przygniecione, tak że z trudem oddychałam.

Nabrałam powietrza i spróbowałam się podnieść. Przed sobą zobaczyłam Rama, Lucianę i Pui. Wyglądali jak trzy pionowe cienie. Ram trzymał cep bojowy z kolczastą kulą na łańcuchu.

Mogłam zrobić tylko jedno. Uciekać.

Ram zamierzył się, aby ponownie zaatakować cepem. Pobiełam do salonu, a kiedy mnie dogonił, osłoniłam rękami skronie przygotowana na cios w głowę. Kątem oka dostrzegłam, jak Nan wyciąga rękę i odpiera uderzenie. Zaraz potem poczułam, że czyjeś ramiona owijają się wokół mnie pod pachami i unoszą mnie w powietrze: Luciana mnie trzymała, a Pui waliła pięścią w moją pierś. Czułam ból, jakby każdy cios rozcinał moje ciało. Zaczęłam wyc. Usłyszałam głos Theo, który wołał mnie ze swojego pokoju. Obok mnie pojawił się James i ruszył do sypialni Theo. Ale Luciana i Pui go zobaczyły.

- Nie ważcie się! - wrzasnęłam.

Pui zaśmiała mi się w twarz, nachyliła się i zanurzyła się we mnie równie łatwo, jak sięga się do własnej szafy.

Myślę, że w tamtej chwili zobaczyłam piekło. Pui wyciągnęła moją duszę z ciała i zepchnęła ją w dół ciemną pochylnią prosto do świata tak przerażającego, że jego okrucieństwo przeszło mnie do szpiku kości.

A potem zapadła ciemność.

Słyszałam głuchoe odgłosy, wycie i krzyki. Ale z bardzo daleka, jakby zaciągnięto mnie w jakieś inne miejsce, w inny czas.

*

Kiedy się ocknęłam, leżałam na podłodze w jakimś białym pokoju. Byłam naga. Przerazona. Czy to już koniec? Czy jestem w piekle?

Drżąc, przyciągnęłam kolana do piersi.

- Nan! - zawołałam. A potem: - Theo! Toby!

Gdzieś za mną rozległy się kroki.

Odwrociłam się. Potrzebowałam chwili czy dwóch, żeby zorientować się, że błyszcząca postać przede mną to Nan. Jej twarz jaśniała jak słońce w południe, a skrzydła rozpostarte po obu stronach jej ramion wyglądały jak szerokie wstęgi czerwonego światła. Jej suknia nie była już biała jak dotychczas, nie była też materialna. Wyglądała tak, jakby Nan

zdejła taflę spokojnego jeziora, w którego wodach odbijał się zachód słońca, i wsunęła ją przez głowę.

- Powiedz mi tylko - powiedziałam, drżąc, aż wydawało mi się, że słowa grzechoczą w moich ustach. - Czy teraz pójdę do piekła?

- Nie wydaje mi się - powiedziała Nan łagodnie. - Właśnie uratowałam cię przed przeprowadzką.

- Ale pójdę do piekła, tak? W przyszłości?

- Tylko Bóg może zdecydować o tym, jakie będą konsekwencje twoich wyborów.

Nie była to wielka pociecha. Wiedziałam, że nie będzie mnie okłamywała. Musiałam stawić temu czoło. Nan nie uratowała mnie od piekła, nie na zawsze. Ona tylko opóźniła moje przybycie tam.

Stałam na nogi. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej sukni.

- Dlaczego się tak zmieniłaś?

- Wszyscy się zmieniamy - powiedziała po dłuższej chwili. - Tak jak ty zmieniłaś się z niemowlęcia w osobę dorosłą, kiedy byłaś śmiertelna. Kiedy cię ocaliłam, stałam się archaniołem.

- Dlaczego?

- Poszczególne grupy aniołów odgrywają określone role w służbie Bogu. Niektórzy z nas uosabiają moce, inni cnoty. Nieliczni stają się cherubinami, chroniąc ludzi i pomagając im poznać Boga. Jeszcze mniej z nas staje się serafinami.

- A jeszcze mniej z nas ląduje w piekle, co?

Uśmiechnęła się.

- Proszę - powiedziała.

Musiałam zasłonić oczy, gdy patrzyłam na jej wyciągniętą dłoń. Trzymała w niej białą suknię.

- Co się stało z tą błękitną?

- Nie można jej dalej nosić. To wszystko, co po niej zostało - i podała mi mały niebieski klejnot zawieszony na złotym łańcuszku.

Włożyłam białą suknię i zawiesiłam klejnot na szyi.

- Co dalej? - zapytałam. - Czy zmieniłam życie Theo?

Podniosła dłoń. Pojawił się na niej równoległy świat, wielkości śnieżnej kuli, który potem urósł do rozmiarów melona. Podeszłam bliżej i zajrzałam do niego. W środku, jak odbicie w kałuży, zobaczyłam prawie dwudziestoletniego Theo. Prymitywnego, gniewnego. W pierwszej chwili pomyślałam, że siedzi za drewnianym biurkiem w jakimś biurze, ale

potem zorientowałam się, że Theo znajduje się na sali sądowej ubrany w pomarańczowy strój więźnia. Zwiesił głowę w chwili, gdy zabrzmiał wyrok. Kobiety głos powiedział: „Winny!”.

Theo został wyprowadzony z sali.

- I tyle!? - krzyknęłam. - Po tym wszystkim Theo dostanie dożywocie, a ja pójdę do piekła? - popatrzyłam na Nan, szukając odpowiedzi.

Nie udzieliła mi jej.

Upadłam na kolana.

Przez długi czas szlochałam, pozwalając łzom kapać na ziemię. Wszystko na nic. Nawet nie wiem, jak mogłabym opisać to, jak się wtedy czułam. W końcu otarłam łzy i spojrzałam w twarz Nan.

- Co ja teraz zrobię? - zapytałam. - Czy cokolwiek zmieniłam?

- Tak - odparła Nan. - Ale nie wszystkie zmiany cię zadowolą. Być może zobaczysz, jak Margot podejmuje decyzje, które krzyżują wszystkie twoje plany.

- Nie mam już żadnych planów, Nan. Pójdę do piekła, pamiętasz?

- Jak już mówiłam na początku - powiedziała bardzo poważnie - nic nie jest przesądzone.

Otarłam łzy. Dawała mi nadzieję. Ale tym razem wydawało się to okrucieństwem.

- Co ja teraz zrobię? - zapytałam.

Pierwszy raz od dawna Nan się uśmiechnęła.

- Masz pracę do wykonania. Idź więc i ją wykonaj.

Rozdział 23

NAJTRUDNIEJSZE SŁOWO

Czekałam na Margot, kiedy wróciła do domu z Riverstone, oczyszczona z nałogów, ale również ze świadomości, kim jest, skąd przyjechała i dlaczego jest tu, gdzie jest. Postawiła bagaże, odgarnęła włosy z twarzy i westchnęła. Toby i Theo czekali w jadalni. Ona, nie dostrzegając ich, wpatrywała się w zwiędłe słoneczniki w wazonie.

- Margot?

Spojrzała na Toby'ego.

- Tak?

- Mmmm... - Toby zerknął na Theo. - Słuchaj, stary, mógłbyś zostawić nas z mamą na minutkę?

Theo pokiwał głową i poszedł do swojego pokoju. Obejrzałam się na Gaję, która stała w drzwiach. Podeszła i objęła mnie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Pokiwałam głową, chociaż daleko mi było do dobrego samopoczucia.

Patrzyłam, jak Toby wydobywa stertę papierów z kieszeni swojej za luźnej kurtki wędkarskiej i kładzie je na stole. Wiedziałam, co to za dokumenty. Odchrząknął i wyprostował się, jedną ręką szukając czegoś po kieszeniach. Myślę, że przekonania. Przez minutę lub dwie trzymał rękę na dokumentach, zupełnie jakby wypuszczenie ich było czymś nieodwracalnym, czymś, czego nigdy, przenigdy nie będzie mógł już zmienić.

Powiedz mu, że go kochasz, Margot, powiedziałam głośno, ale ona wciąż wpatrywała się w słoneczniki.

- To są... papiery rozwodowe - powiedział Toby, wstrzymując oddech. - Musisz tylko podpisać tam, gdzie ja podpisałem, i będziemy mogli... ruszyć z miejsca.

Margot wyciągnęła uschnięte łądygi z wazonu i poszła do kuchni, nie patrząc mu w oczy. Toby poszedł za nią.

- Margot.

- Co?

- Słyszałaś, co mówiłem?

Podniosła do góry uschnięte kwiaty.

- One umarły, kiedy mnie nie było.

- Tak?

- Nie zmieniałeś im wody?

- Nie, nie zmieniałem. Nie mieszkam tutaj, nie pamiętasz? Wyrzuciłaś mnie za drzwi... Dajmy już sobie z tym wszystkim spokój.

Zobaczyłam Theo, który stał w drzwiach swojego pokoju w głębi korytarza, słuchając bacznie, z sercem płonącym jak węgiel jednym życzeniem. „Proszę, proszę...”

Margot spojrzała na trzymane w ręku słoneczniki.

- Nawet gdybym wrzuciła je do wanny, nawet gdybym skrapiała je codziennie wodą, w końcu i tak umrą. I tyle - podniosła wzrok na Toby'ego. - Wiesz?

Pokiwał głową bardzo powoli i wepchnął ręce głęboko do kieszeni. Potem pokręcił głową.

- Nie, właściwie, to nie wiem. O czym ty mówisz, Margot? Najpierw mówisz mi, że jest ci przykro, a potem... potem gramy sobie wszyscy w karty, jakbyśmy byli znowu jedną wielką szczęśliwą rodziną...

Podniosła szybko głowę i zapytała:

- W karty? - jakby nie mogła sobie tego przypomnieć, co doprowadziło go do furii.

Podniósł głos.

- Czekałem s z e ś ć lat na to, żebyś mi przebaczyła, żebyś uwierzyła w tę ewentualność, że może, m o ż e j e d n a k cię nie zdradziłem, że może to, co zobaczyłaś, to nie był prawdziwy obraz, że może jednak cię kocham...

Spojrzała na niego.

- Kochasz?

- Kochałem - powiedział, spuszczać wzrok. - Chciałem powiedzieć: kochałem.

Rzucił papiery na stół.

- Wiesz co? Te kwiaty uschły. Chcę wracać do swojego życia.

Wyszedł. Cisza zawisła w powietrzu.

*

Następnego ranka przyszedł list od Hugo Beneta z podziękowaniami dla Margot za jej usługi edytorskie i wyrazami uznania dla jej pracy nad notatnikami Rose Workman. Do listu załączony był czek tytułem zaległego honorarium.

Czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Patrząc, jak kręci się po mieszkaniu, przypominałam sobie pustkę, która zapanowała w moim życiu, kiedy już usunęłam z niego alkohol, i zionęła jak wejście do jaskini po

odrzuconiu gigantycznego głazu, który je zastawiał. Margot przyglądała się w lustrze swoim włosom. „Muszę iść do fryzjera”, pomyślała. Potem dotknęła twarzy. Same zmarszczki i smutek.

Powoli poszła korytarzem do pokoju Theo, ostrożnie stawiając stopy, jak linoskoczek, który musi uważać, żeby nie spaść. Pod koniec odwyku nagrodzono ją brawami, włożono w ręce wymyślny bukiet lili i orchidei, jak namaszczenie, i ogłoszono, że wreszcie jest czysta. Nawet zrobiono jej zdjęcie w towarzystwie pozostałych pacjentów przed wejściem do kliniki w Riverstone, z tymi wszystkimi Buddami i bocianami, a ona umieściła to zdjęcie na kominku oparte o zegar, jako podpowiedź: „Teraz jesteś czysta. Nie zapominaj o tym”. Ale tak to jest z odwykiem: szorują człowieka do czysta, tak że aż czuje się zbyt nienaturalnie, aby pozostać w tym stanie dłużej - tak białym, tak wypranym z człowieczeństwa. Przynajmniej ja się tak czułam. Chciałam, żeby ktoś mi pokazał, jak mam normalnie żyć. Jak żyć, nie mając oparcia w filarach opróżnionych butelek.

Theo leżał zwinięty na łóżku i udawał, że śpi. Wszystkie usłyszane słowa Toby'ego krążyły mu po głowie, a on robił, co mógł, żeby je pojąć. Na brzegu łóżka siedział James i starał się odwrócić jego uwagę, działając mu na wyobraźnię. Bezszykownie. Theo zobaczył Margot w drzwiach swojego pokoju i powoli usiadł.

- Co byś powiedział na przeprowadzkę w jakieś nowe miejsce?

Zadała to pytanie tak lekko, jak to tylko możliwe, jakby to gruntownie przemyślała, jakby dokładnie wiedziała, co robi.

- Na przykład dokąd?

Wzruszyła ramionami.

- Na przykład do New Jersey? - zapytał.

Roześmiała się.

- W takim razie dokąd? Do Las Vegas?

Podeszła do zawieszanej nad jego biurkiem mapy świata.

- Wiesz, twój tata i ja wzięliśmy tam ślub.

- W takim razie przenieśmy się tam.

Przyglądała się mapie, stojąc wciąż z założonymi rękami.

- A co byś powiedział na Australię?

Theo zastanowił się.

- Czy to nie jakiś miliard kilometrów stąd?

- Jakies piętnaście tysięcy.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego? Mają tam kangury.

Theo westchnął, machając zwieszonymi z łóżka nogami.

- Naprawdę chcesz się przenieść do Australii czy to jeszcze jeden sposób, żeby odegrać się na tacie?

- Przeniósłbyś się ze mną?

Theo popatrzył na swoje stopy i zmarszczył czoło. Znowu czuł się rozdarty.

Spojrzałam na Jamesa.

Powiedz mu, że może odmówić, podpowiedziałam. Powiedz mu, że może zostać z Tobym.

James pokiwał głową i powtórzył to, co powiedziałam.

Po dłuższej chwili Theo podniósł głowę.

- Mamo - zaczął - czy mogę odwiedzić cię w Australii?

To była jego odpowiedź. Margot uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

- Na przykład każdego lata?

- Taak, tylko że latem tam jest zima.

- Czy będę mógł mieć kangura?

- Może. Ale na pewno możesz do mnie przyjeżdżać i zostawać tak długo, jak długo zechcesz.

*

Oczywiście od dawna nie mogłam się już doczekać przeprowadzki. Jednak niezależnie od tego, jak miło wspominałam ciepłe wybrzeże Sydney i związaną z nim tak bardzo spóźnioną szansę na dobre samopoczucie, jednocześnie nienawidziłam siebie za to, że porzucam Theo. To nie było w porządku: stawiać go przed wyborem pomiędzy mną a Tobym. Postąpiłam w sposób okrutny, pozbawiony skrupułów i samolubny, przeprowadzając się nie do innej części miasta, nie do innego stanu, lecz na inny kontynent.

A jednak po wszystkim, co przeszłam, po wydarzeniach, które prawie mnie zniszczyły, Australia była jak bezpieczne schronienie.

Margot rozpoczęła transformację od radykalnej zmiany fryzury - jej włosy były teraz ufarbowane na czekoladowy brąz, obcięte równo z linią podbródka i podwinięte na końcach - oraz brązowej opalenizny w sprayu. Zrealizowała czek Hugo, kupiła całą szafę nowych ubrań u Saksa i umówiła się na wizytę u chirurga plastycznego. Zdecydowała się na korekcję powiek, inaczej mówiąc, usunięcie smutku wokół oczu. Jeśli chcesz, możesz sobie usunąć wory, powiedziałam jej. Smutek kryje się w twojej duszy.

Postanowiła zatrzymać mieszkanie jeszcze przez miesiąc lub dwa, na wypadek gdyby coś nie wyszło. Mówiłam jej, że nie ma potrzeby, ale od powrotu z Riverstone nie reagowała na ani jedno moje słowo. Kiedy śpiewałam pieśń dusz - tylko raz, żeby przekonać się, czy jest jeszcze między nami jakaś więź - nie mrugała już powiekami, nie siadała, rozglądając się wkoło, nie drżała, wyczuwając moją obecność. Gdybym jej nie znała, pomyślałabym, że stała się zupełnie inną osobą.

Nan odwiedziła mnie w nocy poprzedzającej odlot Margot do Sydney. Siedziałam po turecku na dachu mieszkania Margot pod niespotykanie rozgwieżdżonym niebem. Czulałam się odcięta od wszystkiego i wszystkich - od Boga, swojej rodziny, od własnego „ja”. Zrobiłam krok do przodu, stawiając stopę poza krawędź dachu. To nie była próba samobójcza. Chciałam zobaczyć, czy rzeczywiście się odcięłam, czy mój pakt z Grogorem zmienił coś w obowiązujących zasadach. Spadałam przez jakieś pół sekundy, a potem... nic. Zawisłam w powietrzu. Tym razem mnie to uspokoiło.

Nan wysłuchiwała moich żalów ze swoją zwykłą stoicką cierpliwością. Kiedy skończyłam, powiedziała, żebym się rozejrzała. W miejsce otaczającej mnie jeszcze przed chwilą czerni rozjaśnionej światłem księżyca ukazał się krajobraz roziskrzonych dachów, na których w niekończących się rzędach siedzieli archaniołowie - każdy z nich wyglądał jak wysoki na trzy metry podświetlony rubin. Na ich niewzruszonych ludzkich twarzach dało się wyczytać zdecydowanie i determinację. Ich postacie otaczały płomienie różnej wielkości i o różnej sile, jasne jak komety. Niektórzy z nich byli uzbrojeni w miecze i tarcze, inni mieli łuki i strzały. Wszyscy mnie obserwowali. Przypominali o swojej solidarności.

O tym, że mnie strzegą.

Nan milczała przez cały czas, gdy ja rozwodziłam się na temat Theo, Toby'ego i Margot. Kiedy zadałam swoje ulubione pytanie: „Co ja mam teraz zrobić?”, wstała i popatrzyła na chmurę, która płynęła po migoczącym niebie jak czarna owca.

- Co to jest? - zapytałam nerwowo.

- Przyjrzyj się - odparła.

Wpatrywałam się w chmurę, która powoli sunęła w stronę księżyca, by wreszcie zasłonić sobą ten biały obłoczek paznokcia na niebie. I wtedy pojawił się obraz.

Przypominał zwiastun filmowy. Wizja składała się z fragmentów zdarzeń, jakby scen skleconych dziwacznie przez pijanego montażystę. Nic nie było zsynchronizowane: Margot siedzi za kierownicą samochodu, śpiewa do muzyki płynącej z radia. Potem ni stąd, ni zowąd następuje ujęcie przedstawiające kawałki blachy, które w zwolnionym tempie fruną w powietrzu. Głowa Margot leci do przodu pod wpływem uderzenia. Jakiś samochód kręci się

wokół własnej osi jak bąk na drodze. Zbliżenie pogieętego kołpaka, który toczy się w kierunku chodnika. Rozpryskująca się na kawałeczki przednia szyba. Inny samochód skręca gwałtownie i jedzie wprost na idącą chodnikiem kobietę, która pcha wózek z dzieckiem. Margot z opuchniętą i zakrwawioną twarzą w zwolnionym tempie wypada przez przednią szybę, uderza o rozgrzany w porannym słońcu asfalt, z jedną ręką zawiniętą na plecach. Jej ciało koziołkuje i ląduje na lewym biodrze, pęka jej miednica. Potem Margot sunie po asfalcie - już nie w zwolnionym tempie - aby zatrzymać się na zniszczonej oponie innego samochodu, buchającego dymem spod maski.

- Co to jest? - zerknęłam na Nan.

- Coś, czemu musisz zapobiec - powiedziała. - To, co widzisz, to jeden ze skutków dokonanych przez ciebie zmian. Chyba że to powstrzymasz.

Moje serce zabiło mocniej.

- Co będzie, jeśli mi się nie uda?

- Uda ci się.

- Ale co, jeśli...

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Teraz przyszła moja kolej, żeby zmierzyć Nan spojrzeniem.

Wytrzymała je.

- Margot będzie sparaliżowana od szyi w dół, przykuta do wózka inwalidzkiego i uzależniona od dwudziestoczworgodzinnej opieki przez resztę swojego życia. Lecz można powiedzieć, że będzie miała szczęście. W wypadku zginie czworo ludzi, łącznie z dzieckiem w wózku, mężczyzną, który właśnie miał się ożenić, i kobietą, która w przyszłości miała odegrać ważną rolę w udaremnieniu poważnego zamachu terrorystycznego.

Pochyliłam się i głęboko odetchnęłam.

- Jak mam temu zapobiec?

- Bądź uważna - odpowiedziała Nan z całą powagą. - To twoje szkolenie, a zarazem sprawa wielkiej wagi. To wszystko, co mi powiedziano.

- U w a ż n a? - prawie na nią krzyknęłam. - To są instrukcje dla mnie?

Gdy wizja się skończyła, Nan podeszła bliżej.

- Rozejrzyj się - powiedziała łagodnie. - Naprawdę myślisz, że masz czego się bać?

Dlaczego teraz, będąc aniołem, wiedząc, że Bóg istnieje, i widząc to, co widzisz, odczuwasz lęk?

Zamilkłam. Nie potrafiłam tego wytłumaczyć.

- Otrzymałaś zadanie i musisz je wykonać, a nie obawiać się go. Wykonaj je więc - podeszła do krawędzi dachu.

Odwróciłam się.

- Co masz na myśli, mówiąc: s z k o l e n i e?

Ale Nan już nie było.

*

Siedziałam jak na szpilkach. Zrywałam się na każdy dźwięk, każdy ruch. Słowo „paranoja” nie oddaje w pełni stanu mojego umysłu następnego ranka. Patrzyłam na wschód słońca i jęczałam.

Modliłam się: Proszę, spraw, żeby wiadomości znowu się pojawiły. Słucham, naprawdę. Przepraszam, że to spałam. Tylko proszę, powiedz mi, co mam robić.

Moje skrzydła płynęły jednak bezwładnie i apatycznie jak woda w studzience ściekowej.

Margot przyśniła się Sonya. Poszła do niej do domu i zapytała ją wprost o romans z Tobym. Zdjęła z siebie ubranie - sukienkę w leopardzie cętki i czerwone buty, pożyczone tamtego wieczoru, kiedy ona i Toby jechali wziąć ślub - i rzuciła je Sonyi pod nogi. Wtedy Sonya ją przeprosiła. Margot czuła się okropnie, ponieważ zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas Sonyi było przykro. Zdała sobie sprawę, że cały ten czas się myliła.

Kiedy się obudziła, czuła pustkę. Po raz pierwszy zdarzyło mi się oglądać ślady snu utrzymujące się na powierzchni jej aury jak rozlana kawa: najpierw były to plamy na tle miękkiej różowej poświaty unoszącej się nad skórą Margot jak poranna mgła. Potem, w miarę jak twarde krawędzie dnia odciskały się na jej poczuciu rzeczywistości, z plam zostało zaledwie parę kropeł. Z każdej z nich spoglądała przepełniona szczerą skrucą twarz Sonyi.

Zanim Margot się spakowała i odleciała do Sydney, musiała jeszcze między innymi oddać na przechowanie kilka większych mebli i odebrać wizę z biura paszportowego w centrum miasta. Wciągnęła te same dzinsy i czarną koszulkę, które ja nosiłam kilka tygodni wcześniej, zastanawiając się przez chwilę, dlaczego leżą rozłożone na łóżku, potem zabrała kluczyki od samochodu i zbiegła na dół.

To, co z początku wzięłam za plamę oleju, w rzeczywistości było niewielkim cieniem pod podwoziem samochodu. Stałam obok auta, rozglądając się uważnie po parkingu w poszukiwaniu demonów - spodziewałam się, że zaraz natknę się na Rama, Lucianę, Pui albo Grogora, i niemalże cieszyłam się na myśl o okazji, by odpłacić im pięknym za nadobne - a potem przyjrzałam się staremu srebrnemu buickowi Margot. Cofając, omal nie wjechała w kosz na śmieci - i wtedy właśnie spostrzegłam drżący cień przyczepiony do podwozia, jakby

to był magnes. Potem, kiedy Margot jechała ulicą, zobaczyłam wszystko dokładniej: długą czarną lodygę, która jak pociemniały łuk tęczy prowadziła od cienia obok koszy na śmieci aż nad grzbiet wzgórza.

Wróciłam myślami do wizji. W okolicy nie było żywej duszy, w każdym razie w ciągu ostatnich kilku sekund. Chodnikiem szła jakaś kobieta z wózkiem. Nie widziałam jej twarzy. Czy przyczyną była czyjaś decyzja o tym, żeby tego ranka dłużej pospać? Czy to ta osoba miała spowodować wypadek, spiesząc się do pracy? Czy też ktoś, kto postanowił osuszyć butelkę Jacka Danielsa, prowadząc samochód po Lexington Avenue? Czy coś było nie w porządku z samochodem?

Wtedy przypomniał mi się pewien szczegół z wizji, którą ukazała mi Nan. Zanim Margot wypadła przez przednią szybę, odwróciła głowę i po ruchu jej warg można było poznać, że coś mówi. Wtedy myślałam, że mówi do mnie. Ale teraz rozumiałam. Rozmawiała z kimś, kto siedział obok niej. Na fotelu pasażera.

Usiadłam na tylnym siedzeniu jej samochodu i nachyliłam się do przodu.

- Margot! - wrzasnęłam jej prosto do ucha. - Nie zatrzymuj się. Nie zabieraj nikogo, słyszysz, co mówię? N i k o g o, choćby świat się miał zawalić. Słyszysz, Margot?

Nie słyszała. Moje skrzydła pulsowały. Odetchnęłam z ulgą. Tak, myślałam. Daj mi wskazówkę. Obdarz mnie przecuciem. Podpowiedz mi, co się dzieje. Wtedy pulsowanie ustało. Rozejrzałam się rozpaczliwie.

Tuż obok mnie siedział Grogor.

- Dobrze się bawisz na wycieczce? - zapytał.

Był teraz młodszy. Dobiegał czterdziestki. Wyglądał jak młody prawnik albo biznesmen. Gładko ogolona twarz, śniada cera. Nowy czarny garnitur. Zgodnie z obowiązującą modą. Odwróciłam się do niego gotowa do walki.

- Wynoś się - powiedziałam.

Cmoknął z niezadowoleniem.

- Spokojnie - odparł. - Wpadłem tylko, żeby sprawdzić, jak się czujesz. Słyszałem, że miałeś małe starcie z Ram i spółką. - Zmarszczył brwi. - To mi się nie podobało. Mogę cię zapewnić, że spotkała ich kara.

W tej samej chwili moimi skrzydłami nadeszła wiadomość: *On odwraca twoją uwagę.*

Zignorowałam go i wyjrzałam oknem, obserwując okolicę i rozpaczliwie próbując połączyć to, co ukazała mi Nan, z tym, co działo się tu i teraz.

- Mam dla ciebie nową propozycję - ciągnął. - Myślę, że powinnaś mnie wysłuchać.

Analizowałam sytuację na ulicy. Dostrzegłam kobietę pchającą wózek z dzieckiem i podskoczyłam. Ale właśnie zmieniły się światła i zatrzymaliśmy się. Czy to możliwe, żeby wizja Nan była pomyłką?

- Zdajesz sobie sprawę, że pójdziesz do piekła - powiedział Grogor ostrożnie. - I wiesz, że będą tam nie trzy demony, które cię nie lubią, lecz będą ich miliony.

Wyciągnął rękę i zanurzył opuszek palca w moim skrzydle, zaledwie na sekundę. Przez tę długą, okropną sekundę w moim umyśle pojawił się obraz piekła. Nie było żadnego ognia, żadnej siarki. Była tylko nieznośna, namacalna gorycz. Ciemny pokój bez dywanu, drzwi czy okien, puste wnętrze bez światła. A potem, jak światło reflektora, błysk czerwonego światła wydobywał z ciemności różne obrazy: młody mężczyzna rozrywany na strzępy przez tłum cieni. Widziałam, jak spokojnie zszywają go z powrotem, tak jakby był szmacianą lalką, ignorując jego krzyk. Zobaczyłam inne pokoje, a w nich ludzi uczestniczących w trójwymiarowych projekcjach scen ze swojego życia, z krzykiem przyglądających się samym sobie w chwili, gdy zagłębiają ostrze, którego nie można już cofnąć, próbujących złapać wszystkie odłamki bomby, która w zwolnionym tempie rozrywa pokój na strzępy. Wiedziałam skądś, że te wirtualne wydarzenia powtarzały się w nieskończoność.

Oglądałam rzeczy, których nie potrafię opisać. Czułam się, jakbym unosiła się coraz wyżej ponad ten zamknięty pokój, widziałam ogromne czarne budynki pełne pomieszczeń takich jak te, które zobaczyłam wcześniej, wypełnione krzykiem. I widziałam siebie, jak przechodzę przez bramę takiego budynku. Stukałam do jego drzwi, zupełnie jak kiedyś do drzwi Domu Świętego Antoniego. Wszystkie głowy zwróciły się ku mnie. Nadchodzili.

- Spadaj - syknęłam.

Ssał palec. Poparzył go do żywego mięsa o moje skrzydła. Rzucił mi szybkie spojrzenie.

- To był tylko skrót - powiedział. - Wyobraź sobie, że cała wieczność jest taka jak to, Ruth. Ale, na twoje szczęście, jest inne wyjście.

Zawahałam się.

- To znaczy?

Wyglądał na zakłopotanego.

- Ruth... nie wiesz, kim jestem?

Gapiałam się na niego pustym wzrokiem. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Posłuchaj - powiedział. - Jeżeli pójdziesz teraz ze mną, dopilnuję, żeby nie spotkało cię nic gorszego niż lodowate spojrzenie milionów demonów, które na ciebie czekają. Jeśli zechcesz, zagwarantuję ci nietykalność.

Zastanawiałam się nad tym o wiele za długo. I przyznaję, jakaś część mnie chciała powiedzieć „tak”. Wiele z tego, co mówił, było prawdą. Dopuściłam się uczynku, który oznaczał, że teraz powoli spadam do piekła. Kiedy gliniarz znajdzie się w więzieniu, staje twarzą w twarz z wieloma przestępcami, którzy chcą jego krwi. Moje położenie było równie kłopotliwe. Tylko że ci przestępcy nie chcieli mojej krwi. Chcieli mojej duszy.

Wtedy przypomniałam sobie słowa Nan: „Naprawdę myślisz, że masz się czego bać?”

Usiadłam wygodniej i zmusiłam się do uśmiechu. On również się uśmiechnął, pochylając się nade mną. Miałam wrażenie, że w jego oczach widać było pożądanie.

- No i? - zapytał.

- Najwyraźniej masz mnie za mięczaka, Grogor. Pozwól więc, że powiem to głośno: wolę zmierzyć się ze wszystkimi mieszkańcami piekła, niż spędzić kolejną sekundę w twoim towarzystwie.

Nie dał się zbić z tropu.

- Nie wierzysz w ani jedno swoje słowo - powiedział z uśmiechem, ale w jego ciemnych oczach zobaczyłam odbicie kogoś, kto stał w oknie za moimi plecami.

W tej samej chwili drzwi samochodu się otworzyły i Grogor zniknął. Ktoś siadł na fotelu pasażera i zatrzasnął drzwi.

- Co u...? - wrzasnęła Margot na siedzącą obok niej kobietę.

- Jedź - to była Sonya.

O wiele tęższa, mocno umalowana Sonya, z biustem wylewającym się z ciasnego czarnego gorsetu bez ramiączek, z pomarańczowymi dreadami na głowie. Czas nie obszedł się z nią łaskawie.

Margot spojrzała jej w oczy. Szybko wrzuciła jedynekę i ruszyła.

- Dokąd?

- Zamknij się i jedź.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, Son.

Cisza. A zatem tak to się stanie, pomyślałam. Sonya spowoduje, że Margot rozbije samochód. Lecz wtedy znowu przypomniałam sobie wizję. W samochodzie nie było śladu Sonyi w chwili, gdy się rozbił. Prawda?

Ezechiel, Anioł Stróż Sonyi, siedział na zewnątrz, na masce, oddzielony od niej szybą. Myślałam intensywnie i modliłam się jeszcze goręcej. Powiedz mi, co mam robić...

- O co chodzi, Son? Jestem teraz trochę zajęta... - Margot weszła w ostry zakręt, wciskając Sonyę w boczną szybę od strony pasażera.

Sonya doszła do siebie. Odwróciła się do Margot.

- Hej, pomyślałam sobie, że minęło trochę czasu. Może już pora, żebyśmy się spotkały i, nie wiem, porównały notatki, żeby zobaczyć, czyje życie potoczyło się gorzej. Może mogłybyśmy urządzić konkurs...

- Wybrałaś sobie rewelacyjny moment, Son. Zawsze byłaś taka zorganizowana.

- Wiesz, kiedyś myślałam, że to ja t o b i e jestem winna przeprosiny? Ostatnio jednak doszłam do wniosku, że jest na odwrót.

Margot zahamowała na czerwonym świetle. Tak gwałtownie, że Sonya wylądowała na desce rozdzielczej.

- Jeśli dobrze pamiętam, zdobyłaś złoty medal olimpijski w rozbijaniu małżeństw.

Sonya odepchnęła się rękami od szyby i usadowiła z powrotem na fotelu pasażera.

- Widzisz, o tym właśnie chciałam porozmawiać. Ja n i e r o z b i ł a m twojego małżeństwa. - Jej głos zdrzął. - Wiesz, jak to jest żyć z tym od tamtego czasu?

Margot jej przerwała.

- Och, czyżbym przegapiła jakąś imprezę z uzalaniem się nad sobą? - wrzuciła jedynekę i wcisnęła gaz do dechy.

Sonya powoli podniosła głowę i spojrzała na Margot. Ciężkie łzy sączyły się z jej oczu i płynęły po twarzy.

- Nadal tego nie rozumiesz, Margie - powiedziała. - Przepraszałam cię wiele, wiele razy. Wciąż próbowałam naprawić to, co się stało tamtego wieczoru. Spędziłam setki godzin na terapii. Ale ciebie to nie obchodzi. To nie wystarczy. Dlatego... - z kieszeni wyciągnęła mały pistolet. Wepchnęła go sobie do ust.

- Nie! - Margot gwałtownie skrzyła, z trudem omijając nadjeżdżającą z naprzeciwka taksówkę.

Wokół rozległy się klaksony. Margot usiłowała prowadzić samochód prosto, sięgając jednocześnie po pistolet i ostrożnie wyjmując go z jej ust. Przez chwilę bała się, że Sonya naciśnie spust.

Wychyliłam się z samochodu i odepchnęłam się od drzwi jadącej sąsiednim pasem taksówki, aby utrzymać nas na właściwym pasie.

Wreszcie lufa pistoletu została opuszczona.

- Staję - powiedziała Margot drżącym głosem.

- Jedź dalej - powiedziała Sonya, przystawiając broń do skroni Margot.

Margot wzięła głęboki oddech, a ja zamarłam z przerażenia. Co ja teraz zrobię? Co ja zrobię?

Sonya zacisnęła zęby.

- A teraz posłuchaj, kochanie. Znosiłam wszystkie twoje bezwzględne oskarżenia, rzucanie słuchawką, odbijane e-maile, a teraz tę całą sprawę z Tobym. To t y sama zniszczyłaś swoje małżeństwo, nie ja...

- Wszystkie te lata czekałaś, żeby mi o tym powiedzieć?

Sonya przycisnęła pistolet, zmuszając Margot do przekrzywienia głowy na bok.

- Wyszłaś za najfajniejszego faceta, jakiego w życiu spotkałam. I owszem, do cholery, pragnęłam go. Doszłam do wniosku, że skoro traktujesz go tak źle, to nie zasłużyłaś na niego. I wiesz co? Kiedy chciałam ci go odebrać, nawet wtedy kiedy już odepchnęłaś go tak daleko, że dojrzał do tego, żeby zacząć brać, powiedział „nie”. Powiedział „n i e ”, Margot. A ty i tak od niego odeszłaś. Teraz mówię ci, że jest mi przykro. I mówię ci, że Tobie nie zrobił nic, absolutnie nic. Ale chcę usłyszeć coś od ciebie. Powiedz to, Margot. Powiedz, że mi wierzysz. Powiedz, że mi przebaczasz.

Jej palce zacisnęły się wokół pistoletu.

- Wierzę ci - powiedziała cicho Margot. - Przebaczam ci.

- Mówisz poważnie?

Margot powoli odwróciła głowę, pozwalając, żeby lufa oparła się o jej czoło. Spojrzała Sonyi w oczy.

- Mówię poważnie.

Zapadła długa, przerażająca cisza. Sonya odetchnęła z wielką ulgą, aż jej ramiona opadły do przodu. Opuściła broń na kolana.

A ja zauważyłam, że jej aura traci swój pełen żółci kolor i nabiera jaskrawej turkusowej barwy.

I wtedy samochodem szarpnęło w lewo.

- Co to? - krzyknęła Sonya.

Margot usiłowała wyprowadzić samochód na prostą, o mały włos nie zderzając się z innym pojazdem.

Wystrzyłam uwagę. Zobaczyłam kobietę z dzieckiem w wózku z prawej strony i rzuciłam się na zewnątrz. Od razu odczytałam wiadomość niesioną przez moje skrzydła, głośną i wyraźną:

Zaufaj.

A wtedy, jakieś trzy metry przed nami, z drogi podporządkowanej wyjechał mężczyzna czarnym lincolnem, zajeżdżając nam drogę. Jeśli tylko wyciągnę rękę, myślałam, mogę to powstrzymać.

Zaufaj.

Czarny samochód był tak blisko, że widziałam swoje odbicie w jego wstecznym lusterku.

- O co chodzi z tym zaufaniem? - wrzasnęłam. - Co mam robić, stać z założonymi rękami?

Nagle odgłosy silników innych samochodów, szum dobiegający z kawiarnianego ogródka na chodniku, hałas uliczny, syreny policyjne, pociągi metra, ścieki - wszystko to ucichło. I tylko jeden dźwięk przesywał powietrze, jak szept:

Zaufaj.

Zamknęłam więc oczy i w tej samej chwili zaczęłam wierzyć, że wszystko będzie tak, jak być powinno: że nasz samochód się zatrzyma tuż obok kobiety pchającej wózek, tuż przed czarnym lincolnem, którym jechał mężczyzna mający się właśnie ożenić. Stałam z zamkniętymi oczami pośród ruchu ulicznego.

W tej samej chwili wystrzelił ze mnie błysk światła, który oświetlił wszystko wokół. Zupełnie tak, jakbym nagle stała się diamentem odbijającym ostry promień słonecznego światła, bo wtem wylały się ze mnie wszystkie istniejące barwy, zalewając każdy zakamarek ulicy. Niesieni na snopach tego światła, pojawili się archaniołowie, osłaniając kobietę z wózkiem, naprowadzając czarny samochód na właściwy kurs, przytrzymując w miejscu koła, kiedy Margot hamowała tuż przed skrzyżowaniem, które rozpoznałam z wizji, jaką ukazała mi Nan.

Stałam przy samochodzie, patrząc, jak archaniołowie uspokajają matkę i płaczące dziecko, jak szepczą do mężczyzny w czarnym samochodzie, żeby jechał dalej, jak w porozumieniu z ich aniołami odprowadzają przechodniów do ich własnych spraw. A potem znikają, tak szybko, jak się pojawili, w promieniach słońca i jasnych kroplach schnącego deszczu.

Stopniowo światło wokół przygasło. Dotknęłam ramion i twarzy i zdałam sobie sprawę, że ociekam potem.

Podeszłam do samochodu Margot i siadłam na tylnym siedzeniu, zastanawiając się, co mi się właśnie przytrafiło. Rozpaczliwie potrzebowałam Nan. Chciałam, żeby zjawiła się i wyjaśniła mi to, lecz ona się nie pokazała.

Margot spojrzała na Sonyę.

- Wiesz, następnym razem nie musisz przynosić broni.

Sonya obejrzała się na nią.

- Ale zadziało, co?

Cisza.

- Wiesz, przykro mi.

- Taak. Mnie też jest przykro.

- Moja wizytówka - powiedziała Sonya, rzucając kartonik na deskę rozdzielczą. -

Odzywaj się, Margie.

Wysiadła, wsuwając pistolet z powrotem do torebki. Przystanęła przy oknie samochodu i nachyliła się.

- Wyświadczyć mi przysługę - poprosiła. - Wróć do Tobesa.

To powiedziawszy, odeszła.

Rozdział 24

PRZETASOWANIE KART

Następnego ranka zajęłam swoje miejsce w klasie anielskiej lotu z Nowego Jorku do Sydney linii Qantas, spoglądając w dół na światła na Ziemi, w górę na aniołów strzegących gwiazd i planet nade mną. Myślałam o tym, co powiedziała Nan: „To twoje szkolenie”, i przepaliłam sobie kilka zwojów mózgowych, próbując zrozumieć, co miała na myśli. Dlaczego miałabym teraz uczestniczyć w szkoleniu? Późnawo, co? A może to miało być przygotowaniem do czegoś innego?

Przypomniałam sobie wiadomość, którą przyniosły moje skrzydła w tamtej kluczowej chwili. *Zaufaj*. Czułam zarówno ulgę, że zdecydowałam się posłuchać tego głosu, jak i zagubienie, nie rozumiejąc, dlaczego tak brzmiała instrukcja. Czy nie wysłano mnie w tym samochodzie po to, żeby coś zrobić, żeby zapobiec wypadkowi? Udało mi się jedynie przekonać samą siebie, że w jakiś sposób wszystko się ułoży. Nie miałam pojęcia, jak to działa. Coś się wtedy rzeczywiście stało, coś, co miało decydujące znaczenie. Na mgnienie oka stałam się czymś innym, kimś innym. Postanowiłam spróbować ponownie.

I ćwiczyłam się w wielkiej sztuce nadziei. Może i płonnej, ale jednak nadziei. Nadziei, która może pomóc mi zdobyć u Pana Boga kilka punktów, a one odwrócą Jego uwagę od mojej zdrady. Nadziei - pomimo ukazanego mi przez Nan obrazu Theo, który zostaje skazany na dożywocie - że może jest jeszcze jakiś sposób, że coś mogę zrobić, żeby pomóc mu uniknąć tego losu. Nadziei, że odnajdę drogę powrotną do Toby'ego. Choćbym miała próbować do śmierci. Nawet jeśli musiałabym umrzeć po raz drugi.

Jak przepowiedziała Nan, pojawiły się pewne sygnały wskazujące, że to i owo zmierza ku lepszemu, że bieg rzeczy uległ zmianie. Kiedy w swoim śmiertelnym życiu znalazłam się w Sydney, potrzebowałam kilku tygodni, żeby znaleźć mieszkanie. Spędziłam je w hostelu w Coogee, na wschodnim przedmieściu Sydney, gdzie dzieliłam pokój z kilkorgiem tajskich studentów i kobietą z Moskwy, która całymi dniami i nocami nie wychodziła, paląc wielkie, grube cygara i pijąc wódkę. Mój powrót do nałogu był właściwie nieunikniony; wkrótce do niej dołączyłam, a moje dążenie do znalezienia domu, pracy i nowego życia tonęło w kolejnych butelkach z etykietkami zapisanymi cyrylicą.

Margot wylądowała na międzynarodowym lotnisku w Sydney pewnego wrześniowego poniedziałku we wczesnych godzinach rannych. Pomyślałam, że oszczędzę jej obrzydliwego pokoju w schronisku. Zaproponowałam, żeby udała się prosto do Manly i wynajęła mieszkanie z widokiem na plażę. Istniało spore prawdopodobieństwo, że trochę przedwcześnie wyskoczyłam z pomysłem mieszkania - ja sama wynajęłam je dopiero na początku grudnia tamtego roku - ale pomysł z Manly trafił na podatny grunt i Margot zapytała o drogę. Najpierw autobus, potem prom i już Margot szła promenadą, ciągnąc walizkę, wzdychając na widok rzędu sosen na Norfolk Island wyglądających jak gigantyczne drzewka bożonarodzeniowe, piasku owijającego brzeg jak szal w kolorze kości słoniowej i oceanu barwy indygo wyginającego grzbiet, aby zrzucić amatorów surfingu z ich desek.

Kiedy tłumaczyłam jej, jak się dostać do mieszkania, za pośrednictwem moich skrzydeł nadeszła wiadomość. Wyraźniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Towarzyszył jej prąd płynący w moim ciele. Z tym prądem pojawił się obraz Margot, znowu z długimi blond włosami, idącej przez pola, wzdłuż jeziora, w kierunku drogi wśród wzgórz. Rozejrzałam się w poszukiwaniu podobnego miejsca, a potem sięgnęłam pamięcią w przeszłość. Nie mogłam sobie przypomnieć w żadnej części Sydney niczego, co wyglądałoby tak jak miejsce, które właśnie zobaczyłam. I wtedy zrozumiałam: kobieta na tym obrazie nie była Margot. Była mną.

Obserwuj. Chroń. Rejestruj. Kochaj. Potrzebowałam trzydziestu iluś lat, żeby w tym zestawie wytycznych zauważyć brak słowa „zmieniaj” oraz: „wpływaj” i „kontroluj”. Kiedy Margot chodziła ulicami Manly zmęczona różnicą czasu i do głębi poruszona pięknem tego miejsca, oczarowana nowością, jaką były dla niej każda witryna sklepowa i każdy zaułek, ja powtarzałam te cztery słowa jak mantrę. Oparłam się chęci, żeby popchnąć Margot w kierunku tamtego oszałamiającego mieszkania - z otwartym salonem, z balkonem wychodzącym na plażę, z łóżkiem z baldachimem, z miedzianą wanną, ze stolikiem do kawy i z tropikalnymi rybkami pływającymi w jego wnętrzu - i stałam z boku, kiedy ona poruszała się po omacku w przestrzeni i czasie, jak gdyby to wszystko nigdy wcześniej się nie wydarzyło. Jakby to naprawdę działo się teraz.

I chyba zdałam sobie sprawę, że przez ostatnie piętnaście lat zachowywałam się jak rodzic, który całkowicie zapomniał, jak to jest marzyć o Bożym Narodzeniu, jak to jest wejść do sklepu z zabawkami, kiedy ma się pięć, sześć albo siedem lat, albo dlaczego w miejscach takich jak Disneyland można dostać kompletnego bzika w ogłuszającym hałasie. Przywilej życia w teraźniejszości polega na niezliczonych okazjach do dziwienia się i do entuzjazmu.

Mnie to nie dotyczyło. W rezultacie traktowałam Margot z dokładnie takim samym brakiem zrozumienia, jaki ona okazywała Theo, i z całkowitym brakiem tolerancji.

Postanowiłam więc spróbować nowej metody: pozwolę jej się potknąć, pozwolę jej upaść, a jeśli upadnie zbyt nisko, podniosę ją i poprowadzę tam, dokąd powinna trafić. Tak jak tamtego pierwszego wieczoru w Australii, kiedy z nastroju euforii i podekscytowania popadła w zagubienie i samotność. Zameldowała się w hotelu na promenadzie i spędziła dwadzieścia minut, wpatrując się w bary w swoim pokoju. Nie, ostrzegłam ją. Zawahała się, a potem zwiesiła z łóżka nogi i szarpnęła drzwiczki. Lepiej nie, powiedziałam. Jesteś nałogowcem, kochanie. Twoja wątroba tego nie wytrzyma. Opróżniła trzy butelki Baileysa i pół butelki ginu, zanim spojrzała w dół na swoje drżące ręce i pomyślała, już bez moich podpowiedzi: „Może powinnam przestać”.

Tak jak kiedyś ja, Margot postanowiła przygotować plan. Pewnie nazwalibyście to listą celów. Nigdy nie byłam specjalnie dobra w opracowywaniu list. Wołałam obrazki. Margot wzięła więc stos gazet i czasopism, rozłożyła je na podłodze pokoju hotelowego i zaczęła wycinać zdjęcia, wybierając z nich to, czego pragnęła od życia. Patrzyłam, jak wycina zdjęcia domu otoczonego drewnianym płotkiem, kociąt, wielofunkcyjnych kuchenek, gołębia, Harrisona Forda, i porównywałam je z obrazami swoich celów, które były prawie identyczne. Uśmiechałam się znacząco, gdy zredukowała zdjęcie Harrisona Forda do samych oczu, potem wycięła podbródek i nos Ralpha Fiennesa, a na koniec oskalpowała rudowłosego modela. Gdy poskładała razem te fragmenty, powstał kolaż przedstawiający Toby'ego.

Potem wycięła zdjęcie, które nie miało nic wspólnego z wcześniejszymi. Przedstawiało okładkę książki z fotografią formacji skalnej Ayers Rock płynnie przechodzącej w cielsko wieloryba. Tytuł książki brzmiał *Więzienie Jonasza*, a jej autorem był K. P. Lanes. Może przeczytasz tę książkę, zaproponowałam jej.

Zadzwoiła do recepcji.

- Dzińbry, pani Delacroix. Czym mogę służyć?

- Czy w okolicy jest otwarta jakaś biblioteka?

- Mmm, nee, przykro mi pszpani, jest wpół do jedenasty wieczorem. Bibloteki są już zamknięte.

- Ach.

- Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

- Taak. Słyszała pani o autorze o nazwisku K. P. Lanes?

- Mmmm, taa, słyszałam. To mój wujek.

- Żartuje pani. Właśnie znalazłam zdjęcie okładki jego książki w „Sydney Morning Herald”.

- Taa, pikną. Czytała pani?

- Nie...

- Chciałaby ją pani przeczytać?

- Uhm, właściwie tak.

- Się robi. Podesłę pani mój egzemplarz w dwie sekundy.

- Och. Byłoby cudownie!

- Żaden problem.

Przeczytała książkę od deski do deski. Potem zasnęła i spała nieprzerwanie przez dwanaście godzin.

To znowu różniło się od moich wspomnień z Sydney. Tak jakby talia, z której pochodziły moje karty, została ponownie przetasowana. Ja spotkałam K. P. Lanesa w holu jednego z wydawnictw, w których błagałam o pracę, a Margot spotkała go w holu hotelu.

To była pierwsza z wielu różnic w moim życiu. Zaczęłam powątpiewać w niezawodność swojej pamięci. I wtedy zrozumiałam: my naprawdę jesteśmy dwiema oddzielnymi istotami. To, co robi ona, i co zrobiłam ja - to już nie jest to samo. Zupełnie jak zamiłowanie Toby’ego do pisania na starych wyblakłych rękopisach, ta jego w pewnym sensie perwersyjna intryga polegająca na szpiegowaniu bladych duchów słów wychylających się z jego własnego pisma. Stałam w hotelowym holu, gdy Margot uścisnęła należąca do Kita potężną dłoń Aborygena, i myślałam: Niech będzie. Niech będzie.

Moja wersja wydarzeń odtworzonych z pamięci nie była jednak tak zupełnie różna od wersji Margot. Kit - w literackim świecie znany jako K. P. Lanes - był emerytowanym detektywem, który pisał różne rzeczy przez całe swoje życie. Był wysoki, delikatny i bardzo nieśmiały. Napisanie *Więzienia Jonasza* zajęło mu dziesięć lat, na opublikowanie książki czekał kolejne dwadzieścia.

Ponieważ ujawnił pewne miejscowe tradycje, uznawane przez jego klan za święte, większość rodziny i przyjaciół zerwała z nim kontakty. Jak mi kiedyś wyjaśnił, a teraz tłumaczył to pełnej podziwu Margot, która słuchała go ze łzami w oczach, ujawnił te tajemnice wyłącznie dlatego, że jego lud wymierał. Chciał, żeby te tradycje przetrwały.

Więzienie Jonasza zostało wydane przez niezależnego wydawcę i wydrukowane tylko w stu egzemplarzach. Nie było kampanii promocyjnej. Marzenia Kita, żeby opowiedzieć całemu światu o wierzeniach i wartościach jego ludu, legły w gruzach. Ale nie stał się

zgorzkniały. Był pewien, że przodkowie przyjdą mu z pomocą. Margot była pewna tylko dwóch rzeczy:

1. Jego książka była zadziwiająca na wielu płaszczyznach.
2. Tylko Margot może mu pomóc.

I tak to, co zostało z czeku, który raczył wystawić Hugo Benet, aby uspokoić swoje sumienie, zostało przeznaczone na druk dwóch tysięcy egzemplarzy, skromną kampanię promocyjną i spotkanie autorskie Kita w bibliotece Surry Hills. Tam się wreszcie przydałam: na spotkaniu rozpoznałam dziennikarza Jimmiego Farrella, który walnie przyczynił się do nagłośnienia historii zmagania Kita z wydaniem swojej powieści. Pisał o poświęceniach, na jakie autor się zdobył, oraz podkreślał znamieny fakt, że niecałe sześć miesięcy po odrzuceniu koncepcji *terra nullius* przez australijski Sąd Najwyższy, po kontrowersjach wokół prawa do odzyskania rodzimej ziemi, oto pojawiał się rdzennie australijski pisarz, który porusza kwestie terytorium i tożsamości.

Idź, pogadaj z nim, powiedziałam Margot, popychając ją w kierunku Jimmiego.

Do grudnia książka Kita sprzedała się w ponad dziesięciu tysiącach egzemplarzy, a między nim i Margot zaczął się romans. Kit wyjechał na cztery miesiące, żeby promować swoją książkę na wyspach, tymczasem Margot wynajęła małe, ciasne biuro na Pitt Street, z prawie przyzwoitym widokiem (jeżeli się stanęło na stosie książek i wykręciło szyję, można było zobaczyć białe płetwy opery), i zarejestrowała działalność: agencję literacką Margot Delacroix.

I wtedy zadzwonił Toby.

- Witaj, Margot. To ja, Toby.

Była szósta rano. Margot nie zdążyła jeszcze doprowadzić się do porządku, ale już nie spała. Chodziła w szlafroku po ciepłej podłodze kuchni, popijając swój nowy ulubiony napój: gorącą wodę z cytryną i miodem.

- Cześć, Toby. Co u Theo?

- Hm, to ciekawe, że pytasz o naszego syna, bo właśnie z jego powodu dzwonię.

Przypomniała sobie, że nie rozmawiała z Theo od ponad tygodnia. Uderzyła się o lodówkę w palec u nogi. Pokuta.

- Przepraszam, Tobes, miałam tu urwanie głowy...

- ...jest pewien problem - westchnął.

Zamilkł. Margot zdała sobie sprawę, że on płacze.

- Toby? Czy z Theo wszystko w porządku?

- Taak. Hm. Taak, to znaczy nie przytrafił mu się żaden wypadek ani nic w tym rodzaju. Ale jest w szpitalu. Nocował wczoraj u Harry'ego, wpadli na pomysł picia na wyścigi, a teraz Theo jest w szpitalu z powodu zatrucia alkoholem...

Przytrzymała słuchawkę przy piersi i zamknęła oczy. „To moja wina”, pomyślała.

- Margot? Jesteś tam?

- Taak. Jestem.

- Słuchaj, nie proszę cię... dzwonię tylko, żeby ci to powiedzieć, to wszystko.

- Chcesz, żebym przyjechała do domu?

- Nie, ja... wybierasz się do nas? Jak ci się tam wiedzie?

Zawahała się. Miała wielką ochotę opowiedzieć mu o Kicie i jego książce. Ale potem pomyślała o swoim związku z Kitem. Toby nie związał się z nikim, odkąd się rozstali. Ona miała kilka przygód. Minęło siedem lat. Siedem lat wymiecionych przez czas jak liście przez wiatr.

- Wszystko dobrze, wszystko dobrze. Powiedz, Toby, dlaczego właściwie nie miałabym przyjechać na Boże Narodzenie? Może zagramy razem w karty?

- Myślę, że Theo byłby zachwycony.

- Taak? - uśmiechnęła się. - A ty?

- Tak. Ja też bym chciał.

Tydzień później, z walizką pełną szortów i sandałów, przyleciała do lodowato zimnego świątecznego Nowego Jorku. Minęło tylko kilka miesięcy, a jednak miała wrażenie, że już nie nadąża za tempem tego miasta, zupełnie tak jakby spacerowym krokiem chciała dołączyć do sprinterów. Czuła, że jej miejsce w Nowym Jorku zostało już zajęte. Życie w tym mieście wymagało pewnych umiejętności, które u niej uległy przytępieniu przez słoneczny, bez troski rytm życia w Sydney. Pół godziny zajęło jej złapanie taksówki. Nie mogłam ustać w miejscu na myśl, że znowu zobaczę Gaję i Jamesa.

- Hej, mamó - powiedział w drzwiach szczupły skin przypominający totem.

Margot zamrugła.

- Theo?

W gniewnym grymasie odsłonił zęby uzbrojone w srebrny aparat korekcyjny, a potem pochylił się niechętnie, żeby ją uścisnąć.

- Dobrze cię widzieć, synu - powiedziała cicho Margot.

Odwrócił się, i ziewając, wszedł do środka. Margot poszła za nim, ciągnąc swój bagaż.

- Tato, mama już jest.

Siedząca przy oknie postać wstała.

- Czekałem, aż zadzwonisz, żeby po ciebie przyjechać - powiedział Toby nerwowo. -
Powiedz, że nie jechałaś taksówką z samego lotniska.

Margot, nie zwracając na niego uwagi, wpatrywała się w Theo.

- Przekazałeś swoje włosy na cele dobroczynne, młody człowieku?

- Mam raka. Dziękuję ci za okazane współczucie.

Toby uśmiechnął się przeproszająco i wcisnął ręce w kieszenie.

- No to mamy remis w mistrzostwach sarkazmu - nachylił się i niezręcznie cmoknął
Margot w policzek. - Naprawdę cieszę się, że cię widzę, Margot - powiedział.

Uśmiechnęła się i przeniosła wzrok na Theo. Nagle zrozumiała, że jego nad wiek
rozwinęte poczucie humoru i fizyczna dojrzałość są konsekwencjami tego, iż musiał
przedwcześnie dorosnąć. Margot zastanawiała się teraz, czy to się stało z jej winy.

Theo nadal stał obok. Wyraźnie czegoś chciał. Toby spojrzał na niego.

- Posłuchaj, młody człowieku, masz być z powrotem nie później niż o dziesiątej,
jasne? - zerknął na Margot z wyrazem twarzy, który mówił: „Staram się dać mu trochę
swobody”.

Theo zasalutował.

- Spoko. Nara, tato. Pa, mamó.

Zmierzał w kierunku drzwi.

- Kocham cię, synu - zawołał za nim Toby.

- Ja też cię kocham.

Trzasnęły drzwi.

Kiedy Theo wyszedł, niezręczność, która zapanowała między pozostałymi w salonie
Margot i Tobym, stanowiła ostry kontrast ze spotkaniem Jamesa, Gai i moim w jadalni. Kiedy
Margot i Toby siedzieli sztywno w przeciwległych końcach pokoju, ostrożnie krążąc wokół
bezpiecznych tematów do rozmowy, James, Gaja i ja przekrzykiwaliśmy się nawzajem,
wymieniając nowiny. Po dłuższej chwili wreszcie umilkliśmy, spojrzeliśmy po sobie i
wybuchnęliśmy śmiechem. Oni stali się moją rodziną, tęskniłam za nimi każdego dnia. Nawet
przeklinałam siebie za to, że zachęcałam Margot do przeprowadzki w tak odległe miejsce,
choć widziałam, że jej stosunkom z Tobym wyszło to na dobre. Nagle okazało się, że po
starych ranach wojennych zostały tylko małe draśnięcia na ich wzajemnych relacjach.
Byli dla siebie uprzejmi i oboje cieszyli się z towarzystwa kogoś znajomego, kogoś, kogo
kiedyś kochali.

Najbardziej z nich wszystkich chciałam porozmawiać z Jamesem. Gaja opowiedziała mi o zajęciach Toby'ego, zrobiła to głównie z powodu moich upartych pytań byłej żony o jego życie uczuciowe, które, jak miło było mi słyszeć, nie istniało. Wreszcie zwróciłam się do Jamesa.

- Bądź ze mną szczery - poprosiłam. - Czy cokolwiek z tego, co zrobiłam, spowodowało zmiany w życiu Theo? Wygląda gorzej niż wtedy, kiedy Margot odeszła.

James wpatrywał się w podłogę.

- W takich sprawach musimy chyba wykazać się dużą cierpliwością.

Spojrzałam na Gaję.

- Toby jest dobrym ojcem - powiedziała. Zabrzmiało to, jakby bardzo chciała mnie pocieszyć. - Kontroluje sytuację. A James jest najlepszym aniołem, jakiego dziecko może sobie życzyć - klepnęła Jamesa w nogę. - Theo czasami reaguje na obecność Jamesa, a to dobrze. Zdarza się, że kiedy James mówi do niego we śnie, Theo odpowiada.

Patrzyłam na Jamesa zdumiona.

- To fantastycznie! - powiedziałam. - Co mówi?

James wzruszył ramionami.

- Powtarza słowa piosenek Megadeth, tabliczkę mnożenia przez dwanaście, czasem jakąś kwestię z odcinka *Batmana*.

Gaja i James znowu zaczęli się śmiać. Ja też się śmiałam, ale w głębi duszy czułam się przygnębiona. Wciąż nie było dowodów na to, że ktokolwiek skorzystał na tym, co zrobiłam, a i tak będę musiała za to zapłacić.

Nic się nie poprawiło. Theo wrócił do domu po północy, w świąteczny poranek spał do późna, a potem, pod pretekstem pójścia po grę Sega, którą zostawił u Harry'ego, wymknął się na resztę popołudnia. Sześć dni później, kiedy zbliżał się czas powrotu Margot do Sydney, udało jej się przeprowadzić aż sześć rozmów z Theo, których przebieg był mniej więcej taki:

Margot: Hej, Theo, słyszałam, że pojutrze Knicksi grają mecz, chcesz iść?

Theo: Uhm.

Margot: Synu, to naldejka czy prawdziwy tatuaż?

Theo: Yhm.

Margot: Theo, jest pierwsza w nocy. Tata powiedział, że masz być o dziesiątej. Jaka była umowa?

Theo: Hym.

Margot: Do widzenia, Theo. Przyślę ci bilet i... hm... pogadamy, dobrze?

Cisza.

Gaja i James zapewnili mnie, że zrobią wszystko co w ich mocy, żeby ochronić Theo przed Iosem, który ukazała mi Nan. Ale kiedy Margot latem ponownie przyjechała do Nowego Jorku, Theo miał za sobą następnych pięć pobytów w szpitalu z powodu nadużywania substancji odurzających. Poza tym był już aresztowany. A miał dopiero trzynaście lat.

Wciąż od nowa opowiadałam Margot o izbie zatrzymań.

- Pamiętasz - pytałam - pamiętasz, co powiedziałam ci w Riverstone?

A potem wciąż od nowa wymieniałam te straszne rzeczy, których doświadczył Theo, tyle razy płakałam, a James podchodził i obejmował mnie. Kiedyś powiedział mi, że jego skrzydła przyniosły wiadomość, że wszystko, co spotkało Theo, ostatecznie sprawi, że stanie się człowiekiem, którym miał się stać, że to wszystko wyjdzie mu na dobre.

Nie mogłam mu powiedzieć, że widziałam wyraźnie, kim Theo ma się stać. Grogor dopilnował, żebym zobaczyła wstrząsający obraz Theo jako dorosłego człowieka.

I wtedy nastąpił przełom.

Powtarzałam się po raz pięćdziesiąty, kiedy Margot nagle przerwała mi w pół zdania. Ona i Theo siedzieli przy stole w kuchni, obierając jajka i smarując masłem grzanki.

- Theo - powiedziała w zamyśleniu. - Czy kiedykolwiek opowiadałam ci, że spędziłam osiem lat w sierocińcu?

Zmarszczył brwi.

- Nie...

- Och.

Ugryzła grzankę. Theo gapił się na nią.

- Dlaczego byłaś w sierocińcu?

Zastanawiała się, przeżuując.

- Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że moich rodziców zabiła bomba.

- Bomba?

- Taak, tak myślę. Nie pamiętam dokładnie. Byłam mała. Miałam tyle lat co ty, kiedy wreszcie uciekłam z sierocińca.

Ciekawość Theo została rozbudzona. Wpatrzony w stół, szybko zadawał kolejne pytania.

- Dlaczego uciekłaś? Nie złapali cię?

A ona opowiedziała mu, nie szczędząc szczegółów, o swojej pierwszej próbie ucieczki, która skończyła się pobiciem, na skutek czego o mało nie umarła. O tym, jak została zamknięta w Grobowcu - i tu Theo zażyczył sobie, aby z najdrobniejszymi szczegółami

odtworzyła grozę tamtego miejsca - jak uciekła po raz drugi, jak została złapana, i o tym, jak prosto w twarz rzuciła Hildzie pytanie o Marnie.

Theo patrzył na swoją mamę szeroko otwartymi oczami.

Zapytaj go o izbę zatrzymań, powiedziałam jej.

Zwróciła się do niego.

- Wiesz, Theo, to nie był pierwszy raz, kiedy ktoś mnie bił. Ani ostatni.

Wspomnienie Setha opanowało jej umysł, jej oczy napełniły się łzami. Pomyślała o dziecku, które straciła. James podszedł do Theo i objął go.

- Theo - powiedziała bardzo poważnie, przysuwając twarz bliżej jego twarzy. - Wiem, że w tej izbie zatrzymań przytrafiły ci się złe rzeczy. Muszę wiedzieć, co się stało, bo, Bóg mi świadkiem, synu, dowiem się, kto to zrobił, i zabiję go, zobaczysz.

Zaczerwienił się. Wpatrywał się w swoje dłonie ułożone płasko na stole, jedna na drugiej. Bardzo powoli zabrał je ze stołu i wsunął pod swoje uda.

A potem wstał i wyszedł z pokoju. Tamte przeżycia sprawiły, że czuł się, jakby było w nim coś bardzo złego. Cios pięścią w twarz albo kopniak w jaja były wytłumaczalne, dało się je nazwać. Ale reszta? Nie było na to słów.

Minął kolejny rok. Theo spędzał mniej czasu w szpitalu, za to więcej w piwnicy u swojego najlepszego przyjaciela, pijąc whisky, wachając klej i paląc trawę. Margot chodziła po swoim mieszkaniu, nie wiedząc, co robić. Wydawało jej się, że jeszcze wczoraj Theo był niemowlęciem, a jego potrzeby były równie proste jak jedzenie i spanie. W krótkim czasie zamieniły się w skomplikowany węzeł, którego nie potrafiła rozplątać ani zawiązać jak należy.

Kit podszedł do niej, kiedy siedziała na balkonie, i pierwszy raz od dawna nalał jej ginu z tonikiem. Skinęłam głową Adoniemu, Aniołowi Stróżowi Kita, jego odległemu przodkowi, który trzymał się z boku.

Uważnie obserwowałam Kita. Pozostał w moim życiu znacznie dłużej, niż się spodziewałam. Tak, udało mi się dokonać zmian, ale czy ze wszystkiego, co zmieniłam, byłam zadowolona? Niezupełnie. W dawnej wersji Kit i ja byliśmy kochankami przez kilka miesięcy, przekonaliśmy się, że wolimy utrzymywać nasze dobre stosunki na polu zawodowym, i każde z nas wróciło do swojego życia. Tamten scenariusz ułatwiał powrót Margot do Toby'ego. Ale teraz, patrząc, jak Margot wylewa swoje żale na Kita, a on po prostu słucha, w odpowiednich momentach kiwając głową, zaczęłam mieć wątpliwości. Może powinna z nim zostać? Może jest dla niej odpowiednim facetem?

- Czy mógłbym jakoś pomóc? - zapytał wreszcie, zamykając jej małą bladą dłoń w swoich dłoniach.

Wysunęła rękę z jego uścisku.

- Po prostu nie wiem, jak sobie z tym poradzić - powiedziała. - Theo postępuje dokładnie tak samo jak ja kiedyś. Jestem hipokrytką, mówiąc mu, co ma robić.

- Nie, nie jesteś - powiedział Kit. - Jesteś jego mamą. Fakt, że to wszystko robiłaś, daje ci jeszcze większe prawo, żeby skopać mu tyłek.

Obgryzła paznokiec.

- Może powinnam tam pojechać...

Kit zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

- Zaproś go tutaj. Pozwól mi go wreszcie poznać.

Upłynęła minuta. Zastanowiła się. Czy jest na to gotowa?

Niedługo potem Theo został odebrany z lotniska w Sydney przez wysokiego Aborygena z poprzetykanymi siwizną włosami splecionymi w cienkie, zaczesane do tyłu warkoczyki i bliznami na twarzy. Przedstawił się jako Kit.

Theo nigdy przedtem nie spotkał Aborygena, nietrudno więc wyobrazić sobie jego reakcję.

Kit zabrał chłopca na parking do swojego zdezelowanego jeepa i kazał mu wskoczyć do środka.

- Dokąd jedziemy? - Theo ziewnął, rzucając plecak na siedzenie obok siebie.

Kit przekrzykiwał huk silnika.

- Kimnij się trochę, koleżko, odpocznij. Będziemy na miejscu, zanim się obejrzysz.

Jechali kilka godzin. Theo zasnął na tylnym siedzeniu, obejmując plecak. Kiedy się obudził, znajdowali się w sercu buszu, niebo mieniło się konstelacjami, wokół śpiewały świerszcze. Jeep stał pod drzewem. Theo rozejrzał się, zapominając na chwilę, że znajduje się w Australii, zastanawiając się, gdzie jest jego mama.

Kit stanął w otwartych drzwiach samochodu. Nie miał już na sobie koszulki polo i spodni khaki. Był rozebrany, obwiązany w talii kawałkiem czerwonego materiału, a na twarzy i szerokim torsie miał wymalowane grube białe okręgi. W prawej ręce trzymał długi kij.

Theo o mało nie wyskoczył ze skóry.

Kit wyciągnął rękę.

- Chodź - powiedział. - Wsiadaj. Jak skończymy, będziesz prawdziwym tubylcem.

Theo cofnął się przed wyciągniętą do niego ręką.

- Jak długo to potrwa?

Kit wzruszył ramionami.

- Jak długi jest kawałek sznurka?

Trzy tygodnie później Theo wracał do domu. Z wyjątkiem czasu spędzonego z Margot nocował pod gołym niebem. Zdarzało się, że budził go wąż, który ocierał się o jego poduszkę, a Kit instruował go przyciszonym głosem, jak przebić gada dzidą i obdrzeć ze skóry. Spędzał dni na rozpalaniu ogniska za pomocą dwóch kawałków suchego drewna, ucieraniu z kamieni i wody papki, którą potem rysował znaki na swojej skórze albo na spodzie wielkiego czarnego liścia.

- Jakie jest twoje Marzenie? - pytał Kit, wciąż od nowa.

Theo kręcił głową i mówił coś w rodzaju: „Chciałbym grać u Knicksów” albo „Chciałbym na Gwiazdkę dostać motor”, a Kit kręcił głową i rysował rekina albo pelikana. „Co jest twoim Marzeniem?”, powtarzał, aż pewnego dnia Theo wziął od niego patyk i papkę i narysował krokodyla.

- To jest moim Marzeniem - powiedział.

Kit pokiwał głową i wskazał na rysunek.

- Krokodyl zabija ofiarę, wciągając ją pod wodę i trzymając ją tam tak długo, aż utonie. Odbiera stworzeniu podstawę przetrwania. - Wskazał patykiem na Theo. - Nie rezygnuj łatwo z walki o przetrwanie. - Teraz - powiedział - skończyliśmy.

Theo spojrział na swój rysunek, na białe ślady na swojej opalanej skórze, na czerwoną ziemię tkwiącą uparcie pod jego paznokciami. Pomyślał o krokodylu. Niezniszczalny. Żywa broń. Taki chciał być.

I do pewnego stopnia kimś takim się stał. Kiedy wrócił do Nowego Jorku, zagłuszał wstrząsy przeszłości za pomocą każdej substancji, która wpadła mu w ręce, każdej bójki, w której mógł wziąć udział. A kiedy Margot przyjeżdżała do domu na kolejne święta, mówiła Theo trochę więcej o sierocińcu i każdego roku prosiła, żeby opowiedział jej o izbie zatrzymań, on jednak zawsze wychodził, gdy o to pytała.

Potem w życiu Margot pojawiła się zmiana, którą powitałam z radością: zapytała Toby'ego, czy nie chciałby zostać klientem jej agencji literackiej. A on się zgodził. Fantastyczny pomysł! Wrzasnęłam. Dlaczego ja na to nie wpadłam? To naprawdę świetne rozwiązanie! I zaczęłam marzyć o tym, że znowu są ze sobą, o tym, że za drugim razem byłoby o wiele lepiej, bardziej chodziłoby o ich miłość, a mniej o delikatne *ego*, wyobrażałam sobie, jaki szczęśliwy byłby Theo, jacy szczęśliwi byłibyśmy my w s z y s c y, może w niebie...

I wtedy, w chwili gdy Margot odłożyła słuchawkę na widełki, w przedpokoju rozległy się kroki.

W drzwiach ukazała się jakaś postać.

- Kit?

Podszedł bliżej, uśmiechając się swoim szerokim białym uśmiechem, z rękami utkwionymi głęboko w kieszeniach.

- Nie miałeś być w Malezji?

Wzruszył ramionami.

- Nie cierpię udzielać wywiadów.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Podniósł ją i zaniósł, krzyczącą, na balkon, a potem powiedział:

- Margot, kochanie. Wyjdź za mnie.

Z bijącym sercem patrzyłam, jak Margot spogląda na ocean. Fale wpadały prosto w objęcia plaży.

I wtedy to zobaczyłam.

Podniosła wzrok na Kita i uśmiechnęła się. Jej aura miała ten sam złoty odcień co aura Toby'ego i płynęła właśnie jak wezbrana rzeka, bogata i pełna prądów, które przez cały Pacyfik niosły serce Margot do Toby'ego.

Ale pokiwała głową.

Nie! Nie!, darłam się, ignorując głos w mojej głowie, który przypominał mi, że obiecałam przestrzegać czterech zasad: *Obserwować. Chronić. Rejestrować. Kochać.* I nie ingerować. Powiedziałam temu głosowi, żeby poszedł do diabła, i prosiłam ją: Nie wychodź za niego, Margot, a ona znowu spojrzała na Kita i powiedziała, marszcząc nieznacznie czoło:

- Kit, cała jestem twoja.

Rozdział 25

BRAKUJĄCY PODPIS

Ku mojemu zadowoleniu, Kit i Margot napotkali pewne trudności w realizacji swoich planów.

Margot nigdy nie podpisała dokumentów rozwodowych. Właściwie ani ona, ani Toby nie mieli pojęcia, co się z nimi stało. Od ich separacji minęło już tyle czasu, że przyzwyczaili się do pewnego rodzaju komfortu związanego z możliwością uniknięcia bólu wywołanego zastosowaniem okropnej etykiety „rozwód” do ich związku, który zarazem jednak przypominał małżeństwo nie bardziej, niż mysz przypomina owoc mango.

Margot przyleciała do Nowego Jorku, żeby o tym porozmawiać. Tak się złożyło, że niedługo przypadały osiemnaste urodziny Theo, więc wykorzystała to jako pretekst do swojej nieplanowanej wizyty. Ale Toby się zorientował w sytuacji. Znał swoją (wciąż jeszcze) żonę równie dobrze jak ulice Manhattanu. No i Margot nie grzeszyła subtelnością. Kamień na jej serdecznym palcu był wielki jak kasztan.

- Ładny pierścionek - powitał ją Toby na lotnisku.
- Lot minął dobrze, dziękuję. Mogłam siedzieć w klasie biznes.

Poszli w milczeniu na parking. Toby otworzył drzwi swojego starego chevroleta. Wsiadli. Za czwartym razem silnik z łoskotem obudził się do życia.

- Kurczę, Tobes, wymienisz kiedyś wreszcie tego grata? Ile on ma już lat?
- Nigdy nie pozbędę się tego samochodu. Każę się w nim pochować, nie wspominałem o tym?
- Pojechaliśmy nim do Vegas, prawda?
- Żeby wziąć ślub.
- Tak. Żeby wziąć ślub.

Po przyjeździe do mieszkania Toby zajął się jakże pilną sprawą parzenia kawy. Nagle najważniejszą rzeczą na świecie stało się zrobienie czegoś gorącego do picia, koniecznie w dokładnie wymyтым kubku. Wywiązywanie się z tego zadania pomagało Toby'emu odwrócić uwagę ich obojga od monstrualnego problemu, który stał między nimi. Rozwodu.

Margot zdawała sobie z tego sprawę. Zrobiło jej się smutno. Liczyła na to, że będzie dzielniejszy. Mogę jednak ręczyć, że gdyby on poczęstował ją zachowaniem pod tytułem

„mam to gdzieś”, rozbeczałyby się jak dziecko. Przeżyli razem wiele lat, podczas których nie byli sobie obojętni. A teraz przyszła pora, żeby zachować spokój i dystans. To będzie wymagało sporo wysiłku.

- Wychodzę za mąż - powiedziała w końcu.
 - Widzę - powiedział Toby do swojej kawy. - Kiedy?
 - Kiedy dostanę... wiesz.
 - Co?
 - To, co zaczyna się na literę „r”.
 - Nie podpisałaś papierów?
 - Nie.
 - Och. Dlaczego?
 - Toby...
 - Naprawdę jestem tego bardzo ciekaw.
 - Nie wiem. W porządku?
- Cisza.
- Kto to jest?
 - Kto?
- Toby zaczął się śmiać. Znowu do swojej kawy.
- Ten facet. Pan Delacroix.
 - Kit. Znany jako K. P. Lanes.
 - Ach. Ten pisarz, klient twojej agencji. Czy to nie jest nielegalne?
 - Nie jest, Toby. W przeciwnym razie nam obojgu groziłoby więzienie.
 - A, tak. Bo wciąż jesteśmy małżeństwem.
 - Tak. Wciąż jesteśmy małżeństwem.

*

Minęło osiem miesięcy od chwili, kiedy Margot ostatni raz widziała Theo. Nastolatek w tym czasie może się zmienić nie do poznania, podobnie jak niemowlę w ciągu pierwszego roku życia. Z niskiego chłopca o żyłastym ciele Theo przeobraził się w rosłego, szerokiego w barach gwiazdora futbolu. Pokrewieństwo Toby’ego z własnym synem nagle wydało się czymś tak niedorzecznym, że sprawa o ustalenie ojcostwa nie byłaby pozbawiona podstaw. Wyobraźcie ich sobie obok siebie: Toby, delikatnie zbudowany mężczyzna o miękkich rysach twarzy, z rozwichrzonymi włosami koloru pszenicy, ze szczupłymi kobiecymi dłońmi, w okularach w kwadratowych metalowych oprawkach wspartych na wąskim rzymskim nosie. I Theo, który musiał się schylić, kiedy przechodził przez drzwi. Miał gruby, kartoflowaty nos,

głęboki jak dźwięk kontrabasu głos (skutek zamięłowania do trawy oczywiście) i kanciasty podbródek. Jego długie włosy tworzyły leniwego, kogucio-czerwonego irokeza. Ubrania - wyłącznie czarne - zwisały i wlokły się za nim. Nawet buty.

- Cześć, mamó - powiedział, kiedy o trzeciej po południu Margot zapukała do jego pokoju i zastała go w łóżku.

Potrzebowała minuty albo dwóch, żeby oswoić się z różnicą w jego wyglądzie, z widokiem bicepsów i tricepsów na jego półnagim ciele, które tak nagle wyciągnęło się w górę. Zauważyła w rogu pokoju ławkę do ćwiczeń. Theo usiadł na łóżku, wyjmując spod materaca butelkę wódki, a potem zamarł na chwilę i przystawił palec do ust.

- Cśśśś - powiedział. - Nie mów tacie.

Widziałam, że chce go zrugać, lecz się powstrzymała. Co mogła zrobić?

Powiedziała więc tylko:

- Cześć, Theo.

I nic więcej.

Ponowne przygotowanie dokumentów rozwodowych zajęło prawnikowi Toby'ego tydzień. Przyglądałam się z okna mieszkania, jak Toby z przygaszoną, poszarzałą aurą niesie pod pachą kopertę. Jego delikatne kości stawały cię coraz słabsze. Z tej odległości wyglądał na nieco więcej niż swoje czterdzieści cztery lata. Gdy się patrzyło na niego z bliska, można się było przekonać, że jego oczy się nie zmieniły.

Przysunął sobie krzesło naprzeciwko Margot i przeczytał dokumenty. Margot obracała swój zaręczynowy pierścionek na palcu.

- A teraz zobaczmy - powiedział Toby, szukając miejsca, gdzie ma podpisać, choć prawnik zaznaczył je wielkim X. - O, tutaj.

Margot obserwowała go. Nic nie mówiła, nie chcąc dodatkowo komplikować i tak już trudnej sytuacji. Duża część niej przypisała wahanie Toby'ego jego nieumiejętności rozstania się z przeszłością. Chevrolet, stare buty, nawet książki, które pisał... to wszystko zakotwiczało go w najszcześniejszych latach jego życia. Kiedy nad tym rozmyślała, przypominałam jej: *Margot, kochanie, jesteś dokładnie taka sama. Tobie również nie udało się zostawić przeszłości za sobą. Jeszcze nie.*

Toby przyłożył długopis do papieru. Mlasnął językiem. Gapił się w ścianę.

- Muszę wyjaśnić jedną sprawę - powiedział.

Umilkł na dłuższą chwilę. Miał na myśli oskarżenie go o romans z Sonyą, ale wyciąganie tego teraz miało mniejsze znaczenie niż rozgrzeszenie, którego potrzebował.

Wreszcie Margot przyszła mu z pomocą.

- Wiem, że nie spałeś z Son.

Długopis upadł na stół.

- Co?

- Spotkałam się z nią - wyjaśniła Margot delikatnie.

- Dlaczego więc...?

- Nie wiem, Toby. Nie pytaj.

Wstał, wepchnął ręce do kieszeni i zaczął chodzić po pokoju. Wreszcie wyszeptał to, co było oczywiste.

- Powinniśmy byli zrobić to wiele lat temu, prawda?

- Tak, powinniśmy.

Znowu spojrzał na dokumenty.

- Ty pierwsza. Potem ja podpiszę i zaniosę te papiery prawnikowi. I będzie po wszystkim.

- Dobrze - teraz przyszła kolej na Margot.

Wzięła do ręki długopis i wpatrywała się w linijkę czekającą na jej podpis. A co, myślałaś, że to będzie łatwe?, zapytałam.

Odłożyła długopis.

- To może poczekać - powiedziała. - Zjedzmy jakiś lunch.

Poszli do swojej ulubionej knajpki w East Village i usiedli na zewnątrz. Sąsiedni stolik okupowała grupa głośno zachowujących się turystów, którzy odwracali uwagę Margot i Toby'ego od przykrych spraw. Ułatwiali rozmowę o tym, jak jest gorąco, jak pomieszały się pory roku, i o tym, czy Margot widziała ten program o globalnym ociepleniu, w którym mówili, że w dwudziestym drugim wieku świat znajdzie się pod wodą. Tam i z powrotem odbijali nad stołem piłeczkę niezobowiązującej, uwalniającej od żalu pogawędki. Rozmawiali o nowej książce Toby'ego. O zębie, którego Margot leczyła kanałowo.

Zapomnieli o dokumentach rozwodowych.

*

Przyszedł do mnie James. Było ciemno. Słyszałam już wyjące syreny wozów policyjnych. James dyszał, miał szeroko otwarte oczy.

- Co się stało? - zapytałam.

Zaczął płakać.

- Theo zabił człowieka.

Chłopak został pchnięty nożem w szyję, a potem pobity tak mocno, że tonął we własnej krwi. Wcześniej Theo dwukrotnie strzelił mu w udo.

- Dlaczego on to zrobił? - wrzasnęłam.

Zanim James zdążył odpowiedzieć, Theo wpadł do mieszkania. Słyszac hałas, Toby i Margot wybiegli ze swoich sypialni. Kiedy zobaczyli Theo, oboje natychmiast pomyśleli, że krew, którą ociekają jego ręce, włosy i ubranie, jest jego krwią. Część rzeczywiście była. Miał złamany nos i głęboką ranę od noża w biodrze. Reszta była krwią zabitego chłopca.

Margot pobiegła po ręczniki i bandaże, żeby opatrzyć jego rany.

- Zadzwoń po pogotowie!

Theo nieporadnie szukał słuchawki telefonu bezprzewodowego, aż wreszcie wyjął komórkę i zadzwonił pod numer 911.

W chwili gdy połączył się z operatorem i podał adres, zza drzwi wejściowych dobiegł głos:

- Otwierać! Policja!

Toby otworzył drzwi i natychmiast został przyciśnięty do ściany, a na jego nadgarstkach zacisnęły się kajdanki. To samo spotkało Margot i Theo. Theo cały czas krzyczał:

- On ją gwałcił! On ją gwałcił!

Rozdział 26

ŚLEPE ZAUFANIE

W mojej pamięci zachowała się nieco inna wersja wydarzeń. Byłam wtedy w Sydney. Sumiennie uczciłam osiemnaste urodziny Theo rozmową telefoniczną i przelewem bankowym, a potem spędzałam czas na czytaniu nowego rękopisu Kita. Byłam w trakcie spotkania z klientem, kiedy Toby zadzwonił z wiadomością o aresztowaniu Theo. Z jakiegoś powodu zbagatelizowałam to, co się stało, jakbym chciała wyprzeć tę wiadomość ze świadomości. Kiedy kilka dni później przybyłam do Nowego Jorku, doznałam szoku na widok raportu policyjnego opatrzonego zdjęciem Theo zrobionym w areszcie. I od samego początku byłam całkowicie przekonana, że to wszystko wina Toby'ego.

Gaja i ja nalegałyśmy, żeby James powiedział nam, co się stało. Zamiast opowiadać, uniósł skrzydła nad głowę. W ich połączeniu powstało coś, co przypominało utworzony z wody niewielki medal zawieszony w powietrzu. Zobaczyłyśmy w nim zapis minionych wydarzeń:

Theo wraca do domu z imprezy urodzinowej w knajpie w centrum miasta odurzony marihuaną i alkoholem. Ma na sobie brudne dżinsy, zakrwawioną koszulkę i podbite oko po kłótni w barze. Poszło o dziewczynę. Zatrzymuje się na rogu bocznej uliczki, żeby zapalić papierosa. Słyszy czyjeś głosy. Kłótnia. Dziewczyna płacze. Facet syczy i przeklina. Potem policzek. Krzyk. Jeszcze jeden policzek, jeszcze jedna groźba. Theo prostuje się i wyraźnie trzeźwieje. Skręca w uliczkę. Widzi bardzo dokładnie nachylonego nad dziewczyną osiłka wpychającego w nią swojego członka. Przez ułamek sekundy widać, że Theo rozważa pójście dalej. Nie chce się wtrącać w cudze sprawy. Wtedy rozlega się krzyk. Kiedy Theo znowu się ogląda, widzi, jak facet podnosi pięść i uderza dziewczynę w twarz.

- Hej! - krzyczy Theo.

Facet się odwraca. Cofa się. Dziewczyna upada na ziemię, jęcząc i przyciągając nogi do klatki piersiowej.

- Co robisz, człowieku? - krzyczy Theo, idąc w jego kierunku.

Facet - blondyn, nieco starszy od Theo, w spranych dżinsach i białej kurtce Knicksów - zapina spodnie i czeka. Gdy Theo znajduje się kilka kroków od niego, wyciąga z kieszeni broń. Theo podnosi ręce do góry i robi krok do tyłu.

- Ło, ło, co robisz, człowieku?

Tamten celuje w twarz Theo.

- Cofnij się albo zrobię ci dziurę w gębie.

Theo patrzy na dziewczynę leżącą na ziemi. Ma spuchniętą i zakrwawioną twarz. U jej stóp zbiera się kałuża krwi.

- Co zrobiłeś tej dziewczynie?

- Nie twój interes - mówi tamten. - A teraz odwróć się jak grzeczny chłopiec albo strzelę ci między oczy.

Theo drapie się po policzkach i gapi na dziewczynę.

- Nie, człowieku. Przykro mi.

- Jak to przykro ci?

Theo patrzy na niego. W jego głowie pojawiają się obrazy z izby zatrzymań. Wspomnienia gwałtu.

- Tak nie wolno - mówi łagodnie. Spogląda na dziewczynę, krwawiącą i drżącą. - Tak nie wolno - powtarza.

Zanim tamten zdaje sobie sprawę, co się dzieje, Theo zamierza się ręką i wyszarpuje mu broń. Celuje w niego.

- Do ściany! - krzyczy. - Odwróć się i stawaj z nosem przy murze albo cię zabiję.

Tamten po prostu się uśmiecha.

- Do ściany!

Facet pochyla się, jego twarz wykrzywia groźba. Z tylnej kieszeni spodni wyciąga nóż i rzuca się na Theo.

Theo opuszcza pistolet i dwukrotnie strzela w jego udo. Facet krzyczy i pada na kolana. Theo patrzy na dziewczynę.

- Dalej, wstawaj, uciekaj stąd - mówi.

Ona wstaje i zaczyna biec.

Theo opuszcza pistolet. Drży. Nachyla się nad facetem, który jęczy u jego stóp.

- Hej, przykro mi, stary, ale nie dałeś mi wyboru...

Nie może powiedzieć nic więcej, bo tamten pakuje mu nóż w udo. Theo krzyczy i instynktownie wyszarpuje nóż ze swojego ciała, ale tamten uderza go w twarz. Theo cofa się i wbija nóż w szyję osiłka. Potem okłada go pięściami. Przestaje dopiero wtedy, kiedy ktoś wzywa policję.

Theo opowiedział to wszystko policjantom. Robią mu badanie moczu. Marihuana, alkohol, kokaina. Tamten był czysty. Jaka dziewczyna? Nikt nie widział żadnej dziewczyny.

Zamordowany był nienotowanym studentem Uniwersytetu Columbia, same piątki w indeksie. Kartoteka Theo jest grubsza od Biblii.

Jak się wtedy czułam? Wściekłość, która napędzała mnie, odkąd dowiedziałam się, przez co przeszedł Theo w izbie zatrzymań, minęła. Tęskniłam za Jamesem. Tęskniłam za Theo. Patrzyłam, jak Margot lamentuje i szlocha, chodząc całą noc po mieszkaniu, i jak Toby usiłuje ją pocieszyć. Na jej pytania: „Gdzie popełniliśmy błąd? Czy to nasza wina?”, Toby odpowiada: „Po prostu poczekaj. Poczekaj na proces. Sprawiedliwość zwycięży. Zobaczysz. Zobaczysz”.

*

Kit przyjechał kilka tygodni później. Pomiedzy nim a Tobym panowała pewna niezręczność. Bez słów zadecydowano, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli Margot i Kit zatrzymają się w hotelu. Zameldowali się w Ritzu, a potem spotkali się z Tobym na kolacji, żeby ustalić jakiś plan.

Toby, wiedząc doskonale, że Kit jest wegetarianinem, zarezerwował stolik dla trzech osób w Gourmet Burger w NoHo.

- Przepraszam - wyszeptała Margot zza menu.

Kit zrobił nieznaczny ruch ręką, mający oznaczać „to nic”.

Patrząc na nich, drżałam jak polna mysz przechodząca przez autostradę. To, co się działo, było skutkiem zmian, które wprowadziłam w ruch, i czułam całkowitą, stuprocentową bezsilność, jakbym widziała staczający się ze wzgórza wagon kolejowy, w którym siedzą wszyscy bliscy mi ludzie.

Margot też zrobiła się nerwowa. Była cicha jak kaplica podczas podniesienia, z nerwów nie mogła jeść. Kit wyczuwał jej wzburzenie i starał się zachować spokój po ich stronie stołu, uśmiechając się nad swoim talerzem z bułką pozbawioną mięsnego środka i sałatą. Traktował Toby'ego z przesadną, absurdalną uprzejmością. Nawet pochwalił jego powieść, wprowadzając Margot w zakłopotanie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Kit współczuł Toby'emu. Ojciec znajdujący się w sytuacji takiej jak Toby wzbudzał u Kita wyłącznie najgłębszą sympatię.

- Dobrze, Kit, pozwól, że przejdę do rzeczy - powiedział Toby, kiedy wino ostudziło już jego zazdrość.

Sięgnął do teczki, którą trzymał na kolanach, i wyciągnął plik dokumentów. Kit splótł palce i popatrzył w zamyśleniu na Toby'ego.

- Margot mówi, że byłeś detektywem - Toby położył papiery na stole, bębniąc po nich palcami. - Nie wierzę, że mój... n a s z syn zabił tamtego chłopaka z zimną krwią. Wierzę,

że ten gwałt wydarzył się naprawdę i że gdzieś tam jest dziewczyna, która może uratować mojego syna przed dożywociem.

Kit pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Toby miał wytrzeszczone oczy. Sprawa Theo pochłaniała wszystkie jego myśli. Nie spał od wielu dni. Margot postanowiła się wtrącić.

- Kit, myślę, że Toby próbuje powiedzieć, iż potrzebujemy twoich usług. Policja nie jest po naszej stronie. Musimy przeprowadzić własne śledztwo, żeby pomóc Theo.

Kit w milczeniu dolał sobie wina. Nie patrząc na nich, powiedział:

- Chcę, żebyście oboje poszli do domu, zdrzemnęli się i zostawili mnie z tymi dokumentami. Muszę im się przyjrzeć. Dobrze? - nachylił się, próbując wyciągnąć papiery spod ręki Toby'ego.

Z jakiegoś powodu Toby nadal je trzymał, przypatrując się Kitowi.

- Toby - powiedziała Margot proszącym tonem i jednocześnie trąciła go nogą pod stołem, pragnąc, aby nie wyładowywał swojego gniewu z powodu kłopotów Theo na jej związku z Kitem.

Kit, wyczuwając atmosferę, uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Może później? - zaproponował.

Toby zabębnił palcami po stole, wyglądał, jakby wszystko się w nim gotowało.

- Chcę, żebyś o czymś wiedział - powiedział, wskazując na Margot palcem - dawno temu obiecałem, że nie pozwolę jej odejść. A teraz ty wywierasz na mnie presję. Chcę, żebyś to wiedział - opróżnił kieliszek i gwałtownie odstawił go na stół, a potem rzucił dokumenty.

Nachyliłam się i objęłam go. A on pomyślał o tym, jak bardzo pragnie, aby ktoś go objął, i zaszlochał. Wypuściłam go z objęć.

Tak jakby nic się nie stało, Kit wyciągnął z wewnętrznej kieszeni okulary do czytania i przejrzał uważnie dokumenty. Po chwili, zdumiony, podniósł wzrok.

- Co jest, wy jeszcze tutaj?

Wstali oboje i skierowali się do wyjścia. Margot wróciła i pocałowała Kita w głowę, a potem wyszła z restauracji w bezkresną noc.

Widok prawie dwumetrowego Aborygena z bliznami plemiennymi na twarzy skłonił kilku zazwyczaj powściągliwych mieszkańców bocznej uliczki do przypomnienia sobie paru szczegółów.

- Mam imię dziewczyny - poinformował Margot i Toby'ego kilka dni później.

Trzepnął notesem o stół i usiadł. Margot i Toby śpiesznie przysunęli sobie krzesła. Gaja, Adoni i ja skupiliśmy się wokół nich.

- Co to za imię? - zapytała szybko Margot.

- Valita. Żadnej rodziny ani żyjących krewnych, o których byśmy wiedzieli. Nastolatka. Nielegalna imigrantka. Ktoś widział ją w okolicy we wczesnych godzinach rannych w dniu morderstwa.

- Masz adres? Jakies nazwisko? - Toby trzął się pod wpływem adrenaliny.

Kit pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale pracuję nad tym.

Adoni, ze swoim niezmiennym grymasem wyrytym na twarzy, podniósł wzrok na Gaję i na mnie.

- Dziewczyna nie jest jeszcze gotowa, żeby zgłosić się na świadka - powiedział. - Widziałem się z jej aniołem.

- Naprawdę? - prawie rzuciłam się na niego ponad stołem.

W tym momencie Margot wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

- Skąd weźmiemy ten adres? To znaczy: czy nie ma jakiejś bazy danych, którą moglibyśmy przeszukać? Nie powinniśmy iść z tym na policję?

Kit pokręcił głową.

- Dlaczego nie? - zapytałam Adoniego i znowu mój głos zabrzmiał równocześnie z głosem Margot, która pytała Kita o to samo.

Kit odezwał się pierwszy.

- To musi zostać między nami, dopóki nie poznamy więcej szczegółów. Jeśli zorientują się, że zaczęliśmy węszyć na własną rękę, będą nas mieli na oku, a to spowoduje, że jakiegokolwiek prywatne śledztwo będzie bardzo trudne. Zaufajcie mi.

W końcu przemówił Toby.

- Zgadzam się z Margot - powiedział. - Wolałbym, żeby zajęła się tym policja.

Kit spojrział na Margot. Założyła ręce i skrzywiła się.

- On ma rację - powiedział Adoni do Jamesa, Gai i mnie. - Z zespołem, który bada sprawę Theo, współpracuje pewien bardzo silny demon. Na razie musimy być dyskretni.

Podeszłam do Margot. Po dłuższym wahaniu powiedziałam jej, żeby zaufała Kitowi. Kiedy mnie usłyszała, rozplakała się. Toby podskoczył obok niej, odruchowo chcąc ją objąć, a potem się powstrzymał. Kit wstał, zerknął na Toby'ego i podszedł do Margot. Przycisnął jej głowę do swojego ramienia i głaskał ją po plecach. Spojrzała na Toby'ego. Ten wepchnął ręce do kieszeni i wyjrzał oknem na wschodzące słońce.

I wtedy - *deus ex machina*.

Toby, Kit i Margot siedzieli przy stoliku w kawiarnianym ogródku nieopodal Washington Park. Nagle Adoni ruszył biegiem na drugą stronę ulicy w kierunku anioła w czerwonej sukni, a potem szybko zaczął machać do Gai i mnie, żebyśmy do niego dołączyły. Anioł - starsza kobieta z Ekwadoru - była wzburzona, choć jednocześnie widać było, że to nagłe spotkanie sprawiło jej ulgę.

- To jest Tygren - przedstawił ją Adoni.

Tygren odwróciła się do nas.

- Byłam tam, kiedy to się stało. Wierzcie mi, nie szczędzę wysiłków, żeby przekonać Valitę do pójścia na policję, lecz to może potrwać. Nie wiem, czy nie będzie za późno.

- Gdzie ona jest? - zapytałam.

- Popatrzcie tutaj - wskazała na małą postać w kapturze siedzącą na parkowej ławce za niskim żywopłotem. - To jest Valita - powiedziała.

Zerknęłam na dziewczynę. Palila papierosa. Jej ręka drżała przy każdym zaciągnięciu się.

- Dlaczego nie poszła na policję? - zapytała szybko Gaja.

- Nie możesz jej przekonać? - spytałam, przerywając Gai. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

Tygren podniosła obie ręce.

- Próbuję - powiedziała. - Ale najpierw musi sobie poradzić z tym, co ją spotkało ze strony zamordowanego chłopaka. Jej rodzinie grozi deportacja. I jest w ciąży.

Znowu spojrzałam na Valitę. Kiedy przyjrzałam się bliżej, dostrzegłam krążące wokół niej cienie wpadające na siebie, a czasem przenikające przez nią. I wtedy głęboko w jej łonie zobaczyłam maleńkie światełko dziecka. Skończyła papierosa i zgmiotła butem niedopałek, a potem skuliła się, okrywając kurtką. Wyglądała, jakby chciała po prostu zniknąć.

Adoni wziął Tygren za ręce i powiedział coś w języku keczua. Tygren uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Valita wstała nagle i zaczęła się oddalać.

- Muszę lecieć! - powiedziała Tygren. - Jeszcze się zobaczymy, obiecuję.

- Jak cię znajdziemy? - zawołałam.

Sekundę później już jej nie było.

Od tego czasu Toby, Kit i Margot spędzali dzień za dniem, krążąc po ślepych uliczkach, a Gaja, Adoni i ja poszukiwaliśmy Tygren.

Boże Narodzenie nadeszło i minęło bez świętowania. W końcu, choć przekonywaliśmy Margot i Toby'ego, aby tego nie robili, namówili Kita, żeby przekazać imię

Vality inspektorowi prowadzącemu śledztwo. Zgodnie z przewidywaniami Kita, inspektor nie był zainteresowany. Żadnych dowodów, żadnych zeznań świadków. Podczas przesłuchań na rozprawie wstępnej podchwyciono wymamrotane przez Theo stwierdzenie, że nie wie, do kogo należał nóż. Mógł być jego. Prokurator rzucił się na to. Podobne noże znaleziono pod łóżkiem Theo. Śledczy odrzucili możliwość, że na miejscu zbrodni była dziewczyna, kiedy wyniki ekspertyzy sądowej potwierdziły ślady krwi tylko dwóch osób. Dzięki Grogorowi nie wzięli pod uwagę faktu, że później tamtej nocy padało. Oskarżenia stawiane podczas przesłuchania rozwścieczyły Theo, którego zachowanie zdecydowanie bardziej pasowało do agresywnego chama niż do niewinnej ofiary.

Gaja, Adoni i ja wciąż szukaliśmy Tygren, która zniknęła bez śladu. Doszliśmy do wniosku, że musiała wyjechać do innego stanu albo wręcz za granicę. Część mnie nie winiła jej za to. Druga część pragnęła zobaczyć Theo i Jamesa, choćby jeszcze jeden raz, chociażby po to, by powiedzieć im, że ich kocham.

Pewnego wieczoru poszłam aż do Rikers Island, przedzierając się przez tłumy demonów, żeby znaleźć Theo w małym, ciasnym i brudnym pomieszczeniu, zaskakująco skurczonego i przytłoczonego ciężarem sytuacji. Kilka cel dalej jakiś więzień wykrzykiwał imię kobiety i groził, że podetnie sobie żyły. Wszędzie widziałam zbrodnie popełnione przez osadzonych. Pojawiały się w ich celach jak równoległe światy, jak duchowe etykiety ich grzechów. Widziałam ich demony. Wszystkie wyglądały dokładnie tak jak Grogor, kiedy go pierwszy raz spotkałam: przerażające, bezwzględne, zawzięte w dążeniu, żeby mnie zniszczyć. Byli tam też aniołowie, głównie mężczyźni, choć zdarzały się również opiekuńcze kobiety, strzegące ludzi, których zbrodnie przyprawiały mnie o mdłości. Pomimo grozy tych czynów aniołowie nadal ich kochali. Wciąż byli troskliwi.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kim był i co robił James w swoim śmiertelnym życiu, ale kiedy zobaczyłam go z Theo, jednego byłam pewna: ten chłopiec, ten sam, którego najchętniej bym odesłała, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, był ulepiony z twardej gliny. Theo miał w celi cztery demony przypominające afrykańskich piłkarzy, ogromne w porównaniu ze szczupłym Jamesem. A jednak siedziały w kącie skulone ze strachu, ośmielając się jedynie od czasu do czasu rzucić pod adresem Theo jakieś szyderstwo. Wyglądało na to, że James miał nad nimi przewagę.

- Co tu robisz? - zapytał James, kiedy się pojawiłam.

Demony Theo natychmiast wstały, żeby mi naubliżyć. Zmierzył je wzrokiem. - Uściskałam go mocno i zerknęłam na Theo, który rozglądał się wkoło.

- Czy ktoś tu jest?

Popatrzyłam na Jamesa.

- Czy on wyczuwa moją obecność?

James pokiwał głową.

- Najprawdopodobniej - powiedział. - Nie będę cię okłamywał, nie jest mu lekko. Ale jak na razie chyba oszczędziliśmy mu najgorszego. Plusem jest to, że docenia, jak dobrze było mu przedtem. Myślał, że jest twardzielem, dopóki nie zamknęli tych drzwi. Teraz snuje plany, co zrobi, kiedy stąd wyjdzie.

- Wciąż więc ma nadzieję?

James pokiwał głową.

- Musi ją mieć. Widok tych wszystkich gości tutaj... cóż, ma motywację, żeby wyjść na wolność, mówię ci.

I tak ich zapamiętałam, Jamesa i Theo, trzymających się razem w jednym z najbardziej ponurych miejsc na ziemi, jak dwaj żeglarze w czasie burzy. Ośmielałam się wierzyć, że jakimś sposobem się stamtąd wydostaną.

Niedługo potem Kit wyjechał, wskutek nalegań Margot. Musiał się zająć promocją swojej książki, a pieniądze się kończyły. Z przyjemnością stwierdziłam, że prawie nie wracali do rozmów o ślubie. Kit widział, jak Margot ponownie dopasowuje się do swojego nowojorskiego życia, do którego on nie należał. W ich apartamencie w Ritzu zaczął sypiać na kanapie. Margot konsekwentnie udawała, że niczego nie zauważyła.

Czekał na nią, kiedy wróciła pewnego wieczoru z mieszkania Toby'ego. Wiedziałam, że rozmawiali wyłącznie o tym, co stałoby się z Theo, gdyby przyznał się do winy, i że wieczór nie był bardziej romantyczny od kolacji w kostnicy, ale Kit wyobrażał sobie co innego. Był zazdrosny. To odbierało mu godność.

- Wydaje mi się, że stajecie się sobie coraz bliżsi ty i Toby - dobiegł z kąta głos Kita, kiedy Margot weszła do pokoju.

Podskoczyła lekko.

- Daj spokój, Kit - powiedziała. - Toby jest ojcem Theo, co według ciebie powinnam robić? Trzymać go z daleka, kiedy nasz syn może zgnieć w więzieniu za morderstwo?

Kit wzruszył ramionami.

- A może powinnaś się z nim przespać.

Zmierzyła go wzrokiem, kipiąc ze złości.

Kit wziął jej milczenie za przyznanie się do winy.

Westchnęłam.

- Powiedz mu, że nic się nie wydarzyło - poprosiłam Adoni.

Pokiwał głową i zaczął szeptać do ucha Kita.

Kit wstał i powoli podszedł do Margot.

- Już mnie nie kochasz? - zapytał.

Ból w jego głosie sprawił, że aż się wzdrygnęłam.

- Posłuchaj - powiedziała po chwili. - To naprawdę jest trudny czas dla wszystkich.

Wracaj do Sydney, jedź promować swoją książkę, a ja dojadę do ciebie za kilka tygodni.

Stał teraz blisko niej z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

- Już mnie nie kochasz? - powtórzył.

Patrzyłam, jak pytania i odpowiedzi krążyły po jej głowie. „Czy go Kocham? Nie. Tak. Nic już nie wiem. Pragnę Toby’ego. Nie. Tak. Nie chcę być sama. Tak bardzo się boję”.

Wybuchnęła płaczem. Wielkie, długo powstrzymywane łzy trysnęły na jej dłonie, potem na pierś Kita, który przytulił ją do siebie.

W końcu zrobiła krok do tyłu i otarła łzy.

- Obiecuj mi, że wrócisz do domu - powiedział miękko Kit.

Popatrzyła na niego.

- Obiecuję, że wrócę do domu - powiedziała.

Nachylił się i pocałował ją w czoło. Kilka minut później już go nie było.

Powinnam się cieszyć. Kiedy jednak patrzyłam, jak Margot przypuszcza atak na barek i spędza bezsenność, tonąc we łzach i winie, niczego nie byłam pewna. Nie wiedziałam już, co było dla niej dobre. Modliłam się więc.

Następnego dnia szłam za nią do mieszkania Toby’ego, nie przestając rozglądać się bacznie za Tygren. Margot zapukała do drzwi, ale okazało się, że były już otwarte. Czekał na nią.

Stał przy oknie i patrzył na ulicę gotów rzucić się w dół na każdą młodą kobietę, której wygląd odpowiadał rysopisowi Vality. Spędził tak wiele dni otulony w swój stary sweter z owczej wełny, zapominając o jedzeniu i piciu i obserwując przechodniów - aż jego spojrzenie stawało się nieobecne. Przyglądając mu się teraz, Margot przypomniała sobie tamtą noc na rzece Hudson, tych kilka sekund, kiedy siedziała sama w łodzi, czekając, aż Toby wypłynie na powierzchnię. Teraz robiła to samo. Czuła się dokładnie tak samo zdenerwowana i, ku swojemu zaniepokojeniu, tak samo zakochana.

- Wracam do Sydney - powiedziała.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Oczy piekły go z braku snu. Oszołomiony, grzebał w pamięci wśród możliwych odpowiedzi. Wreszcie wyszukał właściwe słowo.

- Dlaczego?

Westchnęła.

- Muszę zająć się swoimi sprawami, Toby. Niedługo znowu przyjadę. Lecz teraz muszę... Na nic się tu nie przydam.

Pokiwał głową.

Uśmiechnęła się słabo i zaczęła zmierzać w kierunku wyjścia.

- Nie podpiszesz dokumentów?

Zatrzymała się w pół kroku.

- Zapomniałam. Zrobię to teraz.

Podeszła do stołu i usiadła. Toby wyjął dokumenty z szuflady w kuchni i położył przed nią.

- Masz długopis?

Podał jej.

- Dziękuję.

Gapła się na kartkę.

Powoli, bardzo powoli Toby położył dłoń na jej dłoni. Spojrzała na niego.

- Toby.

Nie puścił. Zamiast tego pociągnął ją delikatnie, aby wstała, i objął ją w talii. Spojrzała mu w oczy, które wyglądały jak jesienne liście. Od bardzo, bardzo dawna nie byli tak blisko siebie. A potem nachylił się i pocałował ją.

Odepchnęła go. On nachylił się znowu.

Tym razem już go nie odepchnęła.

Rozdział 27

BŁĘKITNY KLEJNOT

W tym miejscu powinnam wspomnieć, że z powodu dezorientacji i wyrzutów sumienia, które poczułam, widząc, że tak obiecujący związek Margot z Kitem się rozpada, omal nie porzuciłam swojego wspaniałego planu, który miał sprawić, że Margot wróci do Toby'ego. Zapewniam, to nie moja wina, że tak się stało. To nie ja zburzyłam jej relację z Kitem. Przeciwnie, przysięgam, że będę się trzymała z boku i pozwolę jej podejmować własne decyzje.

Również teraz, w tym krytycznym momencie, włożyłam wiele wysiłku, żeby się opanować i znowu nie wkroczyć, aby przechylić szalę na swoją stronę.

Margot położyła dłonie na piersi Toby'ego i odsunęła się.

- Co robisz, Toby?

Przyjrzał jej się uważnie i uśmiechnął się.

- Żegnam się - cofnął się, podniósł długopis ze stołu i podał go jej. - Miałaś to właśnie podpisać.

Spojrzała na długopis, a potem znowu na Toby'ego. I kiedy tak patrzyła, nie widziała Toby'ego, który przeszedł ciężkie próby w ciągu wielu lat trwania ich małżeństwa i procesu ich syna. Zobaczyła Toby'ego, o którym myślała, że utonął, Toby'ego, którego nigdy, przenigdy nie chciała stracić.

- Muszę się zastanowić - powiedziała, odkładając długopis.

- Nie rób tego, Margot - zawołał zza jej pleców. - Nie zostawiaj mnie z tym wszystkim, jak gdyby nigdy nic, odlatując na antypody.

Obejrzała się w przedpokoju.

- Jutro mam samolot. Wracam do hotelu.

- I... tyle? - zapytał Toby ze złością. - Nawet nie podpiszesz dokumentów rozwodowych?

Cisza. Potem podeszła do niego, wzięła z jego ręki dokumenty i długopis i nabazgrała swoje nazwisko.

Wręczyła mu je bez słowa.

W hotelu wzięła długą kąpiel. Kiedy odtworzyła w pamięci tamten pocałunek, nad jej głową pojawił się pewien obraz. Z początku przypominał horror, potem komedię, aż wreszcie Margot zanurzyła się głębiej w wodzie i zastanowiła się nad tym, co rzeczywiście się wydarzyło. I jak się wtedy czuła. Tak jak w domu. Czuła spokój.

Wyskoczyła z wanny na dźwięk telefonu.

- Ma pani gościa - oznajmił recepcjonista. - Pan Toby Posłusny. Czy może wejść?

Zawahała się. Tak, podsunęłam jej, a serce biło mi jak szalone.

- Dobrze - powiedziała.

Miałam wrażenie, że biorę udział w scenach, które wycięto z filmu podczas montażu. Wróciłam myślami do tamtego okresu mojego życia, kiedy samotnie zatrzymałam się w hotelu podczas rozprawy wstępnej Theo. Do spotkań z Tobym przepełnionych goryczą rozmów o porach odwiedzin czy dacie następnego przesłuchania Theo. Teraz wszystko wydawało się nowe, a ja nie miałam pojęcia, co będzie dalej.

A potem pomyślałam o swojej śmierci. Wiązały się z nią mgliste wspomnienia, wydarzyła się tak nagle. Pistolet przystawiony do mojej głowy? Jak to jest umrzeć? Czy to na mój sygnał został naciśnięty spust? Nie miałam pojęcia. Obrabowano mnie z tego świata szybciej, niż zrobiłby to kieszonkowiec na Manhattanie. W jednej minucie byłam w pokoju hotelowym, w następnej stałam nad własnym ciałem, a ułamek sekundy później rozmawiałam już z Nan w zaświatach.

Margot owinęła się białym szlafrokiem i otworzyła drzwi. Toby stał w nich przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Zaprosiła go do środka.

- Dlaczego przyszedłeś, Toby?

- Zapomniałaś o czymś.

- Tak?

- Uhm.

Gapiła się na niego, a potem, zirytowana, wyrzuciła rękę w powietrze.

- O czym zapomniałam?

Zmusił ją, żeby spuściła wzrok.

- Zapomniałaś, że masz męża. I dom. Och, i syna.

- Toby... - opadła na łóżko.

Ukląkł przed nią i otoczył dłońmi jej twarz.

- Jeśli poprosisz, żebym przestał, przestanę. Obiecuję.

Pocałował ją. Nie poprosiła, żeby przestał.

To nie fakt, że powiedział „kocham cię”, sprawił, że skakałam z radości, ani jej „ja też cię kocham”, ani to, że się kochali. Tylko to, że po wielogodzinnej rozmowie w łóżku o przeszłości, a potem o przyszłości, wśród zgiełku dochodzącego z parku za oknem, w świetle sztucznych ogni puszczanych z okazji chińskiego Nowego Roku, postanowili spróbować jeszcze raz.

I kiedy muzyka i wystrzały zaśmiecały powietrze w całym mieście, aura Margot płonęła złotem, a światło wokół jej serca pulsowało. Gaja i ja padłyśmy sobie w objęcia, a ja płakałam, błagając ją, aby powiedziała mi, że nie śnię. Że to wszystko naprawdę się dzieje.

Długo leżeli w łóżku przytuleni, w milczeniu splatając i rozplatając palce, tak jak przed laty w nędznym mieszkanku Toby’ego na poddaszu w West Village.

- Która godzina? - Toby wychylił się, żeby spojrzeć na zegarek.

- Jedenasta. Dlaczego pytasz?

Podskoczył i naciągnął koszulkę.

- Dokąd idziesz? - zapytała, wstając. - Powiedz mi, że nie idziesz do domu.

- Idę do domu - rzucił się do przodu i złożył pocałunek na jej czole. - Ale zaraz wrócę.

- Po co idziesz do domu?

- Po mój telefon - powiedział. - Co, jeśli któryś z inspektorów zadzwoni w sprawie Theo? Nie mają jak się ze mną skontaktować.

Toby zerknął na Margot leżącą w łóżku, przytuloną do poduszki. Uśmiechnął się.

- To nie potrwa długo - zawahał się i popatrzył na nią bardzo poważnie.

Po raz pierwszy od wielu, wielu lat zobaczyłam formujący się wokół niego lód. Jego lęk.

- Zaczekasz na mnie, prawda?

Margot roześmiała się.

- Tobes, dokąd miałabym pójść?

On wciąż jej się przyglądał.

- Tak - powiedziała. - Zaczekam.

Wyszedł.

Pomyślałam, że nie mam wspomnień o tym, jak umarłam, ponieważ gdzieś pod koniec swojego życia stanęłam na rozstaju dróg. I kiedy ja wybrałam jedno rozwidlenie, Margot wybrała drugie. A pomiędzy obiema ścieżkami istniała zależność, której nie widziałam. W jakiś sposób splatały się ze sobą, żeby doprowadzić mnie do końca. A teraz, kiedy już zobaczyłam, dokąd mogła prowadzić druga ścieżka - do nowego życia z Tobym, małżeństwa, które mogło tym razem się udać - nie chciałam, żeby się skończyła.

I dlatego nie mogłam się z tym pogodzić, kiedy z moich skrzydeł nadchodziły wiadomości: *Niech tak będzie, niech tak będzie*. Nie mogłam.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczyłam.

- Obsługa hotelowa, proszę pani - powiedział głos za drzwiami.

Kiedy Margot je otworzyła, byłam przygotowana. Stojący przed nią młody mężczyzna z tacą przyjrzał się Margot, potem postawił tacę na łóżku i wyszedł, nie oczekując napiwku.

Margot wskoczyła pod prysznic, a ja sprawdziłam, czy na korytarzu nie ma demonów. Gdzieś tam czaił się Grogor. Czułam to.

Kiedy Toby wrócił do swojego mieszkania, pod drzwiami znalazł wiadomość. Mało brakowało, a nie zauważyłby jej. Wygrzebał z kuchennej szuflady komórkę oraz ładowarkę, ochlapał policzki wodą po goleniu i przyjrzał się swoim zębom, zgarnął jakieś czyste ubrania i wyszedł z powrotem do Margot. Wtedy ją zobaczył.

Biała koperta. Bez nazwiska i adresu. Rozerwał ją. Wygnieciona kartka zapisana dzieciennym pismem:

Panie...

Piszę, żeby powiedzieć, że przykro mi z powodu pana syna. Jestem tą dziewczyną, o której on mówił gazetom. Z powodów, których nie mogę tu wyjaśnić, nie chcę być rozpoznana. Zadzwoń i możemy porozmawiać, nie chcę wysyłać niewinnego człowieka do więzienia.

To, co mówi pana syn, jest prawdą.

V.

Toby wybiegł na korytarz. Starsza pani O'Connor z mieszkania naprzeciwko wracała właśnie z wieczornego spaceru. Toby złapał ją jak człowiek opętany.

- Pani O'Connor, czy widziała pani kogoś pod moimi drzwiami dziś wieczorem?

Gapła się na niego.

- Hm, nie, kochany, raczej nie...

Rzucił się do innych drzwi i zaczął w nie walić. Otworzyły się po kilku minutach. W środku dudniła muzyka. W drzwiach stał pijany chiński nastolatek.

- Szczęśliwego Nowego Roku, człowieku!

Nie było sensu go o cokolwiek pytać. Toby wbiegł z powrotem do swojego mieszkania. Drżącymi rękami złapał list i przeczytał go kilka razy. Potem zadzwonił pod 911, modląc się, żeby Margot dotrzymała słowa. Żeby zaczekała.

Dotrzymała. Zjadła kaczkę w polewie morelowej na ryżu imbirowym i wypła połowę firmowego wina. Zastanawiała się, co dalej. Zastanawiała się nad tym, co by chciała, żeby wydarzyło się dalej. I wróciła do swoich marzeń sprzed tak wielu lat: dom z drewnianym płotkiem. Toby pisze. Theo jest wolny.

Może to wszystko jest na wyciągnięcie ręki.

A ja odchodziłam od zmysłów, patrząc, jak marzy i znowu się zakochuje, jak jej ciało rozjaśnia płomień nadziei, jak uspione przez lata światelko wokół jej serca pulsuje teraz i rozszerza się wokół niej niczym biała oślepiająca elipsa. Bo jednocześnie odbierałam wiadomości: *Niech tak będzie. Niech tak będzie.* Myślałam, że oszaleję, kiedy przypominałam sobie, co zobaczyłam zaraz po śmierci: własne ciało leżące na tym łóżku, w tej pościeli, z twarzą unurzaną we własnej krwi.

Nie wpuszczaj nikogo do środka, powiedziałam jej. Czy to możliwe, żeby Toby mnie zabił, zastanawiałam się. Czy to był Toby? Czy to był Kit? Valita? Sonya? Śpiewałam pieśń dusz. Wyjdź stąd! Wyjdź!, mówiłam jej. Ktokolwiek miał wejść tymi drzwiami, wiedziałam, że zamierza ją zabić. Wreszcie powiedziałam jej: Wyjrzyj oknem, popatrz na święto. Jest chiński Nowy Rok. Rok Węża. Patrz, jest nawet parada, platformy w kształcie węża. I sztuczne ognie. Właściwie to może idź na dół popatrzeć. Obejrzyj to sobie.

Podniosła kieliszek z resztką wina i podeszła do okna, żeby wyrzec na park. Poniżej zobaczyła tłum ludzi. Przez park sunęła parada. Sztuczne ognie z szelestem frunęły w niebo, zagłuszając wystrzeliwane tu i ówdzie w powietrze odświętne salwy. Prawie północ. „Och, Toby - pomyślała. - Dlaczego nie możesz tu być, żeby to zobaczyć”. Powiedziałam jej, żeby zamknęła drzwi na klucz. Ale ona roześmiała się i odegnała tę myśl.

Nadeszła północ.

Z zestawu głośników w dole rozległo się uderzenie zegara. Jeden... Margot przyciska dłoń do parapetu, patrzy w dół. Dwa... Na drugim końcu miasta Toby rezygnuje z czekania na taksówkę i biegnie do hotelu. Trzy... Spoglądam w dół na błękitny kamień na mojej szyi. Co takiego miałam na szyi, kiedy znaleziono moje ciało? Szafir kaszmirski? Cztery... Margot podnosi kurtkę Toby'ego i okrywa nią ramiona, chroniąc się przed zimnem. Pięć... W parku poniżej ktoś z wiwatujących strzela z pistoletu w niebo. Sześć... Widzę to. Widzę w ciemności zabłąkany pocisk. Widzę go tak, jak wy możecie zobaczyć rzuconą w waszą stronę monetę albo piłkę uderzoną rakieta. Widzę, jak leci prosto w kierunku okna. I w nagłym przebłysku zdaję sobie sprawę, że mogę go dosięgnąć. Powstrzymać go. A potem wiadomość w moich skrzydłach: *Niech tak będzie.* Siedem... Dlaczego? Pytam głośno. Osiem... *Niech tak będzie.* Dziewięć... Toby wchodzi do holu hotelowego. Wali w przycisk windy. Dziesięć...

Zamykam oczy. Jedenaście... Pocisk trafia Margot blisko serca. Dwanaście... Ona upada do tyłu, dysząc przez chwilę, patrząc mi prosto w oczy, kiedy nachylam się nad nią, przytulając ją, płacząc i mówiąc, że wszystko jest w porządku, w porządku, już po wszystkim. A potem ona patrzy na mnie i wyciąga rękę. Chwytam jej dłoń.

Jesteśmy jednością.

Rozdział 28

DROGA WŚRÓD WZGÓRZ

Z rolą anioła wiąże się intymność właściwa *sacrum*. Będąc człowiekiem, nie potrafiłabym spojrzeć na swoje anielskie obowiązki inaczej niż przez pryzmat podglądactwa i niezręczności z powodu pogwałcenia czyjejś prywatności. Tylko anioł może zrozumieć, jak bardzo ten rodzaj ochrony opiera się na współodczuwaniu, jak delikatna jest ta więź. Tylko anioł może zrozumieć, czym naprawdę jest śmierć.

Wstałam i spojrzałam na Margot, ponownie doświadczając wszystkiego, co czułam za pierwszym razem natychmiast po swojej śmierci. Szok na widok własnego martwego ciała. Przerażenie na myśl, co to oznacza. Jednak tym razem to akceptowałam. Wyciągałam rękę, żeby pogłodzić jej policzek, ale nie dlatego że ona była mną. Robiłam to z myślą, że doszłam do końca drogi śmiertelności. Żegnałam się z Margot.

Nan przyszła tuż przed przybyciem Toby'ego. Podejrzewam, że z litości. Wiedziała, że nie mogłabym znieść jego widoku w chwili, gdy wchodzi do pokoju hotelowego czerwony na twarzy, z bijącym sercem i znajduje ciało. Wystarczająco trudne było wyobrażanie sobie tego. Nan kazała mi iść za sobą, i to szybko.

Patrząc poprzez niewyraźną plamę łez, nachyliłam się w kierunku kurtki Toby'ego na krześle i wciągnęłam nosem jego zapach. Czułam silną potrzebę pozostawienia czegoś za sobą, może wiadomości, jakiegoś sygnału, że nawet jeśli to mało prawdopodobne, iż kiedykolwiek go znowu zobaczę, zawsze będę go kochała. Ale nie mogłam zrobić nic poza powolnym odejściem w noc śladem Nan.

Znowu znalazłam się w ciemnej, wilgotnej ciszy więziennej celi Theo, tuż obok niego. Siedział po turecku na podłodze i rysował. Pod nosem nucił cicho melodię, która brzmiała bardzo podobnie do pieśni dusz. James stał przy oknie w świetle księżyca. Podeszedł do mnie i objął mnie.

- Mam wieści - powiedział, ściskając moje dłonie. - Tygren przyszła się ze mną zobaczyć. Jest pewna, że teraz uda jej się przekonać Valitę, aby zaczęła mówić.

Zamknęłam oczy i odetchnęłam z ulgą.

- To cudownie - powiedziałam. I rozplakałam się.

- Co się stało? - zapytał James.

Popatrzyłam na Theo. Nie wiedziałam, kiedy go znowu zobaczę ani czy go w ogóle zobaczę. Próbowałam wytłumaczyć to Jamesowi, lecz z mojego gardła wydobyła się tylko seria pisków o wysokich częstotliwościach, aż w końcu poprosił Nan o wyjaśnienie. Ona po prostu pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że to nie jest jej zadanie. Przykucnęłam i objęłam Theo. Na sekundę podniósł głowę, zdając sobie sprawę, że powietrze wokół niego się zmieniło. A potem wrócił do rysowania. Pokrywał łupkową podłogę kredowymi krokodylami.

- Musimy iść - ponagliła mnie Nan.

James spoglądał to na Nan, to na mnie.

- Dokąd idziesz? - spytał.

- Margot nie żyje - odpowiedziałam, ocierając oczy i biorąc głęboki oddech. - Przyszłam pożegnać się z tobą i z Theo. - Tak wiele miałam do powiedzenia. - Chcę, żebyś wiedział, że nie ma na tej ziemi absolutnie nikogo, komu bardziej bym ufała w kwestii opieki nad Theo niż tobie - uśmiechnęłam się i odwróciłam się, zmierzając do wyjścia.

- Poczekaj - James zrobił krok do przodu, był poważny. - Tylko... poczekaj, Ruth - zerknął na Nan. - To jest ważne. To zajmie zaledwie sekundę - wziął mnie za rękę i przyjrzał mi się uważnie. - Wiesz, nigdy mnie nie zapytałaś, kim byłem przedtem ani dlaczego jestem aniołem Theo.

Zamrugałam.

- Kim byłeś?

Chwilę wytrzymał moje spojrzenie.

- Byłem tym diamentem, którego nie udało ci się uratować - powiedział. - Jestem twoim synem.

Cofnęłam się o krok, spoglądając to na niego, to na Theo: I wtedy dostrzegłam podobieństwa pomiędzy nimi narzucające się jak właśnie odkryte prawdy: wyzywająca szczeka, silne kwadratowe dłonie. I przypomniałam sobie, jak patrzyłam na dziecko w łonie Margot, dziecko Setha, o tym, co czułam, kiedy je straciłam, o zagubieniu, o niewiedzy, co się naprawdę stało. Jak zastanawiałam się w każde jego niedoszłe urodziny, jakie byłoby moje życie, gdyby ono żyło.

A teraz je spotkałam.

- Mamy mało czasu - ostrzegła mnie Nan stojąca za moimi plecami.

Podeszłam znowu do Jamesa i mocno go uścisnęłam.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- A czy to by naprawdę cokolwiek zmieniło? Tak czy inaczej, jesteśmy rodziną.

Odwrócił się do Theo.

- Pewnego dnia spotkamy się jako bracia.

Popatrzyłam na nich obu, człowieka i jego anioła. Moich synów.

Ucałowałam Jamesa i zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej, już go nie było.

*

Nan i ja przybyłyśmy do doliny z jeziorem, tym samym, nad którym spotkałyśmy się po raz pierwszy. Miałam dziwne poczucie symetrii. Prawie spodziewałam się, że znowu wepchnie mnie do jeziora i wyśle na ziemię po raz trzeci. Zamknęłam oczy i poczułam wilgotną ziemię pod stopami, długą trawę między palcami. Przygotowywałam się na to, co miało nadejść. Przed sobą znowu zobaczyłam drogę wijącą się wśród zielonych wzgórz i moje serce zamarło. Domyślałam się już, dokąd prowadzi.

- Czy teraz pójdę do piekła? - zapytałam drżącym głosem.

Przystanęła, wpatrując się we mnie.

Minęło kilka minut.

- Nan?

Wreszcie Nan przemówiła.

- Teraz musisz przekazać Bogu swój dziennik, Ruth.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła w kierunku jeziora.

- Nie - powiedziałam, kiedy doszłyśmy do linii wody. - Więcej tam nie wejdę. Nie ma mowy, szefie.

Zignorowała mnie.

- Połóż swój dziennik na wodzie. Przekaż go Bogu. Teraz należy do Niego.

- Jak mam to zrobić?

- Cóż, wiem, że to ci się nie spodoba, ale musisz się zanurzyć. Obiecuję, że nie utoniesz.

Weszłam do wody, trzymając ją mocno za ręce. W tej samej chwili płynące po moich plecach strumienie rozwinęły się jak dwie wstęgi mające początek na powierzchni mojej skóry i utworzyły na powierzchni wody sieć zielonych zmarszczek. Wśród tych zmarszczek zobaczyłam obrazy Margot, Toby'ego i Theo, obrazy wszystkiego, co widziałam, słyszałam, czego dotykałam i co czułam. Wszystkiego, czego się bałam i co kochałam, wszystkiego, czemu ufałam. To wszystko niosła ze sobą woda. Jak księża wysłana przed tron Boga.

- Co teraz? - zapytałam. - Czy na końcu tamtej drogi jest piekło?

Wciąż stałyśmy w jeziorze.

- Pamiętasz, co się stało tego dnia, kiedy zapobiegłaś wypadkowi? - zapytała.

- Sprawiałam, że się nie wydarzył.
- A jak tego dokonałaś?
- Myślę, że to ma coś wspólnego z zaufaniem.
- A co się potem stało?
- Moje ciało się zmieniło.

Stała bliżej mnie. Jej suknia łopotała na wodzie.

- Stałaś się serafinem. Najwyższym z aniołów, należącym do armii światła, stojącej pomiędzy niebem a piekłem, mieczem w rękach Boga.

Czym?

- Mieczem w ręku Boga - powiedziała bardzo wolno. - Żywym mieczem. Oddzielającym światło od ciemności. Oto, dlaczego przeszłaś przez najbardziej wstrząsające z doświadczeń. Serafinem można się stać, tylko przechodząc przez oczyszczający ogień. Cierpiąc, jak może cierpieć tylko ten, kto powrócił w roli własnego Anioła Stróża.

Poczułam, że supeł wątpliwości w moim wnętrzu się rozplątuje, aż musiałam na chwilę się schylić. Czułam się jak szarpany silnym wiatrem latawiec. Nan odczekała, aż się pozbieram, a potem mówiła dalej.

- Kiedy wróciłaś jako anioł, przekonałaś się, że w twoim życiu są rzeczy, które możesz zmienić, oraz takie, na które nie masz wpływu. To te wybory określały, dokąd zabierze cię twoje duchowe przeznaczenie. Wszystko, przez co przeszłaś, temu służyło.

- A co z Grogorem? - zapytałam cicho. - I z układem, który z nim zawarłam? Myślałam, że pójdę do piekła.

- Tak mogłoby się stać, gdybyś działała z czysto samolubnych pobudek. Ty postanowiłaś poświęcić swoje własne szczęście dla szczęścia Theo. To pokazało Bogu, że będziesz jednym z Jego największych aniołów. Ale najpierw musisz nauczyć się ufać.

Przytrzymałam się jej, a potem upadłam, dokładnie tak jak wiele lat wcześniej, próbując złapać oddech. Tym razem powodem była jednak ulga, a nie szok. Zerknęłam na drogę wśród wzgórz.

- To nie jest droga do piekła?
- Wręcz przeciwnie.

Kiedy sobie to wszystko poukładałam, spojrzałam jej w oczy i pomyślałam o pytaniu, które płonęło w mojej głowie przez wszystkie te lata, pytaniu, które wyostrzało każde z moich doświadczeń, każdy wymiar mojego żalu.

- Dlaczego musiałam przez to wszystko przechodzić? - zapytałam cicho. - Dlaczego nie wróciłam jako jakiś grzeczny Anioł Stróż starszej wdowy, jakiegoś celebryty albo kogoś,

kto prowadził porządne, ciche życie?... Dlaczego wróciłam jako anioł Margot? Czy to był przypadek?

- Absolutnie nie - powiedziała ostrożnie Nan. - Zostałaś swoim Aniołem Stróżem, ponieważ to był jedyny sposób na ukończenie twojej duchowej podróży. Jedyny sposób, żebyś mogła się stać tym, kim jesteś teraz - odchyliła się do tyłu i uśmiechnęła. - Miecz nie powstaje w wodzie, Ruth. Powstaje w ogniu.

Popatrzyłam na drogę przede mną, na krajobraz wokół mnie. Pomyślałam o Tobym. Czy kiedykolwiek go znowu zobaczę?

Nan ścisnęła moje ramiona.

- Zaufaj - powiedziała. - Zaufaj.

Pokiwałam głową.

- Dobrze - odparłam. - Zróbmy to.

I poprowadziła mnie tam, prosto do drogi, prosto do końca.

Miecz w ręku Boga.

NIEBIAŃSKI MIECZ

Minęło wiele lat, odkąd położyłam swój dziennik na wodzie i pozwoliłam mu odpłynąć. Mam nadzieję, że był ciekawą lekturą. Mam nadzieję, że się przydał.

Od tamtej pory byłam dość zajęta. Moje zadania stały się, można powiedzieć, bardziej międzynarodowe niż podczas mojej pierwszej wycieczki na ziemię w roli anioła. Zapobiegłam dziesiątkom wojen światowych. Byłam wśród serafinów, którzy stali w lodowatych szafirowych wodach Antarktyki, powstrzymując topnienie śniegu, zamieniając go w chmurę i niosąc wysoko w stratosferę, rozłupując skorupę ziemską i pozwalając, aby ocean wlewał się do środka, aż do jej czerwonego serca. Wchodziłam w ciche ośrodki trąb powietrznych - tak, zupełnie jak Dorotka w *Czarnoksiężniku z krainy Oz* - i prowadziłam je obok domów pełnych dzieci, unosiłam bydło, które zostało przez nie wciągnięte, czekając, aż minie niebezpieczeństwo, i odprowadzałam z powrotem. Podczas tsunami podpierałam ściany wody grożące zawaleniem wprost na brzegi nakrapiane hotelami, domami, małymi, niczego nieświadomymi postaciami budującymi na plaży zamki z piasku.

Od czasu do czasu odbieram wiadomość, że tak ma być. Mam przyglądać się, jak tornado zabiera ten dom i tamto życie, mam pozwolić Ziemi się zatrzęść, a potem co najwyżej pozbierać to, co zostało. Przepuścić tsunami. Nie mam pojęcia dlaczego.

Ale tak właśnie robię.

Wciąż widzę Toby'ego. Obserwowałam go, jak obija się po mieszkaniu w swoim znoszonym swetrze i butach dziurawych jak szwajcarski ser, patrzyłam, jak wymienia szkła w okularach na grubsze, a zęby na coraz to większą ilość porcelany. Słuchałam, jak opowiada o mnie na ślubie Theo, mając nadzieję, że przemilczy część o narkotykach, i patrzyłam, jak trzyma na rękach nasze wnuczki bliźniaczki, upierając się, aby jedna z nich otrzymała imię Margot.

I mówię do niego. Opowiadam mu, jak tu jest. Mówię mu, żeby poszedł do lekarza, i to szybko, z tą ręką, z tamtym kaszlem. Albo bólem brzucha. Spoglądam w jego rękopisy i podpowiadam, gdzie brakuje przecinka, gdzie mógłby coś poprawić. Mówię mu, że go kocham.

I mówię mu, że przy nim stoję. Zawsze.

Że czekam.

PODZIĘKOWANIA

Ta część właściwie powinna być zatytułowana *Lukrowana laurka*. Byłby to tytuł najlepiej obrazujący to, co chciałabym przekazać następującym osobom:

Po pierwsze, i przede wszystkim, mojemu mężowi Jaredowi Jess-Cooke'owi. Nie ma na świecie drugiego człowieka, który zachęcałby, chwalił, przekonywał, kochał i wspierał kogokolwiek tak bardzo, jak ty mnie przez cały czas pisania tej książki. Nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności za twoją niezachwianą pewność i wiarę we mnie, za to, że dzięki tobie nasz dom nie zawalił się, kiedy ja pisałam, za czytanie brudnopisów i udzielanie mi najszczerzej i najbardziej wiarygodnej krytyki. Zawdzięczam ci chociażby to, że mogłam dłużej pospać.

Spotkało mnie niebywale szczęście, że trafiłam na tak bystrą, energiczną i naprawdę kochaną agentkę jak Madeleine Buston. Madeleine, milionkrotne dzięki za twoją pasję i wiarę w tę książkę.

Jestem również niebywale wdzięczna Emmie Beswetherick, redaktorce mojej książki, a zarazem towarzyszcze podczas ciąży. Dziękuję ci, Emmo, za wszystkie komentarze i sugestie, dzięki którym książka stała się lepsza, a proces wydawniczy okazał się prawdziwą przyjemnością. Chciałabym podziękować zespołowi New Writing North, a szczególnie Claire Malcolm, za zachęty podczas minionych kilku lat - zaprezentowanie naszego produktu w Londynie stało się punktem zwrotnym w mojej karierze, tak samo jak pamiętne popołudnie, kiedy szeptem opowiedziałam Claire o swoim pomysle na książkę, a jej reakcja: „To f a n t a s t y c z n e!” sprawiła, że uwierzyłam w siebie.

Jak zawsze dziękuję mojej teściowej Ewicie Cooke za najlepszą możliwą opiekę nad dziećmi w czasie, gdy ja pisałam. Mamie Carol Stewart Moffett za uważne czytanie pierwszego brudnopisu i, co równie ważne, za to, że w dzieciństwie zaraziła mnie pasją do opowiadania historii.

Chciałabym również podziękować Lornie Byrne za jej autobiograficzną relację o aniołach *Angels in my Hair*, która okazała się moją największą inspiracją, gdy zbierałam materiały podczas pisania swojej książki.

Na koniec chciałabym podziękować moim dzieciom - Melody, Phoenix i Summer, które choć nie brały udziału w samym procesie pisania tej książki, zrobiły wszystko, aby ją wzbogacić. Moje trzy ukochane skarby, każdego dnia sprawiacie mi radość.